

Jacek Wróbel

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina



**Cuda i Dziwy
Mistrza Haxerlina**

Jacek Wróbel

Nie wszystko złoto, co się świeci

Mistrz Haxerlin przebudził się pełen dobrych myśli. Miarowe skrzywienie kół zawsze działało na niego kojąco. Przetarł oczy, przeciągnął się, aż strzyknęło w kościach i westchnął z rezygnacją, gdy napotkał wyzywające spojrzenie woźnicy.

– Znowu zaczynasz? Zdejmij to, wyglądasz naprawdę głupio.

– Nie zdejmę, panie Haskerlin.

Jona Piętka, a raczej Kordak, bo takie chlubne miano miał nosić podczas podróży, mocniej ścisnął lejce i na znak sprzeciwu przybrał groźną minę. Grymas mógłby nawet kogoś przestraszyć, gdyby nie słomkowy kapelusz naciągnięty prawie na same oczy niczym pierwszy w historii łatwopalny szyszak.

– Haxerlin. Zdejmij, bo...

– Nie zdejmę, pedziałem już. Tak mnie ciężiej poznają.

Farbowany Kordak miał w zwyczaju ułatwiać sobie życie, a do takich ułatwień zaliczało się między innymi szybkie mówienie i okazjonalne skracanie słów mających więcej niż cztery sylaby.

– Właśnie o to chodzi, że mają cię rozpoznawać. Na tym wszystko się opiera, Jona. Zapomniałeś?

– A nie starczy dopiero w Pękisku, panie Haskerlin? Jeszcze mnie od tamtego boli. – Zasłonił twarz rondem kapelusza, bo właśnie z naprzeciwka nadchodziła grupka podróżnych, rzucających mu ciekawskie spojrzenia. Mimo kamuflażu siniaki na policzkach Jony i tak rzucały się w oczy.

To nie moja wina, tłumaczył sobie Mistrz Haxerlin, że nie znam za dobrze lokalnego folkloru. Poza tym to tylko mała niedogodność. Jest przecież i pozytywny akcent – Piętka na własnej skórze może przekonać się o różnorodności ludzkich wierzeń i obyczajów. Chciał zobaczyć świat, prawda? Powinien się cieszyć, że darowałem mu nieustanne noszenie Objęć Goryczy.

Kordak, jak na bohatera przystało, cieszył się dużą renomą wśród prostaczków, którzy zawsze chętnie słuchają opowieści o krwi, chwale i podbojach – najlepiej takich, których akcja dzieje się daleko od ich wiosek i nie wspomina o kuzynach z północy. Niektórzy nosili w sercach mit Kordaka Potężnego, inni Kordaka Zabójcy, a jeszcze inni Kordaka, Syna Burzy. Pech chciał, że na terenach Przygranicza, jakie przemierzali w drodze do Pękowiska, wciąż żywa była legenda Kordaka Pokornego.

Podobno kiedyś wojownik zatrzymał się w jednej z karczm Przygranicza, gdzie zamiast chwili wytchnienia znalazł awanturującego się mężczyznę, niejakiego Agnusa. Agnus dzielnie walczył o pozycję najbardziej znanej miejscowej szumowiny, korzystając z całego wachlarza sprawdzonych środków: bił żonę, bił żonę sąsiada, pożyczał pieniądze na wieczne nieoddanie, sypiał nago w przydrożnych rowach. Kordak zastał go w chwili, kiedy nicpoń wyklócał się z karczmarzem o kolejny kufel piwa.

– Uspokój się, dobry człowieku, pragnę odpocząć po trudach podróży – napomniął Agnusa.

– Ta? A kto ty jesteś, może wielki Kordak? – zaśmiał się chrapliwie pijaczyna. – Nie będzie mi żaden przybłęda mówił, co mam robić! – Po czym z całej siły uderzył

bohatera w twarz. Wojownik przyłożył dłoń do policzka, spojrzął z wyrzutem na mężczyznę i odrzekł spokojnie:

– Tak, stoi przed tobą Kordak. Na znak, że nim jestem, zachowasz głowę.

Na dźwięk tych słów Agnusa wnet opuściło upojenie, a gdy dotarło do niego, co zrobił, padł na kolana i gorliwie dziękował za okazaną łaskę.

Jedna wersja opowieści mówi, że po spotkaniu z Kordakiem pijus odmienił swój marny los, stał się przykładnym obywatelem, a pod koniec żywota wstąpił do Braci Litościwych. Druga – że jeszcze tego samego dnia obłąkany kowal roztrzaskał mu kolana młotem. Prawda zapewne leży pośrodku, jak lubił powtarzać Mistrz Haxerlin.

Tyle historii. Na pamiątkę minionych wydarzeń w Przygraniczu utarł się zwyczaj, że gdy w okolicy znowu przejazdem pojawiał się Kordak, poczciwe dusze witały go symbolicznym policzkiem, by zadośćuczynić tradycji. Patrząc na posiniaczoną twarz Jony można było odnieść wrażenie, że miejscowi określenia „symboliczny” używali zamiennie z „prawy sierpowy”. Podobno rytuał zainicjował sam Kordak, by uzmysłwić ludziom, że nawet wielcy bohaterowie zdolni są wybaczyć i zapomnieć o zranionej dumie, co świadczyć ma o czystości ich serc i dystansie do małostkowych sporów.

Zdaniem Mistrza Haxerlina świadczyło to raczej o niezdrowej fascynacji bólem.

Tym bardziej, że po serii podobnych incydentów biedny Jona stracił początkowy entuzjazm, jakim kipiał w Blumbergu, kiedy Haxerlin pomachał mu przed oczami nabitą sakiewką i przedstawił plan złapania nimfy. Teraz powoli przeistaczał się z wesołego kompana w pełnego pretensji najemnika.

To dlatego Jona uparł się na ten przeklęty kapelus. Miał się dzięki niemu nie rzucać w oczy, dopóki nie dotrą do Pękowiska. A powinien się rzucać, tego wymagał od niego Haxerlin. Lecz jednocześnie rozumiał obawy towarzysza: jeszcze kilka symbolicznych policzków, a legendarny bohater zyska przydomek Bezzębny. Inna sprawa, że w przypadku aparycji Jony na niewiele zdawała się jakakolwiek charakteryzacja. Obecnie wyglądał po prostu jak Kordak na wakacjach.

Mistrz Haxerlin dźwignął się z trudem z posłania na tyle wozu i usadowił na koźle. Jona był faktycznie uderzająco podobny do opiewanego w pieśniach bohatera. Blisko dwa metry wzrostu, szerokie bary i kruczoczarne włosy opadające aż do ramion. Nawet blizna na lewym policzku prezentowała się niemal identycznie jak ta, którą podziwiać można na płótnie *Wyzwolenie Północy* w volendurskim Muzeum Pamięci. W przypadku Jony co prawda rany nie zadał szpon harpii, ale jego luba, krawcowa Helen, która – jeśli wierzyć słowom nieszczęśnika – nożycami władała nie gorzej niż bestia pazurami. Tego i wielu innych rzeczy dowiedział się Haxerlin, kiedy osuszali wspólnie kufle w gospodzie Pod Spragnionym Dzikim i kiedy zamiast pakować resztki dobytku i uciekać z miasta, Mistrz postanowił przyjąć propozycję barona Schultza.

Mogłem uciec, to nie byłoby nic nowego, westchnął w duchu. W Blumbergu, kiedy pierwszy raz zobaczył Jonę Piętkę, dłubiącego przy drewnie w małym zakładzie kołodzieja, trybiki w jego głowie zaczęły pracować pełną parą. Plan krystalizował się z każdą kolejną minutą spędzoną w towarzystwie Jony. Dlatego po wizycie w karczmie i odbyciu dłuższej rozmowy z Helen porzucił myśl o dyskretnym zrezygnowaniu z gościny barona i przygotował się do wyprawy. Jon był zadowolony, bo mógł zobaczyć

kawałek świata i przynajmniej na jakiś czas znaleźć się poza zasięgiem nożyc żony, a Helen przymilnie uśmiechała się na widok sakiewki, jaką Haxerlin zostawił w ramach zaliczki. Nawet machała im na pożegnanie i dobry kwadrans odprowadzała wzrokiem, ale Jona twierdził, że więcej wspólnego miało to z upewnieniem się, czy aby na pewno odjechał, niż z wyrazem uczucia i tęsknoty.

Wtedy wszystko zapowiadało się doskonale. Jednak teraz, gdy byli w drodze już szósty dzień i nieuchronnie zbliżali się do Pękowiska, wątpliwości zaczęły pojawiać się jak grzyby po deszczu. Owszem, Jona śmiało mógł uchodzić za Kordaka – dopóki się nie odzywał, nie chwycił za miecz i nie stroił fochów. Najlepiej gdyby po prostu stał i robił dobre wrażenie. Trudno jednak o dobre wrażenie w słomkowym kapeluszu.

Sprawianie pozorów było jednak sposobem na życie Mistrza Haxerlina i plan schwywania nimfy w głównej mierze na tym się opierał.

– Zmienię cię. Przebierz się i przeciwicz swoją kwestię. – Haxerlin przejął lejce. – Tylko teraz prawidłowo.

– Staram się, panie Haxerlin – odparł naburmuszony Kordak, przechodząc na tył wozu. – Ale to trudno spamiętać.

– Haxe... a zresztą – westchnął Mistrz cierpiętniczo. Nie wątpił, że w życiu jego towarzysza bywały i takie dni, kiedy zapominał, jak się nazywa ta świecąca kula na niebie. Podciągnął rękawy purpurowych szat, by lepiej mu się powoziło, i wbił spojrzenie w opadający łagodnie ku dolinie trakt.

Rzadko narzekał na swój los, bo i nie miał na co narzekać. Cuda i Dziwy, czyli obrót egzotycznymi wyrobami, począwszy od magicznych afrodyzjaków aż po sproszkowane kły wampira, przynosił dochody, jakich pozazdrościć mogli wszyscy pełnoprawni czarodzieje. Przemieszczał się z kolekcją od miasteczka do miasteczka (z oczywistych względów omijał te, w których mieściły się filie Gildii Magów), rozkładał kramik z artefaktami przed żadną sensacją gawiedzią i dawał takie popisy, że wystarczała chwila nieuwagi, by sam prawie uwierzył w niesamowite właściwości prezentowanych eksponatów. Handlarz dobrze wiedział, czego się od niego oczekuje, dlatego przywdziewał piękne purpurowe szaty z wyszytymi na przedzie konturami księżycy i klepsydry oraz rękawami przyozdobionymi pomysłowymi spiralami, od których można było dostać oczopląsu. Gdyby w takim stroju pojawił się w progach Gildii, odesłano by go ze śmiechem do trupy cyrkowców, ale poczciwi mieszkańcy mniejszych grodów witali go jak prawdziwego czarodzieja. Jednak jedyną magią, jaką opanował Haxerlin, była sztuka zamiany bezwartościowych świecidełek w monety. Największe cuda i dziwy nie piętrzyły się na ladach straganu, ale wesoło harcowały w umysłach klientów.

Uparł się rozbić kramik w Blumbergu i tak zaczęły się kłopoty.

Owszem, czasami zatrzymywał się w większych miastach, gdy nad poczuciem bezpieczeństwa przeważała perspektywa łatwego zarobku, ale czynił to z wielką rozwagą. Z reguły wybierał miejsca, gdzie niedawno doszło do gwałtownej zmiany władz: wybrano nową radę miejską, pan na włościach umierał, komuś odebrano przywileje, król mianował nowego zarządcę, takie tam. Mistrz Haxerlin nie był wybredny, byle tylko nie ostał się

nikt wysoko postawiony, kto mógłby pamiętać jego poprzednią wizytę. Chociaż zawsze uprzedzał, że po sfinalizowaniu transakcji nie przyjmuje zwrotów, wielu magnatów, skuszonych wcześniej wizją prastarej mocy zaklętej w zasuszonych diabelskich odchodach, pragnęło rzucić mu się do gardła, gdy wychodziło na jaw, że moc ta objawia się głównie w roztaczaniu nieprzyjemnego zapachu. Ale, na bogów, czego się spodziewali? Mistrz Haxerlin wielce dziwił się ludzkiej niewdzięczności.

Jeśli Jonę Piętkę można było porównywać do Kordaka, to handlarz niezwykłościami najlepiej sprawdzał się w zestawieniu z lukrowanym pączkiem. Jako człowiek pulchny i niewysoki miał niewielkie szanse w starciu z oddziałami zbrojnych, które wysyłano przeciwko niemu w pierwszych miesiącach działalności Cudów i Dziwów, kiedy jeszcze wierzył w ludzką uczciwość i pogodne nastawienie do bliźnich. Wystarczyło kilka spektakularnych ucieczek, cztery wysokie grzywny i tygodniowy pobyt w lochu, by nauczył się prowadzenia działalności gospodarczej.

Założył nawet specjalną księgę, w której skrupulatnie odnotowywał zmiany władz zachodzące w obrębie prowincji. Ilekroć na stronicy pojawiała się nowe nazwisko, niedługo potem w tamtym rejonie zjawiał się niski człowieczek i jego niezwykły asortyment. Widać i taki środek bezpieczeństwa musiał w końcu zawieść.

Baron Anzelm Schultz co prawda zginął w tragicznym wypadku, ale skąd Haxerlin miał wiedzieć, że jego syn, Ekhart, odziedziczy po ojcu domniemaną urazę?

– Panie Haskerlin – nieśmiały głos Jony wyrwał handlarza z rozmyślań. – Jużem się przebrał.

Mistrz zatrzymał konia i obrócił się na koźle z finezją toczącej się gościńcem beczki po śledziach. To, co zobaczył, sprawiło, że nadzieje na powodzenie misji odżyły.

Jona zamienił prosty strój podróżny na grubą kamizelkę z niedźwiedziego futra i brązowe, nabijane ćwiekami spodnie. Na potężne ramiona wsunął obręcze z księżycowej stali najeżone zakrzywionymi ząbkami, a z boku zwisał przytroczony do pasa miecz. Rękojeść uformowano na podobieństwo rozdziawiającego paszczę węża, a dla lepszego efektu Jona codziennie smarował klingę olejem. Stał pięknie błyszcząca w promieniach słońca.

Oby wiało, oby w tym czasie wiało, modlił się w duchu Mistrz Haxerlin. Te długie włosy falujące na wietrze... To musi się udać.

Napawał się widokiem herosa, dopóki Jona nie zaczął dziwnie przebierać nogami.

– Co się dzieje? Ćwiczysz taniec śmierci? – zapytał, siląc się na powagę.

– Nie, panie Haskerlin, przysięgam! – Jona wybałuszył oczy, jakby bał się, że to kolejne zadanie do wyuczenia. – To te buty.

– Co z nimi nie tak? – Handlarz uważnie przyjrzał się obuwiu. Wciąż nie mógł przeboleć, ile musiał się wykosztować, by skompletować cały ekwipunek Kordaka. Kto by pomyślał, że buty mogą być droższe od kosmyka włosów Świętej Królowej Ysabelle? Trzeba poważnie zastanowić się nad podniesieniem cen asortymentu.

– No... – zaczerwienił się Jona. – Trochę za duże, panie Haskamerlin, w sumie to takie duże, że mi się noga w nich gubi.

– Nazywam się Haxerlin, tam w środku jest „x”. Jak to gubi? Przecież przymierzałeś je jeszcze wczoraj i pasowały idealnie.

– No tak, ale dzisiaj pan Haxer... przepraszam, pan Haskerlin kazał się wykapać w strumieniu, zanim do Pękiska dotrzemy, to żem się wymył i tak szorował, tak szorował, że... no, buty tera za duże. Stara to by mnie w łóżku nie poznała.

Mistrz Haxerlin tylko bezgłośnie poruszył ustami.

– Po drodze kupi się trzy pary wełnianych skarpet – odezwał się po dłuższej chwili.

– Buty będą pasować. I jak długo mam powtarzać, żebyś zdjął ten głupi kapelusz! Przejdź teraz do orędzia.

Kordak mlasnął głupio językiem, spojrział w prawo, spojrział w lewo, a nawet pod siebie.

– Gdzie mam...

Bogowie, będzie ciężko.

– Po prostu zacznij mówić.

Jona Piętka, alias Kordak, dobył miecza (wychodziło mu to coraz lepiej, co z satysfakcją zauważył Haxerlin), przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął broń przed siebie w geście poddaństwa, kładąc oręż na rozłożonych dłoniach.

Przynajmniej choreografię mamy dopracowaną do perfekcji. Gdyby jeszcze nie musiał się odzywać...

– PIĘKNA LORELEY! – huknął tak donośnie, że stado ptaków z pobliskiego drzewa poderwało się do lotu. – JAM JEST KORDAK...

– Ciszej, na bogów, ciszej! – Mistrz Haxerlin wyjął palce z uszu. – Z tego co wiem, nimfy nie mają problemu ze słuchem.

Farbowany Kordak wydawał się niepokieszony.

– Pan Harleskin sam mówił, że to ma być poruszające.

– Owszem, ale miałem na myśli doznanie duchowe. Chyba że planujesz tak ją poruszyć, żeby uciekła do Blumberga i sama wpadła w ramiona Schultza. – Widząc pytanie malujące się na obliczu Jony, dodał szybko: – To był żart.

Podszedł do mężczyzny i już miał krzepiąco położyć dłoń na jego ramieniu, gdy przypomniał sobie o księżycowym kamieniu i kolczastych obręczach. Przez chwilę poruszał więc głupio palcami w powietrzu i ostatecznie zdecydował się na przyjacielskie klepięcie w plecy.

– Prezentujesz się doskonale. Dopracujemy przemowę i wszystko pójdzie gładko.

– Ten Kordak to wszędzie tak łąził? – Jona zmienił wątek i wymownie spojrział na obręcz. – Jak żem pierwszy raz to zobaczył, to myślałem, że mnie pan Haskerlin chce pokroić na plasterki.

– Haxerlin – poprawił Mistrz odruchowo. – W tym go zazwyczaj prezentują artyści. Objęcia Goryczy, tak się chyba zwie to ustrojstwo. Nie mów, że nigdy nie widziałeś żadnej ryciny Kordaka. – Obrzucił pomocnika niedowierzającym spojrzeniem. – Czy nikt wcześniej ci nie mówił, że... no, jesteście podobni? Nikt cię nie zaczepiał?

Jona Piętka pokręcił głową.

– Gdzie tam, panie Haskerlin. Jaki tam ze mnie bohater, mówiłem panu. Kilka razy żem od obcych w Blumbergu w mordę dostał, ale wtedy nie wiedziałeś, że to ta cała

Tradycja. I ztem nawet nie zapytał. Ja człowiek spokojny, do bitki niechętnie stoję, więc jak się kto nowy przejazdem pojawiał, to z chałupy nie wychodził i był święty spokój. Miejscowi wiedzą, że to ja, poczciwy Jona, pomocnik stelmacha, nie żaden Kordak. Raz mnie ino żona kochana przyrównała do wielkiego knura z Volendurskiej Puszczy. – Piętka podrapał się po czubku nosa w nabożnym skupieniu. – Raz albo dwa.

– Dobrze, może zacznijmy od łatwiejszego. Od TNB, Towarzyskiego Niezbędnika Bohatera. Jakie...

– Mamo, mammo! Kordak wozem jedzie!

Nie wiedzieć skąd wyłoniła się mała furmanka z trzyosobową załogą. A może byłoby wiadomo skąd, gdyby Mistrz Haxerlin badał okolicę, a nie koncentrował się na wyznaniach asystenta kołodzieja. Teraz towarzystwo wlepiło oczy w ich wóz, jakby zaraz miała wystrzelić z niego fontanna złota i obficie zrosić okolicę.

– Święta Królowo Ysabelle! Rzeczywiście!

– Takie szczęście – odezwał się wąsaty woźnica. Zeskoczył rażno na ziemię i wymownie pomasował pięść wielką jak bochen chleba. Rzekomy Kordak przełknął ślinę. – Sąsiedzi wiary nie dadzą...

– Nie dąsaj się – szepnął Mistrz Haxerlin, gdy rodzina ustawiła się gęsiego jeden za drugim. – Do Pękowiska niedaleko. Po wszystkim możesz założyć kapelusz. – Nachylił się i z miną znawcy zlustrował pochmurne oblicze towarzysza. – Wąsaczowi nadstaw prawą stronę, dzieciakowi i panience lewą. Będzie się równo goić.

– Dalej boli? – zainteresował się, gdy nakrył Jonę na przykładaniu do twarzy zwilżonej szmatki.

To był ich ostatni postój. Na horyzoncie majaczyły już mury miasta.

– Tego z wąsem było wziąć na Kordaka, panie Harleksin. Tak pizdnał, ztem pomyślał, że mnie jaki inny heros wita. Trzy dni minęły a dalej trzyma – powiedział i przechylił nad okładem bukłak z wodą. Zaczął nawet wesoło pogwizdywać. Widocznie bliskość Pękowiska znacząco wpływała na poprawę samopoczucia.

– Ciężko być bohaterem w Przygraniczu – odparł sentymentalnie Haxerlin. – No, zakładaj Objęcia Goryczy i pamiętaj o wszystkim, co mówiłem. Nie odzywaj się bez potrzeby. Jak cię u burmistrza zaczepią, odpowiadaj zgodnie z TNB. Od reszty jestem ja.

Haxerlin zapoznał Jonę z zestawem kilkunastu haseł na każdą okazję, które nazwał Towarzyskim Niezbędnikiem Bohatera i miał nadzieję, że kołodziej błysnie rozsądkiem na tyle, by nie powtarzać w kółko dwóch czy trzech fraz. Wtedy nawet największy idiota nabrałby podejrzeń co do jego tożsamości.

– Kroc dumnie, ale zerkaj też pod nogi, żebyś się przypadkiem nie wywrócił i nie narobił wstydu. Pozdrawiaj ludzi skinieniem głowy, o tak. – Zademonstrował. – Obiecuję, że nie będzie więcej żadnego bicia. – Twarz Kordaka rozjaśnił szczery uśmiech. – No, może trochę u burmistrza, podobno to straszny konserwatysta. – Uśmiech troszkę przygasł. – I cały czas powtarzaj w głowie występ dla Loreley. Jeśli spiszesz się tak jak na ostatniej próbie, to dorzucę kilka złotych monet do umówionej zapłaty.

Handlarz już miał pakować się na wóz, kiedy przypomniał sobie o najważniejszym.

– Jeszcze jedno, Jona. Pamiętasz, na czym to wszystko polega? Dlaczego nam się uda?

– Pamiętam, panie Harlequin. – Handlarzowi aż dech zapało na tak pokraczne przekręcenie jego imienia, ale nie miał okazji się zbulwersować, bo Jona całkiem rozsądnie kontynuował. – Te stwory widzą świat inaczej. Nie tak jak my, ale przez wyobrażenia – przesyłabizował, dumny, że udało mu się zapamiętać najdłuższe słowo, z jakim się w życiu spotkał. – To taki rodzaj magii.

Haxerlin był zasadniczo zadowolony z przesłania, więc postanowił niczego nie poprawiać. Ważne, że pomocnik kołodzieja znał reguły gry.

Niektóre rodzaje magicznych istot patrzą na świat i na ludzi przez pryzmat spojrzeń innych śmiertelników. W ich oczach jesteście uosobieniem naszej reputacji.

Tak właśnie tłumaczył Jonie fundament planu, kiedy robili przerwę w nauce.

Innymi słowy – jeśli doczepisz sobie skrzydła, zaczniesz gdać i jakimś cudem przekonasz ludzi, że znosisz jajka, to nimfy bez zbędnych pytań zaczną cię karmić ziarnem.

– Tak se myślę... – Kołodziej głośno stęknął, mocując się z obręczami. – Oni naprawdę w to wierzą? W Jonę-Kordaka?

– Przyjacielu, zdziwiłbyś się, w co ludzie są w stanie uwierzyć. – Haxerlin uśmiechnął się pod nosem.

– W co?

Handlarzowi nie paliło się do wprowadzania osiłka w arkana działania Cudów i Dziwów, ale nic nie stało na przeszkodzie, by podrzucić mu kilka ogólnych przykładów. Istniała duża szansa, że i tak za chwilę o tym zapomni.

– Na przykład w to, że liść paproci, zerwany w określonej noc, przesiąka magią i przez cały następny rok przynosi posiadaczowi szczęście.

W to uwierzył jeden z mieszkańców Wąskiego Brodu. Owszem, kwiatek przyniósł szczęście, ale raczej Haxerlinowi.

– I w to, że afrodyzjak w fikuśnej butelczynie, który dziwnym trafem smakuje jak wódka, może związać serce lubego z naszym sercem.

W to uwierzyła brzydula z Möhren. Sprzedał jej dwie flaszki, licząc, że uczucie biedaka przetrwa przynajmniej do świtu.

– Albo że zarzucona na grzbiet barwiona wilcza skóra pozwoli na swobodne bieganie wśród watahy i rozmowy z wyjącmi do księżyca braćmi.

– O, o tym żem słyszał – wtrącił się Jona. – Tak było z naszym świętej pamięci baronem Schultzem. Chciał tańczyć z wilkami. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ludzie to są niekiedy głupie. Ludzie i barony.

No właśnie, pomyślał smutno Haxerlin.

– Kiedy mi doniesiono, że pojawiłeś się w mieście, pomyślałem: „Nie, to niemożliwe, nie byłby aż tak głupi”. A jednak.

Ekhart Schultz przypominał ojca w takim stopniu, w jakim naciek na ścianie może przypadkiem przybrać kształt jabłka. Zamiast sumiastych wąsów, chluby starego barona, na jego szczyrzej twarzy wyrosła ledwo widoczna szczecinka. Stylem ubioru może

również pragnął naśladować przodków, ale nikt mu nie powiedział, że stosowniej byłoby skupić się na męskiej gałęzi rodu. Mistrz Haxerlin widział podobne fatalaszki w Krainie Zdradliwych Piasków. Na tamtejszych tancerkach brzucha.

– Doceniam, szanowny panie, że raczyłeś posłać po mnie ludzi i zaprosić do siebie, ale naprawdę nie wiem, czym mógłbym służyć. Jestem tylko prostym przedsiębiorcą.

Mistrz Haxerlin robił dobrą minę do złej gry. Kiedy dwóch zbrojnych wyciągnęło go siłą z straganu z Cudami i Dziwami, domyślił się, w czym może być problem. Kiedy kolejnych czterech rekwirowało jego towary i odprowadzało wóz, był już pewien. Szedł przed oblicze barona ze skrępowanymi rękami, niczym pospolity rzezimieszek, ale wciąż nie przeszkadzało mu to traktować całego zajścia jak fatalnej pomyłki.

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Heinz – zwrócił się do jednego ze służących.

Ten wyszedł z sali i pojawił się chwilę potem, niosąc postrzępione, brudne futro. Zabarwiono je fioletowym atramentem, na którym miejscami znać było intensywne brunatne plamy.

– Poznajesz?

Mistrz Haxerlin nerwowo oblizał wargi.

– Chyba mam na stanie kilka podobnych egzemplarzy, ale w dużo lepszym stanie. I nie używam brązowej maści. Jeśli to barona interesuje, to niestety po odejściu od kasy...

– Tyle zostało z mojego ukochanego ojca. – Schultz junior teatralnym ruchem zarzucił na szyję jedwabny szal. – Fakt, był trochę ekscentryczny, ale ten, kto sprzedał mu Zbroję Likantropa ponosi odpowiedzialność za tragedię, nie sądzisz?

– Panie, pragnę zauważyć, że udzieliłem szacownemu baronowi Anzelmowi niezbędnych instrukcji. Czar miał działać tylko podczas Ciemnonocy, kiedy nici wszechświata splatają się z...

– Skończ z tymi bredniami! – krzyknął potomek barona i tupnął nóżką. Tak, nóżką. Trudno inaczej nazwać stopę, którą zdobił złoty trzewik obszyty falbankami. – Nie dam się podejść twemu wężowemu językowi. Za to, co spotkało ojca, czeka cię długi pobyt w lochu. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Chyba że...

Mistrz Haxerlin wysłuchał. Potem utargował czas do wieczora na podjęcie decyzji. To plus. Nie udało mu się uzyskać dostępu do Cudów i Dziwów. To minus. Stało się nawet na tym, że w razie powodzenia misji otrzyma hojną nagrodę. Kolejny plus. Za to jeśli wywinie jakiś numer, młody Schultz obiecał ścigać biedaka po całym świecie, by publicznie przetestować na nim działanie najbardziej podejrzanych specyfików z asortymentu Cudów i Dziwów. Duży minus.

Zanim zdążył uciec z miasta, bez towaru, ale za to z głową na karku, i zaszyć się w mysiej dziurze, Haxerlin spotkał Jonę.

Wiedział oczywiście, że istnieją magiczne istoty i artefakty z prawdziwego zdarzenia. Problem tkwił w tym, że magiczne istoty zazwyczaj wyposażone były w ostre zęby, macki, rogi i pazury długie na dwie stopy. Mogły też ciskać zaklęciami. Artefakty zaś spoczywały prawie zawsze albo w mrocznych jaskiniach, albo w przeklętych grobowcach. Czasami zachodziła kumulacja i nawet jeśli pokonało się labirynt podziemi,

to dostępu do Amuletu Księżycowego Zewu strzegły magiczne istoty, które jak wiadomo wyposażone były... I tak dalej, i tak dalej.

Polowanie na unikaty to sport szkodliwy dla zdrowia. Mistrz Haxerlin skupiał się zatem na modernizowaniu rzeczy zwyczajnych i jakże ważnej sprawie audiowizualnej.

W kwestii magii i potworów Haxerlin był jednak ekspertem. Musiał w końcu wiedzieć, jakie tereny omijać szerokim łukiem. Znał przypadek Loreley, nimfy, o której z wypiekami na twarzy opowiadał Ekhart. Wielu uczonych napisało o niej opasłe traktaty, pojawiała się też w ludowych opowieściach, zawsze jako niesamowitej urody niewiasta, kusicielka zwodzająca wędrowców. I prostaczkowie, i mędracy zgodni byli w jednym – nimfa nie miała złych intencji, po prostu większość śmiertelnych wypadków można było uznać za uboczny efekt flirtu. Jeden z badaczy trafnie zatytułował rozdział poświęcony Loreley: „Uroczą katastrofą”.

Miłość to zdradliwa sprawa, powtarzał Mistrz Haxerlin, dumnie obnosząc się ze swoim kawalerstwem.

– Schultz nie może przeboleć, że jego znienawidzony znajomy, burmistrz Pękowiska, przetrzymuje u siebie taką piękność. Otto Kramer miał czelność listownie pochwalić się baronowi swoją zdobyczą, przy okazji, hmm... niewybrednie kwestionując jego męskość. – Wyjaśniający Jony niuanse sprawy Haxerlin przypomniał sobie jedwabny szalik i półprzezroczystą, zwiewną szatę barona. A potem się dziwi, że ludzie gadają. – Pomożesz mi odebrać nimfę.

– Panie Hamerlin, przeca mieczem machać nie umiem – przyznał szczerze Jona Piętka, gdy handlarz postawił przed nim kolejny kufel. Czterej pozostali klienci oberży Pod Spragnionym Dzikim nie zwracali na nich najmniejszej uwagi, zajęci walką na noże. W sumie to już tylko trzej. – Nie umiem, choćby mnie pan zwał Kordak Co Walczy Mieczem. Może pan burmistrz chce to dziwo na koło wymienić, bo ja kołodziej, to...

– Nazywam się Haxerlin, postaraj się zapamiętać. – Niski człowieczek uśmiechnął się, uchylając zwinnie przed leżącym krzesłem. – Nie, nie będziemy ani walczyć, ani się wymieniać. Skradniesz jej serce, Jona.

– Eee, ja z prawem nie zadzieram, jak strażniki złapią, to i rękę uciąć potrafią.

Mistrz Haxerlin zaśmiał się głośno.

– Myślę, że się dogadamy, masz świetne poczucie humo... – Nierozumne spojrzenie Jony sprowadziło go na ziemię. – Może inaczej. Rozkochasz ją w sobie. Nikt nie zakwestionuje wyboru Kordaka. Nikt go nie zatrzyma.

– Nie za bardzo rozumiem, panie Haresklin. Toć nikt się nie nabierze.

Handlarz gładził w zamyśleniu klepsydrę wyszytą na przedzie tuniki. Jakby mu to przystępnie wytłumaczyć... Kopnięciem zasugerował krwawiącemu mężczyźnie, który na czworakach przesuwiał się w jego stronę, by zmienić kierunek. W tym samym momencie przypomniał sobie o Księdze Przysłów, którą zarekwirowano razem z resztą zbioru Cudów i Dziwów.

– Znasz takie powiedzenie: „Nie wszystko złoto, co się świeci”?

– Ano znam. I jeszcze „Błyszczec jak psu...”

– Tak, tak, właśnie – przerwał Mistrz Haxerlin. – Zabłyśniesz jaśniej od gwiazd, przyjacielu. Gdy się zorientują, że nie jesteś ze złota, będziemy już daleko.

Drogę do ratusza przebyli witani okrzykami i hasłami wznoszonymi na cześć Kordaka. Nawet Mistrz Haxerlin był pod wrażeniem ludzkiej pomysłowości. W czasie tej przejażdżki usłyszał tyle przydomków bohatera, że wcale by się nie zdziwił, gdyby gdzieś pojawiał się Kordak Niewyspany albo Kordak Spacerowicz.

Ulice wrzały w wesołym uniesieniu – rzadko zdarzało się, by w gościnę przybywała prawdziwa legenda. Absolutnie nikt nie zastanawiał się nad tym, dlaczego Kordak wygląda identycznie jak na pomnikach czy obrazach, które powstały dobre kilkadziesiąt lat temu. Szajki bandytów, trolle, księżniczki w opałach – w natłoku zadań herosi może najzwyczajniej w świecie nie mieli czasu na starość.

Burmistrza wyciągnął z ratusza hałas. Na wszelki wypadek wezwał dwóch strażników i bezpiecznie skrył się za ich halabardami. Ostatnio wydawał się bardzo podenerwowany, a gdyby jeszcze na wierzch wypłynęło, co zrobił z pieniędzmi przeznaczonymi na sierociniec... Odetchnął z ulgą, widząc, że pod urzędem nie wybuchły zamieszki.

– Co oni wykrzykują? – zapytał strażnika. Słuch, podobnie jak humor, też mu ostatnio nie dopisywał.

– Kordak Wyzwoliciel. Kordak Przyjaciel Ubogich. Kordak u Bram. Kordak Ogniogrzmot. – Strażnik posłusznie powtórzył niektóre hasła. Inne, jak choćby "Znajdzie się kij na Kramera ryj", przemilczeć kazała mu nawet nie tyle przyzwoitość, co wrodzona przezorność.

Otto Kramer uśmiechnął się i zatarł ręce. Nie wszystko stracone.

Gdy wóz, otoczony wiwatującym tłumem, zatrzymał się przed ratuszem, burmistrz przywitał bohatera z otwartymi ramionami.

Haxerlin lekko odchylił się na krześle i dyskretnie powstrzymał czknięcie. Wystawna uczta w posiadłości burmistrza rekompensowała z nawiązką niewygodę podróży. Bardzo chętnie przystał na propozycję Ottona, który uroczyście zaproponował, by wielki Kordak i jego towarzysz najpierw skorzystali z przysłowiowej gościnności Pękowiska, zanim wyjawią powody swego przybycia. Mistrz Haxerlin do tej pory nie spotkał się z żadnymi wzmiankami na temat „przysłowiowej gościnności” miasta, ale od tego dnia miało mu się ono kojarzyć z półmiskami dziczyzny, znakomitym winem i dziesięcioma rodzajami sztućców.

Cieszył się, że Jona idealnie wywiązuje się ze swojego zadania i nie wypada z roli. Gdyby od małego był przyuczany do aktorstwa, kto wie, może nawet zrobiłby zawrotną karierę na deskach teatru.

– Tyle słyszeliśmy o pańskich dokonaniach. – Victoria, jasnowłosa małżonka burmistrza, wróciła do porzuconego niedawno wątku. Rumieniec na twarzy, który pojawiał się za każdym razem, kiedy spoglądała w stronę niezwykłego gościa, wyraźnie mówił, jakie to dokonania najchętniej sobie wyobrażała. – Życie wojownika musi być ekscytujące, prawda? – Rzuciła herosowi kokieteryjne spojrzenie.

– Wojownik potrafi walczyć, ale potrafi także mieszkać we własnym domu – odpowiedział filozoficznie Jona, rozglądając się za nową przekąską.

Dobry jest, pomyślał z uznaniem handlarz. Powiniennem opatentować TNB.

– Ach, istotnie, istotnie – westchnęła zauroczona kobieta. – Gdyby mój Otto miał takie podejście... On to tylko praca i praca. Nawet do łoża pracę przynosi, wyobraża to sobie pan Kordak?

– Kochanie... – chrząknął zakłopotany Kramer. – Nie sędzę, by Kordaka Ogniogrzmota interesowały takie rzeczy...

– Mówię o miłości, Otto. Krew, honor i miłość, prawda? Taką dewizą jest opatrzony pański pomnik w Annoverze, prawda, panie Kordaku? Swoją drogą cudowne spiżowe wykończenia. I ten sokół na ramieniu. Jak żywy...

– Każdy wojownik światła zranił kogoś, kogo kochał. – Jona nabrał z ozdobnej wazy kolejną chochlę rosołu.

– To takie romantyczne, takie smutne... ale jednocześnie takie prawdziwe – wzruszyła się Victoria. – Zupa dobrze doprawiona?

Fałszywy Kordak spojrział niepewnie na Haxerlina. Handlarz leciutko skinął głową. Kordak powtórzył gest w kierunku Victorii, a ona zatrzepotała rzęsami jak podłotek.

Uff, idzie nawet za dobrze, trzeba powoli przechodzić do części oficjalnej. Haxerlin otarł usta jedwabną chusteczką i kaszlnął, by zwrócić uwagę towarzystwa.

– Dziękujemy serdecznie za kolację. Była pyszna, zwłaszcza kluseczki. Pozwólcie, drodzy gospodarze, że będę przemawiał także w imieniu Kordaka. Towarzyszę mu właśnie dlatego, aby zdejmować z jego barków przyziemne obowiązki i zajmować się tak przyziemnymi sprawami jak rozmowa. Nic nie powinno odciągać uwagi wielkiego wojownika od... – zerknął ukradkiem na Jonę, który siłował się z wyjątkowo opornym kawałkiem mięsiwa – ...od ogólnie pojętego bohaterstwa. Najwyższy czas zdradzić powód naszej wizyty. Kordak Potężny przyjechał w sprawie nimfy.

Burmistrz Kramer aż pokraśniał z radości. Victoria za to naburmuszyła się i zaczęła grzebać w talerzu jarzyn.

– Już doszły do was wieści? Niesamowite! – Otto dolał sobie wina. – Zastanawiałem się nad wynajęciem najemników, ale skoro pojawił się wielki Kordak, od razu pomyślałem: Otto, poproś o przysługę, dobrze mu z oczu patrzy, na pewno nie odmówi. I patrz pan! Jak to się dziwnie złożyło... Kiedy wyruszacie, panowie?

– Wyruszamy gdzie? – zapytał zbity z tropu handlarz, bo rozmowa zaczęła się toczyć zupełnie nie po jego myśli.

– Jak to gdzie? Odbić nimfę! To niebezpieczne zadanie, godne herosa – z uznaniem pokiwał głową Kramer.

Rozległ się głośny brzdęk. Udziec poległ w końcu pod naporem noża Ogniogrzmota.

– Zanim umrę, chcę walczyć o życie – wtrącił Kordak z pełnymi ustami.

– Zdradliwe Piaski czy Białokres, Zdradliwe Piaski czy Białokres... – mrucał pod nosem Mistrz Haxerlin, studiując w cieniu jabłoni pożyczoną od burmistrza mapę.

Oficjalnie prowadził śledztwo dotyczące porwania nimfy, a tak naprawdę zastanawiał się, na który koniec świata uciec przed baronem Schultzem. Sam nie wiedział, co lepsze: duszenie się w upale Krainy Zdradliwych Piasków czy przenikliwy ziąb na wschodzie?

– Panie Hamerlin? – Jona-Kordak wygrzewał się na dębowej ławie, beztrąsco machając nogami w powietrzu. Ściągnął niedźwiedzie futro i prezentował otoczeniu swój umięśniony tors. Od czasu do czasu sięgał po winogrono z pozłacanej miseczki. – Pan próbował tych mrożonych pałeczek, które niekiedy sprzedają na jarmarkach? Dobrze to?

– Co? – Mistrz podniósł spojrzenie znad arkusza. – Cóż to za pytanie?

– A bo wczoraj po kolacji, jak rozmawialiście z burmistrzem, pani Victoria pedziła na ucho, że jakbym chciał, to mogłaby mi taką zrobić. I teraz nie wiem, czy...

Haxerlin przestał słuchać. Jak już opracuje plan ewakuacji, będzie musiał powiedzieć Jonie, że, niestety, wróci do Blumberga samotnie. I lepiej, by zrobił to szybko, bo lada moment warstwa złota zacznie schodzić z niego grubymi płatami.

– Kiedy pójdziemy do nimfy? – spytał farbowany heros. – Mnie już spieszno do Helen, do własnego kąta. Jedzenie tu dobre, ale łoża... uuu... łoża twarde jak diabli.

– Spałeś na dywanie – burknął Haxerlin. – Dobrze, że cię jakoś wytłumaczyłem. A nimfę porwali bandyci. Jakbyś słuchał, a nie napychał się kawiozem, to byś wiedział.

– Kaaaawior – Jona smakował nowe słowo. – Kawior. Toż dziwo. Myślałech, że to rybnie jaja. No to kiedy idziemy do nimfy?

– Jona. – Handlarz złożył mapę i zaczął powoli tłumaczyć. – Nimfa została porwana przez bandytów. Bandyci mają noże, których nie używają do smarowania chleba, i wielkie pałki. I bardzo nie lubią, kiedy wchodzi się im w drogę. Więc nawet jakbyśmy wiedzieli, gdzie przetrzymują Loreley, to nie ruszymy z akcją ratunkową, bo zaraz trzeba by posłać drugą. Za nami. To w najlepszym wypadku. W najgorszym dowiesz się, do czego bandyci używają noży.

– Znaczy, że nie będzie pieniędzy, panie Haskamerlin? – Kordak spuścił nos na kwintę. – Helen to się nie spodoba. Jak ona czasem patrzy na nożyce, to normalnie jakby za młodu z bandytami trzymała... Co powiemy panu Schultzowi?

– Co to było? Słyszałeś?

Jeden z krzaków gwałtownie się zatrząsł. Kilka liści upadło na przystrzyżony trawnik. Chwilę potem sytuacja się powtórzyła, gałązki rozchyliły, a zza krzewu wyszła Victoria.

– Wiedziałam, że coś tu nie gra – odezwała się, zanim Mistrz Haxerlin w ogóle zdążył otworzyć usta. – Dobrze, że akurat... przypadkiem przechodziłam i podsłuchałam waszą rozmowę, hultaje.

Handlarz był pewien, że Victoria musiała zaszyć się w swojej kryjówce na długo przed tym, zanim przyszli do ogrodu. Zerknął na półnagięgo Jonę, potem na małą lunetę, którą burmistrzowa niezdarnie starała się ukryć w dłoni. Potrafił łączyć fakty. Szkoda tylko, że nie miał pomysłu na wykręcenie się z tej kabały.

– Przyjechaliście po nimfę, co? Młody Schultz was przysłał? – Spoglądała oskarżycielsko to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Jona z marnym skutkiem próbował ukryć się za szefem.

– My...

– Musimy porozmawiać. Wielkoludzie... Jona, tak? Usiądź koło mnie. I ty też, „człowieku od przyziemnych spraw”. – Burmistrzowa prychnęła i zajęła miejsce na środku ławy. – To ja zleciłam porwanie – stwierdziła bez ogródek, otrzepując fryzurę z resztek liści.

Nieczęsto się zdarzało, by Mistrzowi Haxerlinowi zabrakło języka w gębie.

– Gdybyście słyszeli Ottona... – kontynuowała Victoria, niezrażona brakiem ich reakcji. – „Loreley to, Loreley tamto, och, jaka ona śliczna, jaka urocza, cała rada miejska mi zazdrości” – parodiowała męża. – Dla badań ją trzymał. Taaak, dla badań, już to widzę, uczony od siedmiu boleści. Widziałam te jego lektury, które w wychodku chowa, liter nie uświadczysz, za to masa interesujących miniatur. A jak przychodzi co do czego, to boi się choćby świecy w sypialni zapalić, konserwatysta wielki. Mówiłam, żeby ją odesłał, zanim sprowadzi na dom nieszczęście, przecież wszyscy znają historie o Loreley. Posłuchał mnie? Gdzie tam! Całymi godzinami przesiadywał z tą lafiryndą, w domu, w ogrodzie, śmichy-chichy, aż miałam chęć chwycić ją za kudły i utopić w fontannie. Niech siedzi w swoim żywiole. Ale Otto by mi nie darował, więc wynajęłam ludzi. Czemu tak milczycie?

– Dlaczego nam pani o tym mówi? – Handlarz odzyskał w końcu mowę.

– Jak to dlaczego? – obruszyła się. – Nie słyszeliście? Otto gotów najemników wynająć, by ją odzyskać. W końcu jakiś głupek przyprowadzi ją z powrotem. Najlepiej, gdyby ta dzierlatka znalazła się jak najdalej od Pękowiska. Niech Schultz ma na nią oko, może się sukniami powymieniają. Spełnijcie moją małą prośbę, a wasz sekret będzie bezpieczny.

Mistrz Haxerlin miał ochotę skakać z radości. Kordak i tak nie zrozumiał, o co chodzi, zajął się zatem winogronami.

– Oczywiście, oczywiście. Gdzie mamy się zgłosić po Loreley? Przydałoby się jakieś pismo, że nastąpiła zmiana planów. Pokażemy je pani ludziom i bezpiecznie odprowadzimy nimfę do Blumberga.

– Pismo, powiada pan? – Victoria spojrzała na niego jak na człowieka niespełna rozumu. – Pismem to się Vlad i ta zgraja co najwyżej... Widzicie, tu w Pękowisku trudno znaleźć złoczyńców z prawdziwego zdarzenia. Przebiegłych, ale trzymających się swoistego kodeksu, bezlitosnych, ale pociągających w pewien mroczny sposób ... – rozmarzyła się. – W Pękowisku mamy szczury i mamy Vlada Szydercę. Uprowadzając pytanie – nazwał się tak od swojej maczugi. Nikt nie wie, jaki związek ma jedno z drugim, ale według Vlada to zapewne ciekawa historia. Jest głupi, a jego ludzie jeszcze głupsi. Gdybym nie pokazała palcem, kogo mają uprowadzić, wyszliby stąd z pomnikiem syreny. – Wskazała statuę pośrodku ogrodu. – Jak już coś zabierają, nie oddają po dobroci. Na nich trzeba dużej pały, nie negocjacji.

– Więc co mamy... – zaczął niepewnie Haxerlin.

– Ja mam wam mówić? – Victoria westchnęła. – Łącznie z Vladem jest ich siedmiu. Spotkałam się z nimi w starym, opuszczonym młynie za miastem. Założę się, że dalej tam siedzą. Pan jest czarodziejem. Proponuję rzucić do środka kulę ognia, niech wszyscy spłoną, włącznie z tą wymuskaną ladacznicą. A jeśli tak wam na niej zależy, wypłoszcie bandę i niech Jona zrobi porządek. Nie jest może Kordakiem, ale... – Obrzuciła go

spojrzeniem, jakim kot zwykle patrzy na mleko. – ...ale prezentuje się niczego sobie. Miecza też chyba nie nosi od parady.

No właśnie niekoniecznie, pomyślał Haxerlin.

– Ja bym może już do domu wrócił... – odezwał się wreszcie Jona.

– Spróbuj tylko – fuknęła blondynka. – Albo się tym zajmiecie, albo... – Znacząco przejechała palcem po gardle. – Podszywanie się pod bohaterów jest surowo karane.

Haxerlin rozważał groźbę w ponurym milczeniu, aż nagle w głowie zaświtał mu pomysł.

– Czy aktualnie ktoś przebywa w miejskich lochach?

– Tak, całkiem spora gromadka. Dlaczego...

Umysł handlarza zaczął pracować na pełnych obrotach.

– Planujecie jakieś egzekucje?

Victoria zastanowiła się.

– Nie wliczając was, jak rozumiem? Na ścięcie czeka czterech skazańców. Pierwszego mają zaciągnąć pod szafot w przyszłym tygodniu. Chciałabym się w końcu dowiedzieć, jaki związek...

– Dałoby się to trochę przyspieszyć? Wykonać wszystkie cztery wyroki? Najlepiej za jakąś godzinę?

Mistrz Haxerlin ciężko dyszał, wdrapując się na porośnięty wrzosem pagórek. Za nim dreptał Kordak z przewieszonym przez ramię workiem. Musiał się nieźle nagimnastykować, żeby nie zawadzać parcianym materiałem o Objęcia Goryczy.

– Jeśli Victoria udzieliła dobrych wskazówek, niedługo... uważaj!

Jona potknął się i upuścił worek. Po trawie potoczyła się głowa mężczyzny. Jego twarz pokryta śladami ospy zastygła w wyrazie zdumienia. Przecież wszystko było dopracowane, kompani mieli odbić go za kilka dni, tuż przed egzekucją...

– Wcale mi się to nie podoba, panie Hamerlin, do domu bym wrócił... – narzekał osiłek, z obrzydzeniem pakując czerep z powrotem do worka. – Jużem się naoglądał świata...

– Jeśli tego nie zrobimy, to sami zorganizujemy katu rozrywkę na przyszły tydzień. Też mi się to nie podoba, ale co innego nam pozostaje? Trzeba zaryzykować.

– To dobry plan?

– Taa – mruknął Haxerlin, choć osobiście uważał, że plan w najlepszym wypadku jest taki sobie. – Zrobisz, co powiedziałem i Loreley będzie nasza.

– Przemowa do nimfy też ma być? Wszystko pamiętam.

– Jak chcesz. – Mistrz wzruszył ramionami. W końcu Jona tak długo ćwiczył, niech się wykaże. Choć biorąc pod uwagę niefortunny obrót wydarzeń, wyznanie miłości stało się całkowicie zbędne. Jeśli przeżyją spotkanie z bandytami, wystarczy, że capną nimfę i odniosą ją w worku do Blumberga, bez zabawy w przyciąganie magicznej panny reputacją.

– Widać młyn – zauważył Jona, wychylając się zza drzewa. – Bandyterów nie. Pewno są w środku.

Handlarz przystanął i otarł rękawem krople potu z czoła. Dobrze się złożyło, że ich obfitość mógł rzucić na karb zmęczenia, nie przyznając się do strachu.

– Przygotuj się. Złap je o tak, za włosy. Po dwie w każdej ręce. Dobrze. I mina. Nie zapominaj o minie. Będę czekał tutaj. Jeśli coś pójdzie nie tak, sprowadzę posiłki.

Ze Zdradliwych Piasków, dodał w myślach.

– Powodzenia, przyjacielu.

Vlad Szyderca był szczęśliwy jak nigdy w życiu. Cały poranek zbierał dla Loreley kwiaty, a potem spędzili bardzo romantyczne popołudnie, leżąc na leśnej polanie i bawiąc się w „Co to za ptaszek?”. Na każdy trzeli dobiegający z drzew odpowiadał „kukułka”, licząc, że w końcu trafi, a nimfa śmiała się słodko i przeczesywała palcami jego siwiejące włosy.

To zdecydowanie była najlepsza robota w ich przestępczej karierze. Nie dość, że solidnie się obłowili dzięki hojności żony burmistrza, to jeszcze Vlad spotkał prawdziwą miłość. Wszystkie pieniądze rozdał chłopakom, by ich jakoś ugłaskać. Niepokoiły go krzywe spojrzenia, które rzucali w stronę pary, wesoło baraszkującej na sianie. Zrozumieją, gdy ich to też kiedyś dopadnie... Zastanawiał się nawet nad rzuceniem rozbójnictwa i znalezieniem uczciwej pracy. Może nauczy się czytać i zostanie czeladnikiem u jakiegoś gryzpiórka? Z wychodka Kramerów wyniósł kilka niezłych broszur i całkiem mu się ten piśmienny świat spodobał.

Teraz, gdy wrócili z powrotem do młyna, trzymał nimfę na kolanach, szepcząc jej do uszka różne czułe słówka. Poprosił chłopców, żeby dali im trochę prywatności. Tylko ona i on... Zapowiadał się cudny wieczór.

– Masz ładną twarz. I ładne nogi.

Mimo że Vlad nie był ekspertem od prawienia komplementów, starał się jak mógł.

– Naprawdę? – zachichotała Loreley, mrużąc sarnie oczy.

– No – odpowiedział chrapliwie, a serce biło mu tak, jak za czasów, kiedy był nastolatkiem i łapał węgorze.

Sielankę przerwało mocne łupnięcie w drzwi, potem kolejne.

Po chwili poruszyła się klamka, tak jakby ktoś na zewnątrz porzucił plan wyważenia drzwi i postanowił je po prostu otworzyć.

– Niech mnie... – Vlad zerwał się na równe nogi, a Loreley zapiszczała.

W drzwiach stał Kordak, wyglądający jakby został żywcem wzięty z pola bitwy.

W obu dłoniach trzymał po parze odrąbanych, zakrwawionych głów. Niedźwiedzie futro, opinające klatkę piersiową herosa, upodabniało go do prawdziwego zwierza, a obręcz na ramionach... O obręczach na ramionach Vlad wolał w ogóle nie myśleć.

– Zostawcie ją i umykajcie do nor, szczury – rozległ się niski, mrozący krew w żyłach głos. Kordak zamachnął się i cisnął pod nogi Vlada czerepy dwóch nieszczęśników – Wracajcie do nor albo podzielicie los tych szumowin. – Bohater dobył miecza. – Wasz wybór. To właśnie masz powiedzieć. Powodzenia, przyjacielu.

Vlad zbladł. Miał ochotę wyskoczyć przez okno, rzucić się do panicznej ucieczki i oddać w ręce straży, by grube mury więzienia uchroniły go przed gniewem zabójcy. Już,

teraz, natychmiast! Zostanie tym przeklętym uczonym, na bogów!

I pewnie zrobiłby to wszystko, gdyby nie wspomnienie kwiatów i pocałunków.

– Nie – odpowiedział krótko, chwytając swoją słynną maczugę, Szydercę. – Ona jest moja.

A potem wszyscy zaczęli krzyczeć. Najpierw Loreley, za chwilę Kordak, a potem, najgłośniej z całej trójki, Vlad.

Jestem głupcem, myślał sobie Mistrz Haxerlin, biegnąc w stronę młyna. Jestem cholernym głupcem, zaraz umrę i tyle z tego będzie.

Spodziewał się, że jeśli coś pójdzie nie tak, usłyszy krzyki. To miał być sygnał, żeby brać nogi za pas. Ale dlaczego krzyczeli wszyscy? I to nie w ferworze walki, a raczej ze strachu i dezorientacji. Dlatego musiał sprawdzić, co się stało.

Wpadł zdyszany do środka, prawie potykając się o skraj szaty.

Jona stał jak słup soli. Upuścił miecz i poruszał kącikami ust, jakby nie mógł się zdecydować, czy śmiać się, czy płakać. Naprzeciwko kulił się w spazmach Vlad Szyderca. Krztusił się, wymiotował, od czasu do czasu miotał przekleństwa albo wzywał wszystkich bogów po imieniu.

Nimfy nigdzie nie było, za to nad Vladem stał mimik.

Mistrz Haxerlin rozpoznał stworzenie już na pierwszy rzut oka. Galaretowate ciało przypominało źle uformowaną masę błota, której niewprawne ręce starały się nadać ludzki kształt. Spłaszczona głowa, zakończona haczykowatym nosem, pozbawiona była choćby jednego włoska. Tkwiły na niej za to brzydkie, wylupiające oczy. Stwór cudacznie kręcił się na długich kończynach wokół rozbójnika, załamywał chude ręce, piszczał coś po swojemu, ale nie wyglądało na to, by chciał wyrządzić mu krzywdę.

– Vladziu... – Mimik próbował sięgnąć do siwych kołtunów mężczyzny. – Vladziu, jak robi kukuleczka...

Vlad Szyderca, zamiast odpowiedzieć, wreszcie stracił przytomność.

– Ależ te nimfy są paskudne... – szepnął Jona, gdy stwór podkładał worek mąki pod głowę bezwładnego Vlada. – Nie będzie przemowy, panie Hekarlin, nie dam rady. – Wzdrygnął się, jakby ktoś wrzucił mu za koszulę ślimaka.

– To nie jest nimfa. To mimik, bardzo rzadka magiczna istota. Potrafi przybrać wygląd większości stworzeń. Trudno przejrzeć ich prawdziwą naturę, gdy już przywdzieją kamuflaż.

Mimik chyba wyczuł, że jest obgadywany, bo spojrzał wymownie w ich stronę. Nie minęła chwila i jego miejsce zajmowała urocza panienka w zielonej sukni. Poprawiła włosy i ruszyła w stronę Kordaka. Ten cofnął się i wystraszony schował za Haxerlinem.

– To wymaga skupienia, wiecie? – Głos nimfy był słodszy od miodu. – Ciągłe zachowywanie kształtu. A ty – wycelowała oskarżycielsko palec w Kordaka, który odskoczył, jakby spodziewał się dostać piorunem – wchodzisz jak do siebie, robisz zamieszanie, grozisz Vladziewi śmiercią... Jak tu trzymać nerwy na wodzy? – Niby-

nimfa westchnęła. – Czego ode mnie chcecie?

– Kim jesteś? – Mistrz Haxerlin bezskutecznie próbował sobie przypomnieć, czy mimiki są mięsożerne.

– Jak to kim? – zdziwiła się. – Piękną Loreley. Obmywam stópki w strumieniu, gonię motyle i śmieję się perliście do chmurek. Kocham mężczyzn, a oni kochają mnie. Otto był naprawdę sympatyczny, ale dopiero Vladzio... To Vladzio pokazał mi, czym jest miłość.

– Ale kim naprawdę jesteś? – zapytał z naciskiem Haxerlin.

Nimfa prychnęła lekceważąco, ale po chwili odpowiedziała rezolutnie:

– Nie wybrałem sobie imienia, a moi pobratymcy nie grzeszą wyobraźnią, więc pozwólcie, że przedstawię się jako Florek.

– Jesteś, ekhem... – Haxerlinowi ciężko było sformułować pytanie – ...rodzaju męskiego?

– Owszem. Czy to cię dziwi?

– I... – oblizał spierzchnięte wargi – przybierasz postać kobiety?

– Owszem – potwierdziła wesoło ślicznotka. – Coś nie tak?

Biedny Vlad. Trzymaj się, chłopie.

– Co robiłeś u Kramera? I dlaczego stąd nie uciekłeś? Mimiki stronią od ludzi.

– Mówisz zupełnie jak mamuśka! – oburzyła się udawana Loreley. – Co z tego, że inni trzymają się na uboczu? Ja chciałem zasmakować świata. Przygody, szaleństwa, namiętności... – Nimfa o męskim sercu spojrzała tęsknie na Vlada. – A że akurat koło osady kręciła się ta cała Loreley... – Wzruszyła ramionami. – Lepsza okazja nie mogła się trafić.

– Co się stało z prawdziwą nimfą?

– Zjadłem ją, a o co chodzi? – zapytała niewinnie. – Ha, żartuję! Jakbyś tylko widział swoją minę! Polazła gdzieś na północ, więc ja przywędrowałem tutaj, żebyśmy przypadkiem na siebie nie wpadli. Wszystko szło idealnie, romantyczne zwroty akcji jak w opowieściach, bandyta zakochuje się w swojej ofierze, ochy i achy, dopóki nie zjawiał się ten wielkolud z trupim bukietem w rękach. Swoją drogą strasznie mi kogoś przypomina...

– Jestem Jona Piętka, pani... panie Florek. Żaden Kordak – odpowiedział Jona niemal płacząc.

– Co zamierzacie? – Nimfa skrzyżowała ręce na imponującym biuście. – Z Vladziem chyba skończone, ale nie dam się zawrócić w połowie drogi. Jeśli chcecie mnie ubić, to zważcie, że znam jeszcze formę śnieżnego trolla, wilkołaka...

– Nie, nie – Mistrz Haxerlin pomachał rękami. – Żadnego ubijania. Posłuchaj, Florku, mam propozycję...

– To już ostatnia. – Handlarz przesunął beczkę z uzdrawiającym płynem („Tylko srebrnik za dwa łyki, promocja dla kobiet z dziećmi i weteranów wojennych!”) i objął wzrokiem resztę Cudów i Dziwów. Artefakty zajmowały niemal całą powierzchnię wozu. – Chyba niczego nie brakuje.

Baron Schultz tak ucieszył się na widok nimfy, że nie tylko zwrócił zarekwirowany towar i wypłacił handlarzowi sowitą nagrodę, ale jeszcze wystawił Cudom i Dziwom wieczyste pozwolenie na handel w obrębie miasta.

Jona Piętka już dawno wyswobodził się z Objęć Goryczy i pozbył reszty bohaterskiego ubioru. Z wyprawy do Pękowiska została mu tylko pękata sakiewka, niezatarte (niestety) wspomnienia i powoli gojące się sińce.

– Dziękuję za pomoc przy pakowaniu. – Mistrz klepnął wielkoluda w ramię, choć musiał przy tym stanąć na palcach. – Mam nadzieję, że Helen nie ma za złe, że podkradłem cię jeszcze na trochę. I to tak wcześnie.

– Gdzie tam! – Uśmiechnął się Jona. – Porachowała monety i tera cały czas pyta, kiedy znowu będę z panem bohaterzył. I kazała przekazać, że jakby trzeba, to za darmo wyszyje żabę albo królika na szacie.

– To miło z jej strony, naprawdę.

– Pan Florek to długo zabawi u barona? – Jona podrapał się po głowie, podczas gdy handlarz sprawdzał, czy zabezpieczony linami towar porządnie się trzyma. – Nikomu żem nie pedział o miniku, jak obiecałem, ale żeby on czasem nie przylazł do mojej chałupy. Pod pierzyną ciemno i... – Przeszył go dreszcz.

– Spokojnie, u Schultza będzie mu dobrze. Obiecał, że zostanie przynajmniej miesiąc, świecąc dla barona jak prawdziwe złoto. A jak mu się znudzi, zawsze może przybrać kształt myszy i dyskretnie się ulotnić. Nasze zadanie skończyło się na dostarczeniu nimfy.

Mistrz wdrapał się na wóz i usiadł na koźle.

– To by było na tyle, przyjacielu. Może kiedyś znowu się zobaczymy, jak wpadnę przejazdem. Przemyśl to, co powiedziałem o aktorstwie. To dobry zawód.

– Ja jeszcze chciałem... – zaczął skrępowany kołodziej.

– Tak?

Jona czubkiem buta rysował szlaczek po ziemi.

– Pan Haxerlin.

Handlarzowi aż łezka zakręciła się w oku.

– Będzie mi ciebie brakowało, Ogniogrzmocie. – Szarpnął lejce. – Wio!

Zaskrzypiały koła i wóz ruszył w kierunku bramy. Powoli świtało. Mistrz Haxerlin przeczuwał, że to będzie całkiem dobry dzień.

Jakże się mylił...

Ale skąd miał wiedzieć, że w południe się rozpada?

Monopolista

Mistrz Haxerlin lubił pieczone kuropatwy, a najsmaczniejsze podawano w Przysmakach Annoveru.

Popularny zajazd, jeden z najlepszych w Imperiale, słynął z przedniego jadła i trunków, których nie wstydziłby się podawać do stołu sam podczasy króla Heavela. Oczywiście, ceny przyprawiły o zawrót głowy. Wykidajło przy wejściu poważnie traktował swoją pracę i zanim wpuścił kogokolwiek do środka, wywiązywał się z instrukcji, by oddzielać plebs od wyższych sfer. Przysmaki Annoveru były kulturalnym przybytkiem i właścicielowi zależało na utrzymaniu renomy, dlatego zdarzało się, że w procesie selekcji udział brały wypielęgnowane dłonie ochroniarza, przyozdobione modnym kastetem, a także bardzo elegancka pałka.

Kupiec, by zjeść upragnioną kuropatwę, musiał wpierw zrzucić szaty wędrownego czarodzieja, wziąć kąpiel i nałożyć strój godny Haxerlina Szlachcica. Kołpak obszty lisim futrem trochę zsuwał mu się na oczy, ale poza tym prezentował się bardziej niż przyzwoicie. Handlarz nie oszczędzał na ubraniach, a na wozie Cudów i Dziwów trzymał jeszcze garderobę dla Haxerlina Prostego Podróżnika, Haxerlina Ciekawskiego Kamieniarza i Kilku Innych Haxerlinów.

Purpurowe szaty z klepsydrą i księżycem nie sprawdzają się przecież wszędzie.

– Przepraszam, mhmm, pan Haxerlin?

Kupiec podniósł spojrzenie z nad talerza, zaskoczony, że ktoś go rozpoznał. Na wszelki wypadek ostrożnie położył dłoń na przypiętym do pasa woreczku. Proszek usypiający był nieocenioną bronią w starciu z roszczeniowymi klientami. Żałował jedynie, że jeśli zrobi się gorąco, nie uda mu się dokończyć obiadu.

Stał przed nim wysoki jegomość spowity w czerń. Wyglądał jak żywa reklama zakładu pogrzebowego: sztywny, poważny i posępny jak zimowa zawierucha. Był tak chudy i blady, że nawet jeśli nie zajmował się pochówkami, powinien w najbliższym czasie zainteresować się tematem. Spod małego melonika wystawało zaczesane na bok pasemko przetłuszczonych włosów, a jedyną rzeczą, jaką można było powiedzieć o jego nieciekawej twarzy było to, że miała wąsik. W rękach mężczyzna trzymał – uwaga – czarną aktówkę, jakby jeszcze było mu mało i na własne życzenie prosił się o przezwisko Sprzedawca Śmierci.

– Owszem, to ja. W czym mogę pomóc?

– Bardzo się cieszę, że, mhmm, pana znalazłem.

Wymownie spojrzał na wolne krzesło przy stole.

– Proszę usiąść. – Westchnął w duchu kupiec. – Uprzedzam jednak, że nie przyjechałem do Annoveru w interesach. Jeśli chce pan przejrzeć asortyment Cudów i Dziwów, zapraszam w przyszłym tygodniu na dożynki w Silesii.

– Nie omieszkać zajrzeć, jeśli akurat, mhmm, będę przejazdem.

Nieznajomy miał bardzo irytującą manierę wtrącania do wypowiedzi ni to przeciągłego chrapnięcia, ni pomruku. Odnosiło się przez to wrażenie, że zapomina o prowadzonej rozmowie i w pewnym momencie po prostu zasypia. W połączeniu z flegmatycznym tonem głosu i powierzchownością grabarza czyniło to z niego

prawdopodobnie najmniej interesującą osobę w całej Insirii.

– Nazywam się Salomon Feldman i jestem, mhmm, reprezentantem pana Bauera, właściciela spółki handlowej Wesoly Lewiatan. Mój pracodawca jest pod wrażeniem pozycji, jaką w przeciągu ostatnich lat wypracowały Cuda i Dziwy na rynku magicznych akcesoriów i, mhmm, żałuje, że nie może osobiście złożyć najserdeczniejszych gratulacji i wyrazów uznania.

Mistrz Haxerlin mocniej chwycił woreczek. Otwartą deklarację wojny często poprzedzały właśnie takie uprzejmości.

Przypominał sobie sieć stacjonarnych sklepików opatrzonych wizerunkiem uśmiechniętej bestii. Można było znaleźć je w każdym większym mieście, dlatego handlarz omijał takie miasta szerokim łukiem, by nie dopuścić do klasycznego konfliktu interesów. Wesoly Lewiatan zajmował się dystrybucją ksiąg z zaklęciami, odczynników alchemicznych, zaklętej broni oraz szeroko pojętych „towarów niezwykłych”. W przeciwieństwie do Cudów i Dziwów, na każdym produkcie sprzedawanym w Wesolym Lewiatanie widniał certyfikat Collegium Magicum, co pozwalało z całą pewnością stwierdzić ich autentyczność. Sieć zaopatrywała głównie członków Gildii Magów, więc priorytetem sklepu była wysoka jakość produkcji. I faktycznie, nad każdą placówką Lewiatana wisiał szyld z napisem: „Naszym priorytetem – wysoka jakość”.

Ot, ciekawe zrządenie losu.

– Pan Bauer planuje, mhmm, rozszerzyć swoją działalność, dlatego wychodzi z pewną propozycją. Dobrze, że odwiedził pan Annover, to zaoszczędziło wielu kłopotów natury, mhmm, lokalizacyjnej.

Otworzył zatrzaski i wyjął z walizki plik dokumentów. Wyciągnął je w stronę handlarza. Wytłuszczony druk na pierwszej stronie wręcz krzyczał o chwilę uwagi.

– Co to za cyferki?

– To jest kwota, jaką pan Bauer, mhmm, oferuje w zamian za nabycie praw do Cudów i Dziwów.

Haxerlin spojrzał zdziwiony na Salomona i szybko przekartkował dokumenty. Oczy łzawiły od drobnej czcionki, a nagromadzenie przypisów wywoływało migrenę. Tam były nawet odnośniki do odnośników!

– Nie rozumiem – bąknął zakłopotany handlarz. – Przecież ja niczego nie chcę sprzedać!

– Widzi pan, panie Haxerlinie, może i pan nie chce sprzedać, ale, mhmm, mój pracodawca chce kupić. Teraz trzeba dojść do porozumienia. – Wygładził rękaw marynarki. – Wesoly Lewiatan pragnie, mhmm, objąć patronatem pański stragan, jak zrobił już z Niesamowitymi Niesamowitościami i Kaboomem, Niezbędnikiem Alchemika. Obecnie trwają negocjacje, mhmm, z panem Folxem, ale przewiduję, że do końca tygodnia uporamy się ze spornymi kwestiami i spiszemy umowę.

– Co? Folx pozbywa się Antykwariatu na Kółkach? Niemożliwe!

Znał Archibalda Folxa od wielu lat. Podobnie do Haxerlina prowadził on własny biznes – objeżdżał krainę wzdłuż i wszerz, sprzedając książki. Mieszkańcy Imperiału nie pałali zbyt dużą miłością do słowa pisanego, dlatego Folx z trudem wiązał koniec z końcem. Kochał jednak swoją pracę i kiedyś przyznał się Haxerlinowi, że nawet gdyby wszystkich

ludzi na świecie dopadła zhora analfabetyzmu, on i tak będzie prowadził Antykwariat na Kólkach, w najgorszym przypadku jedząc swoje książki. Co zresztą nie było pustą obietnicą – kiedy się z tego zwierzał, przeżuwał zbiorek wierszy *Stepy imperialskie*.

To stara prawda, że najlepszym towarzyszem na drodze ku niespełnionym marzeniom jest twardy żołądek.

– Możliwe, możliwe. Wesoły Lewiatan zobowiązał się, mmmm, pokryć koszty rehabilitacji pana Folxa. Bardzo nieprzyjemna sprawa. Ktoś, mmmm, napadł go w ciemnym zaułku. A potem jeszcze raz. A gdy pan Folx zaczął wystrzegać się podejrzanych uliczek, jakiś łotr, mmmm, włamał do Antykwariatu na Kólkach i znowu go pobił.

Zimne spojrzenie Salomona Feldmana sugerowało naprawdę wiele.

Mistrz Haxerlin przełknął ślinę i raz jeszcze spojrzał na kwotę wypisaną na umowie. Spora suma. Przybliżony dochód Cuda i Dziwy generowały w ciągu trzech lat. Ale to nie kwestia pieniędzy. Kramik z artefaktami to jego życie. Bez niego był tylko starszym, niziutkim człowieczkiem w śmiesznych szatach.

Ale człowieczkiem w dalszym ciągu żywym...

– Oczywiście, jeśli nie chce pan rozstawać się z wozem, pan Bauer, mmmm, zaprasza na pokład. Cenimy doświadczenie w handlu. Pracowałby pan na rachunek firmy, ale zostały przewidziane, mmmm, bardzo atrakcyjne warunki zatrudnienia. Stawka godzinowa. Wolne niedziele. Ubezpieczenie, mmmm, od następstw nieszczęśliwych wypadków. A te chodzą po ludziach, czyż nie?

– Muszę... muszę się zastanowić. – Pieczona kuropatwa podeszła Haxerlinowi do gardła. – Możemy zobaczyć się w przyszłym tygodniu?

Salomon Feldman uśmiechnął się, co przypominało pośmiertny skurcz na twarzy nieboszczyka.

– To samo miejsce, ta sama, mmmm, pora. Załatwię do tego czasu sprawę pana Folxa. Mam nadzieję, że rany dobrze się goją. – Wstał, zdjął melonik i lekko się uklonił. – Ach, jeśli tak niemiło się złoży i, mmmm, zapomni pan o spotkaniu, proszę się nie martwić. Wpływy Wesołego Lewiatana sięgają naprawdę daleko. Jeszcze się, mmmm, zobaczymy, jestem pewien.

Sztywnym krokiem wyszedł z Przysmaków Annoveru. Haxerlin nagle stracił ochotę na deser.

– Sprzedam, sprzedam, niby co innego mam robić? – Archibald Folx westchnął ciężko i pogładził postrzępioną brodę. – Ten chodzący trup nie zostawił mi wyboru.

Znajomy Haxerlina wyglądał fatalnie. Miał złamaną rękę, posiniaczoną twarz, a każdy ruch sprawiał mu niebывały ból. Biała broda, niegdyś gęsta i bujna, również ucierpiała w starciu z tajemniczym napastnikiem. Agresor wyszarpał mu też większość włosów.

– Sam widzisz, co przyszło mi z marudzenia. Wytargowałem przynajmniej zaliczkę, bo inaczej nie miałbym co jeść.

– A książki? – Mistrz Haxerlin nie mógł nie zadać tego pytania.

– Gdzie tam. Dopóki nie wyzdrowieję, jestem skazany na kleiki i napary kojące. Próbowałem przegryźć się przez *Historię Insirii* i szczęka rozboleła mnie już na spisie treści. – Roześmiał się, ale wesołość szybko przeszła w atak kaszlu.

Archibald wynajmował najtańszy pokój w Rozkraczonym Trollu, gospodzie tak podłej, że nawet szczury wstydziły się do niej wchodzić. Bawił w Annoverze prawie trzeci tydzień, większość czasu spędzając pod brudnym kocem w równie brudnym łożu. Bystre oko Wesołego Lewiatana wypatrzyło go już w pierwszym dniu przyjazdu i od razu posłało Feldmana, by przedstawił sprawę sprzedaży firmy. Patrząc na obrażenia staruszka, negocjator dysponował kilkoma twardymi argumentami. I ciętymi. A także kłutymi.

– Przecież to jest ewidentnie nieuczciwe zwalczanie konkurencji! – Haxerlin uderzył pięścią w stół. Jedna z nóg wykrzywiła się pod nieprawdopodobnym kątem. – Muszą być na to jakieś paragrafy.

– Dobrze wiesz, że Lewiatan trzyma w kieszeni Collegium Magicum. Idę o zakład, że zostało tam trochę miejsca dla straży. Tylko napytamy sobie biedy. – Skrzywił się, dotykając opuchniętego nosa. – Większej biedy.

Kupiec musiał przyznać rację przyjacielowi. W grę wchodziła Polityka, a Haxerlin bardzo jej nie lubił. Zwłaszcza tej przez duże „P”.

– Ile ci zaoferował?

– Osiemdziesiąt złotych imperiałów. To i tak więcej, niż zarobiłem przez ostatnie pięć lat. Połowę dostałem do ręki, żebym poczuł, jak wyraził się Feldman, „ciężar pieniądza zamiast ciężaru pałki”. Mogę opłacać ten pensjonat do końca życia, ale chyba wiesz, że...

– Wiem. Są rzeczy ważniejsze.

Nie mógł stwierdzić, co bardziej go zaskoczyło – nazwanie Rozkraczonego Trolla pensjonatem czy kwota, na jaką Bauer wycenił Antykwariat na Kólkach. Gdyby zarabiał niespełna szesnaście złotych imperiałów na rok, rzuciłby Cuda i Dziwy i zajął się działalnością przestępczą.

Chociaż niejeden rzetelny sędzia mógłby wykazać, że już uprawiał jedną z jej odmian.

– Trzeba pogodzić się z losem – stwierdził z ciężkim sercem Folx. – Nie wygramy. Jeśli Wesoły Lewiatan chce nas opleść, to prędzej czy później oplecie. Owce mogą albo usunąć się z drogi wilkowi, albo dać mu się pożreć.

Handlarz zmrużył oczy. Nie widział różnicy między jednym a drugim.

– Nie jesteśmy owcami, przyjacielu. Jesteśmy ludźmi interesu.

Zamaskowana kobieta postukiwała w blat stołu, wpatrując się w Haxerlina w taki sposób, jakby zastanawiała się, czy zabić go na miejscu, czy pozwolić opuścić gabinet, by niespodziewanie wbić mu nóż w plecy przed samym wyjściem z kanałów.

Po pięciu minutach milczenia i kilkudziesięciu stuknięciach, w końcu otworzyła usta, by przeciągle westchnąć.

– Więc jak będzie? – odezwał się handlarz. – Dorzucam jeszcze pięćdziesiąt.

Księgowa wyjętego spod prawa Stowarzyszenia Poborców Życia dała się wreszcie

przekonać. Bez słowa otworzyła szufladę i wyjęła pergamin, przygotowując się do spisania kontraktu.

Komórki Stowarzyszenia funkcjonowały w różnych miejscach, rozsianych po całej Insirii, jako niezależne, ponadpaństwowe twory, kultywujące tradycję legendarnej Gildii Skrytobójców, którą zdelegalizowano setki lat temu po małym incydencie związanym z widelcem i ówczesnym carem Kevlaru. Spadkobiercy Gildii w pewnym momencie postanowili zmienić nazwę, gdyż stara wydała im się zbyt banalna i ograna aż do znudzenia.

Również w tym biznesie dużą wagę przywiązywano do kreowania wizerunku.

Haxerlin miał kilku znajomych w Annoverze, a ci znajomi winni byli mu przysługę. W końcu, różnymi krętymi drogami, do Stowarzyszenia dotarła informacja, że pewien kupiec chciałby skorzystać z ich usług. Polecono mu czekać o północy na tyłach domu smolarza, przy jednym z kanałowych włączów, skąd odebrał go zamaskowany mężczyzna. Zarzucił handlarzowi worek na głowę i długo prowadził przez śmierdzący labirynt korytarzy, dopóki nie trafili do skromnie urządzonego gabinetu, w którym wyłożył swoją sprawę innej zamaskowanej postaci.

Maski Stowarzyszenia Poborców Życia były zwykłymi czarnymi przepaskami z otworami na oczy. Mistrz Haxerlin zachodził w głowę, jakim cudem członkom bractwa wciąż udawało się zachowywać anonimowość. Ten cienki pasek materiału był chyba najlepszym kamuflażem w historii.

– To nie byle płotka... Trzysta pięćdziesiąt złotych imperialów – spod obszernego kaptura dobiegł głos zabójczyni, kreślącej ostatnie linijki umowy. Kupiec starał się przypomnieć sobie, czy podobny nie należał aby do rudowłosej kelnerki z Przysmaków Annoveru. – Połowa teraz, druga po zrealizowaniu zlecenia.

Złożył podpis pod dokumentem.

– Pieniądze dostarczę wieczorem. Zostawię je w tej spróchniałej beczce przy domu smolarza.

Kobieta milcząco przytaknęła.

– I jeszcze jedna sprawa, jeśli można... Nowy kontrakt, płacę całość z góry.

Szuflada znowu się otworzyła i na biurku wylądował czysty arkusz.

– Salomon Feldman.

Prezent dla przyjaciela, dodał w myślach.

– Standardowa stawka. Sześćdziesiąt złotych imperialów.

Gdy formalności zostały dopełnione, odprowadzono go tą samą drogą na powierzchnię. Pierwsze promienie słońca już zaczynały przebijać się przez ciemności.

Zostało mu trochę czasu do następnego spotkania, poszedł więc się przebrać. Po południu był umówiony z przedstawicielem Wesołego Lewiatana, w celu odebrania zaliczki, którą planował opłacić „kanałowe” zobowiązanie. Theo Fisher, dawny właściciel Niesamowitych Niesamowitości, i pan Struggle, do którego jeszcze niedawno należał Kaboom, Niezbędnik Alchemika, mieli dołożyć swoją działkę na wieczornych obradach Komitetu Antymonopolowego.

W końcu mali przedsiębiorcy muszą wiedzieć, jak bronić swoich interesów.

Succi vitalis

Przed bramą kłębił się tłum. Ludzie pokrzykiwali na siebie, grozili pięściami i rzucali wyzwiskami w stronę gwardzistów. Ci z ostatnich rzędów starali się przepchać bliżej, nie wierząc, że droga jest zablokowana. Kiedy już przekonali się o tym na własne oczy, sytuacja ulegała odwróceniu i wtedy to oni wrzeszczeli na półgłówek, którzy napierali do przodu.

Hrywen otwierało bramy codziennie o szóstej rano. Dochodziła już ósma, a ludzie nie lubili niespodzianek.

– Decyzją rady na czas nieokreślony bramy zostaną zamknięte – znudzony i odrobinę zirytowany strażnik po raz setny powtórzył wyuczoną regułkę. Był zdenerwowany i męczyły go nieustające pytania, rzucane ze wszystkich stron.

– Skandal! – wrzasnął jakiś jegomość. – Mam ważne spotkanie i od godziny powinienem być w drodze! Co to ma znaczyć?

– My tylko wykonujemy rozkazy – odpowiedział drugi zbrojny, jeszcze bardziej zrezygnowanym tonem niż towarzysz.

– Przepuście mnie, jestem szlachcicem z nadania samego króla Heavela, walczyłem pod Polami Tangen. – Żyłasty mężczyzna w bogato zdobionym kontuszu próbował przedostać się pod halabardami. – Rozkazuję wam, otwórzcie bra...

– Decyzją rady, na czas nieokreślony, miasto zostało zamknięte. – Gwardzista odepchnął go i mocniej chwycił drzewce broni. – Bez wyjątków dla szlachty i weteranów – dodał groźniej.

– Mam robotę w tartaku! Nie dojadę i mnie wyrzucą. Jak żyć, panie strażniku?

– Ciotka się pochorowała, to pilne, muszę przejechać...

– Otwierać bramy!

– Mam znajomości w magistracie, stracie posady!

– Otwierać!

– Decyzją rady, na czas nieokreślony...

Gdzieś pośród gniewnej ciżby pewien kupiec umierał z przerażenia. Nerwowo skubał rękaw szaty, aż srebrna nić, którą wyszył misterną siatkę heksagramów i cudaczych spiral, zaczęła się pruć.

Tego się nie spodziewał. Ryzyko było niemal zerowe, inaczej nigdy nie podjąłby się zlecenia. W nocy odebrał towar, pieniądze przeszły z ręki do ręki, pozostało mu tylko dyskretnie opuścić miasto i zameldować się w Erenfurcie. Carol Soło, właściciel składu handlowego, miał odebrać ładunek i wypłacić resztę wynagrodzenia. Satysfakcjonujący zarobek i prosta, przyjemna robota.

Sęk w tym, że nie do końca legalna. Niektórzy mogliby wręcz uznać, że absolutnie nielegalna. Na przykład straż. I guzik by ich obeszły zawirowania na rynku magicznych akcesoriów i wywody o złej koniunkturze. Fakty mówiły same za siebie: kupiec potrzebował gotówki, dlatego zajął się przemytem szalotrawia.

Trudno byłoby wytłumaczyć, że te pięć beczek narkotyku, ukrytych pomiędzy asortymentem Cudów i Dziwów, jest przeznaczone na użytek własny. Mistrz Haxerlin musiałby mieć gabaryty małego miasteczka i naprawdę dobrego prawnika.

Ponadto szalotrawie miało to do siebie, że przechowywane w nieodpowiednich warunkach szybko się psuło. A zepsute śmierdziało. I „śmierdziało” w tym przypadku jest bardzo łagodnym określeniem. Można je było wyczuć nawet spod sterty wyjątkowo aromatycznego gnoju.

Oblizwał wargi i gorączkowo rozmyślał. Jeśli bramy zostały zamknięte, gdyż wykryto, że w Hrywen działa siatka przestępcza, rozprowadzająca narkotyk po całym Imperiale, i właśnie w tej chwili zbrojni przeszukują magazyny licząc na znalezienie dowodów, to w końcu dotrą do człowieka, od którego Haxerlin odebrał dostawę. To tylko kwestia czasu, kiedy wyjdzie na jaw, że cały zapas przejął obwoźny kupiec w śmiesznej szacie czarodzieja... Podsumowując, pozostaje się zastanowić, jak szybko go znajdą. Ilu ludzi paraduje w ubraniach z gigantyczną klepsydrą na piersi? Zapewne niewielu.

Już takie jego szczęście, że jeśli istnieje choć cień szansy na to, że coś pójdzie źle, to wszystko kończy się jeszcze gorzej. Dlaczego dotąd się tego nie nauczył?

– ...wprowadza kwarantannę...

Haxerlin nadstawił ucha. Tak go zaabsorbowały niewesołe myśli, że przegapił moment, w którym pod bramę zajechał kolejny strażnik. Od kompanów odróżniał go zarzucony na pancerz obszerny płaszcz z emblematem Hrywen – nadzianym na sztylet trójgłowym gołębkiem.

Mistrz nie znał się na heraldyce. Zawsze uważał ją za naukę dorabiającą ideologię do głupich obrazków.

Przybysz stanął na podwyższeniu i donośnie przemawiał, skupiając na sobie całą uwagę tłumu.

– ...z uwagi na prawdopodobieństwo wystąpienia epidemii...

Gwar przybrał na sile. Ludzie odwracali się i przekazywali wieści dalej, rząd za rządem.

– ...zostaną utworzone punkty wydające żywność i wodę...

– Epidemia? Jaka epidemia?! – Brodaty mężczyzna zadął głowę i spojrzał nierozumnie na siedzącego na koźle Haxerlina, jakby to właśnie on, we własnej osobie, ogłosił przed chwilą stan wyjątkowy.

– ...bezwzględny zakaz opuszczania murów. Dopóki sytuacja nie zostanie opanowana, zaleca się pozostanie w domach...

Ludzie zaczęli krzyczeć jedni przez drugich. Głos strażnika jakimś cudem wybijał się na tle reszty – dostał tę robotę i płaszcz z gołębkiem chyba za posiadanie najbardziej pojemnych płuc w garnizonie.

– ...udać do medyków w przypadku stwierdzenia nietypowych objawów...

Uff, dzięki bogom, nie chodzi o mnie, to tylko zaraza, odetchnął z ulgą Mistrz Haxerlin. Chwilę potem zamarł w bezruchu, a twarz mu stężała.

Bogowie! Zaraza!

Harmider szybko ustąpił miejsca ponurej apatii. Ulice Hrywen wymarły, a snujące się po nich niedobitki przypominały włóczęgów, którym ktoś poprzetrzącał kręgosłupy. Przygarbione postacie kryły twarze pod szmatami albo cienkimi szalami i przemykały

chyłkiem niczym szczury. Plakaty porozwieszane na latarniach nie informowały co prawda, jakie jest źródło epidemii, ale każdy rozsądny człowiek zabezpieczał się przed nieczystym powietrzem.

Haxerlin stał właśnie przed jednym z takich ogłoszeń, przykładając do nosa jedwabną chusteczkę.

UWAGA! UWAGA! UWAGA!

Mieszkańcu Hrywen! Drogi Przybyszu!

Zostałeś objęty **KWARANTANNĄ**

NIE SPOŻYWAJ niczego, co nie zostało wydane w Punkcie Kryzysowym

NIE PIJ trunków niewiadomego pochodzenia

UNIKAJ kontaktu z chorymi

Jeśli wystąpią u ciebie następujące **OBJAWY**:

- nienaturalna bladość skóry
- nadmierne przemęczenie
- suchoty
- inne

NIEZWŁOCZNIE ZGŁOŚ SIĘ DO SZPITALA!

Przewodniczący magistratu, Paul Macolus

Poniżej zaś znajdował się spis miejsc, w których utworzono Punkty Kryzysowe wraz z dzielnicami uprawnionymi do korzystania z ich zasobów. Od pokreślonych nazw Mistrzowi kręciło się w głowie. Wśródśrodek? Zapółśródśrodek? Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał napisać poprawnie jakieś słowo, ale nie potrafił się zdecydować, które.

Zatrzymał się nieopodal takiego centrum, w gospodzie Trzecie Poroże. Czy w ogóle istniały pozostałe dwa, skoro kupiec nie dostrzegł w środku choćby malutkiej pary rogów, wiedział chyba tylko karczmarz. W sumie czemu w ogóle się tym zainteresował? Ech...

Priorytetem było teraz przecież obmyślenie planu wydostania się z miasta i wyprowadzenia trefnego ładunku poza mury. Jeśli przy okazji udałoby się nie zarazić tym... czymś, Mistrz osiągnąłby pełnię szczęścia. Przeczucie mówiło mu, że zwrot szalotrawia i grzeczne usprawiedliwienie się nie jest dobrym pomysłem, zwłaszcza że kontakt wyraził się jasno: nigdy się nie spotkali, nic nie wie o żadnych beczkach ani pieniądzech. Pomocny w ćwiczeniu pamięci na pewno okazał się moment, w którym anonimowy pośrednik niby to mimochodem odchylił płaszcz, prezentując wetknięty za pas garłacz.

Aż strach pomyśleć, co zza płaszczu wyciągnąłby Carol Soło, gdyby Haxerlin spartaczył zadanie.

Widowiskowa ucieczka nie wchodziła w grę. Pomijając fakt, że bramy zostały obsadzone dodatkowymi oddziałami straży, musiałyby dysponować wozem wyposażonym w krasnoludzki silnik oraz taran. Jego pocziwa szkapa, z trudem ciągnąca majdan Cudów i Dziwów, średnio sprawdziłaby się w roli burzyciela wrót. No, chyba że wystrzeliłby ją z katapulty.

Przekupienie strażników również miało nikłe szanse powodzenia – nie dość, że pewnie zakrzusiliby się ze śmiechu na widok proponowanej łapówki, to jeszcze wtrąciliby go do lochu. Wozu nie porzuci, na mury się nie wespnie... Mistrz Haxerlin szybko rozpatrzył wszystkie możliwości. Zostawała tylko jedna rozsądna opcja. Raz jeszcze spojrzął na plakat.

Przewodniczący magistratu, Paul Macolus

Westchnął i wzniosł oczy ku niebu. Znowu to samo. Żeby zyskać drobną szansę na wyjście z tarapatów, musi wpakować się w jeszcze większe.

Markotnie przebierając nogami, ruszył w stronę rynku.

– Ja do pana Macolusa.

Strażnik pilnujący wejścia do ratusza spojrzął na kupca z góry. Na twarz naciągnął dziwaczną białą maseczkę z zaczepkami na uszy, przez co wyglądał jak najgłupszy asasyn na świecie. Maski musiały stanowić jednak jakąś ochronę, skoro paradowały w nich wszystkie patrole, które mijał.

– Pan Macolus jest bardzo zajęty, tak samo jak reszta rajców – rozległ się przytłumiony głos. – Proszę udać się do domu.

– Mogę pomóc w sprawie epidemii. Jestem wędrownym czarodziejem i alchemikiem, zajmuję się także medycyną.

Haxerlinowi udało się przemycić trzy kłamstwa w jednym zdaniu. Z tego wszystkiego zgadzało się tylko „wędrowny”.

Zbrojny chwilę się namyślał.

– Proszę poczekać.

Wszedł do środka. Kupiec zaczął cicho pogwizdywać, jak zawsze, kiedy zaczynało mu się dłużyć. Przechodząca obok kobieta spojrzała na niego jak na wariata. Błyskawicznie się opamiętał.

– Zapraszam. – Drzwi otworzyły się na oścież. – Korytarzem prosto, ostatnie drzwi po prawej.

Haxerlin uklonił się i przekroczył próg magistratu.

Spodziewał się zastać ratusz pełen krzątających się urzędników, słyszeć zewsząd echa narad i ożywionych debat płynące zza ścian. W końcu Hrywen znalazło się w sytuacji kryzysowej, ktoś musiał planować dalsze działania. Nic z tych rzeczy. Wewnątrz panowała cmentarna cisza.

Znalazł odpowiednie drzwi i zapukał. Łup! Łup! Jakby walił w drzwi grobowca.

– Wejść! – odpowiedział mu zdawkowy okrzyk.

Więc wszedł. I od razu zanurzył się w nieprzyjemnej duchocie. Za biurkiem, zajmującym niemal cały pokój, siedział niepozorny, może osiemnastoletni chłopak. Nie osłaniał się maseczką ani szalem, tak że Haxerlin bez problemu mógł dostrzec początki młodzieńczego zarostu. Chłopiec rzucił kupcowi przeciągłe spojrzenie – zbyt długie jak na gust Haxerlina. To, co zobaczył, chyba niezbyt mu się spodobało, bo krzywiąc się wrócił do leżących na blacie papierzysek.

Mistrza nie zdziwiło, że funkcję burmistrza pełnił taki gołowąs. Poszczególne

provincje Imperiału posiadały dość znaczną autonomię w kwestii stanowienia prawa, więc może akurat w Sterrwind obowiązywał zanizony cenzus wieku na stanowiska urzędnicze. Nie byłoby to znowu takie niezwykle. W końcu niedawno głośnym echem odbiła się sprawa Północnego Zenitu, kiedy to archiwiści dokopali się do ustawy obowiązującej od trzech wieków, wydanej przez Peppina Kasha, znanego lepiej jako Szalony Prefekt, która umożliwiała nabywanie majątków ziemskich niedźwiedziom. Obecny prefekt północy na szczęście zareagował odpowiednio szybko i uchylił dekret, zanim do prowincji zdążyły zjechać tłumy prawników podających się za reprezentantów zwierzyny.

– Podobno zaoferowałeś pomoc – odezwał się młodzian. Wzrok utkwił w dokumentach. – W czym możesz się przydać? Znasz się na medycynie albo chociaż anatomii?

– W jakimś stopniu owszem, panie Macolus. Chciałbym...

– Nazywam się Werner. Aleksander Werner – przerwał chłopak. – Dopóki Macolus nie wydobrzeje, ja pełnię obowiązki burmistrza.

– Mistrz Haxerlin. – Kupiec wyciągnął rękę. Werner zmarszczył brwi, ale wstał i odwzajemnił uścisk. – Rozumiem, że jest pan wiceburmistrzem?

– Nie, wiceburmistrzem jest Dominik Verny. Zachorował, podobnie jak Macolus.

– Zatem najmłodszy rajca?

Chłopak zacisnął pięść.

– Pełnię obowiązki burmistrza, to nie wystarczy? – Pogrzebał w stercie dokumentów i wyjął jeden z arkuszy. Podstawił go Haxerlinowi pod nos. – Proszę usiąść i zerknąć na to. Nie życzę sobie dalszych pytań w sprawie piastowanego stanowiska.

Handlarz sięgnął po papier. Na dole stronicy widniała pieczęć z trójgłowym gołębiem i parafka Macolusa. Podpis złożono drżącą ręką, jakby właściciel z ledwością mógł utrzymać pióro. A wyżej...

– *Ja, Paul Macolus, przewodniczący magistratu Hrywen, na podstawie Królewskiego Dekretu o Wojnie i Kryzysie nadaję pełnomocnictwo Aleksandrowi Wernerowi, młodszemu asystentowi księgowego, aby w moim imieniu pełnił obowiązki burmistrza do czasu zażegnania epidemii.* – Haxerlin odczytał treść notatki. – Młodszy asystent księgowego? Naprawdę?

Werner skrzywił się, jakby possał plaster cytryny.

– Nikt inny się nie ostał. Posłuchaj, jeżeli to wyjdzie poza ten pokój, każę cię wtrącić do lochu. Mam takie uprawnienia.

Taka sama śpiewka jak wczoraj. Niektórzy mają uprawnienia, inni garłacze, pomyślał smutno Haxerlin.

– Na początek nakreślę ogólny obraz sytuacji – zaczął Werner. – Stwierdzono trzydzieści sześć przypadków zachorowań. Wiem, niezbyt imponująca liczba, ale trzeba zakładać, że to pierwsza fala. Żeby było ciekawiej, choroba dotknęła wszystkich rajców. – Choć starał się odgrywać niezłomnego polityka, widać było, że sytuacja go przerasta. – Macolus zachorował ostatni. Pierwsze symptomy pojawiły się u niego w środę, dwudziestego piątego sunna, a od dwóch dni nie jest w stanie podnieść się z łóżka. Prefekt Karkland przysłał decyzję o kwarantannie, choć obawiam się, że dotarła za późno. Zresztą

skąd mamy wiedzieć, z czym się w ogóle mierzymy?! – podniósł głos. – Przed czym chronić ludzi, skoro nie mamy pojęcia, co wywołuje fedura? Medycy zonglują teoriami, ale żadna nie została potwierdzona.

– Powoli, powoli... – Łagodny ton Haxerlina równoważył wzburzenie młodszego asystenta. – Jakiego znowu fedura? Zaczniemy od początku.

Werner wziął głęboki oddech i postarał się uspokoić.

– Nazywamy chorobę „fedur”, od pierwszego zarażonego. Brzmi to znacznie lepiej niż „Cholerstwo Robiące z Ludzi Warzywa”. Pierwszy był właśnie Fedur, rolnik z pobliskiej wsi. Zgłosił się do hryweńskiej przychodni dwa tygodnie temu, a raczej został do niej przywieziony na wozie. Nie był w stanie samodzielnie chodzić, ale rodzinka ruszyła głową i, zamiast do leśnej znachorki, zabrała go do miasta. W przeciągu następnych kilkudziesięciu godzin zarejestrowano cztery identyczne przypadki. Potem ruszyła lawina. Lekarze załamywali ręce – żadna kuracja nie przynosiła efektu. Pacjenci leżeli apatycznie na łózkach i patrzyli w sufit pozbawionymi życia oczyma; można było wlewać w nich hektolitry naparów kojących, podawać setki ziół, a jedynym dostrzegalnym efektem były kurczące się zapasy medykamentów. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, ale nikt jeszcze głośno nie mówił o epidemii – dopóki nie rozłożyło magistratu. Sześciu rajców zachorowało niemal jednocześnie, jak jeden mąż, za wyjątkiem burmistrza, który wytrzymał w zdrowiu kilka następnych dni. Formalnie w mieście panuje anarchia, łańcuch ciągłości władzy został przerwany. Chyba już wiesz, dlaczego tak ważne jest, by nasza rozmowa nie wyszła poza ten pokój. – Spojrzał na handlarza wyjątkowo poważnie. – Ludzie muszą wiedzieć, że ktoś czuwa nad całym tym bajzlem. Świadomość, że stery trzyma chłopak, który jeszcze niedawno parzył herbatę dla księgowego, nie wpłynęłaby korzystnie na morale. Tylko paru zaufanych strażników wie, kto tak naprawdę wydaje rozkazy. Rodziny rajców są przekonane, że rada została uszczuplona co najwyżej o dwie, trzy osoby. Macolus zdążył co prawda posłać gołębia do Vortecy, do prefekta Karklanda, by zaniósł wieści o fedurze. Prosił o sprowadzenie wykwalifikowanych lekarzy i urzędników wyższego szczebla, ale w odpowiedzi dostaliśmy tylko to.

Wygrzebał z szuflady świstek papieru i wręczył go Mistrzowi. List zawierał tylko dwa pośpiesznie skreślone zdania:

*Niezwłocznie wprowadźcie bezwzględną kwarantannę. Posiłki w drodze.
Podpisano: prefekt Sterrwind, Maksymilian Karkland.*

– Przynajmniej to świństwo nie wyjdzie teraz poza mury. Mam nadzieję – dodał pośpiesznie Werner. – Musimy wytrwać pięć, sześć dni, póki nie nadejdzie pomoc.

Haxerlinowi zaimponowała postawa młodego zastępcy burmistrza. Był żywym dowodem na to, że zwykły człowiek zdolny jest podźwignąć niewyobrażalne wręcz brzemie, jeśli zostanie do tego zmuszony.

Godne podziwu, ale nie na tyle, by Mistrz zapomniał, po co tu przyszedł. Przed oczami ciągle miał Cuda i Dziwy, a na nich beczki z szałotrawiem. Za kilka dni straż będzie mogła trafić do stajni Trzeciego Poroża z zamkniętymi oczami, podążając tylko za zapachem.

– Oferuję służbę w charakterze posłańca. – Postawił wszystko na jedną kartę. –

Mam konia i wóz. Sprawa jest poważna i lepiej, żeby raport zdał człowiek będący w centrum wydarzeń. Skreślenie kilku lakonicznych zdań i przywiązanie ich do nóżki gołębia wydaje się lekceważeniem sytuacji. Jestem w Hrywen dopiero od wczoraj; załóżki choroby, jeśli w ogóle jakieś są, na pewno nie zdążyły się rozwinąć. Sprowadzę...

– Chcesz mi powiedzieć – Werner przerwał mu zirytowany – że z miasta objętego kwarantanną, w którym wybuchła jakaś tajemnicza epidemia, powinienem wypuścić poznanego dziesięć minut temu przybysza w stroju cyrkowca, pozwolić zabrać mu cały swój majdan i wierzyć, że zamiast wziąć nogi za pas sprawdzi się w roli lojalnego emisariusza? Jak myślisz, dlaczego dotąd nie kazałem zrobić tego zaufanemu strażnikowi? Strażnikowi stacjonującemu w mieście od początku epidemii, znacznie dłużej od ciebie, a mimo to wciąż zdrowemu? Masz mnie za idiotę? Karkland napisał wyraźnie: „bezwzględna kwarantanna”. Prefekt jest przedłużeniem królewskiej władzy, a dobry burmistrz nie podważa rozkazów króla.

Kupca wmurowało.

Bogowie, niby podrostek, a wypowiada się jak strateg. Przejrzał nawet mój kamuflaż w postaci fikuśnej szaty.

– Nie, Mistrzu Haxerlinie, tak nie będzie. Zaoferowałeś pomoc, więc ją przyjmę. Na moich warunkach. – Wstał zza biurka i otworzył drzwi gabinetu. – Przejdziemy się na pierwszą linię frontu. Do przychodni.

Puste ulice skąpane w półmroku, zatrzaśnięte na głucho okiennice, widoczne gdzieś patrole, nieliczni tułacze przemykający alejkami w prowizorycznych, pokracznych maskach, zrobionych z tego, co akurat było pod ręką – wszystko to składało się na obraz miasta rodem z upiornych snów. Haxerlin i Aleksander przemierzali ciemne uliczki i opustoszałe place niczym nadzorcy tego posępnego więzienia. Bo czym w istocie było teraz Hrywen, jeśli nie więzieniem? Mimo rozpościerającego się nad nimi nieba, Mistrz czuł się jak mysz zamknięta w klatce.

Mysz ubrana w bardzo śmieszny kaganiec.

– Choroba nie roznosi się w powietrzu, to niemal pewne – tłumaczył Werner. Maseczka odrobinę zniekształcała jego głos. – Żaden z medyków się nie zaraził, mimo że całymi dniami przebywali z pacjentami. To – postukał się po białym ochraniaczu – jest zabiegiem czysto propagandowym. Maszerujący w maskach strażnicy to znak dla mieszkańców, że istnieje sposób na zabezpieczenie się przed chorobą. W najbliższych dniach planuję rozdawać te ustrojstwa w Punktach Kryzysowych razem z racjami żywnościowymi, kiedy produkcja ruszy pełną parą. Więcej o fedurze dowiesz się w przychodni.

– Co właściwie mam tam robić? – Haxerlin odchylił maseczkę, by złapać głębszy oddech. Obstawiał, że prędzej niż fedur zabije go źle dopasowane wiązanie.

– Wspominałeś coś o tym, że jesteś czarodziejem, prawda?

O nie, nie, nie, koniec ze mną...

– Mhmm – mruknął niewyraźnie. Pożałował, że nigdy nie przedstawia się jako sprzedawca rzepy albo kucharz króla Heavela. To ostatnie byłoby nawet bardziej

wiarygodne, bo przyrządzał całkiem smaczne desery.

Mistrz Haxerlin zawsze chciał uchodzić za maga. Ubierał się jak mag (a raczej tak, jak według gawiedzi ubiera się mag), wystawiał jak mag, utrzymywał, że przewozi zaklęte przedmioty. To napędzało interes, ale było w tym tyle prawdy, co w liter „b” w zdaniu „Jestem perfidnym kłamcą”.

– Przyda się zbadać sprawę z perspektywy uczonego w Sztuce. – Haxerlinowi albo wydawało się, albo naprawdę usłyszał drwinę w głosie młodego urzędnika. – Być może natura tego zjawiska wykracza poza ramy medycyny konwencjonalnej. Liczę na ciebie, Mistrzu Haxerlinie. Całe miasto liczy.

Podpuszcza mnie, ten chłystek mnie podpuszcza!

– Co z waszą Gildią Magów? – Kupiec poruszył drażliwy temat. – Do tej pory niczego nie odkryli?

Lokalny oddział Gildii był kolejnym powodem, dla którego przedłużająca się wizyta w Hrywen mogła przysporzyć mu nielicznych kłopotów. Co prawda w obliczu panującej zarazy i pewnych problemów logistycznych, wytykający go palcami czarodzieje tracili na znaczeniu, ale to nie znaczy, że przychylnym okiem patrzyli na szwendających się po okolicy przebierańców.

– Od jakiegoś czasu stopniowo redukowano liczbę członków Gildii. – Aleksander skinął ręką, dając znać, że skręcają w prawo. – Zarządzenie Collegium. Obcinają etaty, bo podobno nie wyrabiają finansowo. Nie wiem dokładnie, nikogo w magistracie to nie obchodzi. Wywalczyli autonomię, niech się martwią. Od trzech miesięcy rezyduje u nas tylko stary Dexter. A on nie może pomóc, bo...

– ...bo sam zachorował – domyślił się Haxerlin.

Werner w milczeniu przytaknął.

Mistrz otrzymał przynajmniej jedną pożyteczną informację. Jeśli Gildia ogranicza pozycję tutejszej filii, oznacza to, że pojawiła się okazja do handlowania w Hrywen i pobliskich wioskach. Nikt nie będzie rzucał w niego kamieniami. Przydatna wiedza na przyszłość.

O ile oczywiście będzie jakaś przyszłość.

Minęli kolejny zakręt. Haxerlin już z daleka rozpoznał miejsce, do którego zmierzali. W przeciwieństwie do innych budynków, w których panowała ciemność, wewnątrz tego szerokiego gmachu było jasno oświetlone, a w oknach migąły zarysy krzątających się postaci. Z każdym krokiem Mistrz coraz wyraźniej słyszał panujący w środku rozgardiasz. Obecnie przychodziła była dla Hrywen tym, czym latarnia morska dla błąkających się po morzu okrętów.

Mocniejszy podmuch podwiał szatę Haxerlina, który odruchowo osłonił twarz przed wiatrem.

Zbiera się na burzę, pomyślał ponuro.

W progu lecznicy przywitał ich felczer w białym fartuchu, niewiele starszy od Aleksandra. Podkrążone oczy świadczyły o tym, że ostatnimi czasy stanowczo zbyt mało sypiał. Łypnął podejrzliwie na kupca; Werner rzucił mu spojrzenie typu „Spokojnie, on

wie”. Twarz mężczyzny nieco się rozpogodziła.

– Dobry wieczór, burmistrzu.

Werner zamknął za sobą drzwi i zdjął maskę. Haxerlin z ulgą poszedł w jego ślady.

– Dobry wieczór – zabrzmiało to jak wyjątkowo nieprzekonywujące zaklinanie rzeczywistości. – Jakież postępy?

– Niestety. Mamy za to kolejnego chorego. – Młodzieniec prowadził ich długim holem. Haxerlin z ciekawością zerkał do mijanych pokoi; w każdym widział trzy, cztery, raz nawet sześć łóżek ustawionych obok siebie w równym rzędzie. Między pryzkami kręcili się pracownicy lecznicy. Pacjentów przykryto grubą warstwą pierzyn i koców. Spod tych kokonów wystawały im tylko pięty. – Syn pana Mondzoe, piekarza z Połśródrodka.

– Rudi? – Werner przystanął. – Znam go z widzenia. W jakim jest stanie?

– Fedur w stadium rozwojowym. Jakoś się trzyma, ale idę o zakład, że w przeciągu kilku dni apatia przeobrazą się w zupełny bezwład.

Weszli na schody, prowadzące na wyższe piętro. Rozkład pomieszczeń był bardzo podobny do tego z parteru, tyle że tym razem korytarz kończył się solidnymi drzwiami.

– Panie Jäger! – Felczer głośno zapukał. – Burmistrz Werner do pana.

Mistrz Haxerlin zastanawiał się, dlaczego przy innych okazjach jego osoba nie może być tak doskonale ignorowana jak teraz. Znacznie ułatwiłoby mu to życie.

Brzęknął klucz. Rozległ się zgrzyt przesuwanej sztaby, a po chwili drzwi stanęły otworem.

– Wejdźcie, panowie. – Lekarz z imponującymi, rudymi bokobrodami zaprosił ich do środka. – Leo, prześpij się, wyglądasz strasznie. Obudzę cię za kilka godzin.

– Dziękuję, panie Jäger.

Kiedy tylko Haxerlin przekroczył próg, medyk zamknął drzwi i opuścił dębową zasuwę. Mistrz potrafił kojarzyć fakty. Wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć, dlaczego pokój jest tak dobrze strzeżony.

Pomieszczenie było niegdyś magazynem. W powietrzu unosił się przyjemny, lekko oszałamiający zapach farmaceutyków. Pod ścianami spoczywały ogromne kufry i szafy wypełnione flakonikami, aparaturą medyczną oraz dziesiątkami gatunków najrozmaitszych ziół. Zbiory uporządkowano według jakichś lekarskich standardów, zbyt skomplikowanych, by rozszyfrował je umysł laika. Jednak rygiel w drzwiach zamontowano nie po to, by uprzykrzyć życie złodziejom.

Chyba że któryś chciałby wykraść radę miejską.

– Rajcy Hrywen. – Werner dokonał zbytecznej prezentacji.

Na środku sali umieszczono siedem łóżek. Świadomie bądź przez zupełny przypadek zachowano nawet ceremoniał urzędniczy, przydzielając Paulowi Macolusowi centralną pryczę. Magisterium obradowało bez słów. Rajcy jedynie od czasu do czasu porozumiewali się urywanymi chrząknięciami.

Oprócz lekarza przebywała tu tylko nastoletnia pielęgniarka. Pochylała się nad mózdzierzem, nie zwracając uwagi na przybyłych.

– Filip Jäger – przedstawił się medyk. – Jestem opiekunem przychodni. A pan to...?

– Haxerlin. – Darował sobie „Mistrza”, żeby Jäger nie pokładał w tytule zbytnej nadziei. – Kolekcjonuję unikalne towary. – Tak, grać pocziwca, który jedynie interesuje się magią. Taką taktykę obierze. – Miło mi poznać.

Wszystko szło dobrze mniej więcej przez trzy sekundy.

– Mistrz Haxerlin jest czarodziejem. – Werner włączył się w dyskusję, zdaniem handlarza z czystej złośliwości. – Zaoferował pomoc w walce z fedurem.

Lekarz pogładził się po rudych bakach.

– Wiesz o Dexterze?

– Mhmm. Zachorował.

– Dopadło go, zanim na poważnie wziął się za sprawę. Nie dowiedział się niczego niezwykłego. Choroba...

– Dexter nie znalazłby słoika dżemu w spiżarni, dopóki ten nie spadłby mu na głowę – wtrącił się burmistrz. – Ma osiemdziesiąt lat! Gildia trzymała go tu chyba tylko z sentymentu.

– Nie bądź taki ostry, Aleksandrze. Może Haxerlin będzie miał więcej szczęścia. Widziałeś już pacjentów?

Nie widział. I jakoś nie czuł się z tym źle.

– Nie. Ale czy to aby na pewno...

Jäger wziął go pod ramię i zaciągnął pod pierwsze łóżko. Ostrożnie odchylił narzutę.

– ...bezpieczne?

Z trudem powstrzymał się od odwrócenia głowy. Wydawało mu się, że mężczyzna patrzy wprost na niego. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że puste spojrzenie nie jest skierowane w żaden konkretny punkt – niejako przenikało przez otoczenie i ginęło gdzieś w przestrzeni. Równie dobrze chory mógł teraz spać, tyle że z otwartymi oczami. Lub po prostu był martwy.

Najwyraźniej jednak żył, bo oddychał. Klatka piersiowa powoli unosiła się i jeszcze wolniej opadała, a między zaciśniętymi zębami cicho świszczało powietrze.

– Henryk Wittelsbach – odezwał się Werner zza pleców kupca. – Rajca i księgowy magistratu. To jemu parzyłem herbatę.

Radny Wittelsbach był przerażająco blady. Haxerlin nie mógł wiedzieć, ale podejrzewał, że wyblakł nawet kolor jego czarnej bródki. Nie chciał dotykać czoła chorego, miał przeczucie, że gdyby to zrobił, pod palcami poczułby wysuszoną na wiór skórę.

– Bogowie, co mu się stało? – powiedział na głos, zanim zdążył się powstrzymać. W odwiedziny wpadł fedur, ot co.

– Zwolniona praca serca, niedokrwistość, zwężone źrenice, opóźniony czas reakcji, później zupełna niewrażliwość na bodźce – wyliczył Jäger. – Wszyscy na tej sali znajdują się w identycznym stanie, zawieszeni między życiem a śmiercią. Burmistrz trzyma się nieco lepiej, ale to kwestia dnia, najwyżej dwóch, nim dołączy do pozostałych. W tym stadium chorym nie polepsza się ani nie pogarsza, tak jakby osiągnęli punkt krytyczny i zatrzymali się w miejscu. Przypominają balony, z których ktoś spuścił całe powietrze, choć nie widać żadnych oznak nakłucia.

– *Succi vitalis* – mruknął Haxerlin.

– Słucham?

– Wypompowano ich z energii. Z soków życiowych.

– Dokładnie, dokładnie. – Jäger westchnął i podciągnął narzutę. Nawet jeśli księgowy Wittelsbach przejął się przyrównaniem do sflaczałego balonu, nie dał po sobie niczego poznać.

Mistrz podszedł do środkowej pryczy, zajmowanej przez oficjalnego zwierzchnika Hrywen. Paul Macolus, dobrze zbudowany mężczyzna o rysach wojownika, solidarnie towarzyszył podwładnym w półśnie. Kupiec pomachał choremu przed oczami. Macolus zamrugął; chwilę później poruszył gałkami ocznymi, podążając za ruchem jego ręki.

– Już wczoraj wyglądał źle, ale to... – Werner pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Słyszysz nas? – zapytał Haxerlin.

– Nie jestem pewien. Budzi się co kilka godzin i majaczy.

– ...praszam...

Szept delikatny jak muśnięcie wiatru.

– Lisa, buklak!

Dziewczyna, o której istnieniu Haxerlin zdążył już zapomnieć, poderwała się z miejsca i zaczerpnęła wody ze stojącej w rogu beczułki.

– Próbowaliśmy wydobyć z pacjentów jakiegokolwiek informacje, kiedy jeszcze był z nimi kontakt, ale nie dowiedzieliśmy się niczego przydatnego. – Jäger przystawił manierkę do ust Macolusa. Strużka wody spłynęła mu po brodzie, mocząc pościel. – Gdzie byli, co jedli, czy...

– Martina... Martina...

Wszyscy skierowali wzrok na burmistrza. Jego oczy przypominały matowe kamyczki pokryte warstwą kurzu.

– Woła żonę – wyjaśnił Aleksander.

Haxerlin podrapał się po podbródku.

– To chyba nic dziwnego, że w tej chwili chciałby być z najbli...

– Martina zmarła trzy miesiące temu.

Zapadła cisza. Ciężki oddech pacjentów przyprawiał Haxerlina o ciarki.

– Zróbmy przerwę. – Zarządził Jäger. – Co powiecie na filiżankę herbaty?

Mistrz chętnie przystał na propozycję, chociaż wcale nie chciało mu się pić.

Siedzieli przy małym, okrągłym stoliku, niemal stykając się ze sobą łokciami. Przed nimi stał dzbanek z herbatą, trzy porcelanowe filiżanki i trzy talerzyki z kawałkami sernika. Haxerlin nie napoczął swojej porcji. I tak nie dałby rady niczego przełknąć.

Pokój łączył w sobie funkcjonalność zaplecza z urokiem podpalonej rupieciarni. Pod ścianami wały się wszelkiego rodzaju sprzęty, zżerane przez starość i rdzę – od cienkich rurek niewiadomego pochodzenia po nieporęczne kufry. Ktoś przytachał tutaj nawet płócienny materac, pewnie po to, by mieć gdzie się przespać w trakcie dyżuru. Medycy i personel zmuszeni byli przejść w tryb całodobowy. Wprowadzenie kwarantanny oznaczało, że ustawowe godziny pracy przestały obowiązywać, zastąpione

przez pojęcia takie jak „służba” i „poświęcenie”.

Mistrz Haxerlin nie lubił wielu rzeczy na „s” i „p”. Tak zaczynały się najpopularniejsze przekleństwa, więc instynktownie nie ufał całej reszcie słownika. Był wszak człowiekiem kulturalnym.

– Trzydziestu siedmiu zarażonych... – Aleksander pociągnął łyk herbaty. Kupiec przez chwilę poczuł na sobie jego świdrujące spojrzenie. Bogowie, co ja mu zrobiłem?

– Ilu pacjentów jesteście w stanie przyjąć? – zapytał szybko, byle cokolwiek powiedzieć.

– W przychodni mamy czterdzieści łóżek. W najlepszym wypadku, dostawiając sienniki, sześćdziesiąt. – Filip Jäger obracał między palcami srebrną łyżeczkę niczym iluzjonista przygotowujący się do sztuczki. – Ścisk będzie niewyobrażalny, ale damy radę. Inna sprawa, że pacjentami nie będzie miał kto się zajmować. Brakuje nam rąk do pomocy.

– A kapłanki? – podsunął Haxerlin. – Widziałem w Hrywen świątynię Tekli Opiekunki. Czy jednym z jej religijnych postulatów nie jest przypadkiem, no... niesienie opieki? Sytuacja spełnia wymogi, prawda?

– To ryzykowne zagranie. Im więcej osób będzie się tutaj kręciło, tym większa szansa, że informacja o stanie rajców wydostanie się na zewnątrz. A wtedy... – Pokręcił smutno głową. – I tak mamy szczęście, że dotąd nie wybuchły żadne zamieszki. Ludzie są na razie zbyt przerażeni, by myśleć o forsowaniu bram.

– Przestańmy myśleć „co by było, gdyby...”, a skupmy na konkretach – zauważył roztropnie Werner.

– Racja. Trzydziestu siedmiu mężczyzn...

– Zaraz, zaraz. – Kupiec zahaczył ręką o blat i przytrzymał chwiejący się dzbanek.

– Sami mężczyźni?

– Aleksander ci nie powiedział?

Burmistrz chrząknął, co stanowiło swoistą formę przeprosin.

– Zupełnie zapomniałem o Annie.

– Anna nas zmyliła. – Jäger rozwinął wątek. – Trafiła tutaj w podobnym stanie jak inni, tylko z dziwnym obrzękiem pod okiem. Okazało się później, że to jednak syndrom Martina Grossa.

– Nie słyszałem o tej chorobie. Cóż to takiego?

– Jej mąż.

Haxerlin cmoknął z dezaprobatą. Tak, tę małżeńską przypadłość znano pod różnymi nazwami. Martin Gross miał najczęściej podłoże alergiczne – na przykład uczulenie na przypalony obiad.

– Tak czy inaczej śmiało można postawić tezę, że kobiety są niewrażliwe na fedura.

– Rudobrody dolał sobie herbaty. – Oczywiście ta informacja też jest tajna.

No proszę. Da radę bez gróźb, da radę bez garłacza, z przyjemnością zauważył handlarz. Grzecznie, uprzejmie, przy herbacie.

– Nie chcemy, by mieszkańcy podzielili się na dwa obozy. Rozłam oznacza wystawienie się na cios. – Werner zacisnął pięść i z patosem uderzył się w serce. – Solidarni w ucisku, wytrwali w działaniu.

Haxerlina kusilo, by dodać „zamknięci w klatce”, ale denerwowanie młodego burmistrza nie było mądrym pomysłem. I tak Aleksander ciągle spoglądał na kupca z ukosa, jakby ten sprzedał jego matkę głodnemu trollowi.

– Jakież podejrzenia, dlaczego akurat kobiety nie chorują?

Spodziewał się usłyszeć wykład na temat złożoności budowy ludzkiego organizmu, okraszony paroma wzmiankami o różnicach między męskim i żeńskim systemem odpornościowym i naturalnych predyspozycjach obronnych obu płci, ale nic z tych rzeczy. Filip Jäger powiedział po prostu:

– Z pewnością ma to związek z ich wybrakowanymi duszami.

I spokojnie upił łyk herbaty.

Haxerlin szeroko otworzył usta. Dobrze, że nie połakomił się na sernik, bo teraz na pewno by się zakrztusił.

– Wybrakowanymi duszami – powtórzył z głupia.

– Pan Filip jest członkiem Oświeconego Kościoła Mizoginistycznego – wtrącił się Aleksander Werner. – Ma dosyć konserwatywne podejście do kobiet.

Mistrz nazwałby to inaczej, ale niekonfliktowa natura kazała mu trzymać gębę na kłódkę.

Zawsze uważał, że mieszanie wiary z nauką przypomina grzebanie w zupie widelcem. Namęczysz się, namęczysz i w końcu zjesz wszystko, ale ludzie na twój widok i tak postukają się w czoło.

Za chwilę miało się okazać, że widelec lekarza posiada bardzo szeroki rozstaw ząbków.

– Kobieta to taki niepełny człowiek. – Jäger poczuł się zobowiązany wyłożyć poglądy Kościoła Mizoginistycznego. Kupiec skrzywił się pod nosem. – Jest słaba, emocjonalna i nielogiczna. Brakuje jej męskiej rozwagi i moralności. My korzystamy zarówno z rozumu, jak i z serca, przepuszczając uczucia przez filtry racjonalności; one mają tylko serce. Natura zrekompensowała te braki darem płodności, jednak to nie czyni z kobiet niczego więcej ponad żywe wylęgarki. Oczywiście nie chcę tu nikogo dyskryminować – zastrzegł. Skoro to nie była dyskryminacja, Mistrz Haxerlin aż bał się spytać, co nią jest. – My, mężczyźni, musimy troszczyć się o nie dla wspólnego dobra. A jeśli ktoś z nas ma bardziej egoistyczną naturę, to trzeba mieć na uwadze, że z nimi, z kobietami, wiążą się też kwestie... przyjemniejsze. To naturalne, że stoimy wyżej w hierarchii. Aktywność panuje nad biernością, ale bierze też za nią odpowiedzialność; my siejemy, one są zasiewane. – Rzucił kupcowi uważne spojrzenie. – Rozumie pan?

Haxerlin nie rozumiał, ale przytaknął dla świętego spokoju.

– Siłą rzeczy kobiety wypełnia inny rodzaj energii... Jak to było? – Pstryknął palcami, starając się przywołać z pamięci potrzebne określenie. – Inne *succi vitalis*. Widocznie choroba uderza tylko w silne ogniwa, wysysając witalność, że tak się wyrażę, ze zbiorników, w których źródło życia bije najpełniej.

Mistrz Haxerlin nie wiedział, jak się do tego odnieść, więc nie odniósł się wcale. Wniosek („kobiety nie chorują”) był słuszny, ale tok rozumowania mógł zachwycić tylko żarliwych wyznawców Kościoła Mizoginistycznego.

Filip Jäger nie jadł zupy widelcem. On próbował strzelać nim z łuku.

– Późno już – odezwał się medyk i wstał od stołu. – Położę się, od świtu jestem na nogach. Leo zastąpi mnie na nocnym dyżurze.

– Też będę się zbierał. – Werner odsunął od siebie talerzyk z niedojedzonym ciastem. – Muszę jeszcze przejrzeć raporty strażników.

– W takim razie nic tu po mnie. – Haxerlin ciężko dźwignął się z krzesła. – Zatrzymałem się w Trzecim Porożu, proszę po mnie posłać, jeśli...

– Och, nie będzie takiej potrzeby – wszedł mu w słowo burmistrz. – Zatrzymasz się tutaj, jak cały personel.

Czemu on tak się na mnie wziął?!

– W takim razie każę przygotować posłanie. – Jäger potarł rudą szczecinę na policzku. – Porozglądaj się po budynku, poszperaj, porób jakieś czary, jeśli trzeba, ale postaraj się nikogo nie spalić. – Uśmiechnął się tak, jak mają w zwyczaju uśmiechać się bardzo zmęczeni ludzie.

– Słyszałeś? – zapytał sucho Werner. – Żadnych numerów.

Haxerlin przyjrzał mu się bardzo uważnie. Czy aby już go kiedyś nie spotkał...?

Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę. Zamiast rozglądać się, szperać czy robić czary, Haxerlin od razu ruszył do innej ciasnej klitki na niższym piętrze, będącej chyba jeszcze nie tak dawno schowkiem na miotły, i padł wycieńczony na siennik.

Śniło mu się, że wioził na taczce pięć beczek szalotrawia, które stoczyły się na ziemię, kiedy zza rogu wyłonił się wyszczerzony opętańczo człowiek w słomianym kapeluszu i zamachnął na niego widłami. Jakimś cudem Haxerlin wiedział, że napastnik nazywa się Fedur. Uciekał przed szaleńcem po całym mieście i w końcu ukrył się w piwniczce, gdzie akurat trwało spotkanie członków Oświeconego Kościoła Mizoginistycznego. Słuchał kazania, walcząc z narastającą irytacją, gdy nagle poczuł mocne pchnięcie w plecy. Z niedowierzaniem spojrzął na wystające z piersi zakrzywione zębiska wideł. Powoli obrócił głowę. Aleksander Werner przyglądał mu się oczami bez wyrazu, a dłoń, w której trzymał filiżankę, trzęsła się mu jak galareta.

Mistrza obudziło lekkie poszturchiwanie. Wymamrotał coś pod nosem i spróbował obrócić się na drugi bok. Niestety, gabaryty klitki uniemożliwiały podobne akrobacje. Uderzył głową w ścianę, aż zadźwięczało mu w uszach.

– Uch! – Rozmasował łysą czaszkę.

Stał nad nim młody mężczyzna, którego spotkał zaraz po wejściu do lecznicy. Leo, przypomniał sobie.

– Pan Jäger kazał cię zbudzić.

– Która godzina? – Haxerlin przetarł powieki.

– Dochodzi szósta.

Wygramolił się z siennika. Bolały go wszystkie kości. Czuł się tak, jakby spędził noc upchany w skrzyni, co znowu nie tak bardzo odbiegało od rzeczywistości.

– Zajrzyj do „piątki”, leży tam Dexter. – Leo podał mu biały fartuch, jaki nosili wszyscy pracownicy lecznicy. – Nakarmisz go i obmyjesz. Wiem, że nie masz medycznego wykształcenia, ale pan Jäger mówi, że znasz się na magii. Może wyczujesz

jakaś anomalie. – Obrzucił Haxerlina spojrzeniem, które mówiło „Ja tak nie uważam”. – Lisa ci pomoże.

Mistrz zarzucił uniform na niby to czarodziejską szatę z klepsydrą i księżycem. Wyglądał teraz jak mieszkaniec przytułku dla obłąkanych.

– Jeśli będę potrzebny, szukaj mnie u rajców. – Leo wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Kupiec przemył twarz. Zapowiadał się paskudny dzień. Dawno powinien być w drodze do Erenfurtu. Starał się nie myśleć, po jakim czasie szałotrawie zaczyna wydzielać specyficzny zapach.

„Piątka” okazała się pokojem przewidzianym na przyjęcie trzech osób. Aktualnie zajmował go tylko Dexter. Śnieżnobiała broda – ktoś musiał niedawno ją czesać – ciągnęła się równo przez całą długość kołdry. Sędziwy mag spoczywał w łożu niczym nieboszczyk wystawiony w głównej sieni na katafalku. Mistrz Haxerlin lada moment spodziewał się ujrzeć żałobników, którzy otoczą łóżko półkolem, złożą na nim wieńce i odśpiewają łzawy hymn.

Na pryczy obok leżały zwinięte w kostkę szaty staruszka. Przykrywał je niebieski, spiczasty kapelusz ze złotym rondem. Na jego błękitnej powierzchni wyszyto małe gwiazdki i symbole zaczerpnięte z magicznego alfabetu. Dexter należał do wymierającego gatunku magów-tradycjonalistów. I „wymierający” pasował tu, niestety, jak ulał.

– Mistrz Haxerlin? – usłyszał za sobą nieśmiały głosik.

Odwrócił się i zobaczył dziewczynę, która wczorajszego wieczoru opiekowała się radnymi. Dopiero teraz miał okazję lepiej się jej przyjrzeć. Stwierdził, że była całkiem niebrzydka.

– Tak, to ja. A panienka to pewnie... – szybko przejrzał zakamarki pamięci – ...Lisa?

– Yhym – przytaknęła, skubiąc blond warkocz. – Mam panu pomóc z pacjentem.

– Bierzmy się zatem do roboty.

Zadanie handlarza sprowadzało się w głównej mierze do obserwowania. Na samym początku Lisa bez skrępowania rozebrała maga i otarła blade ciało zwilżoną szmatką. W jej ruchach znać było delikatność i wprawę. Kiedy Dexter został już przebrany w czystą koszulę, zabrała się za przygotowanie posiłku. Gęsty kleik przypominał konsystencją zaprawę murarską. Lisa, przy pomocy drewnianej łopatki, ostrożnie podważyła szczękę czarodzieja, a potem nakarmiła staruszkę łyżką trzymaną w drugiej ręce.

Mistrz Haxerlin czuł się równie przydatny jak wstążka na rękojęści.

– Długo tu panienka pracuje? – zapytał, sprawdzając, czy poduszka leży pod prawidłowym kątem.

– Będzie pół roku, Mistrzu Haxerlinie, ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni widziałam więcej niż przez wszystkie poprzednie miesiące. – Uśmiechnęła się smutno, ocierając brodę Dextera. – Więcej, niż chciałybyśmy widzieć.

– Jäger dobrze cię traktuje?

Łyżka z kleikiem zauważalnie drgnęła.

Sam nie wiedział, czemu o to spytał. Może to kwestia niewyspania, może chorobliwej ciekawości – a może obu po trochu.

– Pan Jäger jest dobrym lekarzem.

– Nie o to mi chodzi, Liso. Słyszałem, co mówił o kobietach. Czy te poglądy nie wpływają na to, jak traktuje pracownice?

– A co jest dziwnego w poglądach pana Jägera? – Nie patrzyła w jego stronę, skupiając się na karmieniu pacjenta. – To bardzo „męski” punkt widzenia.

Haxerlin był uważnym słuchaczem. Wyraźnie wyczuł w jej głosie gorzki wyrzut.

Ciekawe, ilu mieszkańców Hrywen należy do Kościoła Mizoginistycznego. Jeśli jednym z „oświeconych” był opiekun lecznicy, który sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie, iluż mniej kulturalnych sklepikarzy, cieśli i drwali podąży drogą Mizogina? Jeszcze ciekawsze, ilu z nich usprawiedliwia w ten sposób syndrom Martina Grossa.

– Nie wszyscy jesteśmy tacy, panienko. – Mistrz postanowił postawić się w roli rzecznika męskiego rodu. Nie mógł o sobie powiedzieć, że jest znawcą kobiet, ale w ciągu tych ponad czterdziestu lat życia trochę ich się obok przewinęło. Co prawda większość przez stragan Cudów i Dziwów, ale liczy się sam fakt. – Miłość, rycerskość...

– Proszę sobie darować, Mistrzu Haxerlinie – przerwała stanowczo. – Wystarczy mi przykład męża. Nie jest mizoginistą, ale gdyby wpadła mu w ręce broszurka kościoła i jakimś cudem dałby radę ją przeczytać, pobiegłby do nich na jednej nodze. Zaraz potem wyszedłby jako Jaśnie Oświecony Dupek. – Speszona zasłoniła usta dłonią. – Przepraszam, ja...

– Nic się nie stało. – Haxerlin uśmiechnął się uspokajająco. – Nic nie słyszałem.

– Jestem zdenerwowana, przepraszam. – Sięgnęła po kubek i przystawiła go do ust Dextera. – To zabrzmiało okropnie, ale gdyby nie ta zaraza, pewnie doszczętnie bym zwariowała. – Zamrugnęła oczami, jakby dotarło do niej, co właśnie powiedziała. – Bogowie, niech mnie pan nie słucha! To paplanina głupiej dziewczuchy!

– Nie, wcale nie. – Mistrz wziął od niej kubek i napełnił świeżą porcją wody. – Proszę mówić, co pani leży na sercu. Dobrze podzielić się z kimś troskami.

Chciał jej wysłuchać. Przynajmniej wreszcie czuł się potrzebny.

– Naprawdę? – Spojrzała na kupca szklistymi oczyma. – Ja... ja miałam na myśli, że teraz brakuje mi czasu na zajmowanie się własnym życiem; opiekuję się chorymi, cały czas jestem na nogach. To dobrze. Nie mam czasu na przeżywanie tego, co zrobił Tom.

– Mąż?

– Tak, mąż – potwierdziła smutno. – Trzy tygodnie temu była rocznica naszego ślubu.

Haxerlin uznał, że okrzyk „Gratulacje!” byłby nie na miejscu, dlatego słuchał dalej.

– Wie pan, gdzie ją spędził? Z kolegami na mieście! – Ukryła twarz w dłoniach. – Przygotowałam obiad, posprzątałam dom, chciałam, żeby było miło... Ale on pokazał się dopiero w środku nocy, zataczając się z boku na bok jak pijany goblin świętujący Noc Ogryzka. Zapomniał o rocznicy, o wszystkim... – głos jej się łamał. – Wcześniej na targu kupiłam nożyk ze zdobioną rękojeścią... Tom zbiera różne nożyki, wie pan?

Mężczyźni pokroju Toma zawsze kolekcjonowali broń, byli fanami gladiatorów i przechwalali się między sobą, kto ma większe mięśnie albo kto ile koni trzyma w stajni.

I często wychodzili z kamratami na piwo, w dziewięćdziesięciu procentach przypadków kończąc nocne wojaże z głowami w rynsztoku.

Ale z drugiej strony nikt nie zmuszał kobiet, żeby wychodziły za mąż za Tomów tego świata.

– I on ten nożyk... prezent... Wyrwał mi go z dłoni i zamachnął się... – Z oczu Lisy pociekły łzy. – Ostrze wbiło się w obrazek ze słonecznikiem, parę cali od mojej głowy...

Speszony Haxerlin wyciągnął chusteczkę. Czuł się nieswojo w towarzystwie płaczących niewiast – zwłaszcza gdy opowiadały, jak małżonek próbował zrobić z nich durszlak.

Lisa wydmuchała nos. Kupiec położył dłoń na jej ramieniu, powtarzając cicho: „Już dobrze, już dobrze...”.

– Ale nie to zabolalo najbardziej... – Dziewczyna nieustannie pochlipywała. Haxerlin pożałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę. – Kiedy usnął pijany, z kieszeni wypadła mu broszurka burdelu... Spędził ten dzień z inną kobietą! – Wybuchła. – Z dziwką! Wyobraża pan sobie?! – Łup! Mała piąstka zaczęła uderzać w pierś kupca. Łup! – Naszą (łup!) rocznicę! (łup!) Z dziwką!

Gniew Lisy (łup!) sięgnął pierwszego z brzegu (łup!) mężczyzny (łup!) w zasięgu wzroku. Padło (łup!) na Haxerlina. Kupiec chciał (łup!), żeby dała upust złości. Może (łup!) zrobi jej się lepiej. W tym momencie (łup!) Dexter powinien dziękować losowi, że złapał fedura.

W końcu kobieta przestała uderzać w pierś Mistrza. Oparła głowę o pierś Haxerlina i znowu się rozplakała. Pogładził ją po złotych włosach.

– Zobaczysz, będzie lepiej. – Powtórzył banał, który jednak tym razem płynął prosto z serca. – Los się odmieni. Będzie lepiej, Liso...

– Odmienił się... – wyszeptała przez łzy. – Już się odmienił! Tom leży pod „dziewiątką”, dotknął go fedur... Bogowie chyba wysłuchali moich modlitw, ale... ale ja już nie chcę! Niech wyzdrowieje! Ciągle go kocham. Jaka ja jestem głupia, Mistrzu Haxerlinie! Ciągle go kocham...

To nie głupota, chciał powiedzieć, to po prostu dziwacznie urządzone świat, na którym dla niektórych kobiet pięść jest najlepszym afrodyzjakiem.

Zamiast mówić cokolwiek, po prostu ją przytulił.

– Ommmm... ommmm... ommmm...

Filip Jäger szepnął coś drugiemu lekarzowi i obaj z uznaniem pokiwali głową. Pielęgniarki stały pod drzwiami, wystraszone niczym kury na widok jastrzębia. Trzymały się za ręce, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Pani Greta Mondzoe, sztywna jak tyczka – bardzo gruba tyczka – obejmowała synka za szyję i przyglądała się wszystkiemu ze stoickim spokojem. Za to młodemu Samuelowi z podniecenia błyszcząły oczy.

Wszyscy nosili białe maseczki. Wyglądali, jakby ich twarze obsiadły wyrosnięte żuki-albinosy.

– Ommmm... ommmm... ommmm...

W centrum uwagi znajdował się Mistrz Haxerlin, który położył dłonie na piersi Rudiego, wypuszczając z ust przeciągłe „ommmm”. Maseczka znowu wżynała mu się skórę. Nie wiedział, ile zwyczajowo trwa proces czarowania, ale doszedł do wniosku, że im dłużej, tym lepiej dla zaklęcia. By jakoś zabić czas, cofnął się myślami do ostatnich wydarzeń.

Wczorajsza rozmowa z Lisą okazała się ostatnią okazją, kiedy mógł zamienić z kimś więcej niż dwa zdania. Rzucono go w wir obowiązków. I nikt nie pytał, czy się na czymś zna, czy nie. Uczył się metodą prób i błędów.

Do przychodni trafili nowi pacjenci – „weteran spod Pól Tangen”, którego Haxerlin pamiętał z zamieszania przy bramie oraz jeden ze strażników. Aleksander wpadł tylko na chwilę, ubolewając nad tym, że morale żołnierzy spadło – dotąd fedur łaskawie omijał garnizon, więc strażnicy nabrali przekonania, że w jakiś magiczny sposób uniformy z trójgłowym gołębiem chronią przed chorobą. Przypadek Hectora zrewidował ten pogląd. Mistrz, zaabsorbowany pracą, nawet nie zauważył, kiedy na zewnątrz zrobiło się ciemno. Gdy zakończył dyżur i wrócił do swojego schowka na miotły, zasnął, zanim jeszcze dobrze umościł głowę na twardym sienniku. Tym razem śnił tylko o gąbkach, miednicach, ugniatanych w moździerz ziołach i pacjentach wpatrujących się w niego martwymi oczami.

Dałby uciąć sobie rękę, że spał dziesięć minut, ale według potrzęsającego nim Leo minęło pięć godzin. Harówka zaczęła się od nowa. Odpychał od siebie myśl o szałotrawiu i upływającym czasie, który zadziała na zielsko niczym obłąkany maestro szykujący się do odsłonięcia dzieła życia. „Wymiar smrodu, czyli krótka historia o przemyśle” – bo tak zwał się pokraczny posąg – już pewnie powoli wynurzał się spod płachty. Drugi dzień kwarantanny Haxerlin spędził rozdarty pomiędzy obowiązkami pielęgniarza, głowieniem się nad tym, jak, do licha, uciec z miasta oraz całkiem realną perspektywą stryczka.

Chyba nikt w przychodni nie wiedział dokładnie, na czym polega „badanie chorych pod kątem występowania odchyłów magicznych”, bo nikt też nie narzekał, że Haxerlin nie wypuszcza z palców kolorowych światełek albo nie rysuje po ścianach czarodziejskich symboli. Mistrzowi było to na rękę. Wolał przygotowywać kleik i ścielić łóżka. Gdyby zabrał się za rytuały, wyszłoby na jaw, że o „badaniu chorych pod kątem występowania odchyłów magicznych” ma takie samo pojęcie jak inni pracownicy prowizorycznego szpitala.

Względny spokój trwał do południa.

A wtedy w progach lecznicy stanęła pani Greta Mondzoe, kobieta o posturze okrętu wojennego, i jej piegowaty synalek Samuel. Chcieli odwiedzić chorego Rudiego. Kiedy Leo cierpliwie tłumaczył, że to niemożliwe, że pacjenci nie mogą przyjmować gości, że stan wyjątkowy i w ogóle, Greta prychnęła i pomaszerowała do przodu. W jej ruchach było tyle finezji i mocy, co w toczącej się ze zbocza lawinie kamieni. Felczerowi nie płacono za uprawianie zapasów (i pewnie to uratowało mu życie), dlatego wyblęgał, by goście przynajmniej poczekali przy wejściu, aż on przygotuje pacjenta.

Leo szybko kazał personelowi włożyć maski i poinformował przełożonego o niespodziewanej wizycie. Potem pani Greta spotkała się z Filipem Jägerem, ten zaś udzielił ogólnych informacji na temat stanu zdrowia jej syna. Samuel dłużył w nosie. Pani

Greta posmutniała i spytała, czy znaleźli już lekarstwo. Filip Jäger powiedział, że jeszcze nie, ale wszystko jest na dobrej drodze, bo sprawą zajął się Mistrz Haxerlin, słynny czarodziej, i jeśli zaraza ma związek z jakimś plugawym zaklęciem, na pewno to wykryją. Samuel przylepił coś do krzesła. Pani Greta chciała się dowiedzieć, czy w takim razie ów Mistrz nie mógłby jak najszybciej przebadać Rudiego. Filip Jäger uznał, że chyba mógłby. Pani Greta potrafiła być przekonująca.

I tak znaleźli się w „trójce”, gdzie pani Greta, Samuel, Filip Jäger, Leo i dwie pielęgniarki podziwiały wielką improwizację Haxerlina.

– Ommm... ommm... ommm... om.

Chyba starczy.

– Juś? – zapytał rozczarowany Samuel. Spodziewał się ujrzeć przynajmniej malutką błyskawicę.

– Czego się pan dowiedział? – Greta Mondzoe podeszła bliżej. Haxerlinowi wydawało się, że zadrżała ziemia.

Wziął głębszy oddech. No to zaczynamy.

– Wyczuwam silne zakłócenia *at yume*, ale nie wiem, czy wina leży po stronie negatywnej *exclaviculi* promieniującej z ciał pacjentów, czy może jakiś *dothkard can mortis* działał z premedytacją i ów przykry *katrelizion* wywołały *annorse* w połączeniu z *buliorillionem*.

Wysłuchali go w nabożnym skupieniu. Jäger rzucił pielęgniarkom spojrzenie typu „Widzicie, dziewczyny? Mówiłem to od początku”.

– Ekhm... – Pani Greta chrząknęła. Zabrzmiało to jak wystrzał z garłacza. – Nie jestem przekonana, czy aby wszystko dobrze zrozumiałam. Tłumacząc na nasz język...?

– Tłumacząc na nasz język: „Trudno powiedzieć”.

– Ach. – Zasępiła się. – Biedny Rudi... Mówiłam mu, że źle wyjdzie na tym szwendaniu się po karczmach. W domu siedzieć, ojcu pomagać, ale nie, ciągnęło wilka do lasu!

Samuel włożył palec do ucha, spojrzał na opuszek z lekką fascynacją, po czym wytarł go w pościel.

– I co ci, synku, przyszło po ciągłych hulankach? – Widok półżywego Rudiego chyba bardziej ją irytował niż smucił. – Wypiłeś morze piwa, ale czy nauczyłeś się pływać? Gdzie te łotry i hultaje, które zawsze kręciły się obok? Gdzie są teraz, kiedy zabawa się skończyła? Żadna ładacznicca tu nie zajrzy, trzeba było się żenić, póki Anabelle cię chciała, ale nie, tak dobrze ci było na łóżach zamtuza... Skrzywdziłeś biedną matkę, Rudi, och, skrzywdziłeś...

Mistrz był przekonany, że krzywdę mógłby jej wyrządzić jedynie wyszkolony gladiator, ale postanowił – rozsądnie – zachować to dla siebie.

Greta Mondzoe jeszcze trochę ponarzekała, mały Samuel rozsmarował na meblach różne wydzielinę, a potem, przy wtórce westchnień ulgi dobiegających z korytarza, rodzina opuściła lecznicę.

A Haxerlin wrócił do kleików.

Kolację jadł o tej porze, kiedy zwyczajni ludzie co najwyżej ją wspominali, tocząc walkę z bezsennością. W małym pomieszczeniu gospodarczym – za dnia dostawiono tu drugi materac – zebrało się to samo towarzystwo, które nie tak dawno wymieniało się poglądami na temat fedura (było nieprzyjemnie) i kobiet (było bardzo nieprzyjemnie). Mistrz Haxerlin nie wierzył, że siedząc obok łypiącego na niego spod oka burmistrza oraz lekarza-mizogina usłyszy pogodniejszą rozmowę, ale chciał się mylić. Jak dobrze byłoby zapomnieć o kwarantannie, szalotrawiu, tajemniczej zarazie i wszystkich problemach, i chociaż na moment oddać się przyjemności niezobowiązującej pogawędki...

– Podobno odprawiałeś dzisiaj magiczny rytuał – odezwał się Aleksander Werner. Ostentacyjnie położył nacisk na pierwsze słowo.

I tyle z dyskusji o sztuce albo o pogodzie.

– Owszem. – Mistrz Haxerlin sięgnął po kanapkę z szynką. – Jednak nie da się stwierdzić jednoznacznie, czy *katrelizion* to dzieło...

– Anonsów i buliona – wszedł mu w słowo Filip Jäger, popisując się znajomością fachowej, mistycznej terminologii.

– Mhmm, coś w tym stylu. – Kupiec ucieszył się, że nie musi powtarzać naprędce wymyślonych pojęć. – Tak czy inaczej, uzyskanie poprawnej odpowiedzi na pytanie, czy fedur „narodził się” w wyniku magicznego sprzężenia czy też nie, jest niebywale trudne. Zbyt dużo czynników zewnętrznych naruszyło delikatną strukturę rytuału, by mówić o jakiegokolwiek pewności.

– Czyli równie dobrze możemy rzucać monetą – stwierdził Werner. – Skąd ja wiedziałem, że właśnie do tego sprowadzi się to całe „czarowanie”? – Prychnął lekceważąco i pochylił się nad talerzem.

– Jak sytuacja w mieście? – Haxerlin próbował zmienić temat.

Młody burmistrz milczał, dając do zrozumienia, że tak łatwo nie da się podejść, ale w końcu poczuł się zobowiązany wyłożyć kawę na ławę.

– Z dnia na dzień jest gorzej. – Apatycznie zamieszał herbatę. – Pod Punktem Kryzysowym w Półśródołdru wywiązała się dziś bójka; straż aresztowała prowadzycy i czterech najbardziej żywiołowych uczestników. Według zeznań świadków poszło o niesprawiedliwy przydział racji wody i żywności. Ludzie są nerwowi, byle co jest w stanie wyprowadzić ich z równowagi – nawet posądzenie o matactwo przy wydawaniu posiłków. Ponadto w Mniejszym Śródołdru rodzi się ruch skupiony wokół sir Icke’a, byłego królewskiego czempiona. Domaga się on widzenia z burmistrzem, żeby sprawdzić, czy aby jego miejsca nie zajął „fałszywy” Paul Macolus. I nieustannie rozpowiada wszystkim plotki o jaszczurołacznej teorii spiskowej.

– Co? – Mistrz zmarszczył brwi. – Fałszywy Macolus? Teoria spiskowa? Pogubiłem się.

– Trudno pojąć tok rozumowania tego człowieka. Sir Icke był jednym z najwierniejszych ludzi króla, ale kilka lat temu odebrano mu tytuł czempiona, bo popadł, powiedzmy, w lekką... paranoję. Nabral przekonania, że Heavel wraz z całym dworem to ukryte w ludzkich przebraniach jaszczurołaki z gwiazd. Wiem, jak to brzmi, ale nie pytaj o szczegóły. Osiedlił się u nas i nie sprawiał większych problemów, poza rzucaniem okazjonalnych oskarżeń, że karczmarz albo jakaś przekupka utrzymuje konszachty

z gadzimi najeźdźcami. Wszyscy traktowali go jak nieszkodliwego wariata, ubarwiającego społeczność Hrywen. Teraz wyczuł moment, zgromadził wokół siebie grupkę przestraszonych mieszkańców i próbuje dowieść, że zamknięcie miasta to pierwszy etap na drodze do totalnej eksterminacji ludzkiej rasy, która ma ułatwić ekspansję jaszczurołaków na Insirię. Oczywiście wedle teorii Icke'a rajcy dawno już obrośli łuskami, a kwarantanna ma powstrzymać świadomych zagrożenia Hryweńczyków, takich jak on i jego zwolennicy, przed ucieczką z miejsca kaźni.

Mistrz Haxerlin wiedział, że czasem w obliczu niecodziennych wydarzeń Logika bierze sobie urlop i jej pokój zajmuje Paranoja, lecz w przypadku sir Icke'a najwidoczniej przyjechał jeszcze Wujek Bzik i zabrał ze sobą pijanego szwagra.

– Lada moment i w każdej dzielnicy pojawi się ktoś podobny do tego świra. Jeśli nie pomożemy ludziom, nie damy im odpowiedzi, zaczną ich szukać u wichrzycieli, fanatyków albo tych, którzy po prostu krzyczą głośniejsze od innych.

Filip Jäger niemrawo przytaknął. Wyglądał na straszliwie zmęczonego. Haxerlin nie mógł się zdecydować, czy medyk lepiej prezentuje się jako milczek, czy jako moralista spod sztandaru Kościoła Mizoginistycznego.

– Z sir Icke'm, wbrew temu, co można sądzić, będzie największy problem – kontynuował Werner. – Nie ma paragrafu, który zabrania wygadywania bzdur, a jeśli każe go aresztować, ludzie potraktują to jako próbę zatuszowania prawdy o... bogowie, jak to brzmi... o jaszczurołakach. Wedle prawa Icke'owi przysługuje też spotkanie z burmistrzem; zgłosił wniosek i wypełnił niezbędne formularze, nawet te, które przygotowałem na poczekaniu, by zyskać trochę czasu. Długo nie da się zwodzić mieszkańców i przekonywać, że rada od dwóch dni obraduje w trybie ciągłym, a nie ma mowy, żebym miał dopuścić go do chorego Macolusa. Gdyby dowiedział się, że rajcy leżą w lecznicy, pozbawieni świadomości i przechowywani w magazynie jak przetwory na zimę, uznałby, że pewnie przepoczwarzają się w jaszczury.

Widok złożonego chorobą magistratu byłby wodą na młyn dla teorii spiskowej Icke'a. Handlarz pokręcił głową z niedowierzaniem, poświęcając chwilę na rozważania o granicach ludzkiej głupoty.

– Gwardzista sprzed ratusza złożył raport, że Icke nachodził go dzisiaj siedmiokrotnie! Za każdym kolejnym razem zabierał ze sobą większą grupę popleczników. Nie zachowywali się agresywnie, ale gdyby postanowili wtargnąć do środka... – Werner zacisnął bezradnie pięści. – Któryś z nich krzyknął, że pewnie rajcy znowu się upili i zamiast myśleć o potrzebujących, urządzają na obradach gadzią orgię. Na wszelki wypadek rano wystawię pod drzwiami oddział strażników. To będzie długi dzień. Oby nie połała się krew, bo...

Mistrz drgnął. Przestał słuchać. Poczul coś dziwnego. Miał wrażenie, że właśnie jego myśli polechtała jakaś niewidzialna siła, starając się gdzieś je ukierunkować. Być może w stronę jakiejś istotnej wskazówki.

Zawsze był bystry. Haxerlinowy instynkt przetrwania, zahartowany przez wszystkie lata działalności Cudów i Dziwów, zdążył w pewnym momencie wyhodować coś na kształt szóstego zmysłu. Kiedy tylko Mistrz znajdował się w tarapatkach (czyli zbyt często), ów zmysł uaktywniał się niczym przebudzony z drzemki kot, który poczuł

nieznośne ssanie w żołądku. Rozglądał się ciekawsko dookoła, węszył po domu, a gdy żółte ślepia odnajdywały stojącą na parapecie butelkę z mlekiem, kot podbiegał do Mistrza, łasił się i mruczał, dając do zrozumienia, żeby po nią sięgnął i nakarmił pupila.

Mleko przybierało różną postać – wychwyconego z kontekstu słowa, gry skojarzeń czy przechodzącej obok postaci.

Haxerlin, słuchając monologu Wenera, poczuł, jak naprężony grzbiet wymownie ociera się o ścianki jego czaszki. Rozejrzał się w poszukiwaniu butelki. Gdzie ona jest, gdzie ją postawił...

...krzyknął, że pewnie rajcy znowu się upili...

Z pudełka, które jeszcze chwilę wcześniej było puste, zaczęły wysypywać się elementy układanki.

...pokazał się dopiero w środku nocy, zataczając się z boku na bok jak pijany goblin świętujący Noc Ogryzka...

Biedny Rudi... Mówiłam mu, że źle wyjdzie na tym ciągłym szwendaniu się po karczmach...

– Alkohol. – Haxerlin gwałtownie podniósł się z miejsca. – Alkohol!

Burmistrz i Filip Jäger spojrzeli po sobie zdumieni, a potem, jak na zawołanie, jednocześnie wzruszyli ramionami.

– Szklaneczka na sen nie zaszkodzi – zgodził się lekarz. – Trzymam w kredensie naprawdę dobry...

– To zatruty alkohol jest źródłem choroby!

Burmistrz westchnął niczym znużony ojciec słuchający mądrości nastoletniego syna, który opowiada o swoich planach zostania najślawniejszym bardem Insirii.

– Gregory Bratz, jeden z radnych, to zdeklarowany abstynent. – Ostudził jego zapach. – Jako młody chłopak powoził w stanie nietrzeźwości. Miał wypadek. Musieli go ściągać razem z koniem z dachu świątyni Tekli Opiekunki. Od tamtej pory nie miał w ustach choćby kropelki piwa.

– Pan Tkacz, z tego co mi wiadomo, należy do arachnitów – włączył się w dyskusję medyk. – Doktryna Arachne Księżycowej zabrania nawet przebywania w pobliżu wysokoprocentowych trunków. Tkacz leży pod „czwórka”, był jednym z pierwszych pacjentów. – Skierował zmęczone spojrzenie na kupca. – Mężczyźni lubią wypić, Mistrzu Haxerlinie. Sam od czasu do czasu sięgam po kieliszek. Nie popadajmy w przesadę, alkohol jeszcze nikogo nie zabił. Oczywiście w takim sensie, w jakim to nie nóż zabija człowieka, tylko ręka, która go trzyma.

Zawiedziony Haxerlin opadł na krzesło. Kot w jego głowie najwyraźniej pomylił mleko z wiadrem wapna.

– Alkohol buduje schemat – mruknął. – Dla męża Lisy i Rudiego Mondzoe to synonim słowa „sobotni wieczór”, teraz usłyszałem historię o pijanych rajcach...

– Radni są wzorem dla innych mieszkańców Hrywen – stwierdził oschle Werner. – Jakiś wyznawca jaszczurołaków pewnie natknął się na nich, gdy przed tygodniem świętowali półmetek kadencji. Bawili się też zaraz na początku, po nominacjach, i zapewne planowali to powtórzyć na zakończenie pełnienia urzędu. Trzy biesiady w przeciągu pięciu lat to chyba nie powód, by rzucać oskarżeniami o hulaszczy tryb życia

magistratu. Taką średnią jest w stanie wyrobić Rudi, kiedy trafi mu się gorszy tydzień. W dodatku doskonale wiem, co Macolus i pozostali pili tamtego wieczoru, bo osobiście poleciłem sprowadzenie wina z Erenfurtu. – Na wzmiankę o Erenfurcie Mistrz wzdrygnął się. To tam mieścił się skład handlowy, w którym Carol Soło czekał na dostawę szałotrawia. I wszystko wskazywało na to, że jeszcze sobie poczeka. – Prości ludzie, których mamy w przychodni na pęczki, zapewne nawet nie słyszeli o tym gatunku.

– To zły trop, Mistrzu Haxerlinie. – Jäger odsunął od siebie talerz z niedojedzoną kolacją. – Powiedziałbym nawet, że bardzo zły. Alkohol to wszakże swego rodzaju *succi vitalis*, a ci biedacy zostali wyssani z soków życiowych do ostatniej kropli. – Zmusił się do uśmiechu, choć żart wcale nie był zabawny. – Dobranoc, panowie. Oby jutro... a właściwie dziś przyniosło jakieś odpowiedzi.

Wstali od stołu.

– Nawet jeśli nie dowiemy się niczego nowego, niedługo dotrą posiłki z Vortecy. Dobranoc. – Werner pożegnał się i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się w progu i chcąc podnieść wszystkich na duchu, rzucił na odchodne:

– Będzie dobrze.

Oczywiście nikt w to nie wierzył.

Ciemność już dawno opatuliła Hrywen ciasnym płaszczem, a sen wziął jego mieszkańców w szorstkie objęcia. Pora, która pozwalała niegdyś zapomnieć o bolączkach codzienności, przynosiła ukojenie a czasem zabierała na wycieczkę do krainy marzeń, stała się ponurym przerywnikiem pomiędzy dniem złym a jeszcze gorszym. Przerywnikiem podsycającym obawy i kreślącym najczarniejsze scenariusze jutra.

Haxerlin był tak zmęczony, że nie miał siły zasnąć, chociaż to zakrawało na absurd. Zamykał oczy, ale wtedy obrazy, które przez cały dzień próbował wypierać z głowy, atakowały z podwójną siłą.

Szałotrawie na pewno cuchnie jak siedem nieszczęść. Stajenny albo karczmarz nabrali podejrzeń i zaczęli szperać w Cudach i Dziwach. W końcu otworzyli beczki, a kiedy buchnął im w nozdrza okropny fetor, biegiem posłali po gwardzistów. Już szykują mi miejsce w zatęchłej celi. Zaraz po mnie przyjdą, zaraz przyjdą...

Carol Soło wciąż czeka na spóźnioną dostawę. Spędza całe godziny na zabawie sztyletem, powoli obracając go między palcami. Od czasu do czasu błyskawicznie wbija ostrze w blat stołu, wyobrażając sobie, że leży przed nim człowiek, który go oszukał. „Głupiec uciekł z narkotykiem albo sprzedał mnie straży; nie spoczne, dopóki nie wylupię mu oczu”. Soło szarpie za rękonoż, aż idą drzazgi, a potem gra zaczyna się od początku.

Fedur zbiera coraz większe żniwo. To tylko kwestia czasu, aż nachyłę się nad beczką, by ugasić pragnienie i zobaczę trupią twarz, odbitą na powierzchni wody. Będę chciał krzyczeć, ale głos odmówi mi posłuszeństwa. Zwałę się bezwładnie na ziemię, a uwięziony umysł zostanie skazany na bląkanie się po labiryncie ciała i kości.

Aleksander Werner to zagadka. Z wierzchu wygląda na człowieka racjonalnego, który ze wszystkich sił stara się udowodnić swoją wartość, trzyma się sztywno wyznaczonych zadań, ale w sercu nosi jakąś skazę. Kipi gniewem. Czy wylewa go na mnie

tylko dlatego, że znalazłem się w złym miejscu i w złym czasie, czy złość burmistrza napędza bardziej wyrafinowana maszyna?

Zamiast katować się tymi wizjami, Mistrz Haxerlin siedział pod ścianą ze wzrokiem utkwionym w dogasającej świecy. Wolał zaprzęgnąć umysł do wytężonej pracy, niż zdać się na pastwę nocnych koszmarów.

To dziwne uczucie pod czaszką, kiedy Werner mówił o bawiących się rajcach... Skąd się wzięło? Kot zawsze wyczuwa mleko; po prostu spojrzałem nie tam, gdzie trzeba. Gdzie jest właściwy kierunek?

Myśli przebiegały mu przez głowę jedna za drugą, jak stado przerażonych gryzoni.

Fedurem zarazają się wyłącznie mężczyźni. „Mężczyźni lubią wypić”. Owszem, ale to coś innego. Inny punkt wspólny. Tom i Rudi nie stronili od alkoholu, radny Bratz i ten arachnita już tak. „Mężczyźni lubią wypić”. Żadnej kobiety wśród zarazonych. Czy to dlatego, że posiadają wybrakowane dusze? Bzdura, widocznie nie mają możliwości się zarazić. Zablokowano im dostęp do przeklętego źródła. Biedna Lisa, naprawdę sympatyczna dziewczyna, dlaczego pokochała takiego drania? Co łączy chłopa i rajcę miejskiego? Są mężczyznami, a mężczyźni lubią wypić? To nie alkohol! Co ich łączy? Żadnej kobiety wśród zarazonych. „Mężczyźni lubią...”

Konkluzja przyszła nagle i uderzyła go swoją prostotą. Po tym, jak Mistrz gwałtownie wypuścił powietrze i niemal zgął się w pół, można by przysiąc, że celowała w podbrzusze.

W pudełku zachręściły brakujące elementy układanki.

Kiedy usnął pijany, z kieszeni wypadła mu broszurka burdelu...

Żadna ladacznica tu nie zajrzy...

Naszą rocznicę! Z dziwką!

...tak dobrze ci było na łóżach zamtuza...

...z nimi, z kobietami, wiążą się też kwestie... przyjemniejsze.

Oczywiście. Mężczyźni lubią alkohol. Lubią też kobiety. A w szczególności
(*kwestie przyjemniejsze*)

to, co mogą im zaoferować. I jeśli trzeba, są w stanie za to zapłacić, tak samo jak za piwo w karczmie.

– Bogowie! – Kupiec złapał się za głowę. W skroniach odezwało się nieprzyjemne pulsowanie, zwiastujące nadejście ostrej migreny.

Wyznawcy Kościoła Mizoginistycznego oszaleją ze szczęścia. Fedur był kobietą.

Biegł przez korytarz, sapiąc i postępując. Zwabiony hałasem personel przerywał swoje zajęcia i zastygał w bezruchu; ludzie wychylali głowy przez próg, zastanawiając się, kto zakłóca nocny dyżur. Na widok kołyszącego się śmiesznie na boki człowieczka w purpurowej szacie – Haxerlin nie był stworzony do biegania, preferował dostojny kaczycy chód – pielęgniarki i lekarze uśmiechali się leciutko pod nosem. „Nasz mag coś odkrył”, wymieniali się cichymi uwagami i wracali do chorych.

Mistrz Haxerlin ani nie był magiem, ani nie chciał należeć do kogokolwiek innego poza sobą, chociaż gdyby to usłyszał, na pewno zrobiłoby mu się miło.

Wbiegł zdyszany na piętro i załomotał do drzwi sali, w której przetrzymywano radnych.

– To ja, Haxerlin!

Odpowiedział mu dźwięk odsuwanej zasuw.

– Mhmm? – Filip Jäger przetarł sklezione oczy. – Leo powinien cię zbudzić dopiero za dwie godziny.

Roztrzęsiony Mistrz wszedł do środka. Wciąż nie mógł się uspokoić.

– Czy to możliwe, żeby dopadło ich coś w rodzaju choroby wenerycznej? – spytał niespokojnie.

Chociaż oblicze lekarza emanowało zmęczeniem, a wizyta gościa tak późną (wczesną?) porą wyraźnie go zaskoczyła, nie rozpoczął rozmowy od: „Co się dzieje? O czym ty mówisz?” ani nie skrzywił się, wysłuchując tej – na pierwszy rzut oka – dziwacznej teorii. Niemal od razu podążył za hipotezą Haxerlina. W skupieniu pogłodził rude bokobrody.

– Masz na myśli odmianę trypra? Nie widzę podobieństw do świerzbu albo wszawicy... Skąd ten pomysł?

– Chodzi o samą zasadę – zakażenie następuje na skutek kontaktu cielesnego. Macie w Hrywen dom uciech, prawda? – Jäger przytaknął, przyglądając mu się uważnie. – Przypuszczam, że fedur rozwinął się w organizmie dziewczyny z lupanaru, jednej albo kilku. Kobiety są uodpornione na działanie choroby, nie występują u nich żadne objawy fizyczne, ale stanowią swego rodzaju przenośniki, wylęgarnie... Są nieświadomymi nosicielkami fedura! Zakażenie rozwija się kilka dni, więc z początku klient o niczym nie wie, a kiedy zaczyna blednąć i popada w otępienie, nie jest w stanie powiązać tego z niedawnymi igraszkami. Nic nie swędzi, nie szczypie, nie boli...

– Mężczyźni bardzo sobie chwalą przybytek pana Pollacka, i zgadzam się, że każdy z pacjentów mógł się przez niego przewinąć, ale... Sugeruje pan, Mistrzu Haxerlinie, że nasi rajcy również spędzili noc w objęciach panien lekkich obyczajów? A Aleksander pominął ten istotny szczegół w swoim dochodzeniu?

Kupcowi nietrudno było sobie wyobrazić, jak podchmielona gromada mężczyzn w średnim wieku, do tego mężczyzn o uprzywilejowanej pozycji, cieszących się perspektywą kolejnych kilku lat kadencji, postanawia zakończyć noc pełną wrażeń w miejskim burdelu. Kiedy w żyłach krąży alkohol, przestajesz być rusznikarzem, ojcem czy radnym, a stajesz się przede wszystkim pijanym człowiekiem. I przyjmujesz cały pakiet dolegliwości, jaki wiąże się z tym stanem – łącznie z podatnością na wszelkie pokusy.

– Wątpię, żeby Werner o tym wiedział. W oficjalnych sprawozdaniach raczej nie pojawia się rubryczka „wizyta w zamtuzie”.

– Jednak wątpię, by była to choroba weneryczna – stwierdził Jäger uczonym tonem.

– Nie zaobserwowałem zmian na genitaliach, żadnych obrzęków, zaczerwienień ani podejrzanych wydzielin. Byłby to pierwszy przypadek tak specyficznego zarażenia. Pacjentom raczej zabrano pierwiastek życia niż przekazano szkodliwe substancje. A kto go zabrał? Kobieta? – Uśmiechnął się krzywo. – Wcale bym się nie zdziwił. Mizogin naucza: to zdradzieckie stworzenia, grają na najniższych męskich instynktach i złe

intencje przykrywają pomadką uśmiechu. Nie można im ufać, tak jak nie ufa się strzale – skąd pewność, że któraś nie przebije serca łucznika? – Lekarz powoli odpływał w rejony, w które żaden mizogiński heretyk nie zapuszczał się dobrowolnie. Haxerlin zastanawiał się, czy tak żarliwa postawa nie została aby ukształtowana bardziej przez jakieś przykre wydarzenie z przeszłości Jägera niż poglądy religijne. – Kobiety oplatają nasze członki, niszczą wolę i wysysają zdrowy rozsądek. Ha, proszę, opis jak ułał pasuje do fedura! To nie ludzie! To modliszki, rosiczki i wampi... wampi...

Głowa Haxerlina ledwo wytrzymała pod naporem kociego grzbietu.

„Ściągnij tę butelkę, grubasku, chce mi się pić!”

Lekarz wybałuszył oczy, zupełnie zbity z tropu tym, co właśnie wyszło z jego ust. Wyglądał jak dziecko, które popisuje się przed rodziną rzekomą znajomością zaklęć – wszyscy wkoło śmieją się i klaszczą w dłonie, obserwując wybryki „czarodzieja”, aż nagle, pełnym przypadkiem, malec inkantuje Promień Dezintegracji i po mamusi zostaje dymiąca kupka popiołu.

– Wampirzyce – dokończył Mistrz. W tym samym momencie sięgnął po mleko dla kota.

Siedzieli naprzeciw siebie, otoczeni z jednej strony siedmioma łózkami, a z drugiej szafami i stojakami z medycznym asortymentem. Mistrz Haxerlin był świadom, że powinien zacząć temat jako pierwszy. Jakby nie patrzeć, to on tu robił za specjalistę od magii i niesamowitości – nawet jeśli najbardziej niezwykłą rzeczą, z którą miał coś wspólnego, była ogromna klepsydra i księżyc na jego szacie.

Któż nie słyszał o wampirach? Opowieści o czających się w mroku krwiopijcach znało każde dziecko. Przeklęte istoty żywiły się *succi vitalis* płynącym w ludzkich żyłach, a ich ugryzienia niosły ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo. Wampiry niemal nie różniły się od zwykłych ludzi; chętnie przebywały w towarzystwie śmiertelników, uchodziły za godne zaufania i czasem nawet udawało im się wspinać na naprawdę wysoki szczebel drabiny społecznej. Ich urok osobisty, atrakcyjna powierzchowność i charyzmatyczna osobowość znakomicie maskowały naturę drapieznika. A że unikały słońca i preferowały bardzo wąskie łóżka... Cóż, każdy ma swoje małe dziwactwa. Gdy zapadał zmrok, wysocy rangą urzędnicy i szarmanccy arystokraci zrzucali kamuflaż i ruszali na łowy, a świat wstrzymywał oddech.

Wedle opisów starych skrybów, u ofiar, które przeżyły spotkanie z bestią, występowały symptomy bardzo zbliżone do fedura: wycieńczenie organizmu, bladeść skóry, apatia. W przypadku, kiedy drapieżca naprawdę sobie pofolgował, ludzie popadali w długoletni letarg. Po przebudzeniu – jeśli w ogóle do niego dochodziło – okazywało się, że ocalałych oplatały macki szaleństwa.

Inna sprawa, że ostatnia wzmianka o żyjącym wampirze pochodziła sprzed dwóch wieków, dlatego nikt nie traktował tych doniesień poważnie. Wampir grasował podobno w Tur-Saval, krainie leżącej na północy, którą od Imperiału oddziela pasmo Gór Niejasnego Znaczenia. Skończył w niezbyt chwalebny sposób – przez postępujące uzależnienie od krwi mieszanej z alkoholem któregoś dnia pomylił swoją trumnę

z wlotem pieca hutniczego. Na próżno szukać tu patosu.

– Czy ukąszenia wampira nie zostawiają śladów? – Filip Jäger ubiegł Haxerlina, który już otwierał usta, by zadać to samo pytanie. – Pamiętam, że dawno temu przeglądałem pewną książkę, *Demony y ynne stwory pyekyelne*. Mówię „przeglądałem” a nie „czytałem”, bo rzecz składała się głównie z obrazków. W pamięć zapadła mi jedna rycina. Był na niej elegancki jegomość w czarnym płaszczu, pochylający się nad śpiącą kobietą. Miał szeroko rozdziawione usta i dłonie wykrzywione pod takim kątem, że wyglądał, jakby chorował na *paralysis agitans* – to tak na marginesie, medyczna dygresja. Gdyby ktoś mnie spytał, powiedziałbym, że ujęty w tej pozycji wampir wygląda wyjątkowo głupio. Z jego ust, a raczej z paszczy, sterczała para ostro zakończonych kłów. Mniemam, że zamierzał przebić nimi skórę niewiasty i dostać się do tętnicy. Taki zabieg powinno zwiędzić pojawienie się dwóch bliźniaczo podobnych otworów, średnicy około – przyjmijmy – jednej dziesiątej cala. Jak już mówiłem na początku, u naszych pacjentów nie widać żadnych śladów zewnętrznej ingerencji. Ich szyje są blade, ale, hmm, że tak to ujmę, nienadgryzione.

Haxerlin podniósł się z krzesła i podszedł do rzędu łóżek. Rozpoznawał tylko dwóch rajców – przewodniczącego rady Paula Macolusa i księgowego magistratu, dla którego pracował Werner. Właśnie nad jego pryczą się pochylił. Mężczyzna o czarnej bródce wbijał w Mistrza nierozumne spojrzenie manekina. Nazywał się Henryk Wittelsbach, przypomniał sobie Haxerlin.

– Mogę? – spytał medyka, wyciągając rękę. Jäger przytaknął.

Delikatnie ujął szyję Wittelsbacha. Była odrętwiała i emanował z niej chłód. Ostrożnie obrócił głowę w prawo; poruszyła się niczym osadzona na zardzewiałych zawiasach. Na skórze nie dostrzegł żadnych punkcików, choćby wielkości igielnego ucha. Sprawdził lewą stronę. Również nic.

– Ekhm, nie za bardzo wiem, jak to powiedzieć... – Kupiec podrapał się po łysej czaszce. – Skoro podejrzewamy, że domniemana wampirzyca najęła się do pracy w zamtuzie, to może... tak jakby... – chrząknął – wysysa krew... nie z szyi.

Mistrz Haxerlin nie przepadał za rozmowami o sprawach damsko-męskich. Poruszał się w tych tematach z gracją orka, który szukał godnego przeciwnika do walki, ale obrał nie ten zakręt, co trzeba i ostatecznie wylądował na Bankiecie Melomanów z cylindrem na głowie, pospiesznie wciśniętym mu przez odźwiernego.

Filip Jäger zachował kamienne oblicze.

– Nie ma żadnych nakłuc, żadnych podejrzanych ranek. Na całym ciele. Jeśli chcesz, Mistrzu Haxerlinie, możesz to sam łatwo sprawdzić.

– Wierzę na słowo. – Kupiec poprawił poduszkę przy głowie Wittelsbacha. – Jestem prawie pewien, że źródło fedura bije w zamtuzie, ale jak najszybciej trzeba się dowiedzieć, czy to faktycznie dzieło wampirzycy. Krwiopijcy przez wieki nie pokazywali się w Insirii, może przez ten czas wyewoluowali i przy ukąszeniu wydzielają substancję, która przyspiesza proces gojenia.

– Zaraz pošlę kogoś po Aleksandra. Każe strażnikom otoczyć zamtuz, wezmą pana Pollacka na spytki i wypytają o jego dziewczyny. Jeśli ta przeklęta kobieta tam jest, dorwiemy ją. Kwarantanna wreszcie się skończy.

Haxerlin poczuł ukłucie w sercu. Niemal zapomniał o kwarantannie! I o szalotrawiu... Jeśli do południa nie opuści Hrywen, to jego szmuglerski proceder wyjdzie na jaw. Carol Soło pewnie zdąży go jeszcze dorwać w drodze na styczek.

Werner zechce zapewne działać na swój sposób, „po burmistrzowsku”. Przeważnie przynosiło to efekty, ale oficjalne metody niekoniecznie sprawdzą się w przypadku obławy na istoty mroku. Co zrobi taki wampir, kiedy do burdelu wpadnie oddział uzbrojonych gwardzistów? Ano na przykład zamieni się w nietoperza i wyleci oknem. Czy Werner zakończy wtedy kwarantannę? Dopóki w mieście może grasować potwór, raczej nie. Albo zdarzy się tak, że burmistrz koniec końców postanowi czekać na posiłki z Vortecy i niech ludzie prefekta decydują, co robić. Haxerlinowi będzie wtedy wszystko jedno, bo skazańcom czekającym w lochu na egzekucję nie przysługują odwiedziny pańienek do towarzystwa.

Chciał przeżyć, więc musiał działać. Teraz.

– Mam inny pomysł – zaczął powoli – jak upewnić się, z kim lub z czym mamy do czynienia. Po co fatygować Aleksandra, skoro na razie nie jesteśmy jeszcze pewni w stu procentach? I tak jest strasznie podenerwowany, nie obciążajmy go nowymi zmartwieniami, póki nie musimy. Uważam, że trzeba zdjąć z burmistrza trochę obowiązków, kiedy tylko jest to możliwe. Wybierze się pan ze mną do domu uciech?

– Chciałbym pomóc, ale sama myśl o przekroczeniu progu przybytku, w którym te... te... – Filip Jäger skrzywił się. – ...nierządnicę bogacą się na męskiej chuci, napawa mnie wstrętem. Mogę wysłać w zastępstwie Leo, tylko proszę powiedzieć, co pan wymyślił.

Mistrz Haxerlin powiedział. Na wymyślaniu znał się jak mało kto.

Hrywen było specyficznym miastem. Zbudowano je na planie koła i podzielono na siedem części, tak że całość przypominała tarczę zegara słonecznego. Centrum – miejsce, gdzie na tarczy znajduje się nieruchomy wskaźnik – nazwano Śródsrodkiem, ale nieoficjalnie przyjęło się mówić o Większym Śródsrodku (gdzie był plac handlowy) i Mniejszym Śródsrodku (na którym znajdował się ratusz). Na północ od Śródsrodka leżał Półśródsrodek i Współśródsrodek. Idąc dalej, zgodnie z ruchem wskazówki, Śródsrodek graniczył z: Wśródsrodkiem, Pośródsrodkiem, Zapośródsrodkiem i Zaśródsrodkiem.

Budowniczy Hrywen bez wątpienia byli bandą pozbawionych sumienia psychopatów.

W głębi serca każdy z mieszkańców tęsknił za prostotą drzemiącą w Dzielnicy Handlowej, Strefie Urzędowej czy Placu Świątynnym, ale z biegiem lat przyzwyczajali się do językowych łamańców. Do rangi miejskiej legendy urósł przypadek kevlarskiego szlachcica, który po wizycie w Hrywen wylądował w przytułku dla obłąkanych. Chciał po prostu dowiedzieć się, jak dojść do najlepszej karczmy, która – jak wszystkim wiadomo – mieści się we Współśródsrodku, a z Zapośródsrodka najłatwiej trafić tam idąc przez Większy Śródsrodek, skąd skręca się w Długi Półpół łączący Pośródsrodek z Półśródsrodkiem, wychodzi się w Mniejszym Śródsrodku, a tam już prosta droga do Współśródsrodka, no chyba że coś akurat blokuje ulicę Śródsrodkomniejszowiekszą, ale

wtedy odbijamy w prawo, gdzie Dolna Aleja Wśródśrodkowa krzyżuje się z Wielką Szeroką Zaśródwśródśrodkową i kierujemy się na północ.

Na nieszczęście dla kevlarskiego szlachcica, coś wtedy blokowało drogę.

Zamtuz mieścił się na ulicy Przyzaśródśrodkowej, w najbardziej wysuniętej na zachód części Zaśródśrodkowa. Zwał się Pchełka.

Czyż Hrywen nie było urocze? Zaśródśrodek i burdel Pchełka. Po co w ogóle zdejmować kwarantannę?

Właściciel przybytku, Simon Pollack, nie skarżył się na zamknięcie bram. I tak rzadko zapuszczał się poza mury. Narzekał za to na zastój w interesie. Wprowadzenie stanu wyjątkowego odbiło się na dochodach Pchełki. Stali klienci albo padli ofiarą choroby, albo ze strachu przed nią zaszyli się w domach. Pollack nie rozumiał ich zachowania. Wychodził z założenia, że przeznaczenie zapisano w gwiazdach, dlatego każdy dostanie to, co odgórnie ustaliły bóstwa. I jeśli ktoś ma zachorować, nie pomoże chowanie głowy pod koc. Co więc przeszkadza ludziom zażyć przedtem odrobiny rozrywki?

Wychował się w małej wiosce w Południowym Zenicie. Wśród miejscowych wielkim poważaniem cieszyła się zamieszkująca pobliski las starucha, którą wszyscy nazywali Babunią. Babunia przyjmowała porody, leczyła dolegliwości brzucha i za kilka jajek prostowała kości, kiedy pracującym w polu mężczyznom przytrafiał się wypadek. Potrafiła też przepowiadać przyszłość. Kiedy Simon był dzieckiem, matka zaprowadziła go do Babuni, by wiedźma uchyliła kurtynę losu i dyskretnie zerknęła na scenę.

Wtedy to dowiedział się, że pozna śliczną kobietę, zdobędzie majątek i dożyje późnej starości. Babunia podziękowała za pieczonego świniaka, a Simon Pollack od tego momentu już o nic więcej się nie martwił. Jak na razie wszystko się sprawdzało. Otworzył własny biznes i poznał piękną kobietę, a nawet całą gromadkę, która dla niego pracowała. To ze starością też musiało być pewne, więc nie bał się, że ukatrupi go dziwne choróbsko. Babunia na pewno by o tym wspomniała.

Powiedziała, że mąż pani Żytka zginie z ręki czarnobrodego drwala. Chłop całe życie wystrzegał się lasów i tartaków, aż w końcu poślizgnął się na wypastowanej podłodze i złamał kark. To było błogosławieństwo w porównaniu z losem, który mógł szykować dla niego sadystyczny rębajło! Dobrze, że staruszka w porę go ostrzegła.

Albo Albert Wodziojad. Babunia lojalnie uprzedzała, kiwając kościstym palcem, żeby trzymał się z daleka od koni. Konie pragnęły jego zguby. Kiedyś Albert wybrał się na jarmark do miasta, gdzie został napadnięty i pobity do nieprzytomności. Potem opowiadał z przejęciem, że napastnik był chudy jak szkapa i nieustannie rżał ze śmiechu.

I jak tu nie wierzyć Babuni? Podobna wyrocznia przydałaby się w Hrywen, może wtedy ludzie przejrzeliby na oczy i zrozumieli istotę przeznaczenia. Zaczęliby się bawić, a Pchełka zaczęłaby zarabiać. Dla każdego coś miłego.

Pollack stał właśnie przed lustrem i poprawiał starannie ufryzowane włosy, kiedy drzwi zamtuzy uchyliły się i do środka weszli klienci – niski człowiek z cygarem w ustach i jego groźnie wyglądający kompan, zapewne ochroniarz. No proszę, tuż przed

zamknięciem! Ucieszył się na widok nowych twarzy. Od czasu wizyty strażnika miejskiego i tego starego szlachcica, który wpadł chyba tylko po to, żeby pochwalić się udziałem w jakiejś zapomnianej bitwie, Pchełka świeciła pustkami.

– Witam szanownych panów. W czym mogę pomóc?

Nie musiał przybierać szerokiego uśmiechu, tak pomocnego w fachu sprzedawcy – bo nim w gruncie rzeczy był. Odkąd za młodu odwiedził Babunię i wszystkie życiowe wątpliwości oraz zagadkowe zmienne rozwiały się jak pyłek na wietrze, uśmiechał się tak dzień w dzień, bez przerwy.

Pierwsze promienie słońca przebiły się przez kopułę nocy, odpędzając czające się w mrokach strachy z powrotem do piwnic i strychów. Niewiele to zmieniało. Świt nad Hrywen od czasu kwarantanny przypominał wiązkę światła skierowaną na cmentarz.

– Pchełka? – zdziwił się Haxerlin, zadzierając głowę do góry. Podziwiał okazały gmach przybytku rozkoszy. Musiał przytrzymać przy tym rondo cylindra, który co chwilę zsuwał mu się na oczy. – A wasza najlepsza karczma to pewnie Jama Truciciela?

– Nie – stwierdził Leo bez cienia wesołości. – Najlepsza jest Złota ze Wśródśrodk.

Felczer protestował, kiedy Jäger zmusił go do założenia kolczugi i hełmu. Jako pacyfista odczuł wewnętrzny dyskomfort, musząc paradować z dwuręcznym mieczem przewieszonym przez plecy. Ponadto żelastwo niesamowicie obciążało kręgosłup. Ale skoro szef kazał...

W lecznicy udało im się znaleźć wszystkie potrzebne stroje i akcesoria. Pacjenci chyba nie mieli za złe, że Haxerlin i Leo na pewien czas pożyczyci sobie ich przyodziewek. W końcu po co chorym na fedura eleganckie szaty albo zbroja, skoro i tak nigdzie się nie wybierali?

– Pamiętaj, stoisz blisko mnie i się prężysz. Tyle powinno wystarczyć. A jeśli o coś cię spytam, odpowiadasz „Tak jest, panie Hax”. I nie otwieraj przyłbicy, choćby cię swędziało w nosie, bo urok pryśnie. Rozumiesz?

Leo prychnął.

– Ja się na to wcale nie...

Kupiec zmierzył go wzrokiem.

– Tak jest, panie Hax – rozległo się z wnętrza hełmu, z jakąś taką nutką pretensji.

– Dobrze, w takim razie zaczynamy.

Mistrz wyjął cygaro z kieszeni surduta. Strój był na niego za duży i sięgał niemal kostek, ale uznał, że to nawet lepiej, bardziej ekstrawagancko. Włożył cygaro do ust – nie zapalił go, bo nie cierpiał tytoniu – i rażno wkroczył do Pchełki. Za nim wszedł Leo, pobrzękując niczym stojak z garnkami.

Kupiec rzadko gościł w zamtuzach, nawet wtedy, gdy był dużo młodszy. Niektórzy lubią stwierdzenia typu: „Ależ miałem burzliwą młodość!”, lecz w przypadku Haxerlina nie sposób było mówić o burzy, co najwyżej o lekkim zachmurzeniu. Och, za studenckich czasów zaglądał to tu, to tam, kiedy razem z kolegami udało się sforsować zamek przy bramie kampusu i zmylić akademickie patrole, ale nie myślał o tych eskapadach w kategorii przygody życia. Ot, było dużo potu, dużo stękania, a potem człowiek chodził

cały dzień zmęczony i nic mu się nie chciało. Zamiast tego wolał zjeść dobry obiad albo rozegrać partyjkę kości.

Pchełka nie przypominała domu uciech z Plattendorfu, obskurnego budynku, gdzie kręciły się różnej maści rzezimieszki i typy spod ciemnej gwiazdy, gotowe na dzień dobry zbluzgać twoją matkę i na do widzenia poczęstować kopniakiem. Wnętrze hryweńskiego zamtuza, skąpane w półmroku, udekorowano na królewską modłę. Przy wejściu leżał miękki, czerwony dywan, a ściany przystrojono gobelinami i malowidłami, na których baraszkowały półnagie postacie. Artyści popisali się wyjątkową wyobraźnią. Haxerlinowi najbardziej spodobał się obraz młodej kobiety, leżącej w kuszącej pozycji na grzbiecie krokodyla. Cóż, może krokodyl też był zmęczony.

Za masywnym, wypolerowanym kontuarem stał uśmiechnięty od ucha do ucha człowiek. W grymasie radości było coś niepokojącego, jakby pod grubą warstwą szczęścia drzemał ukryty pierwiastek obłędu. Farbowane włosy mężczyzny, ułożone w koguci grzebień, roztaczały przyjemny aromat jaśminu.

– Witam szanownych panów. W czym mogę pomóc?

Haxerlin dostojnym krokiem podszedł do lady, ściskając między zębami końcówkę cygara. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd po chwili wyjął monokl. Złoty łańcuszek zakołysał się jak wahadełko. Mistrz założył okular i z miną znawcy zlustrował salę. Leo stanął obok, naprężając mięśnie, których kruchość maskowało kilka warstw odzieży i solidny pancerz.

– W czym mogę pomóc? – Właściciel Pchełki powtórzył pytanie głośniejszym głosem i – choć wydawało się to niemożliwe – uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nazywam się Hax. Hax Erlyn. – Mistrz wyciągnął rękę i potrząsnął energicznie prawicą mężczyzny. – Rozumiem, że mam przyjemność z panem Pollackiem?

W oczach Simona błysnęła iskierka strachu.

– Nie, nie. – Szybko cofnął dłoń. – Ja nie z tych. Przyjemność to tylko z moimi dziewczynami.

Cygaro zabawnie opadło Haxerlinowi w ustach.

– Nazywam się Hax. – Spróbował raz jeszcze. – Tak jak pan prowadzę zakład... krawiecki. – Mrugnął porozumiewawczo.

Simon Pollack nie odpowiedział. Biel jego zębów mogła odbijać światło.

– Zatrudniam kobiety. – Mistrz rozpaczliwie ciągnął wątek. – Ręczna robota, pełen profesjonalizm. Obsługujemy wszystkie rozmiary i podejmujemy się najbardziej wymagających projektów. Jeśli trzeba, obciągamy końcówki.

– Och, musiał trafić pan pod zły adres. Chodzi pewnie o salon mody Sznapsa. To w Zapołśródsrodku, ale na razie zamknęli go ze względu na kwarantannę. Tu jest burdel.

Kupiec natychmiast ukreślił łeb kurtuazyjnej grze skojarzeń.

– Też mam burdel, tyle że w Gettysheim. Czyż nie, Ole?

– Tak jest, panie Hax – przytaknął Leo.

– Ach, kolega po fachu, trzeba było tak od razu! – ucieszył się Simon. – Nie dane mi było zawitać do Gettysheim. To gdzieś na południu?

– W istocie. – Haxerlin uznał, że zmyślone miasto równie dobrze mogło leżeć w tamtych rejonach. – Zapraszam pod Cuda i Dziwy, jeśli wpadnie pan przejazdem.

Mężczyzna zaśmiał się dźwięcznie; naoliwiony czubek fryzury zakołysał mu się jak targany wiatrem żagiel.

– Już mi się podoba. Co sprowadza pana pod skromny dach Pchełki? – „Skromny” było najwidoczniej lokalnym synonimem słowa „pozłacany”. – Sprawdzamy, co słychać u konkurencji? Jak widać nienajlepiej. Ta cała epidemia odebrała ludziom rozum. A przecież jak coś ma spaść, to spadnie, prawda? Spadnie jak nic.

– Spadnie, spadnie. – Mistrz nie za bardzo wiedział, o co chodzi, ale zdał się na przecucie. – Przejdę do rzeczy. Jestem tu w interesach. Razem z moim ochroniarzem ugrzęzłem w mieście, tak jak wszyscy, ale to nie znaczy, że poważni przedsiębiorcy siedzą beczynnie na tyłku i czekają, aż ktoś posprząta ten bajzel. Czym się w tym czasie zajmują? – Wyciągnął z ust cygaro i strząsnął na podłogę iluzoryczny popiół. – Ano zarabianiem! Dobrze mówię, Ole?

– Tak jest, panie Hax. – mruknął felczer. Pod ciężarem zbroi drżały mu kolana. – Przepraszam, mogę usiąść? Od tych wojaży strasznie łupie mnie w krzyżu.

Haxerlin westchnął i machnął cygarem na zgodę.

– Wszyscy w Hrywen chwalą Pchełkę – kontynuował. – Że czysto, że schludnie, dziewczyny prześliczne i tak dogodzić potrafią, że chłopcy potem nie wiedzą, gdzie góra, gdzie dół. Innymi słowy – biznes pierwsza klasa.

Simon Pollack pokraśniał z dumy.

– Nie lubię odwalać fuszerki. Mamy tu nawet w Pchełce powiedzenie: „Pieprzyć to wszystko”. – Słoneczny uśmiech rzucił kilka dodatkowych promieni. – Taki branżowy dowcip.

– I dlatego właśnie wychodzę z pewną propozycją. Ile pracowników obecnie pan zatrudnia?

Pollack w skupieniu zmarszczył brwi.

– Lolę, Shafre... – Odginał palec za palcem. – ...Caro, Ynes, Clair i Nasturcję. Sześć cudownych panien.

– Szukam nowej perły do kolekcji. Znaczy się inaczej. – Zreflektował się szybko, zanim prostolinijny umysł Simona zdążył odesłać go do jubilera. – Chciałbym kupić którąś z dziewczyn. Nie na godzinę, nie na noc, ale po to, żeby zabrać ją do Gettysheim. Zapewniam, że spodoba się jej w Cudach i Dziwach. Dobrze traktujemy personel, co nie, Ole?

– Tak jest, panie Hax – odezwał się felczer, wygodnie wyłożony na różowej sofie.

– Na pewno jakoś się dogadamy. – Mistrz uśmiechnął się sympatycznie.

– Ach, wymówienie kontraktu. Rozumiem... – Postukał palcem po blacie. – Cóż, przyznam się, że myślałem nad odprawieniem jednej z dziewczyn, nie tylko ze względów ekonomicznych, ale także z powodu bezpieczeństwa. Pewnie pan wie, co mówią o burdelach, w których pracuje sześć dam?

– Och, oczywiście. – Haxerlin nie miał bladego pojęcia. – Tak właśnie mówią. Ludzie. Różni.

– No właśnie. – Simon Pollack był prawdopodobnie jedyną osobą w Imperiale, która potrafiła wzdychać cierpiętniczo i jednocześnie szczerzyć zęby. – Dlatego kto wie, kto wie... Proszę usiąść, zawołam dziewczyny. Niech pan spojrzy, która panu przypadnie

do gustu.

Mistrz Haxerlin rozsiadł się na pufie obok Leo. Obserwował, jak właściciel Pchełki pociąga za ozdobne wstęgi wiszące za jego plecami. Końcówki sznureczków niknęły gdzieś okolicach sufitu. Rozległo się ciche pobrzękiwanie. Dźwięk dzwoneczka powtórzył się sześciokrotnie; dobiegał z wyższego piętra.

Po kilku minutach ze schodów zaczęły dochodzić ciche chichoty. Dziewczyny schodziły na dół, trzymając się za ręce albo obejmując w talii.

Mistrz chrząknął i poprawił kołnierz. Zrobiło mu się jakoś duszno.

– Przywitajcie się z panem Haxem.

Sześć kobiet równiutko dygnęło, a serce Mistrza zabiło z pełną mocą.

– Przedstawiam panu Caro...

Filuterna blondynka puściła oczko, poprawiając kusą spódniczkę. Cylinder Haxerlina przekrzywił się na bok.

– ...Nasturcję...

Kobieta kusząco przygryzła wargę. Leo poczuł, że jego zbroja staje się stanowczo za mała.

– ...Shafre...

Rudowłosa piękność spojrzała na Mistrza w taki sposób, że nagle pożałował, że za młodu tyle czasu spędzał na hazardzie. Ileż podobnych spojrzeń musiało go ominąć...

– ...Lolę...

Cygaro upadło na ziemię z cichym młaśnięciem. Naprawdę chciał skupić się na jej twarzy. Naprawdę. Po prostu oczy odmawiały posłuszeństwa, zawzięcie okupując niższe partie ciała.

– ...Clair...

Młoda dziewczyna splonęła rumieńcem. Wbiła wzrok we własne stopy, nieśmiało splatając dłonie za plecami. Była urocza.

– ...i Ynes.

Ciemne włosy nosiła spięte w kok. Obcisły czarny strój podkreślał wszystkie krągłości. Na widok bicia przypiętego do pasa Haxerlin zastanowił się, czy aby przypadkiem Ynes nie robi w Pchełce za wykidajło. Potem przypomniał sobie pewien pijacki wieczór w Plattendorfie – odruchowo potarł się po łopatce, gdzie do teraz miał blizny – i wszystko nabrało sensu.

Postarał się zebrać myśli.

Któraś z nich roznosi fedura. Któraś może być wampirzycą...

– Skusi się pan? – Pollack wyrwał go z odrętwienia. Założył dłonie na piersiach i przyglądał się dziewczynom jak hodowca rasowych koni obserwujący wybieg. – Spuszczę z ceny dla konesera.

– Podoba mi się ten wojak. – Ynes skinęła palcem na Leo. – Lubię twardych facetów. Co ty na to, bohaterze? Wyciśniemy z ciebie trochę potu?

Leo jęknął. Wyglądało na to, że lada moment hełm zagotuje mu się do czerwoności, a przyłbicę otworzy kłęb buchającej pary.

– Dziękuję – powiedział Mistrz – ale najpierw interesy, potem przyjemności.

Simon klasnął w dłonie; dziewczyny zgrabnie obróciły się na pięcie i ruszyły

z powrotem do swoich pokojów.

– Jestem pod wrażeniem. – Handlarz wstał i oparł się o kontuar. – Wszystkie są wyjątkowe. Ale, jak obaj dobrze wiemy, najważniejszy w tym fachu jest potencjał ekonomiczny. Chciałbym wiedzieć, jaki dochód wygenerowały poszczególne dziewczyny, powiedzmy, na przestrzeni ostatniego miesiąca. Żeby nie kupować kota w worku.

Uśmiech Simona przygasł, ale tylko troszkę.

– Dobrze panu wiadomo, że księgi rachunkowe są wyłącznie do wglądu właściciela i poborców podatkowych.

– Oczywiście, jesteśmy poważnymi ludźmi – zastrzegł Mistrz. – A poważni ludzie nie kupczą informacjami na temat partnerów biznesowych. Rozmawiamy tylko o szybkim zerknięciu na listę transakcji. Liczby nie kłamią. Pal licha miesiąc! Zestawienie z dwóch tygodni w zupełności wystarczy.

– Nie jestem do końca przekonany, panie Hax. Mam swoje faworyty i ich na pewno nie odstąpię, nieważne, jaka padnie kwota.

– Umówmy się tak – zaproponował Haxerlin. – Jeśli zajrzy pan do Cudów i Dziwów w Gettysheim, odstąpię panu na bardzo atrakcyjnych warunkach jedną z moich najlepszych pracownic. Jeśli rzecz jasna rozwiąże się problem z feralną szóstką. Zmiana otoczenia wyjdzie jej na dobre. – Nachylił się do ucha Pollacka i kontynuował szeptem: – Nazywa się Deadrie, ale klienci mówią na nią pieszczotliwie Ciągutka. Proszę się domyślić, dlaczego.

– Ciągutka. – Zmrużył oczy. – Brzmi... zachęcająco.

– Ole! – Haxerlin krzyknął, aż felczer podskoczył na sofie. – Co myślisz o Ciągutce? Zdolna dziewczyna?

– Jaka Ciągu... Aaa, tak jest, panie Hax. – Ciągle nie mógł dojść do siebie po spotkaniu z Ynes. – Najzdolniejsza. Klienci nadziwić się nie mogą.

– Widzi pan? – Mistrz położył cylinder na ladzie. – Jedno zerknięcie.

– Jedno zerknięcie. – Właściciel zamtuza przyklęknął i zaczął manewrować pokrętełem sejfu. Wmontowano go bezpośrednio w kontuar. Po chwili wyłonił się spod lady z opasłym tomiszczem w rękach. – Proszę nie robić żadnych notatek.

Otworzył księgę na ostatnio zapisanych stronach i obrócił w stronę Haxerlina. Handlarz wziął głęboki oddech. Miał nadzieję, że nie pomylił się w ocenie Pollacka i znajdzie informacje, po które przyszedł. Zanurzył się w rubryczkach, tabelach i spisie numerowanych transakcji.

Kilka, może kilkanaście sekund. Wystarczy.

Księgę rachunkową prowadzono w sposób, do którego najlepiej pasowało określenie „uporządkowany chaos”. Na pierwszy rzut oka daty, cyfry i lakoniczne opisy pełne branżowego żargonu zlewały się w jedno, ale Haxerlin szybko wychwytał regułę rządzącą zapiskami.

– Kwoty znajdują się tutaj. – Simon wskazał odpowiednią rubryczkę.

Haxerlin już to wiedział, ale nie to go interesowało. Szukał nazwisk.

Właściciele domu uciech bardzo często prowadzili nieoficjalny rejestr klientów, którzy odwiedzali ich przybytek. Ot tak, na wszelki wypadek. Wpływowym

osobistościom z reguły zależało na dyskrecji. Tacy mieli rodziny, kochające małżonki i status porządnych obywateli, który nieco kolidował z tym, co robili w zacisznych pokojach zamtuza. Niektórzy chcieli te informacje kupić, inni płacili, by nie wypłynęły na światło dzienne. W politycznych podchodach i gierkach toczonych wśród wyższych sfer ludzie tacy jak Simon Pollack zachowywali neutralność. Przynajmniej do momentu, gdy im się opłacała.

Nie pomylił się. W księdze rachunkowej przewijały się też nazwiska. Co prawda ukryte między wierszami, ale nie na tyle, by bystry umysł Haxerlina nie był w stanie rozszyfrować znaczenia anagramów.

Pollack nie pozwalał mu dotykać księgi, zamiast tego sam powoli obracał strony. Zaraz powinna pojawić się data, która najbardziej go interesuje... Jeszcze chwila...

Jest! Wpis z dwudziestego pierwszego sunna niemal w całości poświęcony był jednej z dziewczyn. Imponującą kwotę, jaka w tym dniu widniała w rubryczce „przychód”, podsumowano jednym krótkim zdaniem.

(*mag. HW, DV, KR, GT, FD, RK. PM rezyg.*)

– Moja ulubienica, proszę nawet nie brać jej pod uwagę. – Simon trafnie odgadł, co przykuło uwagę Mistrza. – Pracuje tu od niedawna, ale robi furorę. Jest warta każdych pieniędzy.

Haxerlin w to nie wątpił. Zastanawiał się tylko, co takiego było w Clair, nieśmiałej i niepozornej dziewczynie, że burmistrz Hrywen, Paul Macolus, ostatecznie zrezygnował z jej wdzięków. Czyżby coś podejrzewał?

Rzucił okiem na sąsiednią stronę.

W takim razie dlaczego wrócił dwudziestego czwartego sunna, trzy noce później?

Pożegnanie z Simonem Pollackiem nie miało w sobie nic wartego odnotowania. Haxerlin dowiedział się wszystkiego, czego chciał, więc nie było potrzeby ciągnąć przedstawienia. Powiedział, że przed zakupem potrzebuje trochę czasu do namysłu, wręczył mężczyźnie naprędce napisaną wizytówkę „*Cuda i Dziwy Haxa Erlyna – pracuje tu każda piękna dziewczyna! Gettysheim, ul. Eteryzna 7*” i szybko opuścił przybytek, ciągnąc za sobą Leo.

– Wracaj do przychodni – polecił Mistrz, kiedy znaleźli się na zewnątrz. – Przekaż Jägerowi, że mieliśmy rację, chodzi o kobietę. Ja porozmawiam z Wernerem.

– Tak jest, panie Hax. – Felczer zapomniał, że maskarada dobiegła końca, ale zanim handlarz mu o tym przypomniał, zniknął już za zakrętem. On natomiast pobiegł prosto Przyzaśródkową, potykając się co chwila o przydługawy surdut.

Spieszył się. Jeśli szalotrawie miało dotrzeć na miejsce zdatne do użytku, góra za pięć, sześć godzin musiał wyjechać z miasta. Istniała szansa, że burmistrz go wypuści – już myślał nad odpowiednią historyjką – ale tylko wtedy, kiedy wyschnie źródło zarazy.

Dotarcie do Mniejszego Śródkówka zajęło mu prawie godzinę. Ulice Hrywen były jak nitki rozgotowanego makaronu, porozrzucane beładnie na okrągłej blasze. Płatana niemal identycznych dróg gwałciła zmysł orientacji i przyprawiała o zawroty głowy.

Na placu przed ratuszem trwało jakieś zebranie. Przewodził mu postawny blondyn

w podszytym jedwabiem kontuszu. Przemawiał do grupy kilkunastu osób, wymachując przy tym gniewnie rękami.

– ... a łuski na gadzich ciałach obślizgłe niczym ich dusze...

– Dzień dobry, panie Icke. – Haxerlin z dystynkcją uchylił rondo cylindra. Zanim były czempion zdążył go zauważyć, zniknął za kordonem strażników, szczelnie otaczającym wejście do magistratu.

– Wampirzyca w zamtuzie.

Aleksander Werner wpatrywał się w niego uważnie zza szerokiego biurka. Mistrz przestępował z nogi na nogę. Przypuszczał, że tak właśnie musi czuć się jakiś wyjątkowo interesujący gatunek owada obserwowany przez kolekcjonera za pomocą szkła powiększającego.

– Wampirzyca w zamtuzie – powtórzył burmistrz. – Brzmi jak tytuł tandetnego romansu.

– Niemniej wszystko wskazuje na to, że tak właśnie jest. Serce epidemii bije w Pchełce i nazywa się Clair, chociaż „bije” może nie do końca pasować do nieumarłego... Mamy do czynienia albo ze specyficzną odmianą choroby wenerycznej, albo z wampirzycą. Coś mi mówi – „moje szczęście”, dodał w myślach – że prawdziwa jest druga opcja. W miłosnym uniesieniu ofiary mogły nawet nie zauważyć, kiedy wbiła w nich zęby.

– Większość rajców ma rodziny – stwierdził oschle Werner. – Chcesz powiedzieć, że...

– Widziałem nazwiska. Odwiedzili zamtuz dwudziestego pierwszego sunna.

Chłopak posmutniał.

– Tego dnia odbywało się przyjęcie.

– Paul Macolus nie skorzystał z żadnej atrakcji, ale pojawił się ponownie trzy noce później. Wynajął Clair.

– Bardzo kochał swoją zmarłą żonę...

– To by tłumaczyło początkowy opór. Widocznie coś zmieniło jego decyzję, zapewne opinie kolegów.

Wyobrażał sobie, jak wyglądało pierwsze spotkanie magistratu po pamiętnej zabawie. Mężczyźni poza alkoholem i kobietami lubią też przechwałki.

– Clair nie może się dowiedzieć, że znamy jej mały sekret. – Haxerlin podszedł bliżej. – Trzeba działać szybko, ale rozważnie. Proponuję niezwłocznie posłać trzech, czterech ludzi, którzy mogliby udając klientów...

– Nie. Nikt tam nie pójdzie poza tobą.

Mistrz znieruchomiał. Zabawnie pokręcił głową, tak jakby odganiał od siebie właśnie wypowiedziane słowa.

– Wezmą ze sobą pobłogosławioną broń. – Udał, że nic nie słyszał. – To ostateczność. Nie musi dojść do...

Burmistrz powoli podniósł się z miejsca. Nóżki krzesła zachrobotwały po podłodze.

– Idziesz do Pchełki – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Sam.

Kropelka potu spłynęła po czole kupca.

– O co tu chodzi? Co ja zrobiłem? Od samego początku traktuje mnie pan, jakbym osobiście przydzwigał fedura na plecach! Pomogę w ułożeniu planu, ale nie będę walczył z wampirem! Jestem tylko...

Oczy Aleksandra wypełniał gniew. Już nie próbował maskować nienawiści. Gdzieś zniknęło oficjalne, urzędowe oblicze i na wierzch wypłynęła sama prawda. Mistrz wyobraził sobie, że przez cały ten czas burmistrz był naostrzonym mieczem – dotąd widział tylko piękną rękojeść i podziwiał kunszt, z jakim oddano zdobienia, aż nagle ktoś, bez słowa zapowiedzi, gwałtownie wyszarpnął broń z pochwy i przystawił kupcowi ostrze do gardła.

– Nie pamiętasz – syknął. – Ty naprawdę niczego nie pamiętasz!

Pogmerał ze złością w kieszeni kubraka i po chwili wyjął zmiętą w kulkę stronicę. Bez słowa cisnął zawiniątko w stronę kupca, któremu jakimś cudem udało się je złapać.

Haxerlin, rzucając nierozumne spojrzenie, powoli wyprostował rogi i wygładził papier. Wyraźnie odcisnęło się na nim piętno czasu. Dokument położył niczym paznokcie trupa, tusz wyblakł, w niektórych miejscach stając się zupełnie nieczytelny, ale mimo to handlarz bez problemu rozpoznał charakter pisma.

– Bogowie... – jęknął. Zrobiło mu się słabo.

– Czytaj.

Przełknął ślinę.

Ja, Marcus Magus, pan żywiołów, rekomenduję (Tu Wstaw Imię) Aleksandra, zwanego dalej (Tu Wstaw Magiczny Pseudonim) Alexem Potężnym nie inaczej niech pan tego nie pisze Mrocznym Kokotem, na ucznia czarodzieja. (Tu Wstaw Magiczny Pseudonim) Mroczny Kokot, legitymując się tym dokumentem w siedzibie Collegium Magicum, uprawniony jest do rozpoczęcia nauki na pierwszym semestrze (Tu Wstaw Kierunek) Magii Zniszczenia, Chaosu i Żeby Było Dużo o Kościotrupach.

Ja, Marcus Magus, ręczę za (Tu Wstaw Magiczny Pseudonim) Mrocznego Kokota i potwierdzam, że jest grzecznym/ą, dobrym/ą i uczynnym/ą (Podkreśl Właściwe) chłopcem/dziewczynką.

(Tu Narysuj Indywidualny Emblemat Ucznia)

Indywidualnym Emblematem Ucznia okazał się ziejący ogniem smok, a przynajmniej w domyśle miał być smok, ale ktoś się spieszył i bestia przypominała raczej wymiotującą jaszczurkę.

Marcus Magus. Bogowie, ale wstyd... Kiedy to było?

– Brezen, dziesięć lat temu. – Werner zdawał się czytać w jego myślach. – Teraz sobie przypominasz?

Tak, pamiętał ten epizod. Początki działalności Cudów i Dziwów były godne pożałowania. Idiotyczny pseudonim, towar gorzej niż felerny, nieprzemyślane pomysły... Patent z fałszywymi kwitami, sygnowanymi pieczęcią Collegium Magicum, przyplacił nawet dwumiesięczną odsiadką.

– Miałem wtedy osiem lat. – Głos burmistrza ociekał dawną urazą. – Zatrzymałeś

się w Brezen i wystawiłeś kramik z tymi śmieciami, które ze sobą przywiozłeś. Interesowałem się magią, jak chyba każdy dzieciak. Lubilem słuchać opowieści o czarodziejach, złych nekromantach i artefaktach poukrywanych w najciemniejszych zakątkach Insirii. Wybłagałem mamę, żeby zaprowadziła mnie do twojego stoiska. Uraczyłeś mnie jakąś tanią historyjką, nie pamiętam już, o czym, ale założę się, że przewijały się tam wszelkie możliwe cuda i dziecięce strachy. Potem... – Zacisnął pięści. – Potem zaoferowałeś, że za drobną opłatą załatwisz mi miejsce na uczelni. „Szanowna pani, taka okazja drugi raz się nie powtórzy, magowie to bardzo poważana grupa, będzie pani dumna z syna” – sparodiował Haxerlina. – Wystawiłeś ten oto „dokument”, a ja skakałem do góry z radości. Skakałem tak przez tydzień, przez miesiąc i jeszcze dłużej. Inne dzieciaki szybko straciłyby zapał i obrały nowe plany: będę królewskim czempionem, będę jak Stary Szajba, zostanę kowalem i tak dalej. Ale nie mały Aleksander. – Uśmiechnął się kwaśno. – Minął rok, minął drugi, potem trzeci i czwarty. Nie wytrzymałem i uciekłem z domu, żeby po kilku tygodniach tułaczki, przymierający głodem i umorusany jak żebrak, stanąć w drzwiach Collegium i obwieścić: „Wybaczenie, że musieliście tyle czekać, ale w końcu przybyłem, by zgłębiać mistyczne nauki. Oto ja, Mroczny Kokot!”

Mistrz Haxerlin zobaczył to oczami wyobraźni. Z ledwością zdusił chichot. Gdyby się roześmiał, Werner ukatrupiłby go na miejscu.

– I wyobraź sobie moje zdziwienie, Marcusie Magusie, albo jeśli wolisz – Mistrzu Haxerlinie, gdy chichrający w rękaw czarodziej zaprowadził mnie do auli wykładowej, gdzie na jego prośbę przedstawiłem się raz jeszcze, tym razem przed setką uczniów. Potem kazał mi opowiadać, co będę robił z tak potężną mocą, kiedy już ją posiadę. – Zasapał niczym byk gotujący się do szarży. – Opowiadałem. Do teraz ich ogłuszający rechot śni mi się po nocach. Podobno zainicjowałem nową studencką tradycję, znaną pod nazwą „Odwiedziny Mrocznego Kokota”. Młodzi adepci magii chleją do nieprzytomności, a później wcielają się w postać głupiego nekromanty i odgrywają scenki z jego życia. – Wziął głęboki oddech. Widać było, że roznosi go od środka. – Cztery lata żyłem bezwartościowym świstkiem, którego spisanie zajęło ci pół minuty. Wiesz, jakie to uczucie? Kiedy moje marzenie rozsypało się jak domek z kart, dałem się wciągnąć w wir normalnej, ponurej rzeczywistości. Zostałem nawet cholernym młodszym asystentem! Ale uwierz, przez cały ten czas pielęgnowałem wspomnienie o Marcusie Magusie. I nagle, bogowie!, on sam we własnej osobie stanął w progach magistratu, dokładnie wtedy, kiedy na skutek wprowadzenia stanu wyjątkowego dźwiznąłem w rękach pełnię władzy.

– Jak mnie poznałeś? – zapytał cicho Haxerlin. Miał tyle przyzwoitości, że się nie bronił. – Zmieniłem się. Przytyłem, zupełnie wyłysiałem...

– Twoje ubranie, oszuście. Dziesięć lat, a ty ciągle paradujesz w tej samej szacie z klepsydrą i księżycem.

Haxerlinowi zrobiło się głupio, ale uznał, że informacja o tym, że często ją pierze, nie zainteresuje burmistrza w najmniejszym stopniu.

– Kiedy wszedłeś do gabinetu, miałem ochotę wstać, spoliczkować cię, a potem bez słowa zacisnąć dłonie na twojej szyi. Nigdy nie bałem się fedura. Ty jesteś moją chorobą.

Ty wypiełeś *succi vitalis* małego Aleksandra.

Kupca przeszedł dreszcz.

– Wiesz, czemu jeszcze żyjesz?

Haxerlin długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Bo bardziej niż Aleksandrem Wernerem jesteś teraz burmistrzem Hrywen. Dobrym burmistrzem. A taki nie wynosi prywaty ponad interes ogółu.

– Tak – stwierdził jadowicie. – A ty jesteś oszustem, ale być może inteligentnym oszustem. Okazałeś się przydatny. Miasto nie zwraca uwagi na formę pomocy, tylko na jej efekty. Dlatego na mocy prawa daję ci wybór: udasz się do burdelu i albo zajmiesz się wampirzycą, albo ona tobą. Dopiero w drugim przypadku do akcji wejdą moi ludzie. Masz okazję się wykazać, odkupić choć odrobinę winy. Jako burmistrz gorąco liczę na sukces, a jako człowiek pragnę, by ta cała Clair wysała twoją krew do ostatniej kropli.

– A jeśli powiem, że nigdzie się nie wybieram? Przecież to samobójstwo!

Chłopak wyszczerzył zęby.

– Wtedy Mroczny Kokot pokaże ci swój popisowy numer. Potrzebuję tylko dwóch ingredientów: zawieszzonej poziomo belki i grubego sznura. Hokus, kurwa, pokus.

Mistrz Haxerlin musiał przyznać, że to zaiste potężna magia.

Stał przed drzwiami Pchełki, pocąc się ze strachu. Drżącą ręką sięgnął w stronę klamki. Zawahał się i w ostatnim momencie cofnął dłoń. Raz jeszcze poprawił wiązanie płaszcza. Ukrywał pod nim te kilka rekwizytów, w które udało mu się wyposażyć przed wyruszeniem na misję.

Ha, misja. Haxerlin kontra wampir. Bogowie, jeszcze tydzień temu sprzedawałem magiczną fasolę...

Gdyby od początku wiedział, że tak skończy się śledztwo w sprawie zarazy, podłożyłby ogień pod stajnię i puścił z dymem Cuda i Dziwy, łącznie z tym przeklętym szalotrawiem. Potem spokojnie czekałby na przyjazd sił z Vortecy, bycząc się na łóżku jak sułtan Proppan Buttanu. A Erenfurt i Carol Soło... Tym martwiłby się później.

A teraz? Teraz miał ochotę bić się po twarzy za własną głupotę. Cóż, może zaraz jakaś wampirzyca go wyręczy.

Zamknął oczy, szarpnął za klamkę i w tym samym momencie zrobił krok naprzód. Chciał znaleźć się w środku jak najszybciej, nim zdąży się rozmyślić. Niestety, drogę blokowały zamknięte drzwi. Rozmasował bolący nos, schylił się po cylinder i pociągnął za łańcuszek wychodzący ze ściany.

Z wnętrza dobiegła melodyjka.

Tutti tu tu tutti, tutti tu tu tutti.

Oto moje requiem, pomyślał Mistrz. Doskonale zwieńczenie życia tępego kupca.

Odczekał kilka minut, zanim z drugiej strony rozległ się dźwięk przekręcane go klucza.

– Otwieramy dopiero wieczorem – przywitał go zaspany głos Pollacka. Nawet do snu kładł się z wymodelowanymi włosami. – Zapraszam po... O, pan Hax. Czyżby decyzja już podjęta?

– Ciągłe się zastanawiam, ale przyszedłem z innego powodu. Nie mogę zapomnieć o jednej z dziewczyn... – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Nie daruję sobie, jeśli nie poznam jej bliżej.

– Którą ma pan na myśli? Powiem to, co mi wiadomo. Skąd pochodzi, czy kocha zwierzęta, ulubiony kolor...

No tak, prawie zapomniałem.

– Chcę skorzystać z jej usług.

– Ach... Pchełka jest zamknięta, ale zrobię wyjątek dla specjalnego klienta. – Odsunął się na bok. – Zapraszam.

Mistrz wkroczył do środka, niepewnie stawiając kroki. Sprzęt ukrywany pod ubraniem nieco mu ciążył.

– Zimno na dworze? – zainteresował się Simon, lustrując uważnie pękata bardziej niż zwykle sylwetkę Haxerlina.

– Nie, po prostu lubię ten płaszcz.

Mężczyzna pociągnął nosem.

– Też pan to czuje? Śmierdzi czosnkiem. Zresztą nieważne. Proszę się przygotować. – Wskazał stojący w kącie wieszak. – Po którą z dziewczyn posłać?

Mistrz przełknął ślinę.

– Clair. I jeśli to nie problem, zostanę w płaszczu.

Simon Pollack, który widział tu wiele różnych fiksacji, tylko skinął głową. Wszedł za kontuar i pociągnął za krwistoczerwoną wstążkę. Ciekawe zrządzenie losu.

Haxerlinowi zaschło w ustach. Bardzo chciał się znaleźć jak najdalej stąd. Wygrzebał z sakwy złoty imperiał, położył na ladzie i oczekiwał, kiedy na schodach pojawi się jego Nemezis.

W końcu usłyszał kroki. Okazało się, że Nemezis ubrana była w zwiewną różową koszulę i nosiła zabawne kapcioszki w kształcie króliczków.

– Clair, przebierz się, masz klienta. Niech pan jeszcze chwilę poczeka.

– Nie będzie takiej potrzeby – powiedział Mistrz. – Podoba mi się ten styl.

Ruszył w stronę dziewczyny. Buteleczka z wodą święconą objęła się mu o udo.

Clair wyciągnęła rękę. Haxerlin ujął ją ostrożnie. Spodziewał się poczuć aurę mrozu, bijący od niej chłód nieboszczyka, ale nic z tych rzeczy. Skóra dziewczyny była miękka i przyjemna w dotyku.

– Jeśli usłyszysz pan jakieś piski i krzyki, proszę nie interweniować. Lubię... no... gotować bigos na pełnym ogniu. – Haxerlin był tak roztrzęsiony, że przez przypadek stał się autorem najmniej erotycznej metafory w dziejach.

Clair poprowadziła go na górę. Otworzyła pierwsze drzwi po lewej stronie korytarza, oznaczone symbolem gołąbka. Mistrzowi od razu stanął przed oczami herb Hrywen. Skończył jak ten nieszczęsny, trójgłowy ptak nadziany na sztylet...

Z sufitu zwisał lampion nakryty czerwonym kloszem. W rogu stało zwierciadło w bogato zdobionej ramie, a nad nim poręcz z jedwabną kotarą. Przytłumiony, rubinowy blask padał na ogromne łoże, zajmujące centralną część pokoju. Poza tym nie było tu żadnych innych mebli.

Mistrz usłyszał zgrzyt przekręcanego zamka. Obrócił się z duszą na ramieniu.

Clair nawijała na palec kosmyk kasztanowych włosów.

– Czym mogę służyć, panie? – Jej słodki głos poruszał w kupcu sfery, o których istnieniu dawno zdążył zapomnieć. – Zrobię wszystko, co tylko pan rozkaże. – Uśmiechnęła się niewinnie. Haxerlin ku swej ucieście nie dostrzegł żadnych zaostzonych zębów. Jeszcze.

Uchylił płaszcz i dyskretnie odkorkował butelczynę. Raz kupcowi śmierć.

– *Apaga, hominus nocturna! Apaga!*

I szybkim ruchem ręki wylał całą zawartość naczynia na głowę kobiety.

Clair zapisała, ale bardziej jak dziewczę oblewane zniecka wodą niż rażony świętą mocą wampir.

Nie czekał na widowiskowy efekt skwierczenia. Odrzucił butelkę i ponownie sięgnął za płaszcz, wyjmując tym razem małą okiennicę.

Według starych opowieści Błogosławieństwo Kąta Prostego było sprawdzoną metodą walki z bestiami nocy. Wampiry, jako istoty chaosu, nie mogły znieść widoku jednej z doskonalszych figur geometrycznych – krzyża.

Matematyka sama w sobie była przerażająca, a geometria to jej najbrzydsza córa.

Oburącz podniósł okiennicę. Wyglądał jak... no, jak przez okno.

– Muszę o tym powiedzieć panu Pollackowi. – Clair spoglądała na niego niepewnie, wyzymając włosy. – Za fetysze płaci się ekstra.

Mistrz spanikował. Wampir dawno powinien być obezwładniony! Zadziałał instynktownie. Zamachnął się okiennicą, a ogłuszona dziewczyna z cichym jękiem osunęła się na podłogę.

Obudziła się przywiązana do łóżka. Nadgarstki miała skrępowane obręczami ze srebra, a wokół niej niczym węże wiły się warkocze czosnku.

Wypluła główkę cebuli, którą Haxerlin włożył jej wcześniej w usta.

– Co... co się dzieje? – Clair spróbowała podnieść głowę, ale Mistrz znał się na zakładaniu więzów. Trzy grube liny, jakimi ją spętał, ograniczały jej swobodę ruchów do minimum. – Ratunku! – Zaczęła się szamotać. – To szalenie!

– Radzę zachowywać się ciszej, inaczej odpuścimy sobie rozmowę i od razu przejdziemy do części oficjalnej.

Haxerlin opierał się o drzwi. Wokół jego stóp walały się niewykorzystane akcesoria łowcy wampirów. Zachował wszystkie niezbędne środki bezpieczeństwa. Czosnek osłabiał siłę potwora, a metal uniemożliwiał przemianę w nietoperza. W dłoni trzymał jeszcze osinowy kołek. Gdy Clair go dostrzegła, początkowo miała ochotę krzyknąć na całe gardło, ale spojrzenie Haxerlina sprawiło, że zamiast tego żałośnie załkała.

– Czego pan ode mnie chce? Proszę mnie zostawić, błagam... – W zielonych oczach wezbrał potok łez. – Niech mi pan nie robi krzywdy...

– Tak jak ty nie zrobiłaś krzywdy wszystkim tym ludziom? – Teraz, gdy bestia była unieruchomiona, czuł się znacznie pewniej. – Skończyły się żniwa śmierci, wampirzyco.

– Nie jestem... – Zachlipała. – Nie jestem wampirzycą... Chyba...

Palce mocniej zacisnęły się na kołku.

– Może nie wybrałaś swojej diabelskiej natury, ale to nie zmienia faktu, że sparaliżowałaś całe miasto. Czterdziestu ludzi w przeciągu dwóch tygodni! Twoja żądza krwi jest nienasycona.

– Jakiej krwi? – Clair wbijała w kupca nierozumne, zeszkłone spojrzenie. – O czym pan mówi?

Haxerlin podszedł bliżej łóża. Na wszelki wypadek zarzucił wokół szyi warkocz czosnku – najbardziej ekologiczny szal na świecie. Od intensywnego zapachu trochę kręciło go w nosie, ale przeczorny zawsze ubezpieczony.

– To przez twoją drapieżność wprowadzono w Hrywen kwarantannę. Lekarze byli przekonani, że rozprzestrzenia się tu epidemia. I poniekąd mieli rację. Ty nią jesteś, Clair, czy jak się tam naprawdę zwiesz w mrocznej mowie. Wybrałaś się na żer w złym momencie. Mistrz Haxerlin przybył do miasta, żeby palić tytoń i zabijać wampiry, a właśnie gdzieś zgubił cygaro.

Był z siebie dumny. Myślał nad tą sentencją dobre dziesięć minut.

Spodziewał się, że dziewczyna zacznie syczeć, pluć jadem i szczerzyć kły, ale Clair najzwyczajniej w świecie się rozplakała, bezradna i przerażona jak dziecko.

– Nic pan nie rozumie... Nie jestem wampirem – wyszeptała przez łzy. – Nie takim zwyczajnym, sama nie wiem, nie potrzebuję krwi, tylko... tylko... – Reszta słów utonęła pod falą płaczu.

Szczery lament zbił Haxerlina z tropu. Nie tak miała wyglądać jego epicka konfrontacja z bestią. Nie był pewien, czy to wewnętrzny impuls, czy zachowanie dziewczyny sprawiło, że pochylił się ostrożnie nad łóżkiem.

Chyba zrozumiała, co chce zrobić, bo nie musiał podważać jej ust. Posłusznie otworzyła usta.

Mistrz podziwiał rządęk zadbanych, białych ząbków. Żadnych kłów i naostrzonych siekaczy.

Spiesz się – usłyszał niecierpliwy głos. – Pamiętaj, po co tu jesteś i co ukrywasz w Trzecim Porożu.

– Wampirze sztuczki! – Zacisnął obie dłonie na kołku i zamasyżuje uniósł w górę.

– Błagam... – Clair obróciła głowę w lewo. Odruchowo podążył za jej spojrzeniem.

Okrągłe zwierciadło odbijało przerażającą scenę. Stojący w pozycji bojowej Haxerlin przypominał wyznawcę mrocznego kultu, który lada moment ma przebić serce ofiary, przywiązanej do rytualnego ołtarza.

Szok wyrócił mu żołądek na drugą stronę.

Bogowie, zapomniałem o podstawach. Wampiry nie rzucają odbicia. Clair jest człowiekiem! A ja chciałem... chciałem...

Kołek wysunął się ze zeszywniałych palców i opadł na podłogę z głuchym stukiem.

– Naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Sama tego nie rozumiem.

Clair siedziała na brzegu łóżka i niemrawo przebierała nogami w powietrzu. Haxerlin opatulił ją swoim płaszczem. Wiedział, że ten mały dżentelmeński gest nie

naprawi błędu, którego omal nie popełnił, ale przynajmniej stanowił krok w dobrym kierunku.

– Pochodzę z małego miasteczka na południu. Wychowałam się w normalnej rodzinie i byłam zwykłą dziewczyną. To... to wszystko zaczęło się cztery lata temu, kiedy... wie pan, kiedy kwiatuszek rozwinął listki. – Haxerlin kiwnął głową na znak, że rozumie. Każda pszczołka orientowała się mniej lub bardziej, jak wygląda proces dojrzewania tej drugiej strony. – Poczułam głód, jakąś pierwotną potrzebę posilenia się. Trudno mi to sprecyzować, ale nie mogłam myśleć o niczym innym. To... to dziwne ssanie w środku... Musiałam je zaspokoić albo popadłabym w szaleństwo.

Haxerlin na moment pożałował, że rozciął więzy. Opis pasował jak ulał do wampirzego łaknienia krwi.

– Pierwszy był Danny, syn młynarza. Odkąd podrosłam, nie odrywał ode mnie wzroku, więc nie zastanawiałam się długo. Kiedy było już po wszystkim i leżeliśmy wtuleni w siebie na kupce siana, wreszcie dziura w mojej duszy została załatana. Byłam pełna. Byłam – proszę się nie bać, ale tak właśnie się czułam – najedzona.

Kupiec mimo to zadrzał.

– Na ciałach pacjentów nie ma żadnych ranek. Czym ty właściwie...

Clair spłonęła rumieńcem. Wygladziła różową koszulkę w okolicy ud. A potem raz jeszcze, bo Mistrz nie zrozumiał.

– Och – chrząknął zmieszany, obserwując jej dłonie. – Tak. To by wiele tłumaczyło.

Stał się uczestnikiem przełomowej chwili, pierwszego w historii zdiagnozowanego przypadku wampiryzmu ginekologicznego. Filip Jäger zzieleniałby z zazdrości.

– Faktycznie chodzi o *succi vitalis*, ale nie o płyny utrzymujące człowieka przy życiu, lecz przekazujące życie nowemu człowiekowi...

– Słucham?

Haxerlin otrząsnął się.

– Myślałem na głos, przepraszam. Opowiadaj dalej.

Clair wsunęła stopę w bamboszek z króliczkiem i podrzuciła go.

– Danny kilka dni później zachorował. Nikt nie potrafił stwierdzić, co mu się stało, ale podświadomie zdawałam sobie sprawę, że to moja wina. Zrozumiałam, że jest we mnie coś dziwnego. Nie chciałam nikogo krzywdzić, ale to coś... to coś potrzebowało mężczyzn. Danny zmarł po niecałych dwóch tygodniach od naszej schadzki w stajni.

To oczywiste, miejscowi nie potrafili zapewnić mu odpowiedniej opieki, pomyślał Haxerlin. W Hrywen funkcjonuje na szczęście dobra przychodnia.

– Całe dni i noce płakałam. Obiecałam przed obrazkiem Kalambury, że resztę życia spędzę w celibacie, wstąpię do zakonu, ale... ale minęły kolejne dwa tygodnie i to krępujące uczucie znowu się odezwało. Wyobrażałam sobie, że w moim brzuchu zalęgło się małe stworzonko, które, kiedy jest głodne, czepia się wnętrzości i przez długą trąbkę próbuje wchłonąć mnie od środka. Z biegiem czasu nazwałam żyjątka Ssaczem. To ono zmusiło mnie, bym pod osłoną ciemności odwiedziła innego chłopaka z miasteczka... A kiedy Ssacz już się najadł, uciekłam z domu. Nie chciałam trafić do więzienia albo skończyć jeszcze gorzej, bo gdybym została, prędzej czy później wszyscy by się

domyślili... Od tego czasu błąkam się po świecie, pół roku spędziłam nawet poza granicami Imperiału, w Kevlarze, ale nigdzie nie zatrzymuję się na dłużej. Pracuję jako dziewczyna do towarzystwa zarówno dlatego, że... – Uśmiechnęła się przepraszająco – ...że naprawdę to lubię, jak i ze względu na Ssacza. Przez długi czas działałam na własną rękę, ale czasami było naprawdę niebezpiecznie, dlatego postawiłam na zamtuzy. Pchelka jest dziewiąta na mojej liście.

Mistrz wysłuchiwał opowieści w niemym zdziwieniu. Bał się i jednocześnie żałował tej dziewczyny, uwięzionej na smyczy niszczycielskich żądz. Cieszył się, że obok nie ma Jägera – Clair była dla jego religii tym, czym Imperialny Magazyn Stali dla bandy obłąkanych pacyfistów. Uosabiała najgorsze obawy Oświeconego Kościoła Mizoginistycznego, a przez „spaczenie” Ssaczem mogła urosnąć do rangi zniechęconego symbolu.

Nie chciał nawet zgadywać, co by z nią zrobili, gdyby wpadła w ich ręce.

– Odkąd jestem w Hrywen – kontynuowała – zaszła we mnie pewna zmiana. Wcześniej Ssacz budził się średnio raz w miesiącu, ale teraz... Teraz rozwija swoją trąbę niemal codziennie! Próbowałam pohamować ten głód, ale na próżno. Potrzebuję mężczyzn. Potrzebuję coraz więcej i więcej...

Przysunęła się do Haxerlina i położyła dłoń na jego piersi. Odskokzył jak oparzony.

– Wybacz. – Spuściła głowę. – To jest silniejsze ode mnie.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia, pomyślał Mistrz. A jakby to powiedzieć naukowo? Wampiryzm ginekologiczny napędzany nimfomanią?

– Rozumiem, nic się nie stało. Nie jestem lekarzem, ale może medycyna będzie w stanie jakoś pomóc. – Dźwignął się z łóżka, starając się uspokoić kołatanie serca. – Sprowadź tu kogoś, dobrze?

– Nie! – Zerwała się gwałtownie z miejsca. – Proszę! Aresztuj mnie albo pokroją na stole operacyjnym...

Haxerlin delikatnie ujął ją za drżący podbródek.

– Obiecuję, że nic ci nie grozi, Clair. Zaufaj mi. Jeśli możesz, posprzątaj ten bałagan. – Ogarnął wzrokiem walający się wszędzie czosnek, cebulę, potłuczone butelki z wodą święconą i osinowe kołki. – Ja pójdę porozmawiać z przyjaciółmi.

Zielone oczy znowu napęły się łzami, ale dziewczyna pokornie kiwnęła głową, przygryzając wargę.

Haxerlin zszedł na dół. Czekał go długi spacer z powrotem do ratusza.

– I jak wrażenia? – Simon Pollack powitał go nieodłącznym uśmiechem. – Słyszałem jakieś hałasy. Trochę pan sobie pofolgował, czyż nie?

– Cóż, tak jakoś wyszło – odparł niewesoło.

Dręczyła go nieprzyjemna myśl. Podejrzewał, że znowu wyjdzie na oszusta i obietnica bezpieczeństwa dana Clair okaże się niewarta funta kłaków. Gdy stawał przed wyborem „twoje życie czy moja wolność”, nie bawił się w altruistę.

W siedzibie magistratu trwało właśnie zebranie. Można nawet powiedzieć, że w trybie nadzwyczajnym obradowała Mała Rada, choć tylko jeden z jej członków pełnił

obecnie funkcję polityczną. Z zewnątrz co chwilę dobiegały donośne, przepelnione fanatyzmem okrzyki – to wyznawcy jaszczurołaków dawali wyraz swemu oburzeniu, że ich przedstawicielowi odmówiono prawa uczestnictwa w spotkaniu.

– Trzeba pojmać tę kobietę i umieścić w jakimś odosobnionym miejscu – zaproponował Filip Jäger tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie widzę innego wyjścia. Jest zagrożeniem.

Mistrz Haxerlin był pewien, że na jakieś odosobnione miejsce już dawno wymyślono słowo „loch” i właśnie ten pomysł subtelnie podsuwał lekarz.

– Jest zagrożeniem, owszem, ale nie ma na to wpływu – zauważył handlarz. – Czy izolujemy trędowatego tylko dlatego, że jest nosicielem choroby?

Medyk popatrzył na niego jak na idiotę.

– Dokładnie tak właśnie robimy.

– Chodzi mi o to, że człowiek nie może ponosić winy za rzeczy, które są niezależne od niego. Mało kto przepada za wilkami, ale nie przeprowadzamy odstrzału na masową skalę tylko dlatego, że czasem któryś rozszarpie na szlaku wędrowca albo wypatroszy owcę.

Burmistrz Werner patrzył to na jednego, to na drugiego rozmówcę, ale przez większość czasu milczał.

– Co więc proponuje Mistrz Haxerlin? – Jäger zapytał takim tonem, jakby dawał do zrozumienia, że cokolwiek padnie z ust handlarza, on uzna to za niewarte uwagi.

– Przede wszystkim należy przebadać Clair. To pana działka. I podkreślam – przebadać, nie pokroić. To naprawdę miła dziewczyna, nie zasługuje na to, by traktować ją jak wcielenie Kaosa. Nie jestem lekarzem, choć tak się złożyło, że to ja wypowiadam się w imieniu nauki i zdrowego rozsądku. – Rzucił Jägerowi oskarżające spojrzenie. – Przede wszystkim pomyślmy o pacjentach. Trzeba ich w porę wybudzić z letargu, inaczej po prostu umrą. Zbadanie dziewczyny może przynieść jakiś postęp w tej sprawie. Istnieje przecież szansa na wydestylowanie antidotum.

– Sam pan powiedział, że jest nienasycona. Trzymanie jej w pobliżu mężczyzn skutkuje tym, że któryś w końcu ulegnie namolnym zalotom. I dostawimy w przychodni kolejne łóżko.

– Istnieją przecież środki zmniejszające popęd – wtrącił się Aleksander Werner. – Może obniżą aktywność tego... Jak ona to nazywa?

– Ssacza.

– Właśnie, Ssacza.

– Widzę, że decyzja została już podjęta. – Medyk nie ukrywał wzburzenia. – Pozostaje mi tylko zamilknąć i wziąć się do roboty, czyż nie?

Ostentacyjnie podniósł się z miejsca.

– Panie Jäger – Burmistrz odezwał się, kiedy lekarz pociągał za klamkę. Podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu. – Liczę, że wykaże się pan profesjonalizmem. Chodzi o dobro miasta, nie o starcie idei.

– Rozumiem. Uważam, że się mylicie, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wywiązać się z zadania.

Uścisnęli sobie ręce, po czym Jäger uśmiechnął się niewesoło i wyszedł.

Haxerlin również wyciągnął prawicę, chcąc pogratulować burmistrzowi decyzji. Werner minął go bez słowa i usiadł przy stole.

– W dalszym ciągu chce mi pan zademonstrować numer z belką i liną? – zapytał kwaśno.

– Jutro albo pojutrze zjawią się ludzie z Vortecy. – Aleksander zignorował zaczepkę. – Do tego czasu potrwa kwarantanna. Delegat prefekta przejmie władzę i zarządzi dalsze działania. Spróbuję go przekonać, że to, co zaproponowałeś, jest najwłaściwszym rozwiązaniem. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Jutro albo pojutrze. Rozwiązałem zagadkę fedura, ale zawisnę za przemyt. To się nazywa nagroda.

– Ryzykowałem życiem dla miasta... – zaczął Mistrz.

– Ryzykowałeś, by zachować głowę. – Burmistrz nie miał skrupułów. – Teraz pewnie jak najszybciej chcesz opuścić Hrywen i uciec z tym śmierdzącym biznesem do kolejnej miejsciny? Odpowiadaj krótko, tak lub nie. Mam dość twojej paplaniny.

– Tak.

– Ale jednocześnie zależy ci, żeby Clair nic się nie stało? Twoja opinia mogłaby przekonać człowieka, który obejmie tu rządy, do podtrzymania ostatecznej decyzji. Jäger pewnie będzie przeciągał go na swoją stronę, proponuje jakieś mało humanitarne rozwiązanie, ale z tobą zyskałbym przewagę. Dwóch na jednego. Odpowiedz: naprawdę zależy ci na bezpieczeństwie Clair?

– Ona jest...

Uderzył w stół.

– Tak czy nie?!

– Tak.

– Więc daję ci wybór. – Sięgnął po czysty pergamin i skreślił na nim kilka zdań. Potem przybił pieczęć z trójgłowym gołębem. Wstał i podszedł do Haxerlina. Brutalnie wcisnął mu zwój. – To pozwolenie na wyjazd z miasta. Pokażesz je strażnikom przy bramie i przepuszczą cię bez zbędnych pytań. Jutro w południe zwołuję kolejną naradę. Jäger opowie o postępach w badaniu. Jesteś zaproszony. Decyzja należy do ciebie. A teraz znikaj mi z oczu.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Kiedy Haxerlin wyszedł z ratusza, czuł się rozdarty jak nigdy dotąd.

Stał przed wozem Cudów i Dziwów i starał się nie krzywić. Z beczek dobywał się charakterystyczny smród. Obłożył je zielem rozmarynu i skropił pachnidłem, ale równie dobrze mógł perfumować kilkudniowego trupa.

Na szczęście karczmarz z Trzeciego Poroża nie interesował się zapachem. Sądził, że Mistrz Haxerlin jest magiem, a czarodziejskie sprawy zazwyczaj cuchną. Kilka dodatkowych srebrniaków pomogło mu pogodzić się ze świadomością, że stajnia powoli zamienia się w prosektorium.

To doraźne rozwiązanie, myślał Haxerlin, wpatrując się w artefakty zalegające na wozie. Od Erenfurtu dzielą mnie trzy dni drogi. Jeśli poczekam do jutra, w najlepszym

razie zmarnuję ładunek i zmierzę się z gniewem Soła, w najgorszym – odpowiem przed katem. Każda następna godzina zwłoki równała się igraniu ze śmiercią.

Odplynał myślami do Pchełki. Obiecałem, że nie stanie się jej krzywda. Mam szansę to zagwarantować. Muszę tylko... muszę tylko...

Poświęcić się – szepnął dziewczęcy głosik, który przybrał znajomą barwę.

Chyba wolałbym, żeby Mroczny Kokot pokazał mi tę sztuczkę z belką i liną niż pozostawił wolny wybór. Przynajmniej nie musiałbym pojedynkować się z sumieniem.

Dwie siły przeciągały go na swoją stronę, a on wciąż nie ruszał się z miejsca.

...

Wybacz, Clair.

Skład handlowy Carola Soła mieścił się w najpodlejszej części Erenfurtu. W kronikach miejskich dzielnica figurowała jako Obwód Tharona, ale wszyscy mówili na nią Portowa, chociaż miasto nie miało dostępu do morza ani nawet nie przepływała przez nie żadna rzeka. Portowa wzięła się stąd, że wieczorami ściągały tu bandy pijanych szumowin, tak zwanych „marynarzy”, rozdzierających noc fałszywym śpiewem albo, już mniej poetycko, rozdzierających ludzi różnymi ostrymi rzeczami. Z Portowej można też było odplynąć. Przeważnie prosto na cmentarz.

Erenfurt był w gruncie rzeczy sympatycznym miastem. Uprawiano tu słynne na cały Imperiał winogrona. Smak erenfurckiego wina zachwalono nawet na królewskim dworze. Mieścił się też tutaj ceniony uniwersytet. Na dziedzińcu uczelni wznosiła się stara dzwonnica, zakończona długą na czterdzieści stóp iglicą. To właśnie dzięki tej iglicy Erenfurt w świetle dnia przypominał urodzinowy tort, na którym paliła się świeczka. Torty są apetyczne, nie dziwota więc, że ktoś w końcu zgłodniał, a nocą nadgryziony kawałek oblażyły muchy.

Mistrz Haxerlin zatrzymał wóz przed rozsypującym się budynkiem. Chybotął się nad nim czerwony szyld, niemiłosiernie poskrzypując. Wcześniej znajdował się tam jakiś symbol, ale dowcipny bywalec dzielnicy Portowej zamalował go czerwoną farbą.

To na pewno farba, prawda?

Kupiec zeskoczył z kozła i odrzucił płachtę zakrywającą ładunek. Pięć beczek szalotrawia zdawało się rzucać mu nieme oskarżenie. „Człowieku, niedobrze. Nieźle nas urządziłeś, ale to nic. Poczekaj, a zaraz rozpęta się tu pandemonium smrodu”. Zdążył w ostatniej chwili. Kilka godzin zwłoki i cały zapas narkotyku nadawałby się na śmietnik. Teraz jest jeszcze ratunek. Wystarczy schłodzić beczki.

Dzwon przy Uniwersytecie Erenfurckim wybił drugą w nocy. Echo poniosło go aż do Portowej.

Już pora.

Haxerlin podszedł do drzwi. Wystukał umówiony sygnał. Dwa wolne uderzenia,

trzy szybkie, znowu dwa wolne.

Odrzwia uchylily się i wyjrzał przez nie właściciel, Carol Soło. Rzadkie włosy i wysunięta do przodu czaszka upodabniały go do chytrego gremlina z bajki.

– Trzy dni po czasie.

– Przejściowe problemy.

Soło potarł się po nosie, rozglądając na boki jak ciekawska wiewiórka.

– Jesteś sam?

– Tak jak się umawialiśmy.

– Umawialiśmy się wcześniej.

Właściciel składu wyszedł w końcu na zewnątrz. Wspiął się na wóz, podważył wieko jednej z beczek i włożył dłoń do środka. Palce zgarnęły garść zasuszonych listków. Przystawił je do nozdrzy i głęboko się zaciągnął.

– Śmierdzi.

– Ale nie zgniło. Teraz pieniądze.

Soło odczepił zawieszoną przy pasie sakiewkę.

– Łap.

Carol Soło przymierzył się i wykonał piękny, czysty rzut prosto w stronę kupca. Czas jakby na parę chwil stanął w miejscu. Sakiewka powoli poszybowała w powietrzu, dryfując z wiatrem na niewidzialnych skrzydłach.

W oddali zaszczekał pies. Hau, hau! Chyba był głodny. Nie jest dobrze, kiedy w Portowej spotykasz głodne zwierzę. Istnieje duża szansa, że zaraz będzie chciało się najeść.

Woreczek z pieniędzmi leciał tak płynnie, jakby to świat się poruszał, a on tylko majestatycznie zawisł w przestrzeni i czekał na odpowiedni moment, by opaść.

Te parę sekund, które upłynęły, nim sakiewka oderwała się od jednej dłoni i wylądowała w drugiej, wystarczyło, by przecnicę dalej pijany „marynarz” pozbawił życia przypadkowego przechodnia. Poderznął mu gardło, gdyż ten nie chciał „pożyczyć” pieniędzy na hazard. Anonimowa ofiara miała żonę i dwójkę dzieci. Mężczyzna był jedynym żywicielem rodziny, dlatego cała trójka zaczęła przymierać głodem. Miesiąc po tragicznym wydarzeniu kobieta nie wytrzymała i powiesiła się na spróchniałej belce na strychu, tej samej, na którą lubiła się wspinać jej najmłodsza córeczka. Udawała wtedy, że dosiada kucyka i przemierza krainę bajek. „Kucyk” zerwał się z uwięzi i spadł na dziewczynkę akurat w momencie, gdy odkrywała z mamą nową zabawę – „hustawinkę”. Czaszka dziecka pękła jak przejrzały melon. Chłopiec chwilę potem wrócił do domu z kilkoma wyżebranymi miedziakami. Kiedy zamiast uśmiechu siostrzyczki przywitała go szara breja wyciekająca ze strzępów jej główki, popadł w szaleństwo. Od tego momentu błąkał się po uliczkach Portowej, brodząc na czworakach w błocie, skamląc jak pies i ocierając się z żalnym kwikiem o chropowate ściany zamtułów. Czasami ktoś rzucał mu jakieś resztki, jednak częściej dostawał twarde razy kija i smakował podeszwy butów atakujące podbrzusze.

Ale i tak nikogo to nie obchodziło.

Człowiekowi, który popełnił morderstwo, sprzyjało tej nocy niebywałe szczęście. Ograł w kości syna szlachcica, a potem jego ojca, który chciał się odkuć. Zgarnął

prawdziwą fortunę. Resztę długiego, pozbawionego trosk życia spędził w Krainie Zdradliwych Piasków, otoczony ponętymi kobietami i półmiskami obranych ze skórek winogron.

Zimna noc, prawda?

Czas bez zapowiedzi ruszył do przodu.

Haxerlin wyciągnął dłoń do chwytu. Sakiewka z monetami przyjemnie zabrzęczała, witając się z nowym właścicielem.

Brzdęk, brzdęk. Wtedy się zaczęło.

Zza rogu wybiegło czterech mężczyzn w czarnych, obcisłych kombinezonach. Mistrz wytrzeszczył oczy. Z dachu pobliskiego magazynu zeskoczyło kolejnych trzech. Następni trzej wynurzyli się ze sterty śmieci i pędem rzucili w stronę wozu.

– Ręce do góry w imieniu króla!

Haxerlin podniósłby je nawet w imieniu pastucha. Ludzie uzbrojeni w garłacze mają niezwykle dar przekonywania.

– Nie ruszać się!

Nie ruszać się? Jasne, da się zrobić! Co tylko chcecie, panowie!

– Kometa, zabezpieczyć beczki! Księżniczka, obszukać cel! Krogulec, broń w gotowości, nie spuszczać go z oka! Dalej, dalej, dalej! – Jeden z mężczyzn przyklęknął i zawzięcie gestykułując wydawał rozkazy podwładnym w oddziałach.

Mistrz rozpoznał czarne jak smoła uniformy oraz charakterystyczne, podłużone maski z okrągłymi szybkami zabezpieczającymi oczy. Czarnocienie. Elitarna jednostka specjalna, służąca samemu królowi Imperiału.

Niech to licha! Jeszcze nie tak dawno rozprawiał z quasi-wampirzycą o intymnych sferach życia i myślał, że nic dziwniejszego nie spotka go co najmniej przez dekadę, a minęło ledwo kilka dni i znalazł się na celowniku czarnocieni.

– Przewozisz pięć beczek szałotrawia, kolego – powiedział jakiś przemądrzały głos w jego głowie. – Pamiętaj, ręce w górze, bo nie będziesz miał czym wydawać reszty.

Haxerlin uświadomił sobie, co właściwie się dzieje.

Szałotrawie. Przemyt. Czarnocienie. Jestem aresztowany. Aresztowany!

Ale jak, skąd?!

Jakby w odpowiedzi, na powierzchnię pamięci wypłynęło wspomnienie.

Teraz pewnie jak najszybciej chcesz opuścić Hrywen i uciec z tym śmierdzącym biznesem do kolejnej miejsciny?

... śmierdzącym biznesem...

Wiedział, on wiedział! I dawał mi szansę! A ja...

– Księżniczka, skujcie cel!

Mistrz zamknął oczy i bezgłośnie zachlipał. Wyciągnął ręce przed siebie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze światło słońca, czy może długoletnie więzienie całkowicie wymaże z pamięci jego obraz.

Zamiast kajdanek zaciskających się na nadgarstkach poczuł, jak ktoś odgina mu palce i wpycha w dłoń pękate zawiniątko.

– Dobra robota.

Otworzył oczy. Carol Soło zniknął za horyzontem, prowadzony przez jeden

z oddziałów. Dwa pozostałe, Kometa i Krogulec, zajmowały się przenoszeniem beczek z szalotrawiem na specjalnie podstawiony powóz, pomalowany w maskujące, zielono-brązowe plamy. Haxerlinowi wydawało się, choć nie mógł być pewny (a czego on teraz był pewny?), że tą samą farbą pokryto też konia.

Naprzeciwno kupca stał czarnocien, który dowodził akcją. Opierał się o Cuda i Dziwy i odpalał zwitek tytoniu. Dziwaczną maskę, przypominająca łeb egzotycznego zwierza, przewiesił nonszalancko przez szyję.

– Na przyszłość niech twoi ludzie w Hrywen działają szybciej. Dopiero dziś wieczorem dostaliśmy informację, że jesteś podstawiony.

– Ach – wybąkał głupio Haxerlin.

– Nie zostawiajcie więcej takich rzeczy na ostatnią chwilę. – Zaciągnął się i wypuścił z ust kłęb szarego dymu. – Gdyby gołąb dotarł kilka godzin później, towarzyszyłbyś panu Soło w drodze na stryczek. Tryb Przyspieszonej Sprawiedliwości pomaga wylapać grube ryby z półświatka, ale przy tym trudno, rozumiesz, odratować płotki, które przypadkowo zaplątały się w sieci.

– Ach. – Sakiewka w dłoni kupca trzęsła się jak tancerka brzucha. Była dużo lżejsza niż ta od Soła, ale z pewnością nie wypchano jej miedziakami.

– Zapłata za zlecenie. – Czarnocien postukał palcem w mieszek. – Pisali, że nie zostałeś rozliczony.

– Ach – powtórzył raz jeszcze.

– Byłbym zapomniał. – Z pojemnika zamontowanego przy pasie wyciągnął zalakowany zwój. – Przyszło razem z cynkiem. Wiceburmistrz prosił, by przekazać do rąk własnych. – Rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał. – To chyba wszystko. My się wycofujemy. W raporcie dla króla wspomnę o twojej bohaterkiej postawie. Bywaj, obywatelu.

Haxerlin tępo przyglądał się znikającej w ciemności postaci. Potem niepewnie przeniósł wzrok na zwój, jakby przekładnie i koła zębate w jego mózgu pracowały na zwolnionych obrotach.

Przełamał pieczęć. Kto to widział, żeby przebijać gołębie sztyletem? Nawet te z trzema głowami zasługują na lepszy los.

Wiceburmistrz powinien wyjść z inicjatywą zmiany herbu. Ha, wiceburmistrz. No proszę.

Przyswoił treść listu. Spojrzał w rozgwieżdżone niebo, podrapał się za uchem, potem znowu wrócił do notki.

List składał się tylko z jednego zdania. Ba, żeby tam zdania – składał się z dwóch słów, ale Haxerlin i tak odczytywał je tego wieczoru jeszcze kilkakrotnie. Tego i wielu, wielu następnych.

Hokus pokus.

Mroczny Kokot czarował.

Większe Związanie Hatecrafta

W tych rejonach powiadano, że północny wiatr to zwiastun śmierci. Na razie przejmujący wicher jedynie mroził do szpiku kości. Mieszkańcy Trollsteimer tłoczyli się w ciasnej chałupie sołtysa, przytuleni jeden do drugiego, pogrążeni w zupełnych ciemnościach. Matki kryły swoje pociechy pod grubymi, baraniami skórami, czułym głaskaniem odpędzając wizje czających się w mroku koszmarów. Mężczyźni o stężalych twarzach przekazywali sobie butelki z samogonem i przyciszonymi głosami prowadzili podnoszące na duchu rozmowy. Gdzieś w oddali kołatała okiennica, którą wicher podrywał do opętańczego tańca. Ktoś wznosił na klęczkach bezgłośnie modły, kołysząc się w przód i w tył. Podmuchy zimnego powietrza, mimo szczelnie zamkniętych drzwi i pozatykanych słomą szpar, dostawały się do środka i wywoływały dreszcze na plecach wystraszonej ciżby. Ale to nie mróz był największym zmartwieniem mieszkańców Trollsteimer. Na zewnątrz czaiło się coś dużo gorszego, coś, co czerwonymi ślepiami potrafiło wypatrzeć człowieka z odległości wielu mil, a machnięciami czarnych, pokrytych zmierzwioną sierścią skrzydeł pokonać dzielący od niego dystans w kilka uderzeń serca. Mówiono, że dopiero nieszczęśnik, który stanął twarzą w twarz z bestią, naprawdę pojmował znaczenie powiedzenia „Północny wiatr to zwiastun śmierci”...

Mistrza Haxerlina nie bawiło badanie wyświechtanych, ludowych mądrości, dlatego też nigdy w życiu nie przekroczył granicy ze wschodnimi królestwami. Poprzysiągł sobie, że prędzej zje własną ciżemkę, niż zbliży się choćby na krok do Leśniarki, mimo że zaciszną wioskę od niebezpiecznych terenów Białokresu oddzielał dobry tydzień drogi. Wątpliwe, że to właśnie z braku obecności słynnego handlarza po pechowej mieścinie Trollsteimer i jego biednych mieszkańcach słuch zaginął. Grunt, że wśród ofiar nie znalazł się nasz bohater, rezydujący daleko od miejsca masakry, dlatego też opowieść nawet nie zapuści się w te rejony. Trzeba wam wiedzieć, że Mistrz Haxerlin należał do ludzi solennie dotrzymujących słowa – zwłaszcza kiedy, jak w tym przypadku, z przyrzeczeniem wiązało się bezpieczeństwo, dobre samopoczucie i cieplejszy klimat.

W dodatku nie przepadał za smakiem obuwia.

– Do mnie, pocziwcy, do mnie! – Mistrz Haxerlin wymachiwał srebrnym dzwoneczkiem, przyciągając spojrzenia kłębiącej się wokół gawiedzi. – Tylko dzisiaj cuda i dziwy w specjalnych cenach! Do mnie, dobrzy ludzie, do mnie! – Handlarz zdawał sobie sprawę, że wyrządza krzywdę wszystkim dobrym ludziom, nazywając tym mianem zgromadzoną na placu hałastwę, ale zwykł przymykać oko na podobne drobiazgi.

Jak każdej ostatniej soboty miesiąca, w Kampfsalat odbywał się dzień targowy. To oznaczało, że do miasteczka zjechali mieszkańcy okolicznych wsi, by uzupełnić braki w spiżarkach, naprawić zużyte narzędzia, zaznać odrobiny rozrywki, wystawić na sprzedaż to, co zebrali z pól albo stworzyli pracą własnych rąk. Przy okazji nierzadko marnowali ciężko zarobione pieniądze, nabierając się na blask tandetnych świecidełek i rzekome magiczne właściwości zmiotki z końskiego włosia. Właśnie z myślą o takich osobach Mistrz Haxerlin jeszcze przed świtem ulokował się w samym centrum placu

i wystawił kramik z niezwykłościami, gotów pozbyć się felernych rupieci choćby za cenę prawienia klientom przez cały dzień wymyślnych pochlebstw, w tym przyrównywania ich do hrabiów i rycerzy, a nawet samego króla Heavela.

– Podejdźcie bliżej, nie bójcie się! – Kiedy przed straganem zebrał się już imponujący tłumek ciekawskich, kupiec uśmiechnął się jak stęskniony ojciec na widok dawno niewidzianych dzieci. – Czy wiecie, jak smakuje tajemnica? – zapytał retorycznie, przybierając ton natchnionego proroka.

Miał nadzieję, że wśród zebranych nie ma nikogo, kto wcześniej próbował specjałów zalegających na ladzie Cudów i Dziwów, gdyż taki ktoś mógłby sobie przypomnieć, że tajemnica smakuje na przykład starymi pasztecikami.

– Czy ciekawi was, jak to jest dysponować mocą, o której nie śniło się śmiertelnikom?

Z kilku gardeł dobyło się ciche „Ciekawi, ciekawi”.

– Czy marzycie o zaczerpnięciu ze źródła magii? – Podniósł głos i wzniósł oczu ku niebu. – Czy macie tyle odwagi, by spojrzeć w oczy bogom?

Ludzie, poruszeni ekspresyjnym tonem wypowiedzi, zaczęli przełamywać nieśmiałość. Wtórowali handlarzowi okrzykami „Nie boimy się!”, „Pokaż, co tam chowasz!”. Nawet opłaconym przez Haxerlina klakierom zdawał się udzielać autentyczny entuzjazm.

– Czy chcecie dorównać bohaterom?

– TAAAK!

Głośny okrzyk wstrząsnął najbliższym otoczeniem straganu.

– Zatem – czy jesteście gotowi?

Sztukę podtrzymywania napięcia kupiec opanował do perfekcji.

– JESTEEEEŚMY!

Mężczyźni wymachiwali w powietrzu pięściami, a kobiety brały dzieci na ręce, by maleństwu nie umknął żaden szczegół widowiska. Tłum wokół straganu gęstniał. Morze ludzkich głów falowało we wspólnym rytmie ekscytacji.

– W takim razie... – Mistrz Haxerlin schylił się i otworzył wieko kufra – ...czy okiełznacie siłę... – spod straganu dobiegły dźwięki odrzucanego na bok żelastwa –... drzemiacą w tym cudzie? – Oburącz uniósł przedmiot i zastygł w teatralnej pozie.

Zapadła krępująca cisza. Kilku mężczyzn z rozpędu wywinęło pięściami jeszcze kilka młynków, choć wyraz ich twarzy zdążył się już zmienić z podniecenia na łagodną dezorientację. Starsza pani, bez większego przekonania, machnęła okolicznościowym proporczykiem. W powietrzu rozległo się smętne „ziuuuum”.

– Znaczą się, panie magu – odezwał się po chwili najodważniejszy klient. – Łokiełznać mamy siłę łopaty?

Mistrz Haxerlin opuścił szpadel i oparł się o niego swobodnie.

– Nie zwykłej łopaty, przyjacielu, ale Łopaty Skarbu.

Ktoś gwizdnał z wrażenia. Ludzie nachylali się ku sobie i szeptem wymieniali uwagi na temat obserwowanego dziwu.

– A mnie się widzi – w tłumie rozległ się sceptyczny głos – że to ino zwykła łopata. Johan Gordon znał się na dwóch rzeczach. Pierwsza to naśladowanie odgłosu

jelenia na rykowisku, druga – wszelkiego rodzaju łopaty. Wywabiał z lasu rogacze, zainteresowane stoczeniem potyczki, i potem znieca ogłaszał szpadlem. Finezyjne wykorzystanie własnych atutów pozwoliło mu uzyskać pozycję lidera w środowisku sprzedawców poroża.

– Drogi panie. – Mistrz Haxerlin postukał palcem w szpadel, różniący się od tysięcy innych co najwyżej stopniem zużycia. – Czy słyszałeś o Mapie Skarbu?

Johan pokiwał głową.

– Każdy przeca słyszał. Zbójcy nakradli złota, do skrzyni wsadzili i zakopali za siódmą górą, za siódmą rzeką, gdzie bagna muliste, ścieżki zwodnicze... że też im się chciało tę skrzynię tyle nosić, nie? I czorty wszelkiej maści dupami świecą, gwałt zadając oczom bogobojnych ludzi. Tak nam babki bajały na dobranoc. I że tylko mapa do skarbu zaprowadzić może.

– Ha, a czy wiadomo wam, by ktoś jakiś skarb faktycznie znalazł? – Mistrz Haxerlin potoczył wzrokiem po zbiegowisku.

Ku jego zaskoczeniu ktoś nieśmiało podniósł rękę.

– U nas to kowal znalazł zakopaną księżniczkę.

– Co? – Mistrz Haxerlin przeczyścił uszy, przekonany, że się przesłyszał – Księżniczkę? A nie pocałował aby przypadkiem zaklętej żaby?

Gawiedź nie miała z reguły wyszukanego poczucia humoru, dlatego zewsząd dobiegł śmiech i chichot rozbawienia.

– Nie. – Tłum rozstąpił się, ukazując sylwetkę kiwającego się na piętach dryblas. Niezbity z tropu kontynuował: – Kowal podczas przechadzki po lesie przyuważył, jak oddział zbrojnych przekopuje polankę. Dyrygował nimi pan szlachcic, pokazywał, gdzie ziemię odgarniać i wrzeszczał, żeby dziura była duża. Kowal se myśli: „Pewno hrabia albo inny skurwy...” znaczy się, „zacyjny książę skarb chowa w lesie”. Ukrył się w krzakach, poczekał, aż orszak odjedzie i dawaj przerzucać glebę! No i znalazł prawdziwą księżniczkę.

– Ooo... – Jedna z niewiast wdzięcznie przyłożyła piąstki do twarzy. – I co się stało? Żyli razem długo i szczęśliwie?

– Nie, kowala powiesili za udział w spisku, porwanie i zamordowanie panienki Izoldy. Pewno słysze...

– Łopata Skarbu! – Mistrz Haxerlin wrzasnął donośnie, ponownie koncentrując na sobie uwagę. Bez skrupułów przerwał opowieść o pechowym znalazcy księżniczki. – Tylko dzięki niej człowiek jest w stanie dostać się do pogrzebanych w ziemi kosztowności. Jeśli znajdzie się śmiałek gotowy nabyć artefakt, będzie w połowie drogi do bogactwa. Potem wystarczy, że znajdzie mapę i może kąpać się w złocie!

Proste umysły zaczęły kalkulować i szybko doszły do wniosku, że lepsza połowa drogi do bogactwa niż dobrze ubity szlak do biedy. Wielu ze zgromadzonych słuchaczy dyskretnie zerkało do sakiewek, przeliczając miedziaki i wykreślając z listy zakupów uprzęż dla konia i nowe onuce, które mieli nabyć na jarmarku, zastępując je naprędce Łopatą Skarbu, artykułem znacznie bardziej przyszlowskiwym.

Mistrz Haxerlin już zaczynał licytację, już szykował się na zawarcie niezwykle korzystnej transakcji, gdy nagle...

– Pali się! Pali się!

...wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno.

– No i się spaliło – stwierdził z głupia frant jakiś głos z tłumu.

Domy w Kampfsalat budowano na różne modły. Biedniejsi gnieździli się całymi pokoleniami w ciasnych klitkach, kto zaś mógł pozwolić sobie na coś więcej niż dwa talerze zupy i pajdę chleba na dzień, zajmował bardziej przyzwoite lokum. Były chaty mniejsze, były i chaty większe. Były budynki jednoizbowe, były i wielopokojowe. Stawiano je z drewna, stawiano z kamienia. Lokalizacja w obrębie murów nie miała tu wiele do rzeczy – zdarzały się kryte słomą chałupy w samym centrum miasta, prawie przylegające do ratusza, jak i bogate wille w Myszodole, dzielnicy, gdzie co drugi mieszkaniec trudnił się żebractwem. Architekci Kampfsalat nie przywiązywali wagi do czegoś takiego jak standardy budownictwa. Domostwa różniły się tak naprawdę jednym – wartością opałową. A piętrowa kamienica posiadała jej całkiem sporo.

Mistrz Haxerlin był rozczarowany. Pożar w obejściu burmistrza, Thomasa Keizenhauera, przekreślił tak dobrze zapowiadający się dzień. Nici z ubicia jakiegokolwiek interesu; wszyscy byli zbyt zaaferowani tajemniczym wypadkiem, by myśleć jeszcze o odpłatnych atrakcjach. Nie dość, że Haxerlin prawdopodobnie opuści Kampfsalat z niczym, to jeszcze będzie musiał porzucić stoisko na specjalne wezwanie włodarza. „Specjalne wezwanie” wiązało się z tym, co zawsze: wysłaniem uzbrojonych strażników i uprzejmą, acz stanowczą prośbą o szybkie przybycie na miejsce tragedii. Dobrze, że Keizenhauer oddelegował ludzi do pilnowania Cudów i Dziwów, inaczej miejscowi mogliby nie dać wiary opowiadce o zakłęciu ochronnym, ucinającym złodziejom nie tylko ręce, i stragan zostałby doszczętnie splądrowany.

Zabezpieczono również teren przed pogorzeliem. Strażnicy odpędzali gapiów tak skutecznie, aż w końcu nikt nie miał odwagi podejść bliżej niż na długość halabardy. Tłok wokół zgliszcz trochę zelżał.

Mistrz Haxerlin cierpliwie czekał, aż burmistrz przestanie pocieszać płaczącą małżonkę, która klęczała wśród popiołów, schowawszy twarz w ubrudzonych dłoniach. Zastanawiał się, czego mogą od niego chcieć. Miał nadzieję, że nikt nie będzie go o nic oskarżać. Dziwnym trafem jeśli w okolicy nagle zdarzał się wypadek, nieprzychylnie spojrzenia kierowały się od razu w stronę przyjezdnych ubranych w kolorowe szaty z tajemniczymi symbolami. Haxerlin jakoś podejrzanie pasował do schematu.

Keizenhauer stał nad kobietą jeszcze chwilę, po czym spuścił głowę, przymknął powieki i pograżył się w niemym smutku. Szybko jednak opanował emocje i gdy podszedł do handlarza niezwykłościami, wyglądał już całkowicie spokojnie – jak skała, która bez słowa skargi znosi uderzające w nią fale oceanu.

– Wybacz, Mistrzu, że cię fatygowałem, ale wydaje mi się, że tylko ty możesz pomóc. – Była to oczywiście zwyczajowa grzeczność, gdyż wypowiedział zdanie takim tonem, że równie dobrze mógł oznajmić „Wreszcie przyszedłeś. Jesteś potrzebny, zrozumiano?”.

Thomas Keizenhauer był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Głębokie

zmarszczki i siwiejące włosy, ścięte tuż przy samej skórze, mimo usilnych prób zachowania postawy męża w kwiecie wieku, dobitnie świadczyły, że rozpoczęła już szósty krzyżyk. Nosił się skromnie, acz z jego postaci emanowała pewna wyższość wobec innych. Mistrz Haxerlin, ze swoim nikłym wzrostem i zauważalną nadwagą, czuł się przy burmistrzu wyjątkowo niepewnie. Jak mysz, która nieopatrznie zawędrowała się w pobliże dostojnego kocura.

– Bardzo mi przykro z powodu... – Mistrz Haxerlin ogarnął wzrokiem ruiny, jakie pozostały po kamienicy. Nie wiedział, jak pocieszyć kogoś, kto właśnie stracił cały dorobek życia. – Z tego powodu – dokończył, nie bawiąc się w dobór odpowiednich słów. – Nie rozumiem jednak, w czym mógłbym pomóc. Magia żywiołów, a już w szczególności ognia, nie jest moją domeną.

Jak każda inna, dodał w myślach.

– W Kampfsalat nie mamy etatowego czarodzieja. Wiesz o tym?

Oczywiście, że wiedział. W innym przypadku nigdy nie przytaczałby tu swojego kramu, który z magią miał tyle wspólnego, co burza loków z burzą gradową.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale w dalszym ciągu...

– Władasz Mocą, prawda? – przerwał bezceremonialnie Thomas.

– Owszem – skłamał bez zająknięcia. – Jednak zajmuję się wyszukiwaniem i sprzedażą zaklętych przedmiotów, warzeniem cudownych płynów, wypycham też potwo...

– Musi wystarczyć. Nie mamy czasu. Zaginał mój syn, Jeremy. – Mężczyźnie, choć zachował kamienną postawę, wyraźnie zadrżał głos. – Ma jedenaście lat.

Handlarzowi wydało się bardzo nie na miejscu sprostowanie, że syn nie ma, ale miał jedenaście lat, skoro pochłonęły go płomienie. Trudno po czymś takim dalej rosnać.

– Nie spłonął w pożarze. – Keizenhauer najwyraźniej pomyślał o tym samym. – Przetrzęsaliśmy zgliszcza, ale nie znaleźliśmy żadnych szczątków.

Mistrz Haxerlin podrapał się po tysej czaszce.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, gdzie tu miejsce dla mnie. Jeśli chodzi o zaklęcia namierzające, ich przygotowanie zajmuje...

Burmistrz z trudem powstrzymał się przed wytarganiem kupca za klepsydrę wyszytą na purpurowej szacie.

– To sprawa demona – szepnął. – Pożar i porwanie chłopaka.

Mistrz Haxerlin miał wyrobione zdanie na ten temat. Sprawcą pożaru w stu przypadkach na sto jest ogień. Zniknięcie chłopaka to już inna kwestia, ale generalnie o bardziej przyziemnym podłożu. Demony mają dużo ciekawsze sprawy na głowie niż zabawa w domorosłych piromanów i uprowadzanie dzieciaków z miejscowości o tak niepoważnej nazwie jak Kampfsalat.

– Zaczniemy inaczej – odezwał się kupiec nieśmiało. – Ma pan tu jakichś wrogów lub...

Spokojną dotąd twarz Thomasa przeciął gniewny grymas. Złapał kupca za ramię i odciągnął na bok. Rozejrzał się wokół, czy nikt ich nie obserwuje, po czym włożył rękę do sakwy przy pasie. Po chwili wyjął podłużny przedmiot zawinięty w pasek materiału. Podsunął go pod nos zaskoczonemu Haxerlinowi.

– Żaden z moich wrogów nie gubi takich rzeczy.

W tym momencie, po raz pierwszy w życiu, właściciel Cudów i Dziwów zobaczył prawdziwy magiczny przedmiot. Nie była to moneta szczęścia, którą tworzył ze srebrnika, uderzając w niego ciężkim młotem, dopóki ten nie zamienił się w płaski owal sprzedawany później za trzy srebrniki. Nie była to miotła wiedźmy, która poza tym, że bardzo dobrze zbierała kurz, nie posiadała żadnych innych specjalnych właściwości. Nie był to nawet bardzo popularny afrodyzjak, smakujący jak wysokoprocentowy samogon.

W zawiniątku znajdował się zakrzywiony, dziesięciocalowy róg o krwistej barwie. Nie barani, maczany w czerwonym barwniku, jakich Mistrz Haxerlin posiadał przynajmniej tuzin, tylko najprawdziwsze demoniczne zdobienie głowy. Żadna tania imitacja. Róg ucięto z wprawą fehmistrza tuż przy samej nasadzie: gładka powierzchnia u spodu świadczyła, że odpadł od diablego czerepu za jednym, precyzyjnym pociągnięciem ostrza. Biła od niego złowroga poświata, która lekko załamywała światło, co sprawiało wrażenie, że róg nieustannie faluje, jakby starał się rozpląnąć w powietrzu. Kiedy Haxerlin skupił wzrok i zaczął dłużej się w niego wpatrywać, odczuł zawroty głowy i nieprzyjemne skurcze w żołądku.

Oho, kłopoty – pomyślał, przetykając ślinę.

– Jest źle, prawda? – zapytał szeptem Thomas.

Nawet się nie domyślał, jak bardzo.

Dzień targowy przyciągnął na rynek prawie całą lokalną społeczność. Na szczęście dla śledztwa, niektórzy szukali wtedy rozrywki gdzie indziej.

– Już mówiłem strażnikom, nic żem nie widział. – Miejscowy pijaczyna, zwany przez wszystkich Syfem, drapał się nerwowo po pokrytej wrzodami ręce. – Leżę sobie kulturalnie w rynsztoku, o tam, myślę o pracy i przyszłości... Szanowny pan burmistrz musi wiedzieć, że roboty wciąż szukam, tylko ciężko jest, bo przyjezdni wszystko zabierają. – Spojrzał wymownie na Haxerlina, jakby ten pod osłoną nocy wyniósł Cuda i Dziwy z jego komody i teraz czerpał zyski kosztem biednego Syfa. – Więc leżę sobie, czekam, aż ludzie z targu wrócą, bo czasem który wspomógł medziakiem albo dwoma, i nagle słyszę przeraźliwe krzyki. A potem jak nie walnie! BUM! Ażem podskoczył i wylał wód... khem, ależ mnie w gardle kłuje... wodę z bukłaka. Chwila nie minęła i słycać takie przeciągłe „Uuuuu!”, jakby wichur zawiał albo jaki roślak dostał kopa w... szanowny pan burmistrz wie, w co. Myślałem, że gówniarze nakupowali wybuchowych żab na straganie i znowu mnie straszą, ale wyszło na to, że hałasy dobiegają z posesji pana burmistrza. Zaraz potem wybuchł pożar. Płomienie to strzelały z okna o tak: ziuuu, ziuuu, ziuuu. – Wymachiwał rękoma, imitując dźwięk zbliżony do odpalania latającej miotły. – Oczywiście od razu powiadomiłem władze. – Nie było to do końca prawdą, bo zrobił to dopiero wtedy, kiedy strażnik dostrzegł jego nieudolną próbę schowania się w kratce ściekowej dwie przecznice dalej. – Nie mam z tym nic wspólnego. – Zastrzegł na wszelki wypadek. – Spokojny człowiek jestem. W dodatku ognia boję się jak... no, jak ognia.

– Nie martw się, nie jesteś podejrzany – uspokoił go Keizenhauer. – Sprawdzamy

po prostu wszystkie tropy.

Wewnątrz spalonego budynku ostrożnie poruszało się trzech najbardziej zaufanych ludzi burmistrza, wynosząc sprzęty, których ogień nie strawił do końca. O rogu demona wiedziało tylko kilka osób – Keizenhauer nie chciał, żeby w mieście wybuchła panika. Lepiej, żeby myśleli, że to nieszczęśliwy wypadek albo robota opłaconego podpalacza, a nie dzieło bestii z piekła rodem. Takie sensacje raczej nie wpływają pozytywnie na nastroje.

Haxerlin nachylał się nad zgliszczami muru i obracał między palcami kawałek szerniałej cegły.

– Gdzie pojawiły się pierwsze płomienie?

Syf potarł wielką brodawkę na nosie. Takich imponujących narośli miał jeszcze całkiem sporo w różnych miejscach.

– Będzie chyba tam. – Wskazał na zawalone piętro. – U góry i w lewo.

– Stryzek Jeremy’ego... – szepnął Thomas. – Nie widziałeś poza tym nikogo, kto wybiegałby na zewnątrz? Przypomnij sobie. Mały chłopiec, blondyn, pyzata buzia.

Syf pokręcił głową.

– To był miły dzieciak, szanowny panie burmistrzu. Nie rzucał we mnie zabami. Przykro mi.

Thomas Keizenhauer zacisnął usta.

– On żyje – wycedził przez zęby i stracił zainteresowanie rozmową.

Syf odczekał jeszcze moment, a potem dyskretnie się wycofał, niknąc w jednym z licznych zaułków miasta.

– Co z tym zrobić, panie burmistrzu?

Z rudery wyłonił się strażnik w ubrudzonym uniformie. Pod pachą taszczył dziwaczny mechanizm – osmaloną żarem konstrukcję ze stali. W trójkątnej podstawie zatopiono gruby pręt, długi jak przedramię dorosłego człowieka. Pręt kończył się żelazną obręczą, do niej natomiast przymocowano trzy płaskie, zakrzywione ramiona.

Haxerlinowi skojarzyło się z to miniaturowym modelem krasnoludzkiego śmigła, które swego czasu miał okazję oglądać w Muzeum Pamięci w Volendurze. Śmigło prezentowano w ramach wystawy „Przeminęło z wiatrem”, mającej uczcić nieudane próby wzbicia się w przestworza. Projekt maszyny latającej porzucono przed wieloma laty, kiedy to tylna część Dumy Gloina zakończyła swój dziewiczy lot w Wąwozie Bhuul, a przednia rozbiła się o skały, dekapitując po drodze czterdziestu sześciu ludzi. Na każde pokonane dziesięć metrów przypadał wtedy średnio jeden trup. Krasnoludy i ich sponsorzy zgodnie doszli do wniosku, że inwestycja w sterowce należy do kategorii podwyższonego ryzyka i lepiej skupić się na wybuchowych zabach.

Burmistrz postukał w stalowe ramię.

– Wyrzuć to, Dieter. Wentylator i tak już do niczego się nie nadaje.

– Tak jest.

Strażnik odszedł na bok i rzucił żelastwo na kupę innych rupieci. Keizenhauer chwilę odprowadzał go wzrokiem, po czym skierował się w stronę kupca, który klęczał wśród zgliszcz i przerzucał popiół z miejsca na miejsce.

– Magiczna eksplozja – mruknął, kiedy usłyszał za sobą kroki.

– Czujesz magię? – Thomas przykucnął obok.

Mistrz Haxerlin nie wyczułby magii, nawet jakby ta pachniała zjełczalym serem, ale takie grzebanie w ziemi relaksowało. Już dawno zobaczył to, co chciał.

– Spójrz. – Wziął garść popiołu i rzucił w powietrze. Drobinki, zamiast rozwiać się na wszystkie strony, wirowały blisko siebie jak naelektryzowane i wolno opadły na wspólną kupkę. – Są tu jeszcze pozostałości magii. Pożar nie wybuchł z przyczyn naturalnych.

Nie był zadowolony z obserwacji, gdyż obalało to teorię, w którą w głębi serca wierzył: ktoś podłożył róg, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. To, że artefakt wart był małą fortunę i podobny manewr najzwyczajniej w świecie się nie opłacał, zawsze można było zrzucić na karb obrzydliwego bogactwa podpalacza i jego nikłego przywiązania do dóbr doczesnych.

Niestety, sprawa była dużo bardziej skomplikowana.

– Nie ten, ten też nie... Zbyt poskręcany... Za cienki... – Haxerlin kartkował opasłe tomiszczce i uważnie oglądał ilustracje. – Tutaj to raczej czułki... O, może ten. *Wężowyec. Bestya straszlywa, żmyje z paszczy wypuszcza, odór nyesye grobowy*... Nie, odcień się nie zgadza. Następna strona...

Kampfsalat nie posiadało własnej biblioteki, odkąd poprzednia zawałiła się przed pięcioma laty. Była to piękna, strzelista wieża, jeden z najwyższych budynków w mieście; pech chciał, że jej dach zwieńczono stalowym kurkiem w kształcie rozłożonego cyrkla. Tym sposobem do biblioteki równie często, co spragnione wiedzy osoby, trafiały pioruny. To, co udało się wynieść z gruzów, przeniesiono do piwnic ratusza.

Haxerlin kazał wyszukać wszystkie książki, które traktowały o demonologii. Zbiór nie był może imponujący, ale znalazło się kilka egzemplarzy dla amatorów okultyzmu. Ślęczał właśnie nad jednym z nich. *Demony y ynne stwory pyekyllne* pisane były z myślą o wszystkich tych czytelnikach, którzy bardziej niż wiedzę cenią sobie kolorowe obrazki. Mimo że autor odczuwał niezrozumiałą awersję do literki „i”, lektura okazywała się nadzwyczaj pomocna w identyfikowaniu właściciela rogu.

– O, mazgule mają goły czerep, nie wiedziałem... Ha, trafiony! Proszę spojrzeć.

Obrócił księgę i przysunął do Keizenhauera, wskazując palcem właściwą ilustrację – wyłaniającego się z rzeki lawy stwora, który wznosił w górę łapy zakończone ostrymi pazurami i szczyrzył zwierzęcą paszczę w opętańczym grymasie. Z czubka podłużnego łba wyrastała mu para rogów, bliźniaczo podobnych do tego, który leżał obok na stole.

– *Krwyopyj... Krwiopij*. – Burmistrz nachylił się nad księgą i zaczął czytać. – *Psia morda, plugawiec lubuje się we krwi, ogień krąży wewnątrz diabelskiego cielska*. – Otarł spocone czoło. – Bogowie, to wszystko? Nic o tym, gdzie go szukać? Lubuje się we krwi... Może być już za późno! Biedny Jeremy...

Haxerlin myślał podobnie, ale nie chciał bardziej dobijać Keizenhauera. Autor „Demonów...” zdecydowanie większą wagę przywiązywał do plastycznego oddania wizerunków bestii niż do opisów, z których wypływałyby pożyteczne informacje. Pewnie gdyby wziął na warsztat różne osobistości Imperiału, powstałaby notka w stylu: *Haxerlyn*.

Grubas, ubyera się jak cyrkowyc, luby pyenyądze i dobrze zjeść. Treściwe, ale zupełnie nieprzydatne kompendium.

– Chwila, chyba widziałem tu coś, co może pomóc.

Szybko przejrzał stosik książ z ezoterycznymi tytułami. *Wstęp do plugoznawstwa, Oddech Otchłani, Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o magii, ale nie stać was na inne książki, Okultyzm dla małych i dużych...*

– Mam cię. – Wyciągnął ze spodu podniszczony tom. – *Leksykon potworności. Kły, szpony i macki.* Korzystałem z podobnego na studiach. Sprawdźmy... – Otworzył księgę, wzbijając w powietrze drobinki kurzu. Keizenhauer stał za jego plecami i niecierpliwie zaglądał kupcowi przez ramię. – Kraken... Krostkron... Krova... Jest! *Krwiopij, inaczej Płomiennik. Demon związany ze Sferą Ognią. Zamieszkuje gorące poziomy Otchłani, gdzie poluje na pomniejsze diabelstwa, których krwią nasycza swe nieustanne pragnienie. Niechętnie opuszcza mroczną domenę, co wynika ze specyfiki środowiska, w jakim wiecie naturalny żywot – parnych jaskiń otoczonych rzekami lawy.* Bła bła bła, naukowy bełkot... O, tutaj mamy coś ważnego. *Manifestuje się na powierzchni za sprawą różnego rodzaju przywołań i magicznych rytuałów.* – Odwrócił się i spojrzał na burmistrza. – Proszę wybaczyć, jeśli pytanie wyda się nie na miejscu, ale... hmm... czy pan albo ktoś z pańskiej rodziny zajmuje się praktykami czarnoksięskimi?

– Słucham? – Keizenhauer zmarszczył brwi. – Nic z tych rzeczy. Mam za dużo roboty z zarządzaniem miastem, żeby bawić się jeszcze w jakieś czary-mary. Olga nie jest nawet piśmienna, a Jeremy... Jeremy ma dopiero jedenaście lat. Nie zatrudniamy służby, mieszkamy... mieszkaliśmy tylko we trójkę. – Sprostował ponuro.

Kupiec był zbyt doświadczonego słuchaczem, by umknęło mu lekkie wahanie w głosie burmistrza, gdy ten opowiadał o synu.

– Panie Keizenhauer, jeśli mam pomóc, musi być pan ze mną szczerzy. Obiecuję, że to rozmowa prywatna, nie dojdzie do uszu nikogo z Gildii. – Niecertyfikowane posługiwanie się czarami było wykroczeniem, a czarnoksięstwo i nekromancję karano z całą surowością, więc rozumiał opory Thomasa przed ewentualnym zwierzeniem się z rodzinnych grzeszków. – Czy jest coś, powiedzmy, „niezwykłego”, czym chciałby się pan ze mną podzielić?

Burmistrz chrząknął i wbił spojrzenie w podłogę. Wyglądał jak uczeń przyłapany na wypisywaniu wulgarnych hasel na murze. W końcu ciężko westchnął, jakby godząc się z tym, co ma być.

– Jeremy to mądry chłopak. Zbyt mądry na swój wiek, zawsze to powtarzałem. – Zaczął krążyć po piwnicy. – Nauczyciele radzili, żebym posłał go do Collegium Magicum albo do któregoś z kościołów, gdzie wyświęciliby go na kapłana. Ciągnęło chłopaka do książek, nieustannie przesiadywał w moim biurze, przeglądał kroniki albo urzędowe pisma, prosił, żebym przynosił księgi z piwnicy ratusza... Staralem się go zarazić miłością do fechtunku, matka uczyła pieśni i tańca, ale on i tak wolał siedzieć zamknięty w pokoju, obwarowany wszystkim tym, co miało litery, dało się odczytać i mogło czegoś nauczyć.

Usiadł na krześle pod jedną z półek.

– Musisz zrozumieć – kontynuował. – To nasz jedyny syn. Staraliśmy się o niego

z Olgą przez piętnaście lat. Piętnaście smutnych, trudnych lat, które jakoś przetrwaliśmy, żyjąc perspektywą posiadania potomka. Ale było warto. Dla słodkiego, bystrego brzdąca, który zaraża cię śmiechem, zbiera kamienie o dziwnych kształtach, wypytuje o to, w jaki sposób latają ptaki albo z czego składa się człowiek... Później podrósł, chciał zobaczyć świat, opowiadał o przyszłych podróżach. Nie wystarczały mu już nauki rodziców. Nie pasował do nudnego Kampfsalat, lecz co by nam zostało, gdyby wyjechał terminować? Puste ściany, Olga płacząca po nocach, niechętne rozmowy przy stole... Jeremy spaja rodzinę. Jest dla nas wszystkim. Nie mogłem pozwolić, by czuł się źle, pozbawiony tego, na czym najbardziej mu zależało – wiedzy. Musiałem zapewnić odpowiednie środki dla jego rozwoju, przekonać, że warto zostać w domu, przy rodzicach, dlatego... – Ukrył twarz w dłoniach. – Dlatego ulegałem w pewnych kwestiach.

– W jakich kwestiach?

– Księgi. – odpowiedział cicho. – Sprowadzałem mu księgi. Ze stolicy, z Annoveru, Plattendorfu, czasem nawet spoza granic Imperiału, jeśli miał jakieś specjalne życzenie. Podawał tytuły – nie wiem, skąd je znał, pewnie dowiadywał się z innych pism – a ja opłacałem odpowiednich ludzi i po pewnym czasie dostawałem przesyłkę.

– Co to były za księgi? – Haxerlin powoli przystawił sobie krzesło i usiadł naprzeciw burmistrza.

– Różne. O anatomii, o religii, słowniki, podręczniki zielarskie... Jeremy interesował się wszystkim po trochu. Nawet zbudowałem mu na strychu małą pracownię. – Uśmiechnął się do jakiegoś wspomnienia. – Bawił się tam w warzenie mikstur. Krasnoludzki wentylator oczyszczał powietrze. Widziałeś chyba dzisiaj to ustrojstwo, a raczej jego resztki. Przydatna rzecz. W środku musiało być przewiewnie, żeby nikt się nie potruł od dymu i smrodu. A czasem śmierdziało, bo Jeremy przeprowadzał sekcje zwierząt. Tak, na to też wyrażałem zgodę. Psy, koty, gołębie... Nikomu nie robił krzywdy, pałętały się te przybłędy po całym mieście, a chłopak miał się na czym szkolić...

Haxerlin wyobraził sobie młodego Keizenhauera, jak ze skalpelem w dłoni nachyla się nad truchłem psa i przekrzywia na bok pucułowatą buźkę, z dziecięcą fascynacją wpatrując się w rozbebeszone wnętrze. W tej wizji było coś przerażającego.

– Przypomina pan sobie, kiedy ostatnio sprowadził jakąś specjalną księgę? I o czym traktowała?

Thomas pomasaował skroń.

– We wtorek minie miesiąc od dostarczenia paczki. To było zamówienie z Krainy Zdradliwych Piasków, mocno uderzyło mnie po kieszeni. A księga miała egzotyczny tytuł. Po zagranicznemu. *Necronarcotycon*? Jakoś tak.

Haxerlin wybałuszył oczy i otworzył usta w bezbrzeżnym zdziwieniu. Przez moment wyglądał naprawdę zabawnie.

– *Narconomicon*?

Burmistrz przytaknął.

– Jeśli miało czaszkę i czerwone szlaczki na okładce, to owszem. Oczy łzawiły od tych zawijasów, trudno było cokolwiek rozszyfrować, ale Jeremy wręcz skakał z radości,

kiedy ją dostał.

– Ja... Jakim prawem... – Haxerlin nie potrafił się wysłowić. – Skąd... To niemożliwe!

Od razu rozboleła go głowa. Wizja młodego Keizenhauera, przeprowadzającego sekcję psa została zastąpiona przez inny obraz: oto pulchny jedenastolatek, skąpany w blasku świec, klęczy na stryszku, pośrodku wyrysowanego pentagramu, i studiuje *Narconomicon*, arcyplugawą księgę Mrocznej Sztuki. Ten sam *Narconomicon*, który spisano krwią najszlachetniejszych ludzi minionych wieków i oprawiono później w skórę zarżniętych rytualnie niemowląt; *Narconomicon*, owoc szaleństwa niesławnego kalifa Hatecrafta, nieustanny obiekt westchnień przeróżnych nikczemnych nekromantów i wyklętych przez Gildię czarowników.

To, że ucierpiał tylko dom burmistrza, a Kampfsalat nie zostało zmiecione z powierzchni ziemi, trzeba przypisać temu samemu łutowi szczęścia, dzięki któremu artefakt cudem ominął chciwe spojrzenia magów z całej Insirii i znalazł się w posiadaniu zdolnego, rozpieszczonego dzieciaka z pewnego prowincjonalnego miasteczka.

Dzieciaka głodnego wiedzy, lubiącego eksperymenty. Na przykład te z przyzywaniem demonów.

Jedno z pomieszczeń ratusza przerobiono na pokój mieszkalny, gdzie tymczasowo przeniósł się burmistrz z małżonką. Na razie przebywali w nim Thomas i jego gość. Siedzieli przy nakrytym obrusem biurku i raczyli się skromną kolacją. Olga, wylewając morze łez, od razu po pożarze udała się do świątyni Kalambury i do tej pory nie opuściła jej murów. Wszystko wskazywało na to, że spędzi noc na modłach. Handlarz najlepiej ze wszystkich zdawał sobie sprawę, że boska interwencja w Kampfsalat byłaby jak najbardziej wskazana. Ale z bogami bywało różnie, dlatego ktoś musiał wziąć sprawę w swoje ręce. Z braku lepszych możliwości padło na Haxerlina.

– Nic nie znaleźli? Jesteś pewien?

– Tak. Wszystkie księgi ze strychu pochłonął ogień. Proszę sobie wyobrazić, że papier ma to do siebie – jest łatwopalny.

Keizenhauer z godziny na godzinę stawał się coraz bardziej zgryźliwy. Wcale nie przypominał już tego samego człowieka, który niedawno, łamiącym głosem, zwierzał się z niecodziennych pasji syna. Haxerlin nie miał mu tego za złe – każdy radził sobie z bólem na swój sposób.

– *Narconomiconu* nie da się tak łatwo zniszczyć. Chronią go potężne, starożytne zaklęcia. To znaczy, że zabrał go Krwiopij.

Znaczy to również, że kłopoty jeszcze się nawet nie zaczęły.

– Nie interesuje mnie żadna głupia książka! – Thomas uderzył pięścią w stół. – Chcę odzyskać dziecko. Możesz mi w tym pomóc czy nie?

– Nie wiem – przyznał uczciwie. – To sprawa dla Gildii, dla doświadczonych magów. Gdyby wysłać gołębia do Plattendorfu...

– Przyjechaliby najszybciej za kilka dni. Potem wydaliby mnie królewskiej straży i powiesili w centrum miasta. Może nawet obok Jeremy'ego, jeśli miałbym szczęście.

Zakładając oczywiście, że do tej pory... do tej pory... – Nie chciało mu to przejść przez gardło.

Mistrz Haxerlin się nie odzywał. Wiedział, że to bardzo prawdopodobny scenariusz. Z drugiej strony – zatajanie informacji o nielegalnych praktykach magicznych również groziło poważnymi konsekwencjami.

– Proszę. – Burmistrz przybrał łagodniejszy ton. Haxerlin domyślał się, ile tego dumnego człowieka musi kosztować prośba o pomoc. – Ty jeden orientujesz się w czarodziejskich sprawkach. Wynagrodzę ci trud, obiecuję. Jeremy to dobry chłopak. Niczemu nie zawinił... Potem zrobisz, co zechcesz. Jeśli doniesiesz na mnie Collegium, jestem gotów ponieść odpowiedzialność, ale błagam, cokolwiek zdecydujesz, nie mieszaj w to mojego syna. Mogę nawet odgrywać przed sądem krwiożerczego kaosytę i zeznać, że odprawiałem w domu obrzędy ku czci Szalonego Boga. Wszystko, żeby tylko ochronić Jeremy'ego. Kocham go nad życie. Dlatego proszę raz jeszcze. – Złapał handlarza za ramię i rozpaczliwie ścisnął. – Jesteś moją jedyną nadzieją, Mistrzu Haxerlinie.

Kupiec w głębi ducha miał dobre serce, wrażliwe na ludzką krzywdę, i właśnie załapała go fala współczucia. Chociaż nie, „fala” to zbyt duże słowo, powiedzmy, że podmył go strumyk współczucia. Niewielki strumyk, bo jego duch obsyty był grubym płaszczem tchórzostwa i egoizmu, tłumiącym podobne odruchy. Ziarenku empatii udało się jednak naruszyć warstwę ochronną i nieśmiało przebić do wewnątrz.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Westchnął. – Ale ostrzegam: polowanie na byty z Otchłani nie należy do najbezpieczniejszych zajęć. W sumie – dodał po chwili namysłu – to nie należy nawet do tych średnio bezpiecznych. Nie jestem demonologiem, nie mam pojęcia, gdzie udają się Krwiopije i co też z reguły porabiają na powierzchni; zgaduję, że jeśli mag nie dysponuje mocą zdolną zatrzymać demona w kręgu, to zaczyna się rzeź i pożoga. W tym przypadku nic takiego się nie zdarzyło. – Jeszcze, uzupełnił w myślach. – Inaczej dawno byśmy wiedzieli. Masowe rzezie i płonące budynki rzucają się w oczy.

– Zatem co się stało? Kto odrąbał Krwiopijowi róg? I dlaczego ten stwór uprowadził Jeremy'ego?

Haxerlin starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o demonach. Nie było tego dużo. A to, co wypływało z odmętów pamięci, nijak nie pasowało do sytuacji.

– Może chodziło o pakt? – zapytał bez większego przekonania.

– Pakt?

– Po to ludzie bawią się w to całe przywoływanie. Pragną ubić z demonem interes. Rzecz opiera się na zasadach tradycyjnej transakcji – obiecujesz złożyć ofiarę, napoić biesa krwią czy czego one tam mogą jeszcze pragnąć, a w zamian otrzymujesz dostęp do zakazanej wiedzy albo artefaktu, jeśli demon wykopał w Otchłani coś ciekawego.

Musiało się tam walczyć trochę Mieczy Posępnego Czerepu, bo Haxerlina co chwilę dochodziły słuchy, że przynajmniej sześciu bohaterów Insirii posługuje się identycznym artefaktem, a tylko dwóch mieszka po sąsiedzku. Może produkowali je hurtowo w specjalnej piekielnej kuźni?

– Więc mój syn odprawił rytuał, chciał ugadać się z Krwiopijem i coś poszło nie tak?

Nie no, skądże! Przecież miał aż jedenaście lat, korzystał z *Narconomiconu*

i pewnie wyrysował piękny krąg ochronny, dokładnie według wskazówek zawartych w *Okultyzmie dla małych i dużych*. Jak mogło się nie udać?

– Mniej więcej. – Haxerlin znowu westchnął. – Chociaż to tylko teoria. Tak naprawdę przyzwanie mogło być dziełem przypadku. Jeremy czytał *Narconomicon*, ziewnął, a obok zmaterializował się demon. Ot, cała historia, równie prawdopodobna jak każda inna. Co oczywiście nie tłumaczy obecności tego przeklętego rogu.

– Rok temu, z okazji Dnia Imienia, podarowałem mu miecz. – Wtrącił się Keizenhauer. – Trzymał go na strychu, razem z księgami, zabawkami, aparaturą alchemiczną i resztą akcesoriów. Czy to możliwe, żeby...? – Na chwilę pokraśniał z dumy.

To, co w oczach burmistrza jawiło się jako przejaw niezwykłego męstwa, dla Haxerlina zakrawało na absurd: chłopiec toczący epicką walkę z demonem. Walkę, w której niesamowitym zbiegiem okoliczności pozbawia go rogu. Wątpił, czy jakikolwiek dzieciak byłby do tego zdolny, nawet jeśli Krwiopij leżałby związany na ziemi.

– Raczej nie. Musiałby dysponować ogromną siłą. Myślę, że jeśli przez poddasze nie przechodził akurat królewski czempion, to przyczyna utraty rogu tkwi gdzie indziej.

– To część paktu?

Handlarz spojrział na niego z uznaniem.

– Niegłupie. Zakładając, że przyzwanie było celowe. Tylko do czego Jeremy'emu potrzebny byłby róg... A demonowi Jeremy? – Postukiwał nożem w biurko. – Gdzie ten szubrawiec zniknął? Nie mógł rozplątać się w powietrzu. To znaczy teoretycznie mógł, jak to demon, ale nie przeciągnąłby na drugą stronę chłopaka. Są gdzieś razem, tylko gdzie i po co? Za dużo pytań, brak odpowiedzi

– Pieter, Dieter i Eberhard patrolują miasto. To moi zaufani ludzie. Pokazałem im rycinę Krwiopija, wiedzą, kogo szukać. Robili dobrą minę do złej gry; zakładali się, kto pierwszy ubije bestię, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby omijali co ciemniejsze zakątki i na wszelki wypadek nie zaglądali do kanałów.

– Bardzo rozsądnie z ich strony. – Haxerlin myślał intensywnie. – Wczujmy się w sytuację, dobrze? Jesteś demonem. Wylegujesz się w grocie, położonej przy malowniczym zbiorniku lawy, roztrząsasz diabelskie sprawy, aż tu nagle dostajesz wezwanie na plan śmiertelników. Wyśmienicie, małe urozmaicenie dnia. Zastanawiasz się, jakież to czarownik cię potrzebuje i co będzie przedmiotem transakcji. Chcesz pokazać się w pełnej krasie. Przybywasz więc w oparach siarki, przybierasz dumną pozę, prężysz rogi, słowem: demoniczny profesjonalizm, i widzisz stojącego przed tobą dzieciaka, który obdarza cię tym samym ciekawskim spojrzeniem, jakim oceniał psy i gołębie na stole sekcyjnym. W pokoju nie palą się czarne, rytualne świece, ale zwyczajne świeczki podkradzione mamie z nocnej szafki; pentagram to prosta kalka pięciokąta z najtańszego podręcznika magii; symbole ochronne wyrysowano w dziesięć minut, na chybcika, nawet nie używając pobłogosławionej kredy. Totalna amatorszczyzna! Widzisz to wszystko i zbiera w tobie nieokiełznana złość. Masz ochotę zabić szczeniaka, który kpi z ceremonii, nie szanuje cię, traktuje jak zabawkę. Już chcesz mu się rzucić do gardła, już otwierasz paszczę, kiedy nagle w dłoniach ofiary rozpoznajesz *Narconomicon*. Wahasz się przez moment. O co tu chodzi? To jakiś żart? Dzieciak wykorzystuje przewagę i... robi coś.

Cokolwiek to było, odcina ci róg. Ryczysz z bólu: „Uuuu!”, jak opisywał to Syf. Wpadasz w panikę. Płomienie, które buzują w twoim ciele, wymykają się spod kontroli. W pomieszczeniu wybucha pożar. Doskakujesz do chłopaka, chwytasz go, dyszysz, para bucha ci z gęby, jesteś zdezorientowany... Co robisz?

– Wracam z nim do tej choleralnej groty – odezwał się grobowym głosem Keizenhauer. Wczuł się w rolę. – Boję się. Pragnę spokoju, muszę zebrać myśli. Brakuje mi dusznego powietrza i lawy.

– Pamiętaj, nie możesz wziąć tam ze sobą młodego. Ale przecież nie zabijesz go ani tym bardziej nie puścisz wolno, póki nie dowiesz się, co właściwie zaszło. Działasz szybko. Zaraz pożar ściągnie ludzi, a ty jesteś osłabiony.

– Więc uciekam gdziekolwiek. Szukam ciepła. Potrzebuję namiastki Otchłani, by prze... – Urwał w połowie zdania i zerwał się na równe nogi. Oczy mu się zaświeciły. – Świątynia Kalambury. Kapłanki nieustannie podtrzymują święty ogień. Albo Królewski Arsenał. W kuźni jest gorąco.

– Jesteś esencją zła, nie dasz rady przekroczyć progu kościoła. Zostaje kuźnia. – Haxerlin wstał z miejsca i uśmiechnął się. – Genialny trop. Byłby z ciebie świetny demon.

– Bogowie, co teraz? – Keizenhauer odruchowo sięgnął po sztylet przy pasie. – On tam dalej jest. Czuję to. Ruszajmy!

Haxerlin przytrzymał burmistrza za ramię.

– Spokojnie. Nawet jeśli to prawda, nie wparujemy do kuźni uzbrojeni w kordzik i klepsydrę na mojej szacie. Poślij po tych zaufanych ludzi. Niech poproszą kalamburki o wodę święconą. I na wszelki wypadek lepiej, żeby najwyższa kapłanka pobłogosławiła ich broń.

– Ile manierek napełnić?

– Manierek? – Kupiec pogładził się po podbródku. – Przynajmniej dwie beczki. To cholerstwo jest duże.

– Słyszałem, że wiesz ze sobą wodę ze Źródła Światła. Może ją też zabrać?

Haxerlin nie chciał wyprowadzać burmistrza z błędu. Polowanie na demona polowaniem na demona, a interesy to interesy. Woda, którą trzymał na wozie Cudów i Dziwów, mogła Krwiopija co najwyżej zmoczyć. Zapas „cudownego napoju czerpanego ze Źródła Światła” uzupełniał za każdym razem, kiedy przekraczał Wstęgę, największą rzekę Imperiału.

– Ta ze świątyni będzie lepsza. Załatw wszystko, a ja się przygotuję. Spotkajmy się tu za pół godziny.

Kiedy Thomas zrywał się do biegu, Haxerlin rzucił na odchodne:

– Ach, jeszcze jedno. Jak spotkasz Olgę, powiedz, żeby się za nas modliła.

Nie darzył bogów zbyt dużym zaufaniem, bo i dotąd nie dali mu ku temu powodów, ale przecież każdy zasługuje na drugą szansę. Albo i trzecią. No, w każdym razie kolejną.

– Wszyscy gotowi?

Pieter, Dieter i Eberhard potwierdzili cichym mruknięciem. Haxerlin nie mógł odróżnić, który jest który, bo w zamkniętych hełmach i uniformach straży wyglądali

niemal identycznie. Zdawało się, że jeden bardziej śmierdzał cebulą od pozostałych, ale to wszystko. Dwóch niosło beczkę z wodą święconą – niestety kapłanki Kalambury nie wydały im więcej płynu, domagając się wyjaśnień, a było zbyt dużo do tłumaczenia. Trzeci strażnik trzymał pochodnię i przyświecał nią w ciemności.

Burmistrz przywdział rodową zbroję Keizenhauerów, upodabniając się do żelaznego golema. Przez plecy przewiesił dwuręczny młot, który jeszcze rano wisiał nad kominkiem w jego salonie, a używany był tylko do ceremonialnego bicia w dzwon, które oznajmiało nadejście w Kampfsalat pierwszego czwartku nowego roku. Broń przetrwała pożar, co oznaczało, że jeśli Thomas wyjdzie cało ze spotkania z demonem, bezsensowna tradycja ma szansę być kontynuowana.

Haxerlin szedł na przedzie oddziału, ubrany w swoją starą, purpurową szatę. Burmistrz proponował mu założenie kolczugi, ale kupiec doszedł do wniosku, że w razie czego pancerz będzie spowalniał ucieczkę. Zadowolił się sztyletem, nie przypuszczał jednak, że w bezpośrednim starciu równie dobrze można by rzucić w demona pączkiem.

– Widać dym z kuźni. Jeśli faktycznie jest tam Krwiopij, trzymajcie się planu – poinstruował ekipę, powoli pociągając za kłamkę Królewskiego Arsenału.

– Niech Wojnar ma nas w opiece. – Keizenhauer nakreślił ochronny znak w okolicy serca.

– Dobrze by było – mruknął Haxerlin. – Zamknięte. Próbuje.

Jeden z ludzi burmistrza – Pieter, Dieter albo Eberhard – podszedł bliżej i pomajstrował wytrychem przy zamku. Umiejętności kampfsalackiej straży zadziwiłyby niejednego kampfsalackiego łotrzyka.

Po chwili Królewski Arsenał stanął otworem. Haxerlin, z duszą na ramieniu, przestąpił próg. Za nim wkroczył strażnik z pochodnią, potem cała reszta.

W głównym pomieszczeniu panował półmrok. Oddział stapał powoli, uważnie stawiając kroki, by nie poruszyć porozstawianego wszędzie żelastwa. Z zaplecza biła lekka poświata i słychać było trzaskanie ognia. Kuźnia nie pracowała w tych godzinach, ale mimo to ktoś był w środku.

– Na trzy – szepnął. – Raz, dwa...

Pierwszy wpadł na zaplecze Keizenhauer, dzierżąc w dłoniach olbrzymi młot. Jego okrzyk bojowy prawie ogłuszył Haxerlina, który uskoczył z drogi, żeby przepuścić dwóch strażników z beczką. Wbiegł zaraz za nimi.

To, co zastali w środku, nie wyglądało ciekawie.

Pod ścianą leżało ciało mężczyzny w roboczym fartuchu, całe zbryzgane krwią. Z jego klatki piersiowej sterczał pogrzebacz, na którym trup kurczowo zaciskał palce, jakby nie zwrócił uwagi na to, że umarł, i dalej próbował szarpać się z prętem. W powietrzu czuło się jeszcze zapach przypalonego mięsa. Kiedy pogrzebacz przebijał ciało kowala, stal musiała być rozpalona do czerwoności.

W rogu pracowni znajdowało się ogromne palenisko, nad którym ofiara obrabiała niegdyś metal. Teraz było zajęte. Na rozżarzonych do czerwoności węglach, siedział ze skrzyżowanymi nogami nastolatek. Jak gdyby nigdy nic kartkował *Narconomicon*. Rzucił drużynie nieprzychylnie spojrzenie, wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem i wrócił do lektury.

Keizenhauer upuścił broń na ziemię i na drżących nogach podszedł bliżej.

– Jeremy! Tak się o ciebie martwiłem. Bogowie, co tu się stało? Chodź do mnie!

– Odejdź. Zostaw mnie w spokoju. Wszyscy zostawcie – odburknął dzieciak, nawet nie podnosząc wzroku.

– Jeremy... – Burmistrz opadł zrezygnowany na kolana i wyciągnął ręce przed siebie. Żar bijący z paleniska odcinał mu dalszą drogę do syna.

Pieter, Dieter i Eberhard spoglądali głupio jeden na drugiego (i na trzeciego), nie wiedząc, jak się zachować. Tego nie było w planie.

Pod drzwiami stał Haxerlin i ciężko dyszał. Dysponował talentem dostrzegania szczegółów, których inni nie widzieli. Kiedy znalazł się na zapleczu, pierwszym, na co zwrócił uwagę, wcale nie był zaszlachtowany kowal ani obiekt ich poszukiwań, który siedział w palenisku, nabywszy tajemniczej odporności na ogień. Rzucił mu się w oczy pewien detal.

Jeremy nie miał prawego ucha. I to tłumaczyło prawie wszystko.

Chłopiec przesunął palcem po stronicy, jakby szukał jakiegoś konkretnego fragmentu. Nagle zamarł w bezruchu, powoli podniósł głowę i rozejrzał się po kuźni.

– Jeszcze tu jesteście? – Zamknął *Narconomicon* i położył na węglach. Ogień wydawał się przenikać przez smoliście czarną okładkę, nie czyniąc artefaktowi żadnej szkody. – Głupcy, mieliście okazję uciec. Więcej problemów, tak, tego właśnie było mi trzeba – dodał pod nosem.

Wstał, otrzepał rękaw koszuli z iluzorycznego pyłku i przymknął powieki. Otwarte dłonie położył na piersi. To był przerażający widok: słodki jedenastolatek, trochę zbyt grubiotki jak na swój wiek, o pucułowatej twarzyczce i głosiku aniołka, zastyga w dziwacznej pozie na tle morza płomieni.

– Jestem...

– ...Bo'akh–Bonthuzel, Ten, Który Spala Światy, Krew na Języku, prawa ręka Xanxanmora, władcy czwartego poziomu Otchła...

– Cześć, Bobo. Jestem Jeremy.

Bo'akh–Bonthuzel otworzył czarne ślepie. Miał w zwyczaju wygłaszać Deklarację Przybycia z zamkniętymi oczami i łapami skrzyżowanymi na potężnym korpusie. Potęgowało to mistyczny nastrój.

Przed nim stał jakiś bachor. W ogóle nie wyglądał na przerażonego; trzymał dłonie za plecami i uśmiechał się tak słodko, jakby nawąchał się oparów szałotrawia. Albo był niespełna rozumu, albo ktoś faktycznie nafaszerował go narkotykiem. Czyżby to ofiara przygotowana przez maga? Obliznął się na samą myśl o uczcie.

– Ale masz długi język, Bobo.

– Zamilcz, człecze szczenię.

Rozejrzał się po pracowni w poszukiwaniu czarodzieja, by ustalić szczegóły paktu. To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. A Bo'akh–Bonthuzel rzadko się dziwił.

Przy alembiku alchemika „pał się” mechaniczny konik, jedna z popularnych zabawek konstruowanych przez krasnoludy, a obok, na zawałonym księgami stole,

figurki rycerzy toczyły właśnie bitwę z hordą miniaturowych goblinów. *Grimuar poznania* VaLeya służył tym pierwszym za balistę. W misie ze zwierzęcą krwią, której użyto do wyrysowania pentagramu, pływała nadgryziona do połowy lodowa pałeczka. Sam magiczny symbol na podłodze też wyglądał groteskowo – zamiast znaków ochronnych jego wierzchołki ozdobiono rycinami roznegliżowanego, długowłosego mężczyzny z mieczem.

– Co to ma być?! – Bo’akh–Bonthuzel nadział na szpon jeden z rysunków. Rozzłoszczony demon nawet nie zarejestrował faktu, że bez problemu wyszedł ze środka pentagramu, który dotąd zawsze stanowił dla niego nienaruszalną barierę.

– Bobo, nie widziałeś nigdy Kordaka? – zdziwił się chłopczyk. – To największy bohater na świecie.

– Nie nazywaj mnie tak, przeklęty worku mięsa! Jestem...

Plask!

Rozdziawił paszczę, prezentując rządęk ostrych, śmiertelnie niebezpiecznych kłów, których jedno kłapięcie mogło przełamać ludzkie kości w pół. Tym razem nie była to jednak zapowiedź rychłego ataku. Bo’akh–Bonthuzel przez moment był żywą ilustracją powiedzenia „szczęka mu opadła ze zdziwienia”. Nie jest przecież nigdzie powiedziane, że ten ktoś nie może być blisko trzymetrowym demonem.

Po gabinecie latał gołąb. Przedstawiciel najgłupszego gatunku ptaków za nic miał renomę Tego, Który Spala Światy. Właśnie zrobił to, co z reguły robią gołębie. Prosto na łeb demona.

Jeremy zachichotał.

Z krwistoczerwonych nozdrzy strzeliły języki ognia. Miarka się przebrała. Bo’akh–Bonthuzel nigdy nie czuł się tak upodlony.

– WYSZARPIĘ CI SERCE, LARWO! TWOJA CZASZKA...

Nie zdążył dokończyć, że posłuży mu za kielich, bo naraz wydarzyło się kilka rzeczy.

Jeremy poruszył dłońmi. Najpierw lewą. Sznurek, trzymany przez cały czas dyskretnie za plecami, naprężył się i przesunął w dół dźwignię, do której chłopiec wcześniej go przywiązał. Krwiopij usłyszał za sobą ciche kliknięcie, a potem rozległ się dźwięk pracujących turbin. Poczul na karku podmuch powietrza. Zanim zdążył się obrócić, Jeremy z całej siły pociągnął za linkę w drugiej ręce. Domowy wentylator, pozbawiony osłony zabezpieczającej, zwałił się z wnęki w ścianie prosto na rogaty łeb Bo’akh–Bonthuzela. Demon na własnej skórze mógł się przekonać, dlaczego producent kategorycznie zabraniał jakiegokolwiek majstrowania przy drucianej siatce, która kryła trzy wirujące ramiona, i zrzekał się prawnej odpowiedzialności za szkody powstałe w przypadku zignorowania ostrzeżenia.

– Uuuuu! – zawył, łapiąc się za głowę. Szponiastą łapą wymacał małą wypustkę w miejscu, z którego jeszcze chwilę temu wyrastał dziesięciocalowy róg.

– Nie ruszaj się, Bobo.

Kłęczący na podłodze Krwiopij uniósł wykrzywioną nienawiścią paszczę i zobaczył coś, co sprawiło, że przeraził się jeszcze bardziej.

– Tę część, kiedy boli, mamy już za sobą. – Jeremy trzymał otwarty *Narconomicon*

i wciąż uroczy się uśmiechał. – Teraz przechodzimy do tej, kiedy boli troszkę bardziej.

Wyrecytował formułkę w nieznanym demonowi języku. Bo'akh–Bonthuzel poczuł, że jego ciało rozrywa się na kawałki, jakby ogień, który krążył w diabelskich żyłach, nagle stał się przekleństwem. Jakaś niewidzialna siła wysysała go na zewnątrz. Ryknął przeraźliwie. Żadna istota nie mogła znieść takiej dawki cierpienia. Płomienie buchnęły z jego piersi, z potężnych ramion, z nóg, łap i zakończonych szponami stóp. Przestał panować nad własną mocą, stał się niewolnikiem bólu. Zamknął oczy, wijąc się w konwulsjach.

Kiedy myślał, że lada moment eksploduje, agonia niespodziewanie minęła.

Otworzył oczy. Pokój płonął, a Bo'akh–Bonthuzel spojrzał na podnoszącego się z klęczek samego siebie.

– Ojejku, nie mam ucha. – Wymierzył pazurem w jego stronę. – O tym nie pomyślałem. Tak czy siak, dzięki, Bobo. Jak spotkasz tatę, powiedz, żeby się nie martwił. Pa.

I Jeremy-Krwiopij zniknął.

Przez chwilę trwał bez ruchu jak posąg. Przystawił do oczu swoje mięciutkie ręce, dotknął pyzatej buźki. Płomienie w dalszym ciągu były jego przyjaciółmi, ale już nie wypełniały go od środka. Świadomość tego, kim się stał, przygniatała jak dwutonowy balast.

Rozejrzał się po pokoju; zaszczute zwierzę przyparte do muru, szukające drogi ucieczki. *Narconomicon!* Chciwie przytulił go do piersi. Potrzebuje kryjówki. Dowie się, jak odwrócić proces. Dowie się i...

Zacisnął małą pięść i zbiegł na dół, myśląc o rzece krwi, jaką wytoczy z tego ścierwa.

– ...prawa ręka Xanxanmora, władcy czwartego poziomu Otchłani. Niech wasze mięso odpadnie od waszych kości! – Otworzył szeroko oczy i wymierzył palec w kierunku przerażonych strażników.

Nie wydarzyło się absolutnie nic.

– Tako rzekłem!

Po pięciu kolejnych sekundach dalszego nicniedziania, Bo'akh–Bonthuzel opuścił dłoń i chrząknął.

– Dobrze, daję wam ostatnią szansę. Odejdźcie stąd albo poczujecie gniew samego piekła.

Mistrz Haxerlin miał inny plan.

– Woda święcona! Teraz!

Pieter, Dieter albo Eberhard sięgnął do toporka przy pasie i rozbił wieko. Pozostali złapali beczkę i chlusnęli świętym strumieniem prosto w palenisko.

Rozległ się syk gaszonych węgli, a pomieszczenie zniknęło w kłębach pary. Wszyscy zaczęli pokasływać. Gdy dym trochę się przerzedził, oczom kupca ukazał się zmoczony Krwiopij-Jeremy, próbujący nieudolnie ukryć się za kowadłem.

– Panie Keizenhauer, proszę go przytrzymać.

Skonfundowany burmistrz złapał chłopczyka za kołnierz i uniósł do góry.

– Zostawcie mnie, głupi śmiertelnicy! – Pochwycony dzieciak machał śmiesznie nogami. – Zarżnę wasze matki i wykąpię się w ich krwi!

– Nie wyrażaj się tak o babci. – Thomas powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Haxerlin zabrał Jeremiemu *Narconomicon*, co było proste jak... no, jak zabranie czegokolwiek dyndającemu w powietrzu dziecku.

– Co zrobiłeś chłopcu? Mów!

– Ja? – Krwiopij przestał się miotać. – Co JA zrobiłem temu bachorowi?!

Zaczął opowiadać, a oni słuchali. W połowie musieli zrobić małą przerwę, bo Bo'akh–Bonthuzel tak pociągał nosem, że nie dało się go zrozumieć. Haxerlin pomyślał, że lepiej by było, gdyby zamiast sztyletu wziął chusteczki. Tak to już bywa z planowaniem – choćbyś nie wiem jak się starał, zawsze o czymś zapomnisz.

– Więc twój syn zajmuje teraz ciało demona... – zagaił Haxerlin tonem niezobowiązującej pogawędki. – Spryciarz z niego, nie?

Thomas Keizenhauer spojrział na kupca bez słowa. Momentalnie przeszła mu ochota na rozmowę. Dalszą drogę do ratusza pokonywali w ponurym milczeniu.

Bo'akh–Bonthuzel szedł z tyłu pomiędzy parą strażników, z nosem spuszczonej na kwintę. Pochód zamykał Pieter, Dieter albo Eberhard, śledzący każdy ruch chłopaka. Mimo że demon nie dysponował już mocą, w kuźni pokazał, do czego jest zdolny, kiedy dysponuje chociażby rozgrzanym pogrzebaczem.

Haxerlin nie wiedział, co dalej. Jeremy mógł być wszędzie – zwiedzać Otchłań, podziwiać starożytne budowle w Krainie Zdradliwych Piasków albo żartować z przywoływaczy, którzy chcieli podpisać z nim pakt. Bądź co bądź, w głębi pozostał ciekawym świata jedenastoletkiem, który zdobył prawie nieograniczone możliwości.

– Jutro pomyślimy, co robić – odezwał się Keizenhauer, gdy stanęli pod drzwiami.

– Może w *Necronarcotyconie* znajdziemy odpowiedź.

– Mhm, chociaż nie wiem, czy...

Kiedy wszedł do komnaty, urwał, jakby dostał obuchem po głowie.

Nie musieli daleko szukać. Jeremy siedział przy tym samym biurku, przy którym burmistrz i kupiec niedawno jedli kolację. Podstawił sobie aż dwa krzesła. Obok uwijała się radosna Olga, szczebiocząc wesoło i co chwila gładząc psi pysk demona.

– Bogowie... – Thomasowi zabrakło języka w gębie.

Kobieta spojrzała w kierunku drzwi. Uśmiechnęła się.

– Tak, kochany. Nasz synek wrócił i wszystko opowiedział. Bogowie wysłuchali moich modlitw.

– Dziękuję, nie ma za co – burknął Haxerlin.

– Cześć tatusiu. – Krwiopij wstał. Jedyнным pozostałym rogiem prawie zawadzał o sufit. – Nie złość się. Nie wiedziałem, że już jest tak ciemno... – Przeszł o skręcony z łapy na łapę. Na podłodze zostawiał wgłębienia po szponach.

Haxerlin pierwszy raz w życiu spotkał demona, do tego tłumaczącego się rodzicom

z późnego powrotu do domu. Coś takiego nie zdarza się codziennie.

– O, Bobo. – Dostrzegł rzucającego się w przejściu dzieciaka, który próbował wyrwać się strażnikom. – Jak tam?

– Zabiję cię, głupcze! Rozszarpię!

– Nie strasz mojego syna. – Keizenhauer zgromił go spojrzeniem. – Jeremy... – Podszedł do Krwiopija i wziął go w objęcia. – Coś ty najlepszego narobił?

– Jesteś zły? – Demon odwzajemnił uścisk. Rozległ się metaliczny zgrzyt, kiedy pazury przejechały po zbroi. – Teraz mogę zwiedzać świat, tato. Widziałem świątynię Geshany w Rycie, goniłem dzika, ale miał wielkie kły, naprawdę! Zobaczyłem pomnik Kordaka, potem góry Źródła Światła...

– Przyniósł nam trochę magicznej wody – wtrąciła Olga. – Kochany synuś.

– ...i kiedy zechcę, przenoszę się od razu do domu. Tylko dzisiaj zeszło mi dłużej...

Nie gniewaj się, proszę.

– Krwiopije nie proszą, robaku! Krwiopije niszczą!

Pieter, Dieter albo Eberhard palnął dzieciaka w łeb.

– Czemu nic nie powiedziałeś? Umieraliśmy z matką ze strachu. Nasz dom spłonął...

– Przepraszam, ale...

– Krwiopije nie przepraszają!

Pieter, Dieter albo Eberhard powtórzył manewr sprzed kilku sekund.

– ...ale wiem, że byście się nie zgodzili, tatusiu. A dom odbudujemy. W Otchłani jest dużo skarbów. Przyniosę coś i sprzedamy. Widziałem tam bardzo ładne miecze.

Keizenhauer westchnął.

– Już dobrze, najważniejsze, że nic ci się nie stało. Poza uchem, ale sprawimy ci jakiś modny kapelusz i nikt się nie zorientuje. Kiedy wrócisz do normalnej postaci?

– Tak! Zabierz ten worek mięsa i oddaj, co moje, a piekło, jakie tu zgotuję...

– Zamknij się! – krzyknęli wszyscy dorośli jednocześnie.

– Właśnie, tatusiu... – zaczął Krwiopij nieśmiało. – Chodzi o to, że... no... z tego, co przeczytałem, a troszkę tego było, wynika, że Większe Związanie Hatecrafta jest nieodwracalne.

– Co?!!! – Bo'akh–Bonhuzel splunął kropelkami śliny. – Ty zawszony człeczyno, ty ścierwojadzie...

Olga uniosła ostrzegawczo palec.

– W tym domu nie używamy brzydkich słów.

– To znaczy, że... – Keizenhauer posmutniał i chwilę analizował sytuację. – Już zawsze będziesz taki?

– Tak, tatusiu... Ale przecież wygląd nie jest najważniejszy, sam tak mówiłeś, kiedy dzieciaki śmiały się z Susie Odstające Uszy. Liczy się to, co mamy w serduszkach. A moje serduszko bardzo was kocha...

Bo'akh–Bonhuzel zaskomlał jak pies, słysząc, jak z jego demoniej paszczy dobiega wyznaczenie miłości, nie wspominając już o wyrazie „serduszko”.

– Wszystko przemyślałam – trajkotała Olga. – W nowym domu zbudujemy specjalną piwnicę, żeby nikt nie nachodził Jeremiego. Codziennie będzie wracał na

kolację. Zamontujemy mu krasnoludzkie grzewniki. Lubi teraz przebywać w ciepłe. I jeść mniej dopieczone mięso.

– Synku... – Thomas spojrział w czarne oczy demona. Musiał unieść głowę; Krwiopij był wyższy od rosnącego mężczyzny o dobre trzy stopy. W gadzich ślepiach burmistrz dostrzegł własne odbicie. Odbicie ojca gotowego do poświęceń. – Też bardzo cię kocham. – Uśmiechnął się. – Oboje z mamą cię kochamy.

Cała trójka padła sobie w objęcia.

Mistrz Haxerlin przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu. Zastanawiał się, czy cokolwiek w życiu jeszcze go zaskoczy.

Nie musiał długo czekać, by dowiedzieć się, że i owszem.

Wóz powoli pokonywał milę za milą. Handlarz podziwiał widoki i cieszył się błogim spokojem. Z drzew dobiegał miły dla ucha trzask ptaszków. Wioska Snog, następny przystanek w niekończącej się trasie Cudów i Dziwów, leżała jeszcze dobre pół dnia drogi. Nigdzie mu się jednak nie spieszyło. Po zapłacie od Keizenhauera, przed której przyjęciem wzbraniał się tylko chwilę, mógł sobie pozwolić na zwłokę. Dzień był piękny, a Haxerlin lubił powozić i wystawiać twarz na działanie słonecznych promieni.

– Daleko jeszcze? – Z tyłu dobiegło znajome jojczenie.

– Tyle, ile przedtem, minus jakieś piętnaście minut. Brawo, chyba pobiłeś swój rekord nieotwierania ust.

– Nie możesz pogonić tej szkapy? Zgłodniałem. Masz tu coś do jedzenia?

Rozległy się dźwięki przerzucanego żelastwa.

– Tylko niczego nie zniszcz.

– Połowa tych rzeczy jest zniszczona! Widziałeś ten hełm? Można w nim odcedzać wodę!

– Dlatego reklamuję go też jako durszlak. Takie dwa w jednym. – Podrapał się po nosie. – Aha, i jeśli znajdziesz jakieś paszteciki, nie jedz ich. Dla własnego dobra.

Usłyszał odgłosy plucia.

– Ostrzegłem, Bobo.

– Nie nazywaj mnie tak, bo poderżnę ci gardło, człeczyno!

– Mam ci o czymś przypomnieć?

Odpowiedziało mu obrażone mamrotanie. Haxerlin uśmiechnął się i wrócił myślami do ostatnich wydarzeń.

Winą za pożar obarczono kowala. Burmistrz Kampfsalat pełnił jednocześnie obowiązki kapitana straży miejskiej, dlatego śmierć właściciela Królewskiego Arsenалу bez problemów zaprotokołowano jako wyjątkowo brutalne samobójstwo. Biedaka zabiły wyrzuty sumienia, to oczywiste.

Odmieniony Jeremy wrócił na łono rodziny, ale Keizenhauer nie miał pojęcia, co zrobić z prawdziwym demonem. Zabójstwo nie wchodziło w grę, wszak jakby nie patrzeć, w dalszym ciągu byłaby to egzekucja dziecka. Nikt z wtajemniczonych w sprawę nie chciał gościć Tego, Który Spala Światy pod swoim dachem. Nawet jeśli obecnie wyglądał jak cherubinek, nie przeszkadzało mu to w składaniu żarliwych deklaracji, że

rychło zostanie Tym, Który Spali To Przeklęte Miasto, A Już Na Pewno Twoją Chałupę, Głupcze. Eberhard (jak się okazało, to on najbardziej śmierdział cebulą) zaproponował, że można przetrzymywać chłopaka na najniższym, zamkniętym poziomie kanałów, co spowodowało litanię przekleństw, łączą przodków strażnika aż do siódmego pokolenia wstecz. Stało na tym, że demona pod swoje skrzydła przygarnie obwoźny sprzedawca artefaktów. Argumentem przetargowym okazał się być róg Krwiopija. Burmistrz oddał go Haxerlinowi w zamian za obietnicę wywiezienia przybysza z Otchłani jak najdalej od miasta. Złorzecząc na czym świat stoi, i odgrażając się okrutną zemstą, demon przystał na propozycję. Wszystko było lepsze niż kanały. Dla bezpieczeństwa Haxerlin podpisał z Bo'akh-Bonthuzelem Pakt o Nieagresji i Przewoźnictwie: on zaoferował darmowe przejazdy wozem Cudów i Dziwów, a prawa ręka Xanxanmora poprzysięgła nie nastawać na jego życie. Końcowy przypis głosił, że jeśli Krwiopij zechce odejść i ruszyć w swoją stronę, ma do tego prawo, ale ustalenia paktu nie wygasną. Demony przywiązywały ogromną wagę do dobijanych targów, nawet jeśli podpis pod dokumentem składały ręką jedenastoletniego chłopca.

Po całym dniu podróży morderczy zapach Bo'akh-Bonthuzela trochę opadł. Znudziło mu się ciągle wygłaszanie płomiennych tyrad, w których to uśmiercał rodzinę Keizenhauerów na setki różnych sposobów i niezliczonymi metodami konsumował ich ciała. Gdyby Haxerlin zapisywał te przemowy, zebrałby pokaźny zbiór przepisów kulinarnych. Nie zapowiadało się jednak na to, by Bobo miał zrealizować groźby – poza odpornością na ogień utracił wszystkie demoniczne moce, nie tracąc, niestety, nic z demonicznego charakteru.

– Nie wybierasz się przypadkiem na ziemie Białokresu? Grasuje tam mój stary znajomy. Gdybym go... poprosił... – skrzywił się, jakby połknął pajaka – ...może powiadomiłby Xanxanmora i wspólnie rozgryźlibyśmy to Większe Związanie Hatecrafta.

Mistrz Haxerlin przyjrzał się swoim butom. Nie wyglądały apetycznie.

– Raczej nie.

– Sam pojedę, zobaczysz! Tylko niech ten worek mięsa podrośnie... – Obrażony położył się z tyłu wozu, opatulając Futrem Likantropa.

Kupiec znowu rozkoszował się ciszą. I znowu zdecydowanie zbyt krótko.

– Po co trzymasz tu łopatę? Dorabiasz jako hiena cmentarna?

– To Łopata Skarbu – odpowiedział znużonym tonem. – Jeśli ktoś ma mapę, to odkopie za pomocą tego ustrojstwa skrzynię ze złotem.

– Na Kaosa, a podobno to ja jestem potworem...

Wóz powoli zbliżał się do rzeki. Została jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Za róg Krwiopija mógł utargować naprawdę niezłą sumkę, ale...

Koła wtoczyły się na drewniany mostek.

– O, czy to nie Jeremy pomaga właśnie wieśniakowi ciągnąć furmankę?

Demon zerwał się na równe nogi.

– Co? Gdzie?! Ty marny robaku, stanę się pośmiewiskiem całego piekła! Wypatroszę cię jak...

Haxerlin dyskretnie cisnął *Narconomicon* w rwący nurt Wstęgi. Bezcenna księga poszła na dno jak kamień.

– Chyba mi się przywidziało.

Nie warto ryzykować, prawda?

Na powrót wbił spojrzenie w trakt; zaczął wesoło pogwizdywać, a Bo'akh-Bonthuzel kazał mu się zamknąć.

...aż po grób

Przy studni bawiła się gromadka dzieci. Chłopcy, podzieleni na dwa zespoły: w niebieskich i czerwonych opaskach, grali w gladball nadmuchanym świńskim pęcherzem. Sport, który przed kilkoma laty narodził się w Vortecy, bił rekordy popularności i moda na niego szybko rozprzestrzeniła się po całym Imperiale. Dzieciaki z Bordo nie używały co prawda mieczy i toporów, ale zapał, z jakim okładały się kijami, wróżył im zawodową karierę. O ile do tego czasu zostaną im jeszcze jakieś kości do złamania.

Dziewczynki rozłożyły się niedaleko prowizorycznego koloseum i dopingowały swoich ulubieńców. Piszczwały radośnie za każdym razem, kiedy chłopak, do którego skrycie wzdychały, wyprowadzał wyjątkowo mocne uderzenie i posyłał przeciwnika na glebę.

Jak to bywa w gladballu, po pięciu minutach od rozpoczęcia gry nikt już nie zwracał uwagi na piłkę. To właśnie na niej poślizgnął się Mistrz Haxerlin, zaabsorbowany rozmową z towarzyszami. Wypuścił z rąk szkatułkę i wylądował twarzą w błocie. Zamek przy kasetce na szczęście wytrzymał i zawartość pozostała w środku.

Bo'akh-Bonthuzel, Ten, Który Spala Światy, Krew na Języku, i posiadacz jeszcze kilku demonicznych tytułów wyciągnął rękę na pomoc. Zanim Mistrz zdążył ją złapać, dzieciak szybko cofnął dłoń.

– Idiota. – Wydał usta w złośliwym uśmiechu. – Wstawaj, grubasie.

Haxerlin poczuł, jak ktoś łapie go za barki. Chwilę potem stał już na własnych nogach.

– Naucz czeladnika kultury – powiedział wygolony mężczyzna. – Albo Foxi zrobi to za ciebie.

– Tylko spróbuj! – Dzieciak splunął mu pod nogi. – Odeślę cię do Stwaroga w kawałkach!

Barbarzyńca wystąpił naprzód i położył dłoń na stylisku topora.

– Już dobrze, nic się nie stało. – Mistrz wszedł pomiędzy nich. – Thuz lubi żartować.

Jedenastolatek prychnął i z całej siły kopnął leżący obok świński pęcherz. Piłka pomknęła w stronę boiska i trafiła bramkarza, który z głośnym jękiem spadł z pleców kolegi. Ten szybko wykorzystał sytuację i wbił mu kolano w podbrzusze, przyszpilając do ziemi. Szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść Niebieskich.

Handlarz podniósł szkatułkę i otarł ją z błota. Po raz kolejny zastanowił się, czy podpisywanie Paktu o Nieagresji i Przewoźnictwie było takim dobrym pomysłem. Na podróżowanie z demonem uwięzionym w ciele chłopca sam wyraził zgodę, ale nieszczęsny los chwilę potem pokarał go towarzystwem barbarzyńcy.

Pakiet bonusowy, pomyślał kwaśno.

Foksięgo spotkali zaraz po wyjeździe z wioski Snog, gdzie Cuda i Dziwy zarobiły tyle pieniędzy, że równie dobrze Haxerlin mógł poświęcić ten czas na wyławianie monet

z miejskiej fontanny. Pewnie lepiej by na tym wyszedł.

Pólnagi mężczyzna wypatrzył ich z daleka. Miał na sobie jedynie skórzane spodnie i obszyte futrem wysokie buty. Na specjalnym wiązaniu trzymał topór o podwójnym ostrzu. Czekał spokojnie na poboczu traktu, aż Cuda i Dziwy podjadą bliżej, a później, w czasie krótszym niż Mistrz zdołał zapytać „Przepraszam, co pan robi?”, złapał się wozu, podciągnął i z hukiem wylądował wśród artefaktów. Thuz rzucił się na niego z krzykiem, ale zapomniał, że potencjał bojowy jedenastolatka różni się trochę od potencjału Krwiopija, którym jeszcze niedawno był, i szarża została powstrzymana. Chłopak zawisł w górze. Nieznajomy trzymał go za nogę, tak że zamaszyste ciosy małych pięści z furią atakowały powietrze.

Dopiero wtedy się przedstawił.

– On to Foxi, szpony i kły Stwaroga, jego ślepią i nozdrza.

Haxerlin powiedziałby raczej, że przybysz jest ogolonym na łyso wielkoludem z tatuażem wilka na czaszce, ale właśnie dlatego nie chciał z nim wchodzić w dyskusję.

– Biała Wataha zarządziła łowy – kontynuował, dotykając rzemyka na szyi. Wisiał na nim wydrążony kiel. W drugiej ręce wciąż trzymał szamoczącego się Thuza. – Prawem Inicjacji Drapieżcy on skorzysta z waszych zasobów. Czyli przez jakiś czas Foxi pojedzie wozem – dodał mniej patetycznie.

Mistrz Haxerlin posmutniał. Nie było sensu się kłócić. Imperialne zwyczaje kolejny raz odbijały mu się czkawką.

Stwarog był bogiem walki, krwi i dzikiej przyrody, przedstawianym zazwyczaj jako ogromny wilk o śnieżnej sierści. Najbardziej wojowniczy z jego wyznawców tworzyli Białą Watahę, grupę nieznaną strachu berserkerów. Był to jedyny przypadek w zróżnicowanym panteonie Insirii, kiedy to najwyższą władzę religijną pełnili ludzie, którzy może i znali setki sposobów na pozbawienie kogoś życia, ale nie potrafili poprawnie się podpisać.

Biała Wataha wylaniała członków poprzez rytuał Inicjacji Drapieżcy. Pretendentom przekazywano wilczy kiel – święty symbol wiary – i odprawiano w świat, by udowodnili swe męstwo. Ten, kto zdobędzie cenne trofeum i powróci w jednym kawałku, zasiądzie w radzie wojowników i przyjmie tytuł Białej Bestii. Utarty zwyczaj stanowił, że na czas łowów mieszkańcy Imperiału zobowiązani są w miarę możliwości wspierać wojowników w ich misji – dzielić się jedzeniem albo przyjąć pod swój dach, jeśli ci tego zapragną. Haxerlin zastanawiał się, jaki sens ma karmienie dzikusów gulaszem albo ścielenie im łóżka, skoro dotąd żywili się tym, co sami upolowali, a noce przesypiali w niedźwiedzich jamach przykryci liśćmi.

Inicjacja Drapieżcy? Raczej wakacje na koszt podatników.

– Niech pan się rozgości. – Mistrz przybrał sztuczny uśmiech. – I, jeśli łaska, puści mojego czeladnika. Thuz, bez nerwów. Ten pan jedzie z nami.

– Co? – Piąstka chłopaka gwałtownie zatrzymała się w połowie drogi. – Do wozu ładuje ci się dzikus, bredzi, że ma jakieś kły z twaroga, a ty...

Barbarzyńca zwolnił uchwyt. Thuz zakwicział i upadł na głowę.

– On to Foxi, żaden pan – zwrócił się do handlarza. – Jedź. Trzeba zdobyć trofeum.

– Trzymamy się raczej z dala od potworów. Żeby nie robić nikomu konkurencji. –

Puścił oczko, ale mina barbarzyńcy pozostała bez wyrazu. – Zmierzamy do Bordo. Tam nic nie ma.

– Foxi pojedzie do Bordo – zdecydował twardo barbarzyńca. – A potem ruszy dalej, aż nie dopadnie Ciubaki.

– Eee... – Mistrz rzucił mu dziwne spojrzenie. – Poluje pan... Polujesz na Ciubakę, Foxi?

Barbarzyńca przytaknął i napiął mięśnie.

Ciubaki były humanoidalnymi istotami, od stóp do głów pokrytymi gęstym futrem. Przypominały dwunożną krzyżówkę niedźwiedzi z wydrami, porozumiewającą się przeciągłym, zawodzącym rykiem. Sęk w tym, że poza wyglądem nie było w nich nic groźnego. Prowadziły pokojowy tryb życia, żywiły wyłącznie roślinami, bardzo chętnie przebywały w towarzystwie ludzi. Zdarzało się, że Ciubaka budował schronienie na skraju wioski; traktowany był wtedy na równi z mieszkańcami osady. Pomagał im zbierać drewno, przynosił wodę ze strumienia, a w czasie żniw razem z chłopami pracował w polu. Można śmiało powiedzieć, że był najbardziej przyjaznym stworzeniem w Insirii.

– On przyniesie głowę Ciubaki. Zatknie ją na włóczni i ofiaruje Stwarogowi. – Uderzył się w pierś. – Foxi zostanie Białą Bestią.

Zamiar barbarzyńcy był równie chwalebny, co ukatrupienie łaszącego się radośnie szczeniaka i zgłoszenie się z truchłem po odbiór nagrody.

– Jak tam chcesz, Foxi. – Wzruszył ramionami kupiec. – Owocnych łowów.

Miał ważniejsze sprawy na głowie. Bordo. To tam mieszkał człowiek, którego pomoc była niezbędna w przeprowadzeniu bardzo istotnej transakcji.

– Z kim właściwie mamy się spotkać? – zagadnął Bo'akh-Bonthuzel, kiedy minęli boisko do gladballa. Trzymał ręce w kieszeniach i lustrował otoczenie złym wzrokiem. Najchętniej podłożyłby ogień pod każdą chałupę w okolicy i pojechał do lasu po więcej drewna.

– Z moim starym znajomym, Jacobem Zaco, emerytowanym kapitanem straży z Weimburga. – Mistrz poprawił trzymaną pod pachą szkatułkę. – Potrafi załatwić to i tamto.

„To i tamto” było na przykład bardzo wiarygodnie podrobionym certyfikatem Collegium Magicum, który uprawniał posiadacza do posługiwania się magią. Haxerlin nie potrafił czarować, ale taki paperek przydawał się w negocjacjach z niedowiarkami. „Proszę pana, co to znaczy: To nie jest prawdziwy ogon wywerny?” Przecież mam zaświadczenie z Gildii!”

– Pomoże nam w związku z tym? – Chłopak wymownie spojrzał na dębową szkatułkę.

– Myślę, że tak. Zaco zna różnych ludzi.

Niekoniecznie takich, których chciałbym poznać osobiście, dodał w myślach.

– Foxi też zna ludzi. – Zza ich pleców rozległ się tubalny głos. – Toryła Stalową Łapę, Gordeka...

– Dalej tu jesteś? – zdziwił się Mistrz. – Mówiłem ci, w Bordo nie ma żadnych

potworów. Nie spotkasz tu Ciubaki. Spróbuj w Szadole, to taka prowincja na zachodzie. Słyszałem, że te owłosione diabły założyły tam Tęczową Osadę Radości.

Była to oczywiście nazwa nadana przez ludzi. W języku Ciubaków brzmiała mniej więcej „RRRRrrRaaa RRraaarRr rrRaaRRrr”.

– Foxi na razie idzie z wami – zdecydował barbarzyńca, a Mistrz nie zaproponował. W końcu wyklócanie się z wytatuowanym, łysym osiłkiem nie jest najbardziej rozsądną rzeczą. – Wytropi Ciubakę.

– Co za przygłu... Ej! – Blondynek rozmasował ramię. – Nie bij mnie, grubasie.

– Więc zachowuj się tak, jak zachowywałoby się dziecko w towarzystwie uzbrojonego barbarzyńcy – szepnęła półgębkiem. – Dalej, Zaco mieszka tuż obok.

Jacob Zaco pochylał się nad mikroskopem. Poskręcane kosmyki siwiejących włosów lepiły mu się do czoła. Przygryzał koniuszek języka i starał się nie zwracać uwagi na kroplę potu powoli spływającą mu po skroni. Na cienkiej płytce, na którą skierował obiektyw, spoczywał prawie ukończony list do burmistrza Taramisu, sygnowany podpisem Daniela Antegnura. Sęk w tym, że jego napisanie zlecił Rajmunt Stercza. I gdyby nie wybitne umiejętności fałszerza, burmistrz nigdy nie dowiedziałby się, co pan Antegnur sądzi o jego matce.

Wziął głęboki oddech i ponownie spojrzął przez mikroskop. Już prawie kończył. Zostało ostatnie pociągnięcie, ostatni skomplikowany zawijas przy nazwisku... Robota była trudna, ale wiedział, że da radę. Jak zawsze. Zanurzył łabędzie pióro w atramencie i nie odrywając oczu od okularu przyłożył do pergaminu metalową końcówkę. Palce z czułością obejmowały długą lotkę. Delikatnie przesunął...

– Zaco, stary druhu! – krzyknął Haxerlin, głośno trzaskając drzwiami.

Mężczyzna podskoczył i zahaczył dłonią o statyw. Stalówka brutalnie przejechała po papierze, jak ostrze miecza po nagiej skórze, zostawiając za sobą poszarpaną, fioletową szramę. W tej samej chwili mikroskop zwałił się ze stołu, by z głośnym hukiem wylądować na stopie Jacoba.

– Witaj, Haxerlinie. – Podniósł sfalszowany list, krzywiąc się z bólu. Rzucił krytycznym okiem na efekt kilkudniowej pracy. – Powiedz, przyjacielu, słyszałeś o hrabim Antegnuzzzzzzzzzzzz? Chyba tak to się czyta.

– Raczej nie. Posłuchaj, mam sprawę.

Mężczyzna westchnął i wytarł poplamione dłonie w szmatkę. Był spokojny. Jacob Zaco rzadko unosił się gniewem.

Przez trzydzieści lat służył w weimburgskiej straży, z czego dwanaście pełnił obowiązki kapitana. Wiele w tym czasie widział i jeszcze więcej się nauczył. Jedną z lekcji, jaką wyniósł ze służby, była lekcja opanowania. Człowiek zawieszony na Wahadełku Emocji może odchylić się w niewłaściwym kierunku i dajmy na to rozpaćkać się na ścianie. Bardziej opłaca się uczyć Prętu Samokontroli – w razie potrzeby da radę też takim solidnie przyłożyć.

– Dawno cię nie widziałem. Chyba od czasu śledztwa w Neunundneunzig, prawda? Ten strażnik... Luftballon, tak? Już nie sprawia ci więcej kłopotów?

– Podobno utopił się podczas kąpieli. Biedak. Przed wejściem do Wstęgi powinien był zdjąć więzy z nadgarstków.

Jacob uśmiechnął się leciutko i pokiwał głową, przyznając Mistrzowi rację.

Zaco nie myślał o sobie jako o skorumpowanym funkcjonariuszu. Co to to nie. Po prostu otaczał się gronem przyjaciół, którzy w zamian za różne upominki oczekiwali, że zajmie się ich małymi problemami albo znajdzie sobie jakieś zajęcie, kiedy takie problemy spotkają innych jego przyjaciół. Na szczęście miał naprawdę bogate życie towarzyskie i regularne ubytki znajomych kwitował dobrodusznym wzruszeniem ramion. „Takie życie”, uśmiechał się uprzejmie, wyciągając rękę po sakiewkę wypchaną złotymi imperiałami. To było jego ulubione powiedzonko i ulubiony kolor monet.

Jacob Zaco nigdy nie zamykał oczu. A to, że czasem patrzył w innym kierunku... Cóż, takie życie.

Po przejściu na emeryturę osiedlił się daleko od Weimburga, ale sznurki zrosnięte z dłońmi Jacoba były długie i wytrzymałe. Zajął się bardziej subtelnymi formami przestępstw, lecz kiedy w Imperiale kilka głów spadało nagle z karków, czasem okazywało się, że ślad krwi prowadzi do opuszków palców pewnego człowieka z Bordo.

– Widzę, że przyprowadziłeś znajomych. – Zaco obrzucił towarzystwo nieprzychylnym spojrzeniem. Zmarszczki na jego twarzy zapadły się głębiej, jakby nastąpiło podskórne tąpnięcie. – Cześć, mały – zwrócił się do Bo'akh-Bonthuzela. – Gdzie podziałeś drugie ucho?

– W du...

– W dużym skrócie: wydarzył się wypadek. – Haxerlin wszedł mu w słowo, stawiając na stole kuferek z tajemniczą zawartością. Zupełnie zapomniał o brakującym uchu Thuza. Jak najszybciej trzeba mu sprawić czapkę. – Jeśli chodzi o interesy...

– No proszę, stwarogowiec na łowach. – Jacob zignorował kupca, przyglądając się amuletowi barbarzyńcy. – Jakiż to potwór poległ w chwalebnej bitwie?

Foxi uderzył się w pierś i pochylił głowę, prezentując tatuaż z wyszczerzoną wilczą paszczą.

– On oderwie czerep Ciubaki.

– Och. – Jacob Zaco lekko uniósł brew, ale poza tym nie okazał zdziwienia. – Wierzę, że sięgniesz go toporem, zanim ten plugawiec zdąży cię choćby przytulić. – Dopiero teraz skoncentrował się na powrót na Haxerlinie. – Przyprowadziłeś kogoś jeszcze? To już wszyscy, czy też reszta kompanii czeka pod drzwiami? Nie wiem, ile talerzyków z ciastem przygotować.

W bardzo rzadkich przypadkach, kiedy Zaco był naprawdę zdenerwowany, pozwalał sobie na sarkazm.

– Zaraz poprawi ci się humor. Mam tu coś specjalnego. – Haxerlin otworzył zatrzaski przy szkatułce. – Uważaj, przyjacielu. To prawdziwa bomba.

Delikatnie podniósł wieko. Ze środka biła wyczuwalna aura mocy. Jacobowi zeszkliły się oczy; zmrużył powieki, by podłużny kształt nabrał ostrości. Mimo to przedmiot i tak zdawał się rozplýwać w powietrzu, jakby oglądany zza zac zadzonej szybki.

Mistrz założył ręce na piersi i z dumą przyglądał się zdobyczy.

– Róg najprawdziwszego Krwiopija.

– Potwierdzam. – Thuz nieświadomie podrapał się po strzępku mięsa, który do czasu nieszczęsnej przemiany był prawym uchem.

Falszerz przystawił do oka lupę i cal po calu sprawdzał powierzchnię rogu. Zadanie było o tyle uciążliwe, że artefakt oglądany w powiększeniu powodował nieznośny ból głowy. Przedmiot wydawał się zupełnie nierzeczywisty, niepasujący do tego miejsca i czasu, niczym śledź szybujący w kluczu żurawi.

– Wygląda na autentyczny – stwierdził Zaco, odłożywszy lupę na stolik. Zwilżył palce i rozmasował skronie.

– Jest autentyczny – zapewnił Mistrz. – Zaufaj mi.

– O ile mnie pamięć nie myli, to samo mówiłeś, gdy próbowałeś wcisnąć mi „skrzydło harpii”.

Haxerlin przybrał skruszoną minę.

– Skąd mogłem wiedzieć, że nietoperze osiągają takie rozmiary...

– Stare dzieje. – Falszerz machnął lekceważąco dłonią. – Powiedzmy, że ci wierzę. Jak wszedłeś w posiadanie tego cuda? Jeśli masz zamiar popisać się erudycją i zacząć od czegoś w stylu „Właśnie polerowałem swój oręż; czułem, że to dobry dzień na śmierć”, najlepiej od razu sobie odpuść.

– To długa historia. – Kupiec spojrzał wymownie na chłopaka, który na szczęście trzymał się ustaleń i nie otwierał ust. – Kiedyś ją usłyszysz.

Gdyby Thuz na prawo i lewo opowiadał o wydarzeniach, które miały miejsce w Kampfsalat, w najlepszym wypadku trafiłby do przytułku dla obłąkanych, w najgorszym, gdyby ludzie dali wiarę jego słowom, wylądowałby na stosie. Co mogło być trochę problematyczne, bo jedyna zdolność, jakiej nie pozbawiło go Większe Związanie Hatecrafta, to właśnie niewrażliwość na ogień.

– To, że nie pokusiłeś się o żadną sensacyjną historyjkę, sprawia, że tym bardziej ci wierzę. – Delikatnie ujął krwiście czerwony róg. Przesunął powoli wnętrzem dłoni po całej jego długości. Pod skórą poczuł dziwne mrowienie. – Rozumiem, że mam znaleźć kogoś, kto byłby zainteresowany zakupem?

– Owszem. Potrzebuję kontrahenta.

Bo'akh-Bonthuzel poruszył się niespokojnie, ale zachował milczenie. Zdenerwowanie brało się stąd, że był świadkiem rozmowy dotyczącej spieniężenia jego organu i mimo że znał założenia planu, i tak czuł się nieswojo.

Mistrz wszystko mu wcześniej wyjaśnił: pośrednik w osobie Jacoba Zaco skontaktuje ich z czarodziejem wyrażającym chęć nabycia rogu. Spotkają się z nim, porozmawiają o szczegółach, kupiec mimochodem poruszy temat demonologii albo magii przemiany i być może dowiedzą się czegoś nowego o potężnym zakłęciu Hatecrafta, za sprawą którego nastąpiła nieoczekiwana zamiana ciał. Demonowi spodobał się ten koncept, zwłaszcza że końcowy punkt obejmował zwiążanie maga, obicie mu gęby i zabranie rogu.

Była to wersja przygotowana specjalnie dla Bo'akh-Bonthuzela. Tak naprawdę

prawdziwe instrukcje Haxerlin zawarł na zwitku papieru, który ukrył w szkatułce pod piekielnym artefaktem. Zwinne palce Jacoba zabrały liścik i dyskretnie ukryły w rękawie, kiedy tylko fałszerz po raz pierwszy zajrzał do środka. Długoletnia znajomość z Mistrzem skutkowała tym, że rozumieli się bez słów – zwłaszcza jeśli w grę wchodził jakiś szwindel.

W notce Haxerlin napisał: „Sprzedaj to cholerstwo jak najszybciej. Zatrzymaj 25%. Pieniądze prześlij na mój rachunek bankowy w Pękowisku. Wrócę niedługo. Wersja dla dzieciaka: róg skradziono”. Kupiec podejrzewał, że przyjaciel zabierze co najmniej połowę zysku (na jego miejscu tak właśnie by zrobił), ale pogodził się ze stratą. Alternatywą było pukanie od drzwi do drzwi i nagabywanie doświadczonych alchemików i magów, co niosło ze sobą pewne ryzyko. „Dzień dobry, cóż za piękny poranek, prawda? A tak swoją drogą, mam na sprzedaż róg demona. Może jest pan zainteresowany?”. Nie posiadał licencji, nie był człowiekiem Gildii, nie znał nawet podstawowych zaklęć... Wszystko to sprowadzało się do jednego – kłopotów. Zaco załatwi sprawę w białych rękawiczkach, a dyskrecja kosztuje.

– Pociągnę za kilka sznurków i zobaczymy, kogo znajdę na drugim końcu. – Fałszerz uśmiechnął się, a w jego oczach zatańczyły złowrogie iskierki.

Był starszy od Haxerlina, niedługo miał skończyć sześćdziesiąt lat, ale kiedy pojawiał się ten dziwny błysk, kupiec znów przypominał sobie postawnego strażnika, który dawno temu, w innym życiu, rzucił na ziemię dogasającego papierosa, zgniótł go wojskowym buciosem i powiedział: „To nic osobistego. Musisz umrzeć. Takie życie”. Niedoszły kat z biegiem czasu stał się nieocenionym kompanem, ale przez chwilę, drobną chwilę, Haxerlin poczuł się, jakby znów znalazł się tej pamiętnej nocy w Weimburgu i patrzył na niedopałek miażdżony twardą podeszwą.

Foxi, na którego od pewnego czasu nikt nie zwracał uwagi, kręcił się po pracowni i podnosił różne przedmioty, szczerząc do nich zęby. Pewnie szukał Ciubaki. Niestety, nie znalazł go ani pod formą do odlewania monet, ani w szafce z podrabianymi pieczęciami. Nie pomogło nawet zagłądanie za portret Kacjusza Imperiała, legendarnego założyciela królestwa.

– Na długo zatrzymujecie się w Bordo? – Jacob podszedł do obrazu, zdjął go ze ściany i obrócił, bo po zabiegach barbarzyńcy Kacjusz zawisł głową w dół.

– Przyjechałem tylko w związku z rogiem. Nie ma sensu wystawiać tu kramiku, chyba że zdecydowałbym się na handel wymienny: artefakt z Cudów i Dziwów za jednego z tych młodych gladiatorów uganiających się za piłką. Dotąd nie mogę pojąć, dlaczego osiadłeś w tej biednej wiosce na końcu świata. Tu nawet z pól zamiast plonów zbiera się rozczarowanie! Ach, zapomniałem. Macie jeszcze na wzgórzu zakon Braci Litościwych. Nie ma co, centrum rozrywki. – Uśmiechnął się krzywo. – Zawsze lubiłeś tętniące życiem uliczki i gwar metropolii. Co się stało?

– Ludzie się zmieniają, przyjacielu. – Fałszerz ściągnął poplamiony roboczy fartuch i przerzucił go przez oparcie krzesła. – Ale nigdy do końca. Napijesz się czegoś? Dręczy mnie mały problem. Skoro pojawiłeś się w Bordo, chciałbym go z tobą omówić. Być może zdołam cię przekonać, byś jeszcze trochę tutaj zabawił i pomógł staremu druhowi. Oczywiście nie bezinteresownie.

Mistrz miał ochotę obrócić się na pięcie i czym prędzej opuścić osadę, choćby na własnych nogach. „Małe problemy” Jacoba Zaco mogły zmieść z powierzchni ziemi większość cywilizowanego świata.

Emerytowany strażnik dostrzegł jego wahanie, bo dodał po chwili:

– To nic niebezpiecznego. Trzeba trochę pokombinować. Sądzę, że potem dałoby się obniżyć marżę, o której rozmawialiśmy, do dziesięciu procent. – Widocznie zdołał już odczytać treść liściku, chociaż Haxerlin nie widział, żeby wyciągał go z rękawa.

Kupiec przeprowadził szybką kalkulację. Po tym, co zabierze Zaco, zostanie mu osiemdziesiąt procent, a róg Krwiopija nie należał do tanich rzeczy. Warto przynajmniej wysłuchać propozycji.

– W sumie to nasza mnie ochota na piwo.

– Może wypijemy na osobności? – Zaco obrzucił jego kompanów wymownym spojrzeniem.

Demon zmarszczył brwi. „Nie waż się mnie odprawiać, grubasie”.

– Thuz to łebski dzieciak – powiedział szybko Haxerlin. – Niech zostanie.

– Foxi napije się miodu, by uczcić walecznych przodków. – Stwarogowiec również nie dał się wyprosić. – Masz miód, prawda? Foxi go wyczuwa.

– Co? Jeszcze się tu kręcisz? – westchnął handlarz. – Bogowie, za jakie grzechy...

Bo'akh-Bonthuzel wymamrotał coś pod nosem.

– Słucham? – zapytał Zaco.

– Mleko, cholera! Dla mnie mleko.

– Wyłożę sprawę najprościej, jak tylko się da – odezwał się fałszerz, kiedy wszyscy zasiedli już do stołu. Wszyscy poza Foksim. Barbarzyńca usadowił się pod ścianą, ściskając w dłoniach kubek z upragnionym napitkiem. – Pewien człowiek odebrał mi pewną rzecz...

– Naprawdę? – zapytał pobłaźliwie Haxerlin. – Pewien człowiek, pewna rzecz? To prosta droga do „pewnej śmierci”. Pamiętaj, z kim rozmawiasz, przyjacielu.

– Wybacz, miałem zamiar rozwinąć wątek. Mężczyzna, o którym mowa, nosił przezwisko Ropuch. Był sprytny, silny i niebywale brzydki – to tak na marginesie. Ropuch pracował dla mnie, ale więzy lojalności nie okazały się wystarczająco mocne. Zawsze miał ciągoty do intryg. Zleciłem mu kilka lat temu zadanie wyjątkowo delikatnej natury, lecz wykiwał mnie i zamiast dostarczyć to, o co prosiłem, ulotnił się na drugi koniec Imperiału, zabierając ze sobą wzmiankowany przedmiot.

– Drugi koniec Imperiału? Mówiłeś, że to robota w Bordo.

Zaco uniósł rękę na znak sprzeciwu.

– To jest robota w Bordo. Wysłuchaj mnie do końca, a potem zadawaj pytania. Rzecz, na której tak bardzo mi zależy, to pierścień. Zwykły, złoty pierścień. Nie jest ani magiczny, ani nie wiąże się z nim żadna mroczna tajemnica. To pamiątka. Możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale jestem człowiekiem sentymentalnym. – Upił piwa, nie odrywając oczu od rozmówcy. – Rzecz jasna wynajęłem odpowiednich ludzi, by ruszyli tropem Ropucha i odebrali skradzioną rzecz, przy okazji dając mu mały wykład

o konsekwencjach zdrady.

Haxerlin był pewien, że belfrzy zabrali ze sobą, w ramach pomocy dydaktycznej, kilka okutych linijek i wypełnionych kwasem kałamarzy.

– Wywiązali się z zadania połowicznie. Wrócili do mnie i oznajmili: „Panie Zaco, Ropuch nie żyje, lecz nie znaleźliśmy żadnego pierścienia”. Nie znaleźli też przy nim nic poza przepaską biodrową i sękatym kijem. Co się stało? Przed śmiercią zdrajca przekazał cały swój majątek Braciom Litościwym i został pustelnikiem. Jak na złość! Kapłani mówili zapewne o nawróceniu, odpokutowaniu win i tym podobnych bzdetach. Dołożyli kolejną bajeczkę do zbiorku historii, w których to łotry i niegodziwcy w pewnym momencie swojego życia oglądają się przez ramię i na widok zła, jakie za sobą zostawili, wybuchają rzewnym płaczem. Potem zakładają sandały, zarzucają na grzbiet worek po ziemniakach i odbywają pielgrzymki na kolanach do świętych miejsc, wybierając najbardziej kamieniste szlaki, by przebłagać bogów. Ja wolę nazywać rzeczy po imieniu: nawrócenie to w przeważającej części przypadków próba przekupienia sumienia. Czysty pragmatyzm. Ropuch był na tyle bezczelny, że do zbudowania swojego Bastionu Hipokryzji dołożył kradzioną cegielkę.

Haxerlin słuchał historii w skupieniu. Tylko on jeden. Thuz przysypiał na krześle, w ogóle się z tym nie kryjąc, a Foksiego tak bardzo zaabsorbował miód, że nie zauważyłby przechodzącego obok Ciubaki.

– Wspominałeś o „delikatnym zadaniu”, które wcześniej mu przydzieliłeś – powiedział. – Chciałbym poznać szczegóły, zanim przejdziesz do kolejnej części.

Jacob Zaco drgnął. Zrobił to prawie niezauważalnie, ale Haxerlin zwracał uwagę na takie detale.

– Stare dzieje. Pamiętasz Gabrielle? Poznałeś ją dawno temu.

Mistrz przytaknął.

– Miła dziewczyna. Smaliłeś do niej cholewki, prawda? – zapytał.

– Cóż, nie wyprę się tego. Dopiero z czasem nauczyłem się trzymać serce na uwieży.

– Nie wyszło wam?

Falszerz przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Można tak powiedzieć. Zostawiła mnie dla jakiegoś zdeklasowanego szlachcica, gołowąsa bez pozycji i ziemi.

– Przykro mi to słyszeć, naprawdę. Tworzyliście udaną parę.

– W blasku księżycy ślubowałem jej miłość aż po grób – prychnął Zaco. Znowu ten dziwny błysk w oczach. – I dotrzymałem obietnicy. Potrafisz kojarzyć fakty, przyjacielu, czy opowiedzieć ci o roli Ropucha? Pomógł mi wywiązać się z przyrzeczenia, tego nie można mu odmówić. Szkoda, że potem odezwały się wyrzuty sumienia i ostatecznie doprowadziły do jego zguby.

Haxerlin zbladł. Jak dobrze, że miał tego człowieka po swojej stronie.

– Żałuję, że w ogóle spytałem.

– Wracając do głównego wątku... Bogowie lubią śmiać się śmiertelnikom prosto w twarz. Tak też było w moim przypadku. W posiadanie pierścienia wszedł brat Cornik, który od niedawna piastuje funkcję przeora tutejszego zakonu. Tak, lokalnego „centrum

rozrywki”, o którym wspominałeś. Nie mam pojęcia, jak wyglądają u Litościwych transfery dóbr z placówki do placówki, bo Ropuch zostawił wszystko klasztorowi w Wąskim Brodzie, ale to brat Cornik ma ten pierścień, o którym mówię. Nosi go na palcu, kłując w oczy prostaczków z Bordo. Trochę kłóci się to ze ślubami ubóstwa, ale może to jakaś próba wiary? – Wzruszył ramionami. – Pytanie tylko, czy dla niego, czy dla społeczności. Tak czy inaczej nie naślę na braciszka ludzi, by wytłumaczyli, jaki nietakt popełnia i że lepiej by było, jakby rozstał się z bizuterią. Nie pofatyguję się także do niego osobiście, a wszystko to z dwóch powodów. Po pierwsze: jestem przesądny. Litościwi cieszą się powszechnym poważaniem i sympatią bogów. Wolę nie zadzierać z siłą wyższą, gdyby okazało się, że nie w smak jej obijanie twarzy pupila, nawet jeśli ten paradyje z podejrzanym złotym krążkiem na paluchu. Po drugie: nie chcę prac brudów na własnym terenie, a zakon znajduje się o rzut kamieniem od wioski. Król i jego czarnocienie jak na razie nie zapuszczali tu macek i byłbym wielce usatysfakcjonowany, gdyby nie dano im ku temu powodów.

Przerwał i obrzucił wzgardliwym spojrzeniem Foksiego. Barbarzyńca kiwał się nierówno na boki i śpiewał pod nosem pieśń o bohaterstwie wilczych braci. Miód najwyraźniej uderzył mu do głowy.

– I tu właśnie wkraczasz ty, człowiek z zewnątrz. Twój spryt już nieraz uratował ci skórę, przypomnij sobie chociażby nasze pierwsze spotkanie. – Mistrz nie musiał sobie niczego przypominać. O Weimburgu pamiętał aż za dobrze. – Wykorzystaj go tym razem w szczytnym celu. Wspomożesz przyjaciela pomocą, a przyjaciel się odwdzięczy.

Jedna rzecz nie dawała kupcowi spokoju.

– Skoro ten pierścień jest dla ciebie taki ważny, dlaczego najzwyczajniej w świecie nie porozmawiasz z zakonnikiem? Zaoferujesz mu dziesięć innych świecidełek, żeby przystroił sobie obie dłonie, a jeśli wciąż będzie się wahał, udekorujesz mu jeszcze palce u stóp.

– Owszem, to byłoby najrozsądniejsze wyjście. Pod warunkiem, że brat Cornik na czas transakcji złamałby śluby milczenia. Podobno odkąd wstąpił do Litościwych, to jest od czterech lat, nie odezwał się ani słowem, ba, żadnego nawet nie zapisał. W ogóle nie komunikuje się ze światem, co ma być formą pokutowania za grzechy całego rodzaju ludzkiego. Nie pytaj, jakim cudem został przeorem; widocznie mają tam bardzo specyficzne kryteria awansu. Może od początku był to przemyślany polityczny zabieg?

– Reasumując – Mistrz Haxerlin próbował uporządkować całą historię – mam odebrać pierścionek milczącemu zakonnikowi, co automatycznie eliminuje prowadzenie jakichkolwiek negocjacji. Czyli muszę go po prostu pobić i okraść, bo wielki Jacob Zaco w głębi ducha jest bogobojnym człowiekiem i przypadkiem nie chciałby zdenerwować Panteonu.

– I królewskich agentów – dopowiedział fałszerz. – Poza tym wszystko się zgadza. Oczywiście nie każę ci nikogo bić! – Podniósł nieco głos, jakby chciał, żeby usłyszeli go tam na górze. – Ta decyzja musi wypływać z głębi serca, być świadomym, wolnym wyborem. Wtedy nic mi nie grozi, bo to będzie twój pomysł. Straży się nie bój; brat Cornik nie zapuszcza się do miasta, ponadto z wiadomych względów trudno byłoby mu złożyć donos.

Haxerlin przemyślał sprawę. Istniała szansa, że coś wykombinuje i obejdzie się bez przemocy, a w pulę wchodziła całkiem pokaźna sumka... Ale mogłaby być jeszcze większa.

– Mówiłeś o dziesięciu procentach... Weźmiesz pięć.

Mówiłeś o dwudziestu procentach... Weźmiesz dziesięć, przekazał wymownym grymasem.

– Siedem.

Czternaście, gestem hardo odpowiedział fałszerz.

Kupiec zmarszczył brwi.

Dwanaście i to moje ostatnie spojrzenie, dał do zrozumienia Zaco.

Haxerlin wstał od stołu i wyciągnął rękę.

– Zobaczmy, co da się...

Przerwał mu łomot. Foxi zwałił na ziemię i uderzył głową w kredens, strącając srebrny wazon. Przed oczami wirowały mu zapewne tańczące Ciubaki.

– Co jest, na Kaosa?! – Zaspiany Thuz zerwał się z miejsca. – Kto atakuje? – Na oślep machnął ręką, posyłając na ścianę kubek z mlekiem.

Zaco przyglądał się scence pozornie obojętnym wzrokiem.

– Zabierz ze sobą kompanów, kiedy będziesz wychodził. A przypominam, przyjacielu, że właśnie wychodziłeś.

Nie sposób powiedzieć, że karczma w Bordo tętniła życiem. Tu raczej życie dogorywało, błagając, by ktoś skrócił jego cierpienia. Stali bywalcy siedzieli na topornych ławach i prowadzili monotonną rozmowę, od czasu do czasu stukając się od niechcenia kuflami, co miało urozmaicać wywody o plonach i pogodzie, jednak nie urozmaicało w najmniejszym stopniu.

Haxerlin przysłuchiwał się chłopom od dłuższego czasu. Dowiedział się, że plony w tym roku będą słabe, bo pogoda nie dopisała. Przekonał się także, że można to powiedzieć na siedemdziesiąt trzy sposoby i w dalszym ciągu brzmieć jak ostatni nudziarz.

Powoli sączył piwo, zastanawiając się, jak podejść brata Cornika.

– Kiedy Zaco wskaże nam cel? – zapytał Thuz, opierając głowę na łokciu. – To miejsce przyprawia mnie o mdłości. Już nie mówię, że każda godzina spędzana w tej robaczywej powłoce to jak tysiąc dni w Otchłani. Oczywiście z perspektywy śmiertelników, bo jako Krwiopij wspominał ją całkiem dobrze.

– To może trochę potrwać – odparł zamyślony Haxerlin. – Nurtuje mnie inna rzecz.

– Błyskotka, o której dziad tyle gadał? Cóż, skoro i tak musimy czekać, nic nie stoi na przeszkodzie, by w międzyczasie zająć się zakonnikiem. Proponuję poderżnąć mu gardło.

Mistrz skrzywił się.

– Nie żartuj. Trzeba to rozwiązać bez rozlewu krwi.

– Skoro tak stawiasz sprawę... Daj mi chwilę. – Bo'akh–Bonthuzel wystukał na blacie nierówny rytm. – Mam! Zarzuci mu się na szyję sznur i...

Handlarz nie słuchał. Pociągnął łyk piwa i skupił się na towarzystwie przy sąsiednim stoliku. Chłopi wciąż rozmawiali, a jakże, o zbiorach i pogodzie.

– ... a kiedy naprawdę mocno ciągniesz, to gałki oczne...

– Poczekaj. – Dźwignął się z ławy. – Przeprowadzę wywiad środowiskowy.

Przybrał sympatyczny uśmiech i podszedł do czterech mężczyzn.

– Przepraszam panów – zaczął pogodnie. – Mogę zająć chwilkę?

– Czemu nie? – odezwał się jeden z chłopów, na oko najstarszy. – O co chodzi?

Haxerlin przysiadł na skraju ławy. Żaden z mężczyzn się nie przesunął, więc mógł to zrobić jedynie połowicznie.

– Ciekawi mnie klasztor, który leży niedaleko Bordo.

– Ano jest taki – przyznał Najstarszy. – Klasztor Braci Litościwych.

– Właśnie. Zastanawiałem się nad wstąpieniem do zakonu, ale obilo mi się o uszy, że przeor zbytnio obnosi się bogactwem. Jestem człowiekiem ceniącym prostotę i nie wiem, czy odnalazłbym się na służbie u pyszałka.

Jak na komendę czteroosobowa grupka obrzuciła krytycznym spojrzeniem jego szaty. Purpura, srebrne nici i tajemnicze symbole jeszcze nigdy nie emanowały taką skromnością.

– Jesteś jaki kominwojazer, co? Poznałem od razu – stwierdził dumny z siebie Najstarszy. Mistrz nie miał bladego pojęcia, co podsunęło mu taki pomysł ani czymże jest ów kominwojazer. – Racja, robota na wysokościach niebezpieczna, w zakonie będzie lepiej. A ten, kto naopowiadał ci głupot o bracie Corniku, powinien się wstydzić.

– Święty czowiek, święty – gorliwie zapewnił jego kompan po lewej.

– Brat Cornik to chodzący przykład pobożności – kontynuował mężczyzna. – Umartwia się jak żaden inny zakonnik.

– Podobno nie myje się piąty rok – zauważył z uznaniem inny chłop.

– Ciągłe jest zamyślony. W jego oczach znać mądrość, a w ruchach opanowanie i wewnętrzny spokój.

– Modlitwy pewno wciąż odprawia albo inksze sakramenty – dodał kolejny.

– Święty czowiek, święty.

– Mówią, że przystraja się w złoto... – podsunął nieśmiało Mistrz Haxerlin.

– A gdzie tam! Jakie złoto? – oburzył się Najstarszy. – Pierścionek już dawno brudem porósł. Rdza go toczy.

– Złoto nie rdzewieje – zauważył kupiec.

Chłop pokręcił głową, nie przyjmując tego faktu do wiadomości. Rdzewieje i już.

– Brat Cornik nosi pierścień, tia, ale w celu duchowym. Gdzieś żem słyszał, że symbolicznym.

– Ehe, Symbolika to być musi, co innego. Ino nie wiemy, jaka. – Zamyślił się brodacz po prawej. – Za proste my ludzie.

Nagle drzwi karczmy otworzyły się z hukiem. W progu stanął chwiejący się Foxi. Mistrz od razu pożałował, że zamiast zostawić barbarzyńcę śpiącego na zewnątrz, nie związał go i nie zaciągnął gdzieś na bagna.

– Ciuuuubaka! – wydarł się na całe gardło. Wypatrzył Thuza, który próbował schować się pod stołem. Poczłapał w jego stronę, zataczając się od ściany do ściany.

– Dziękuję, panowie, rozjaśniliście mi sytuację. – Handlarz uklonił się i doskoczył do Foksiego. Przytrzymał stolik w ostatnim momencie, bo barbarzyńca już szykował się do szybkiego przemeblowania gospody.

Za plecami usłyszał jeszcze „Świnty czowiek, świnty”. A potem temat zszedł na pogodę.

Brat Cornik siedział na pryczy i gapił się w ścianę. Znał na pamięć każde wgłębienie, każdą nierówność tej kamiennej powierzchni, ułożenie najdrobniejszych pęknięć. Czasami wydawało mu się, że sam wypalił wzrokiem przynajmniej kilka z nich.

Odkąd trafił do zakonu, większość czasu spędzał właśnie w tej pozycji. I, prawdę mówiąc, mógłby tak siedzieć całe wieki.

– Bracie Corniku, puk puk!

Ktoś delikatnie pociągnął za kłamekę. Gość z oczywistych względów nie czekał, aż opat zaprosi go do środka.

Głowa mężczyzny bardzo powoli obróciła się w stronę drzwi.

– Wybacz, bracie, że przeszkadzam w medytacji, ale pora na obiad.

W przejściu stał brat Gladius. Przeor rozpoznał go po głosie. W szarych habitach i narzuconych na głowy kapturach wszyscy zakonnicy wyglądali niemal identycznie.

Podniósł się osowiale z twardej pryczy. Cela była jeszcze ciasniejsza od tej, którą zajmował, nim wybrano go przełożonym zakonu. Im wyższą pozycję zajmowałaś wśród Braci Litościwych, tym mniej dostawałaś od życia.

– Brat Harold przygotował na obiad coś specjalnego – uśmiechnął się młody zakonnik. – Kaszę z mlekiem!

Kaszę z mlekiem serwowano codziennie. Brat Gladius był typem żartownisia.

Przeor postąpił krok naprzód, potem pociągnął za sobą drugą nogę. I znowu. I znowu. Prawa, lewa. Prawa, lewa. Sunął niemrawo przez zimny korytarz, patrząc prosto przed siebie, wlepiając oczy w jeden punkt. Obok dreptał brat Gladius, opowiadając zabawną historyjkę o wiewiórce, którą podpatrzył na dziedzińcu klasztoru.

Trochę minął się z powołaniem, ale nikt nie miał serca mu o tym powiedzieć.

Z cel wylegali inni bracia. Na widok opata pochylali zakapturzone głowy, ale ten nie zwracał na nich uwagi, jakby byli powietrzem. Obiad. Teraz pora na obiad. Tak. Prawa, lewa. Prawa, lewa.

Poruszał się sztywno i mechanicznie jak nakręcany żołnierz, ale miał do tego prawo.

W końcu od dobrych pięciu lat był martwy.

– Jego boli głowa – jęczał Foxi, przykładając do czoła mokrą szmatkę. – Za dużo miodu.

– Łączę się z tobą w bólu, dzielny wojowniku. – Haxerlin nawet nie spojrział w jego stronę. – Więc co o tym myślisz, Thuz?

Chłopak zmarszczył brwi. Z oczu jasnowłosego aniołka buchała żądza mordy.

– Lepiej, żebyś zartował. Nie będę robił z siebie dziada proszalnego. W przeciwieństwie do was, ludzkie śmiecie, demony mają honor. Kiedy na czymś nam zależy, po prostu to bierzemy. Jeśli głupiec nie chce oddać – tym lepiej, jego krew zrosi ziemię ku czci Kaosa.

Mistrz posmutniał. Pomysł z podesłaniem do zakonu biednego, zagłodzonego dzieciaka odpadał. Co prawda plan miał kilka wad – na przykład taką, że przeor zamiast złotego pierścienia mógł dać chłopcu bułkę – ale póki by nie sprawdzili, toby się nie przekonali.

– Dlaczego tak upierasz się przy tym, by wszystko odbyło się „w duchu humanitaryzmu”? – zadrwił Bo’akh–Bonthuzel. – Daj mi broń. Będę udawał słodkiego urwisa, a gdy braciszek schyli się, żeby potargać mi grzywkę, odetnę mu nie tylko palec z pierścieniem, ale całą dłoń. Przy samej szyi.

– Nie – kategorycznie zabronił kupiec. – Nie jestem mordercą. Dopóki podróżujesz ze mną, przyjmujesz moje zasady.

– Nic takiego nie było w pakcie! – syknął demon. – Twoją hipokryzją można by obdzielić pół Otchłani. Niedawno sprzedałeś wieśniakowi starego miedziaka i poradziłeś, że jak spotka kogoś z Kevlaru, ma pokazać monetę i powiedzieć „Malar vorghulis”, a wtedy czeka go przygoda życia.

– I co w związku...

– Zapomniałeś dodać, że przygoda będzie raczej krótka i bolesna. W kwestii ludzkiej anatomii może i jestem laikiem, ale znam kevlarski. Wątpię, żeby moneta się tam zmieściła, chyba żeby wcześniej nasmarować ją masłem.

Haxerlin poczerwieniał.

– To jedyny zwrot, jaki znam w tym języku – tłumaczył skruszony. – A szansa, by do Snog zawitał wędrowiec z Kevlaru, jest naprawdę...

– Gdzie Ciubaka? – włączył się w dyskusję Foxi, który zdążył już trochę otrzeźwieć. – Biała Wataha czeka na trofeum.

– Ten półgłówek naprawdę działa mi na nerwy... – Thuz zacisnął pięści. – Won! Nie chcemy cię tu!

– Ciuubaka! – Barbarzyńca wydarł się na całe gardło.

Przebywający w gospodzie chłopci skulili się w sobie, ale wciąż solidarnie ignorowali przybysza, by nie sprowokować jego gniewu. Karczmarz obrał inną taktykę – przykucnął za ladą, a na widok publiczny wystawił tylko potarganą czuprynę.

– Posmakujesz topora, bestio!

– I weź tu takiego zabierz do ludzi, wstyd na całą wieś – wymamrotał Haxerlin.

– Ciubaka! Foxi cię czuje!

– Kupa mięśni i wiatr między uszami. – Thuz z politowaniem przyglądał się wojownikowi, który padł na czworaka i starał się wywęszyć stwora. – Nie wiem, czego tu się bać. On budzi politowanie, nie przerażenie.

– Cóż, myślę, że nie trzeba być szczególnie błyskotliwym, żeby ludzie odczuwali wobec ciebie strach. Grunt, to umieć go dobrze ukierunko...

Nowy pomysł wdarł się do jego głowy bez pukania. Porozstawiał po kątach inne myśli, rozsiadł się w fotelu i zarzucił nogi na stół.

„Foxi z tobą nie podróżuje, kolego. Nie obowiązują go twoje zasady.. Jest tylko głupim osiłkiem, który uczepił się Cudów i Dziwów jak rzep i nie chce puścić. W dodatku na szlaku zjadł twoją porcję królika, pamiętasz? Przez tę głupią Inicjację cieszy się teraz przychylnością bogów. Ciekawe, czy porównywalną z tą, jaka przypada w udziale Bratu Litościwemu? Nie jesteś mordercą, wiem o tym. Ale on może być. Urządzisz z chłopaczkiem małą zabawę i zobaczysz, jak to się potoczy. Uczciwy układ i czyste ręce. Osiemdziesiąt osiem procent piechotą nie chodzi...”

Mistrz Haxerlin bardzo specyficznie podchodził do kwestii praworządności.

– Thuz, potrzebuję twojej pomocy.

Blondynek prychnął.

– Jeśli znowu masz zamiar mnie przekonywać do numeru z głodnym dzieciakiem to...

– Nie, zapomnij o tym. Nie będzie proszenia. – Wymownie spojrzął na obmacującego podłogę barbarzyńcę. – Stara, dobra manipulacja.

Bużkę chłopaka przeciął zły uśmiech.

– Wreszcie gadasz jak demo... tfu, jak człowiek.

W sali jadalnej Braci Litościwych słyhać było jedynie łyżki szorujące po dnie misek. Mimo że każdy z zakonników wiódł żywot pobożny, a ich serca wypełniała pokora, to wiadomo, że nic lepiej nie potęguje siły modlitwy jak pełny żołądek. Kucharz, brat Harold, pomagał reszcie wystrzegać się grzechu nieumiarkowania i zawsze napełniał naczynia tylko do połowy, ale Litościwi nie poddawali się i wybierali z dna nawet najdrobniejsze pozostałości kaszy, niejednokrotnie przebijając miski na wylot.

Brat Cornik zanurzył łyżkę w parującym daniu. Podniósł ją w górę, trzymał przed sobą jakieś pięć sekund, a potem włożył do ust. Większość jedzenia spłynęła mu brodzie.

– Tak sobie myślę... – odezwał się głośno siedzący po jego prawicy brat Gladius.

– Niedługo dożynki, we wsi będzie zabawa, może i my urządzimy coś podobnego? Jeżeli teraz pošlemy gołębia do Pękowiska, zdążymy sprowadzić balony. Wyobraźcie sobie, bracia – cała sala w balonach! – Ucieszył się na samą myśl. Żaden z trzydziestu zakapturzonych mężczyzn nie zwracał na niego uwagi, pochylony nad swoją porcją obiadu. Odpowiedział mu stukot łyżek i wiatr zawodzący po kątach. – Mają nawet takie w kształcie zwierzątek. Ale by było śmiechu, prawda?

Przeor patrzył nierozumnym wzrokiem przed siebie. Ręka w dół. Nabrać kaszy. Ręka w górę, łyżka do ust – nie musiał ich nawet otwierać. Od pięciu lat nie zmienił wyrazu twarzy, a co za tym idzie, cały czas miał lekko rozchylone wargi. Akurat tyle miejsca, by zmieścić sztuciec.

Procesy myślowe martwych ludzi przypominały nocną przeprawę przez bagna: małe, ostrożne kroczki stawiane w zupełnych ciemnościach. Brat Cornik nie potrafił stwierdzić, skąd wyruszył ani kim był, zanim wstąpił na tę zwodniczą ścieżkę. Nie wiedział nawet dokładnie, kim jest teraz. Ghoulem albo zombie? Trudno powiedzieć. Zresztą kogo to interesuje? Martwi ludzie nie mieli egzystencjalnych rozterek.

W odmętach jego pamięci tkwiło tylko kilka wspomnień z przeszłości, każde

niewyraźne jak poźółkła rycina.

Jakiś podchmielony młodzieniec w bogatym stroju (on?) gra w karty z innymi ludźmi (przyjaciele?). Ludzie się śmieją, on też się śmieje. Cieszą się z udanej roboty (skoku? co to skok?), która chyba nie była legalna (co?), bo muszą ukrywać się w piwnicy. Przystojny młodzieniec nie pasuje do reszty, nie ma blizn ani tatuaży, ale oni go lubią, bo lubią (Żabola?) jego brata.

Kobieta. Piękna. Kocha ją (?), ona jego, ale nie mogą być razem. Jest inny mężczyzna, a to jego kobieta. Spotykają się w ukryciu. Kobieta ma wyjść za mąż za tamtego, a on rozpacza, przekonuje. Kobieta wybiera jego. Są szczęśliwi. Będą szczęśliwi. Dawno, tak dawno...

Strach. Ktoś w domu. Kobieta nie żyje. Pożar, pożar! Widzi człowieka, zna go (Żabol?), pamięta karty i coś jeszcze. Pada na ziemię, wyje, chce zabijać, ale nie może, bo to (brat?) Żabol. Brzydał wciska mu do ręki to, co zabrał kobiecie. Mówi i przeprasza, i ucieka, i płacze.

Żabol mówi trzy rzeczy. Bordo. Pierścień. Zaco.

Składa przysięgę w samym środku piekła. Nie spocznie! Ogień płonie, ale to smutek pali.

Wiedział, że miał coś zrobić, wyruszył, ale po drodze wydarzył się wypadek. Umarł, nie umarł, nie pamięta, a kiedy to się stało, w głowie kołatały trzy myśli, których uczeplił się kurczowo i trzymał do tej pory.

Bordo. Pierścień. Zakon.

Tak, tak było. Martwa kobieta, morze ognia i obietnica.

– Nie smakuje? – zainteresował się brat Gladius, kiedy zobaczył, że od minuty łyżka przeora wisi nieruchomo dwa cale od jego ust. – Trzeba dużo jeść, wtedy człowiek od razu nabiera humoru, mniam mniam. – Poglaskał się po brzuchu.

Zmarły patrzył na swoją dłoń. Brudny krążek na serdecznym palcu delikatnie rozświetlał mroki pamięci.

To zakon w Bordo, a on nosi pierścień. Dobrze, właśnie tak miało być. Wędrówka tutaj zajęła niemal rok, ale przecież obiecał, że nie spocznie. No i udało się.

W takim razie czemu jeszcze nie odszedł w zaświaty?

Łyżka wolno wsunęła się w zimne usta.

O czym to on... Ach, obiad.

Już na samym początku przeprawy przez bagna brat Cornik obrał nie ten kierunek, co trzeba, ale nieustępliwie parł do przodu. Mało kto był bardziej konsekwentny w działaniu od martwego człowieka.

Haxerlin mozolnie wspinał się pod górę. Przez ramię przerzucony miał płócienny worek, a jego ciężar spowalniał ruchy. Wąska ścieżka wiła się między wzgórzami jak serpentyna, koniec nikał gdzieś na samym szczycie, hen, u podnóży klasztoru.

Zatrzymał się i sięgnął do worka. Rzucił za siebie kłębek futra; wcześniej podzielił je na małe kawałki. Jak dobrze, że Zaco miał słabość do przepychu i udekorował dom różnymi nowobogackimi ozdóbkami. W Cudach i Dziwach też walało się kilka

przydatnych rzeczy, które zgarnął na drogę. Gdyby nie znalazł niedźwiedziego futra, musiałby rozglądać się za najbardziej włochatym psem w Bordo. Lubił zwierzęta, ale w ostateczności uderzałby młotkiem mając zamknięte oczy.

Jeszcze trochę, jeszcze trochę... Ciężko sapał, ale nie przerywał marszu. Przystanął dopiero wtedy, kiedy wypatrzył odpowiedni pniak. Na pewno go nie przeoczą. Wyjął kredę i wykonał kilka starannych pociągnięć. Przyjrzał się prymitywnemu dziełu, gładząc podbródek. Doskonale.

Wznowił wspinaczkę. Po kolejnych dziesięciu minutach w końcu dotarł na szczyt. Porośnięty bluszczem klasztor wznosił się nad nim jak warowna forteca. Na wszelki wypadek rzucił na ziemię kilka dodatkowych kłaczek. Zostało jeszcze spotkanie z przeorem, a potem wszystko w rękach Thuza.

– ...i wtedy skoczył z dzikim rykiem, wznosząc w górę topór! Ostrze zagłębiło się w czerep trolla, a zielona jucha spryskała twarz Foksiego. On szarpnął za broń, bestia zawyla...

Bo'akh-Bonthuzel podpierał policzek małą piąstką i zmuszał się do słuchania. Co jakiś czas wtrącał do opowieści barbarzyńcy lakoniczne „aha”, „i co dalej?” albo „to niesamowite”. W ten sposób upływały właśnie najnudniejsze dwie godziny jego życia. Podejrzewał, że tak ludzie wyobrażają sobie Otchłań, niekończące się piekielne męki... Słumił ziewnięcie i modlił się do Kaosa o szybką śmierć.

– ...Foxi powiedział: „Nie, to ty zginiesz”, a on „A nie, bo ty” i...

– Dobra, starczy tego. – Chłopiec podniósł się z ławy. Jeśli grubas do tego czasu nie wywiązał się ze swojej części planu, to jego problem. Demon nie miał zamiaru znosić tego gładzenia ani minuty dłużej. – Chodź, poszukamy Ciubaki.

Wojownik zamrugał, jakby nagle przypomniał sobie o czymś bardzo istotnym.

– Ciuuuubaka!

– Tak, tak. – Blondynek przewrócił oczami. – Na pewno gdzieś tu się kręci.

Kiedy mamroczący pod nosem chłopiec i jego groźny towarzysz wyszli na zewnątrz, karczmarz ostrożnie wychylił się zza lady i otarł spocone czoło.

– Patrz! – krzyknął Thuz z udawanym zaskoczeniem, wskazując palcem pod nogi.

Od progu gospody ciągnęły się ślady, co ciekawe, mimo twardego podłoża bardzo wyraźnie odbite w ziemi. Szlak czteropalczastych łap, trochę większych niż ludzkie, przebiegał przez pół wsi i zakręcał gdzieś przy studni.

– Cóż to może być? – zdziwił się na głos demon. – Może ty wiesz, Foxi?

Barbarzyńca przyklęknął na jedno kolano i uważnie przyjrzał się tropom.

– Ciubaka... – Zmrużył oczy. – On wiedział od początku.

Widocznie nie zdziwiło go to, że jeżeli wierzyć ścieżce wydeptanej przez stwora, jego podróż musiała zacząć się w karczmie, w której przecież przesiedzieli ostatnie godziny. Z tego wniosek, że Ciubaka bardzo dobrze się maskował, kiedy wpadał do Bordo wychylić kilka kufli.

Powoli ruszyli przed siebie. Foxi nie odrywał oczu od śladów, jakby bał się, że wystarczy chwila nieuwagi i rozpląną się w powietrzu.

– Ależ z ciebie wyjątkowy tropiciel – słodził chłopiec. – Sam Stwaróg nie robiłby tego lepiej.

Barbarzyńca pokraśniał z dumy.

– Foxi jest najlepszy. Zostanie Białą Bestią.

Zbliżali się do studni. Mecz gladballa dawno dobiegł końca – tylko walające się wokół studni połamane kije, wybite zęby i plamy krwi świadczyły o tym, że niedawno miała tu miejsce brutalna rozgrywka.

– Ceść, co lubicie?

Stojąca nieco dalej mała dziewczynka przyglądała im się z zaciekawieniem.

– Foxi poluje na Ciubakę. – Barbarzyńca włożył palec do jednej z czteropalczastych dziur. – Świeży trop. Niedawno tędy przechodził.

Dziewczynka zachichotała i klasnęła w ręce.

– To nie ziadna Ciubaka, tylko pan w kololowym ublanku! Założył takie śmieszne scudła i...

Thuz błyskawicznie doskoczył do dziewczynki i zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, kopnął ją w goleń. Mała rozplakała się i pobiegła szukać mamy.

– Dalej, dzielny barbarzyńco. – Twarz demona wykrzywił złośliwy uśmiech. – Trop prowadzi na wzgórze. Kontynuuj łowy.

Na dziedzińcu klasztoru pasły się dwie chude krowy. Apatycznie skubały rzadką trawę, której z trudem udało się przebić przez skaliste podłoże. Na wydzielonych konopnym sznurem grządkach rosło kilka rodzajów ziół. Sprawiały wrażenie, że mocniejszy podmuch wiatru jest w stanie poderwać je w górę razem z korzeniami. Jedynym w miarę stabilnym obiektem wartym zainteresowania był tu wielki, stary dąb. Mistrz Haxerlin zauważył na jego gałęzi wiewiórkę. Martwą.

– Proponowałem, żeby pomalować mury na jakieś przyjaźniejsze kolory, ale bracia są nastawieni dość sceptycznie – trajkotał wesoło zakonnik, który przedstawił się jako brat Gladius. – Może seledynowy? Jak pan myśli? Będzie dobrze komponował się z bluszczem?

Haxerlin spojrział na pnącą się ku niebu zniszczoną wieżę. Na jej tle brakowało tylko błyskawicy, by można pomyśleć, że zawędrowało się pod nawiedzone zamczysko.

– To... ciekawy pomysł – stwierdził po namyśle.

Pod obszernym kapturem wykwitł radosny uśmiech.

– Też tak uważam. Tak w ogóle to bardzo miłe, że postanowił pan złożyć datek dla Braci Litościwych. Przydałby się byczek dla Łatki i Cętki. – Puścił oczko i w tym samym momencie pod Łatką albo Cętką załamały się chude nogi. Krowa przejechała łbem po ostrym kamieniu, żałośnie mucząc. Niezrażony brat Gladius kontynuował: – Opat w podzięce na pewno udzieli specjalnego błogosławieństwa. Zanim tutaj zejdzie, może minąć trochę czasu. Jest strasznie uduchowiony, że tak powiem, cały czas buja w obłokach. – Dał Haxerlinowi przyjacielskiego kuksańca. Mistrz zaśmiał się nerwowo. – Ale brat Error mu pomoże. Przyjdą raz dwa.

– Słyszałem wiele dobrego o bracie Corniku. Święty człowiek, tak mówią we wsi.

– A jakże! – potwierdził zakonnik. – Świętszego to ze świecą szukać. Jest z nami już cztery lata. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, od razu pomyślałem: „Oho, uważaj, bracie Gladius, stoi przed tobą twój przyszły przeor. Nie wrzucaj mu wybuchowych żab do kaszy”. Brat Cornik to urodzony przywódca. Ma autorytet. Nic tylko by się modlił i modlił, ale przy tym jest uczynny i zawsze wspomógł dobrym słowem.

– Eee... Podobno złożył śluby milczenia, więc jak...

– Oj, taka metafora. Ale uczynny co niemiara! Jak odwiedza ludzi ze wsi, to go zawsze jakiś chłop musi prowadzić z powrotem, sam nie przyjdzie, nie ma rady. Tak się u nich zasiedzi, tak w skupieniu wysłuchuje trosk prostych duszyczek, że nawet o obiedzie zapomni. Raz go tydzień szukaliśmy, ha, co to była za afera! Co się okazało? Kochany brat Cornik leżał w polu pszenicy, z uchem przy ziemi. Zaslaniały go kłosa. Przebierał powoli nogami i wsłuchiwał się w płacz Matki Ii, Pani Plonów, która narzekała na pogodę i...

– I na złe zbiory, tak. – Haxerlin gdzieś już to słyszał. – Ale w takim razie, skoro opat jest taki pobożny i skromny, to dlaczego nosi złoty pierścień?

Brat Gladius machnął pobłaźliwie ręką.

– Ludzie gadają? A niech sobie nosi. To jedyna rzecz, poza ubiorem, jaką miał przy sobie, gdy do nas przyszedł. Kiedy wstępujesz do zakonu, porzucasz całe swoje dotychczasowe życie: majątek, rodzinę, nawet tożsamość. Wie pan, że trzymamy w piwniczce taką specjalną urnę, z której losujemy nowe imiona? Raz nawet – zachichotał w rękaw – zrobiłem małego psikusa i przez tydzień, dopóki ktoś się nie zorientował, mieliśmy w zakonie brata Cycusia. O czym to ja... Ach, o pierścieniu. Brat Horda, w zgodzie z zasadami, starał się mu ściągnąć błyskotkę z palca, ale, no... – Poprawił kaptur. – Brat Cornik go ugryzł. Wdało się jakieś świństwo i brat Horda zmarł dzień później, krzyczał coś o mózgach i strasznie się ślinił; jakoś nikt inny nie kwapił się do kolejnej próby. Jak już mówiłem: niech sobie go nosi, komu to szkodzi? W ogóle jestem za tym, żeby urozmaicić nasze habity, doszyć kolorowy wzorek albo dorzucić medalion na szyję. Dobrze mówię? Na przykład arachnici mają śliczne platynowe księżyce, a my to niby co, gorsi?

Mistrz nie miał pojęcia, jak traktować przypadek brata Gladiusa.

– O, idą braciszkanie. – Zakonnik klepnął Haxerlina w ramię i wskazał palcem bramę klasztoru. – Zaraz będzie można złożyć datek. Ach, i jeszcze jedno. – Nachylił się i szepnął do ucha: – Proszę nie przejmować się zapachem. To stały element umartwiania przeora. Nie wypada zwracać na to uwagi, bo robi mu się przykro.

Mistrz przyglądał się uważnie dwóm zakapturzonym postaciom. Mężczyzna po prawej, brat Error, prawie potykał się o własne nogi, chcąc dopasować się do kroku przełożonego – bo ten poruszał się bardzo specyficznie. Prawa, trytytytyt, lewa. Prawa, trytytytyt, lewa. Jak puszczonej samopas zardzewiały mechanizm.

Kupiec rzucił szybkie spojrzenie przez ramię. Thuz i Foxi już powinni tu zmierzać. Miał nadzieję, że nic ich nie zatrzymało.

Nagle zakręciło mu się w głowie. W nozdrza uderzył przeraźliwy fetor. Co za...! Jeśli świętość faktycznie mierzy się potęgą smrodu, brat Cornik powinien zajmować bardzo zaszczytne miejsce w niebiosach.

– Pan Haxerlin pragnie złożyć ofiarę – wyjaśnił brat Gladius. – Sympatyczny gest, prawda? I czyż ta klepsydra na szacie nie jest urocza? – Nikt nie pociągnął tematu, więc po chwili dodał: – Co mówiłeś, bracie Errorze? Że pasowałyby do jakiegoś szarego habitu?

Zakonnik po prawej westchnął bezsilnie.

– W kwestii datku... – zaczął kupiec. – Tyle dobrego robicie w całym Imperiale, modlicie się za grzeszników, ratując nas wszystkich od mąk w Otchłani, więc też chciałbym pomóc. Życie na szlaku ciężkie, handel wymiera, ale moje dary płyną prosto z serca. Ile mam, tyle dam. – Złapał za worek. – Bracie Corniku, czy moglibyśmy się przejść? Skoro zawędrowałem pod wasz święty przybytek, rad byłbym wyzalić się na twym ramieniu, zrzucić z serca ciężar grzechu. I przy okazji oczywiście... – Zachęcająco potrząsnął workiem – ...przekazać fanty!

Przeor nie zareagował. Po prostu stał nieruchomo. Zdawać by się mogło, że w ogóle nie oddycha. Blade dłonie zwisały bezwładnie tuż przy ciele, opatulonym w szary habit. Na jednym z palców Haxerlin dostrzegł połyskujący krążek.

– Bracie Corniku? – spróbował raz jeszcze.

Kaptur nieznacznie się unióś, a zakonnik osowiale postawił krok do przodu. A potem jeszcze jeden. I jeszcze.

– Uff, świetnie. – Haxerlin oddychał przez usta. Odór był nie do zniesienia, jakby stał tuż przy otwartej trumnie. Faj, jak tak można żyć? – Przejdźmy się o tam, ścieżką. Macie stamtąd piękne widoki.

Thuz, pospiesz się...

– On znalazł kolejny ślad – obwieścił barbarzyńca, wskazując wymalowaną na pniu strzałkę.

– Brawo, twój sokoli wzrok będzie opiewany w pieśniach – pochwalił demon, teatralnie klaszcząc w dłonie.

– Takich, co to je piszą? Foxi nie lubi liter. Boli od nich głowa bardziej niż od miodu.

– Oczywiście, czytanie jest dla idiotów. – Chłopiec wzniosł oczy do góry, zastanawiając się, jakież to bóg sprawił, że stwarogowiec do tej pory nie szezł przez własną głupotę. Nie wiedział, komu kibicować w pojedynku z Ciubaką. – Na pniu napisano: „RRrrraaa rraaaRRRaarr RRraaaRRrr”.

– Ciuuuubaka! – krzyknął Foxi i zamachnął się toporem.

Bo'akh-Bonthuzel na widok rozłupanego pniaka pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Także i ten przeciwnik nie miał z tobą najmniejszych szans.

– Foxi zostanie Białą...

– Tak, tak. – Westchnął z rezygnacją. – Chodźmy, już niedaleko.

Za każdym razem, kiedy znajdowali strzępek futra albo odbity na ziemi ślad, robili przymusowy postój, by Foxi dał upust swojej frustracji. Objawiała się ona przeważnie wymachiwaniem toporem i głośnym przywoływaniem imienia przeciwnika.

– Już prawie jesteśmy. – Thuz uniósł głowę, przyglądając się osadzonym na szczycie murom. – Dalej nie idę. Żywię uzasadnioną nienawiść do...

Ale barbarzyńcy już nie było.

– Więc, hmm, naprawdę piękny klasztor, zadbany i... – Kupiec starał się prowadzić niezobowiązującą pogawędkę, chociaż zdawał sobie sprawę, że rozmawia sam ze sobą – ...i przytulny...

Znowu odpowiedziała mu grobowa cisza. Haxerlin uznał, że opat obrał najgorszą ze wszystkich rodzajów cisz.

– Brat Gladius mówił coś o poeksperymentowaniu z kolorystyką, ha, całkiem interesujący pomysł, ciekawe, jakby...Przeszedł go dreszcz. Brrr, co tu tak zimno...

– ...a malec umierał na moich oczach, och, ja biedny, biedny, zgrzeszyłem, bogowie niech mi wybaczą... – Wymyślał na poczekaniu różne ckiwe historyjki.

Po jakimś czasie przestał mówić. Przeor raczej się tym nie przejął. Mistrz obszedł go małymi kroczkami, ciągnąc za sobą worek, i stanął za plecami zakonnika, bo nie mógł dłużej znieść aury chłodu, która biła spod kaptura. Brat Cornik stał w miejscu – nie obrócił się, wciąż wpatrzony przed siebie.

Haxerlin przyłożył dłoń do czoła i wyteżył wzrok. Obserwował niknącą w oddali ścieżkę. Co jakiś czas dobiegały stamtąd stłumione okrzyki. Echo odbijało je od skał: ...baka... ..baka... ...baka... Mistrz domyślał się, jakiej sylaby brakuje. W końcu w oddali zamajaczyły sylwetki dwóch postaci.

Zaczynamy.

– Wracając do tematu darowizny... – odezwał się, jak gdyby porzucił wątek chwilę temu, choć niezręczna cisza trwała dobre pół godziny. – Mam tu parę rzeczy, które można sprzedać z niezłym zyskiem dla zakonu. O, na przykład to futro. Proszę się nie krępować. – Zarzucił na habit niedźwiedzią skórę. Przeor ani drgnął. – Leży idealnie! A teraz... – Ponownie zajrzał do worka. – Ach, pokryta włosiem podobizna goblina. Robi furorę na balach przebierańców w Plattendorfie. Chce brat przymierzyć? – Ściągnął mu kaptur i nałożył na głowę pokracczną maskę.

Czynił to zza jego pleców, więc nie mógł widzieć, jak z pustego oczodołu opata wyrzwał biały robak i szybko schował się z powrotem.

– Ho ho ho, co my tu jeszcze mamy w woreczku...

Chwilę potem okolicą wstrząsnął głośny ryk. Ścieżką nadbiegał barbarzyńca, kręcąc toporem zamaszyste młynki. Wilk na jego czaszce gotował się do szarży.

To by było na tyle. Pojedynek tytanów niech rozstrzygną bogowie. Ja tylko chciałem złożyć datek.

Rzucił worek i schował się za upatrzoną wcześniej skałą.

Krew krążyła w żyłach gorącym strumieniem. Serce biło pełnią życia. Umysł wreszcie był czysty jak kryształ, bo odbijał tylko jeden promień.

Promień nienawiści.

Łowy, łowy, Biali Bracia! Inicjacja się dopełnia!

Może nie był najbardziej rozgarniętym wilkiem w watasze, ale wiedział, jak wygląda Ciubaka. Owłosione cielsko, kaprawa morda, słowem – bluźnierstwo. Jeden stał właśnie na wzgórzu. A on nareszcie go wytropił!

Nie nabierze się na sztuczki ciubakowej rasy. Udają, że nie są zagrożeniem, by uspić czujność i zaatakować w najmniej spodziewanym momencie. Tak właśnie jest! Nie pozwoli, by jakaś niedźwiedziowydra chleptała krew poczciwego człowieka. Dawno temu ukuł specjalną mantrę i był jej wierny, odkąd pamiętał. Czerpał z niej siłę. Życiowy manifest zawarł w trzynastu wilczych słowach: „Musimy zagwarantować byt naszym ludziom, przyszłość naszym dzieciom i zabić przekłete, kudłate Ciubaki”. Pierwszy odkrył niebezpieczeństwo. Kiedyś wszyscy mu podziękują.

Foxi wzniósł topór i pobiegł ku swemu przeznaczeniu.

Brat Cornik wpatrywał się tępo w skałę swoim jedynym okiem. Zapomniał, po co w ogóle wychodził na zewnątrz, ale próbował odświeżyć sobie pamięć. Powolutku, krok po kroczku. Nie ma pośpiechu.

Coś ciążyło mu na plecach i chyba zsunął mu się kaptur. Ale to nieważne. Pierścień był na swoim miejscu. Tylko to się liczyło.

No i Bordo. I zakon.

Był już dzisiaj obiad?

Ta właśnie myśl była ostatnią, jaka narodziła się w umyśle brata Cornika tuż przed tym, nim został zdekapitowany, a jego czerep poszybował w dół urwiska.

Przeor stał jeszcze chwilę w miejscu – ciężko mu było odnaleźć się w nowej sytuacji – a potem, jakby z taką lekką nutką nieśmiałości, zwałił się na ziemię. Wreszcie był wolny.

To stara prawda, że nawet martwemu trudno żyć bez głowy.

W ten sposób ani Litościwi, ani mieszkańcy Bordo, ani Haxerlin z drużyną nigdy nie poznali sekretu brata Cornika, który od pięciu lat był chodzącym trupem, bo targany żalem, zemstą i miłością poprzysiągł zrobić coś, o czym i tak już nikt się nie dowie. Wytrzymały aż po grób, a nawet trochę dłużej.

Dopiero później, kiedy bezgłowe ciało trafiło do Pękowiska, tamtejsi medycy przeprowadzili serię badań i byli mocno skonsternowali zaistniałym faktem, lecz ostatecznie opiekun lecznicy kazał spalić zwłoki razem z dokumentacją. Problem przestał istnieć.

Brat Cornik odszedł tak, jak żył – cicho i bez rewelacji, ścięty przez szalonego barbarzyńcę, który pomylił go z Ciubaką.

– Pięknie, przyjacielu. To miała być dyskretna robota, a skończyło się na tym, że głowa zakonu w Bordo straciła... no właśnie, głowę. – Zaco w prawej dłoni obracał złoty pierścień. Inskrypcja zatarła się, ale gdyby usunąć warstwę brudu i starannie oczyścić metal, w dalszym ciągu można byłoby ją odczytać.

Jacob nie musiał niczego usuwać. Doskonale pamiętał, co napisano na pierścieniu. Uśmiechnął się do wspomnień i otworzył lewą dłoń.

Pamiętał, bo to samo kazał wygrawerować na swoim.

Zbliżył ręce do siebie, wnętrzem do góry; bliźniaczo podobne krążki dzieliło ledwo kilka cali. Świetlne refleksy tańczyły po lewej stronie, trupi śwąd toczył prawą. Oba pierścienie obwieszczwały, że

AŻ PO GRÓB

Takie życie.

Dlaczego nigdy się go nie pozbyła? Dziwna, biedna, martwa kobieta.

– Powiesz mi, jak to się stało? – Porzucił sentymentalne rozważania i wrócił do tematu przeora.

Mistrz przybrał leciutki uśmiech.

– Rozpatrzyłem wszystkie plusy i minusy. Ja nie mam z tym nic wspólnego. To była boska decyzja.

– Bluźnisz – powiedział Jacob, ale również się uśmiechnął. – Jeżeli pojawią się tu czarnocienie, to mam alibi. Tym razem nawet prawdziwe. Radziłbym jednak twojemu towarzyszowi z lasu brać nogi za pas. Gdzie on w ogóle jest?

– Zaszedł do karczmy opijać epickie zwycięstwo – parsknął Thuz. Trzymał nogi na stole i grzebał wykałaczką w zębach.

– Mam nadzieję, że nie zabrał ze sobą głowy brata Cornika. To byłoby wielce nierozsądne.

– Nie, czerep braciszka spadł z urwiska. Leciał majestatycznie nad polami, hen wysoko, jak pocisk wystrzelony z balisty. Jakiemuś chłopu trafi się w te żniwa mała niespodzianka. – Zachichotał demon. – A wracając do dzikusa – paraduje z maską goblina przymocowaną do pasa. Spadła opatowi z twarzy, nim stracił głowę.

– Pozwoliłem ją sobie trochę zmodernizować i pokryć dodatkowym owłosieniem. Dzięki, przyjacielu, za udostępnienie potrzebnych rekwizytów.

Fałszerz machnął dłonią. „Nie ma sprawy”.

– Swoją drogą, zdobyłeś moje chwilowe uznanie. – Thuz ledwo zauważalnie skłonił czoło przed Mistrzem. – Iście diabelski plan. Głupi, bo głupi, ale przygotowany wszak pod konkretnego człowieka.

– Ciekawe, co Biała Wataha powie na jego trofeum, to futro. – Zaco wrzucił pierścienie do puzderka z biżuterią. – Biedny Foxi, ale... takie życie.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem i śmiałyby się jeszcze długo, długo, gdyby nie Thuz, który, popychany dziwnym przecuciem, obrócił głowę na bok.

Ktoś stał w drzwiach. I wcale nie było mu wesoło.

Wypełnione po brzegi kufle wysunęły mu się z rąk. Przyniósł je, by napić się z przyjaciółmi, świętować razem dzień zwycięstwa nad Ciubaką. To, co usłyszał, sprawiło, że wilk wytatuowany na jego czaszce miał ochotę znowu zanurzyć pysk we krwi.

Wszystko na nic. Oszukano go, a co ważniejsze – niedźwiedziowidry nie poniosły

żadnej szkody. Można przełknąć zranioną dumę, ale drwinę z trzynastu wilczych słów... Niedoczekanie.

– Heeej, Foxiiii. – Thuz przeciągnął powitanie, zdjął nogi ze stołu i niepewnie spojrział na towarzyszy. – Jest i nasz bohater.

Haxerlin przełknął ślinę. Milczał. Trafnie zinterpretował grymas, który malował się na twarzy barbarzyńcy. Nie pomogą tu żadne słowa... Zaco najwidoczniej też to zrozumiał, bo powoli sięgał dłonią pod stół. Ukrył tam zapewne coś „na czarną godzinę”, a właśnie mogła wybić najczarniejsza ze wszystkich.

Zanim zdążył odczepić zatrzaski, Foxi zaszarżował.

Szarża zawsze wychodziła mu najlepiej.

Thuz nie miał okazji się zasłonić. Po twarzy chłopca spłynął krwawy strumień, kiedy ogromna pięść sięgnęła jego nosa. Oczy jedenastolatka zaszklily się łzami, a chwilę potem leżał już na podłodze, bo drugi cios zmiotł go z krzesła jak taran.

Zaco wreszcie zdołał namacać pistolet skałkowy, ale nim zdołał go wysunąć, stwarogowiec uderzył kolanem od spodu. Stół wystrzelił w górę, a ręka Jacoba wygięła się pod kątem, pod którym teoretycznie wygiąć się nie powinna. Rozległ się trzask łamanej kości, a mężczyzna wrzasnął z bólu.

Haxerlin zacisnął powieki i modlił się, żeby jego bolało najmniej.

Foxi gorączkowo rozmyślał. Krople furii skapywały na jego rozsierdzone serce, ale musiał hamować gniew. Nie ma honoru w zabiciu dziadka, grubasa i dziecka. Jaka nauczka...

Wyszczrzył zęby. Już wiedział.

Zamiast świstu powietrza, zwiastującego nadlatującą pięść, Mistrz usłyszał cienki, chłopiący pisk.

– Nie! Zostaw!

Zaryzykował i otworzył jedno oko.

Foxi trzymał w górze demoniczny artefakt. Pod jego stopami walały się szczątki haxerlinowego kuferka. Barbarzyńca zaryczał jak wściekle zwierzę, wolną ręką zerwał maskę przy pasie i przebił warstwę kołtunów. Róg wyszedł do połowy drugą stroną. .

– Mój róg! – wrzasnął demon. – Mój róg!

Moje osiemdziesiąt osiem procent, rozpaczał Haxerlin. Wciąż spodziewał się ciosu, więc nie chcąc zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, rozpaczał w ciszy.

– Biała Wataha dostanie trofeum – warknął barbarzyńca i wyskoczył przez okno. Oczywiście wcześniej go nie otworzył. Nie musiał.

Pokój wyglądał jak pobojuwisko. Ostatni zawias nie wytrzymał i połamana okiennica, skrzypiąc przeciągle, wypadła na podwórze. Zaco leżał bez ruchu w stercie papierów, przygnieciony stołem. Chyba stracił przytomność. Thuz podpełzł do niego na czworakach, zostawiając za sobą krwawy szlak z rozbitego nosa.

– Masz go znaleźć, słyszysz?! – Złapał fałszerza za koszulę i szaleńczo nim potrząsał. – Zapłacę! Zabrał róg! Rozumiesz?! RÓG! – Częstował twarz Jacoba strużkami śliny. – Co za zdradliwe ścierwo! Obiecuję, na Kaosa, będę go ścigał aż po... – Gwałtownie urwał, bo z rękawa mężczyzny wypadło jakieś zawiniątko. Demon sięgnął zakrwawioną dłonią po świstek, odczytał i nagle się uspokoił – jakby wkroczył w ten etap

furii, którego żar wypala wszelkie emocje.

Powoli, bardzo powoli obrócił głowę w stronę Mistrza Haxerlina.

Ups.

Najcenniejszy skarb na świecie

– To niedaleko stąd. Stracisz co najwyżej trzy godziny, zanim wrócimy z powrotem na Trakt Wędrowca.

– Powiedziałem już: nie. To idiotyczne. Dziwię się, że ty, świątły Krwiopij, prawa ręka Xan... Xun...

– Xanxanmora – podpowiedział chłopak.

– Właśnie. Dziwię się, że dajesz wiarę podobnym bajkom. Coś takiego jak mapa skarbu nie istnieje – cierpliwie tłumaczył Haxerlin. – Po co zakopywać złoto w ziemi, skoro można oddać je na dobry procent do banku? Zastanów się. Żeby rozwiać twoje wątpliwości – tak, mają przygotowane oferty dla kapitału pochodzącego z kradzieży.

– A gdzie jest napisane, że znajdziemy tam pospolite klejnoty? Osobiście liczę na jakiś artefakt, który pomoże mi opuścić przeklętą ludzką powłokę. Każdy trop jest dobry.

Mistrz Haxerlin czuł się tak, jakby rozmawiał z wyjątkowo upartym osłem. Udowodnianie czegoś Bo'akh-Bonthuzelowi przypominało próbę nakłonienia wilka do wegetarianizmu.

– Thuz, znalazłeś pergamin wciśnięty w dziupłę. W dziupłę! Wystawał ze środka pod takim kątem, że ptaki objęły się o niego w locie. Ktoś chciał, żeby został odkryty, tak trudno to zauważyć? I jeszcze te wielkie litery u samej góry – „MAPA SKARBU”. Pachnie szwindlem na milę.

– Znowu to robisz! Podcinasz mi skrzydła! – Obrócił się obrażony. – „Nie, nie jadę do Białokresu, to nierentowne”. „Nie, omijamy Plattendorf, Gildia przepędzi mnie kijem”. Jak mam wrócić do swojej prawdziwej postaci, skoro do pomocy trafił mi się kuglarz w kolorowych szatkach, który zna jedynie magię hasel promocyjnych?

– To bardzo ładne szaty. – Mistrz przejechał palcem po srebrnym szwie układającym się w kontur księżyca. – Nie wiem, czego od nich chcesz... I nie unosz się tak, bo opaska ci się zsuwa.

Dzieciak, mamrocząc pod nosem, naciągnął na czoło czarny pas. Materiał dobrze ukrywał brakujące ucho, a Thuz wyglądał w nim zdecydowanie lepiej niż w kapeluszu.

Haxerlin wolał przemilczeć, że nie ma zamiaru przykładać ręki do przemiany kompana. Jedenastoletni chłopcy stanowią dużo mniejsze zagrożenie niż demon, chociaż pewnie nie każda matka by się z tym zgodziła. Kupca i Thuza wiązał Pakt o Nieagresji i Przewoźnictwie, ale Haxerlin wychodził z założenia, że lepiej podróżować z dzieckiem, choćby nie wiadomo jak upartym, niż z cuchnącym siarką Krwiopijem.

– I nie zapominaj o *Narconomiconie*! – Thuz kontynuował wywód. – Zgubiłeś najpotężniejszą magiczną księgę na świecie. Zaprawdę, posunięcie godne królewskiego stratega. Na pewno natrafiłbym w nim na potrzebne wskazówki. Proponuję przemianować interes na „Podłość i Głupota Mistrza Haxerlina”.

– Mówiłem ci, że to pewnie Foxi ją ukradł. Skoro zabrał też...

Thuz uderzył pięścią w stojak z amuletami.

– Nie waż się więcej przywoływać imienia tego plugawego barbarzyńcy. Nigdy, przenigdy! Znajdę go i rozżarzonymi obcęgami wyrwę ten wilczy tatuaż! – wygrażał. – I ciesz się, głupcze, że podpisałiśmy pakt, bo po numerze, jaki chciałeś mi wywinąć do

spółki z Zaco, powinienem ucztować na twoich wnętrznościach!

Mistrz rozumiał oburzenie chłopca. Rozdrapywanie starych ran boli. Niepotrzebnie wspominał o Foksim i przygodzie w Bordo.

Thuz wreszcie opadł z sił. Plucie jadem bywa niebywale męczące. Naburmuszony usiadł na kufrze, ściskając pod pachą rzekomą mapę skarbu. Po chwili zaczął nieświadomie pociągać nosem – uroki przebywania w ciele dziecka, przekonanego, że dzieje mu się krzywda.

Przedłużająca się cisza kłuła handlarza w uszy. Trudno było mu się do tego przyznać, ale przyzwyczaił się do gadatliwego pasażera. Polubił nawet cykliczne orędzia, w których Bo'akh–Bonthuzel zapowiadał krwawą zemstę na ludzkości za krzywdę, jaka go spotkała, skupiając się głównie na pewnej rodzinie z Kampfsalat. Haxerlina za każdym razem oszczędzał, uroczyście ogłaszając, że taki plugawiec nie jest godzien jego gniewu.

– Dobrze, pojedziemy – odezwał się w końcu Mistrz. Chłopak aż podskoczył z radości. – Ale jeśli ta głupia rymowanka okaże się tylko głupią rymowanką, a tak będzie, obiecaj, że wyczyścisz wszystkie Miecze Posępnego Czerepu.

– Przecież żadnego tu nie widzę.

Kupiec westchnął.

– Oryginalne kopie imitacji Mieczy Posępnego Czerepu, skoro tak się bawimy. A teraz pokaż mapę.

Wóz zatrzymał się przed ścianą lasu. Gęsto obsadzone drzewa blokowały dalszą drogę. Według wiedzy Haxerlina znajdowali się dokładnie w miejscu, które na mapie zaznaczono czerwonym krzyżykiem.

– Proszę bardzo. Nawet nie myśl, że to ja będę robił z siebie durnia. Co najwyżej odczytam to grafomaństwo.

Chłopiec zeskoczył na ziemię z hardą miną.

– Nikomu ani słowa – rzucił na wszelki wypadek. – To zostaje między nami. Zaczynaj.

Mistrz Haxerlin obrócił mapę. Na drugiej stronie, pochyłym pismem, wykaligrafowano kilkanaście wersów.

Jeśliś dzielnym zawadiaką, co to przygód się nie lęka

Walczy z bestią, skarbów szuka, a przed żadnym złem nie klęka

I do piekła gotów zstąpić, choćby płynąc samym Styksem

Przybądź w miejsce, o herosie, oznaczone wielkim iksem.

– Pierwszy etap za nami. Swoją drogą nie czytałem chyba bardziej beznadziejnego wiersza. Już przy lekturze instrukcji montażu wentylatora towarzyszyły mi jakieś poetyckie doznania.

– Czytaj dalej. I ani słowa o wentylatorach – warknął Bo'akh–Bonthuzel, odruchowo poprawiając przepaskę. Darzył te urządzenia piekielną nienawiścią i poprzysiągł, że kiedy odzyska formę demona, będą drugie na liście rzeczy do totalnej eksterminacji – zaraz po ludzkości.

Unieś w górę obie ręce, zacznij machać nimi żwawo

Jakbyś od much się odpędzał; najpierw w lewo, potem w prawo.

Kłaśnij w dłonie cztery razy; szybko połóż się na brzuchu

Trzymaj przy tym się za kostki. Krzyknij głośno „Przybądź, duchu!”.

– Przybądź, duchu!

Mistrz przewrócił oczami.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak żałośnie wyglądasz.

– Zamilcz – wystękał chłopiec, kołysząc się na trawie jak mała łódeczka. – Ostatnia zwrotka!

Podnieś się na równe nogi, teraz będzie ci wygodnie

Rzuć przelotne w las spojrzenie i nęcąco opuść spodnie

Przerwał skonsternowany.

– Bogowie, kto to pisał...?

Demon niecierpliwie majstrował przy pasku.

– Jeśli komukolwiek piśniesz choć słówko, odgryzę ci głowę. Dalej!

Czekaj chwilę tak spokojnie i pamiętaj, nieruchomo!

Kiedy wszystko to wykonasz, stanę ja przed tobą

Homo

Mijały kolejne minuty. Wokoło rozbrzmiewały ptasie śpiewy; gdzieś dalej żaby urządzały sobie towarzyskie spotkanie, rechocząc jak opętane. Zza krzaczka wyłonił się zając. Rozejrzał się ciekawsko po okolicy, zastrzygł uszami i czmychnął z powrotem w las.

– Gąsienica chodzi ci po nodze.

– Wiem – syknął Bo'akh–Bonthuzel. – Ale nie mogę się ruszyć, bo wszystko zepsuję.

– Wracajmy już. Przysięgam, że nie będę nigdy do tego wra...

Niebo przeszył grzmot, a błyskawica trafiła prosto w staw z żabami. Ich rechot gwałtownie ustał. Powietrze zaczęło gęstnieć, a na wóz opadła mgła. Po chwili zbiła się w jeden obłok, który uformował się w przezroczystą sylwetkę starszego mężczyzny.

– Witajcie, podróżnicy. – Na widok Thuza zjawa zamarła w półukłonie. – Chłopcze, załóż spodnie, to krępujące.

Haxerlinowi z wrażenia zabrakło tchu.

– Najpierw każecie się rozbierać, a potem, że krępujące... – narzekał, zapinając pas.

– Kto kazał się rozbierać? – Eteryzna postać spojrzała na Haxerlina z naganą. – Co tu się wyrabia?

– M–mm... mapa, p–panie Homo. – Przerażony kupiec wyciągnął przed siebie pergamin. Obcowanie z bytami astralnymi nie było tym, za czym szczególnie przepadał. Zresztą jak wszystko, co wiązało się z magią. Bo'akh–Bonthuzel był wyjątkiem, ale on tylko potwierdzał regułę.

– Homo? Człowieku, rozum postradałeś? Chcesz denerwować ducha? – Zjawa zmarszczyła brwi i sięgnęła po mapę. – A mogłem wziąć etat w nawiedzonym domu... –

mruknęła, wodząc palcem po kolejnych wersach.

– Dawać skarb i już nas nie ma. – Thuz powoli tracił cierpliwość.

– Głupie żarty. – Starzec podniósł wzrok. – Jakiś dowcipniś dopisał trzecią zwrotkę. Wystarczyło skończyć na „Przybądź, duchu”. Przepraszam, że czekaliście, ale miałem akurat przerwę w grafiku.

– Przerwę? – Haxerlin z każdą minutą dziwił się coraz bardziej.

– Tak, przerwę. A co myślałeś? Że całe dnie i noce bez ustanku nasłuchuję, czy akurat nie odprawiono rytuału? Umarłbym z nudów... o ile oczywiście nie byłbym już martwy. Mamy tu opracowany bardzo nowoczesny model pracy: system trzyzmianowy, półgodzinna przerwa i płatny urlop w dowolnym zakątku Insirii.

– Skarb – wtrącił się chłopiec. – Tak tylko przypominam, żeby nikt nie zapomniał.

– Skoro już wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy, zacznijmy od początku.

Starzec uklonił się raz jeszcze.

– Witajcie, podróżnicy. Nazywam się Pell i jestem duchem opiekuńczym, który poprowadzi was do skarbu.

– Co? To jeszcze mamy gdzieś iść? Nie wystarczy, że odprawiłem ten głupi rytuał?

Pell zignorował dzieciaka.

– Aby udowodnić, że jesteście godni, przejdziecie trzy próby: siły, męstwa i rozumu. Dopiero wtedy dane wam będzie otrzymać nagrodę.

– Gadaj przynajmniej, co można ugrać. Zobaczymy, czy warto.

– Każdy, kto podejmie się wyzwania i pomyślnie je ukończy, otrzyma rzecz, jaką uważa za najcenniejszą na świecie. Powiedz, chłopcze, na czym ci zależy?

Bo'akh–Bonthuzel wyszczerzył zęby.

– Chcę odzyskać moje ciało. Tak naprawdę jestem Krwiopijem.

Zjawa przyjrzała się krytycznie pulchnemu blondynkowi.

– Krwiopijem? Tą bestią z Otchłani? Wielką jak niedźwiedź, ze skrzydłami nietoperza i rogami na dziesięć cali?

– Tak, właśnie tą. Z jednym rogiem, ale gdyby dało się odzyskać brakujący, moje serce zapłonęłoby mroczną wdzięcznością.

– Nawet nie pytam, co się stało...

– Nie pytaj, bo tylko się zdenerwuję. To potężne zaklęcie. Już powoli traciłem nadzieję, że transformacja kiedykolwiek dojdzie do skutku, ale znalazłem mapę – wymownie spojrział na kupca – i wszystko się zmieniło.

Pell milczał dłuższą chwilę.

– Dobrze. Zdobędziesz skarb, który pomoże odwrócić działanie czaru.

– Ha! – demon ucieszył się i klasnął w ręce. – Widzisz? – zwrócił się do Haxerlina.

– Sam sobie szoruj te durne miecze.

– A ty? – Duch wskazał na handlarza. – Jest was dwóch, też masz prawo coś wybrać. Na czym najbardziej ci zależy?

– Bo ja wiem... – Mistrz podrapał się po łysej czaszce. – Na złocie?

– Dostaniesz więc złoto.

– To... miło. Mam nadzieję, że te próby nie wiążą się z żadnym niebezpiecznym...

Nie zdążył dokończyć, bo cała trójka zniknęła w objęciach dymu.

Zmaterializowali się na okrągłym placu, otoczonym trzykondygnacyjnymi murami. Pod stopami Haxerlina zachrząścił piach. Rozejrzał się niepewnie dookoła.

Przy budowie tego miejsca ewidentnie inspirowano się koloseum, rodzajem teatru, gdzie zespoły gladiatorów zmagaly się w brutalnych bojach ku uciechu publiki. Mistrzowi robiło się niedobrze na widok krwi, dlatego taką arenę miał okazję oglądać tylko na pocztówce, którą kupił sobie na pamiątkę po wizycie w Vortecy, światowej stolicy tego sportu. Nabył także dwa proporczyki z lokalnymi drużynami: VDG Eksterminacją i DGV Totalnym Wyniszczeniem. Tak na wszelki wypadek, bo młodzi ludzie z miasta lubili zadawać pytania, komu się kibicuje: Vorteckiej Drużynie Gladiatorów czy Drużynie Gladiatorów z Vortecy. Zawsze miał pięćdziesiąt procent szans, że pomacha właściwym proporcem.

– Przed wami próba siły. – Pell wskazał trzy wielkie klatki, ustawione pośrodku placu. – Musicie po kolei pokonać uwięzione w środku bestie. Wybierzcie, jaką bronią chcecie walczyć.

– Mieczem! – krzyknął podniecony Bo’ak–Bonthuzel. Coś błysnęło i w tej samej chwili w jego ręce zmaterializowała się rękojeść broni. Chłopak jęknął; czubek miecza zagłębił się w piachu. Chwycił mocniej, ale to niewiele pomogło. Broń była zdecydowanie za ciężka dla jedenastolatka.

– A dla ciebie? – zapytał Pell.

– Możesz odesłać nas z powrotem? – Oczy kupca wypełniał strach. – Na pewno ktoś inny zgłosi się po skarb, a...

– Wybieraj albo zostanie ci przyznane standardowe wyposażenie. Czyli miecz.

– Dostałem standard?!

– Krasnoludzki samopowtarzalny obrzyn – powiedział szybko Haxerlin.

Ledwo skończył mówić, a już trzymał w dłoniach szczytową myśl wojennej technologii. Nawet nic nie zdążyło błysnąć.

Posiadania tej broni zakazano w pięciu prowincjach Imperiału, a pozostałe dwie nie zdelegalizowały go tylko dlatego, że tamtejsi prefekci nie dawali wiary jego śmiertelności właściwościom. Z pobłażaniem odnosili się do krasnoludów i „wybuchowych zabaweczek”, przeciwstawiając im miecze z księżycowej stali – relikty epoki, kiedy ludzie byli sobie bliżsi, bo broń nie niosła na sto stóp, a nabój nie przechodził przez człowieka i nie leciał dalsze dziesięć.

– Zasady są proste. Otwiera się pierwsza klatka, to najłatwiejsze wyzwanie, walczyście z potworem, pokonujecie, potem otwiera się kolejna i analogicznie z trzecią. Każdy etap jest trudniejszy. Przywołam teraz portal. – Skrzyżował ręce na piersiach i wyinkantował zaklęcie. Pod murami areny rozbłysła łuna niebieskiego światła. – Kiedy skończycie tutaj, wchodźcie do środka i zabieramy się za następną próbę. Jakies pytania?

– Co się stanie, jeśli zginiemy? – Haxerlin ścisnął obrzyn jak ostatnią deskę ratunku.

– Ha, ciekawe. Teolodzy badają tę kwestię od wieków. Odpowiem wam na podstawie własnego doświadczenia. – Przybrał mentorski ton. – Za życia byłem wiernym

wyznawcą Geshany, bogini łowów. Powiniennem trafić do Astralnej Puszczy, polować na zwierzynę, której zawsze miało być pod dostatkiem, ucztować z Wielkimi Łowczymi i płaszać przy ognisku w towarzystwie skąpo odzianych niewiast oblanych miodem. Jak widzicie, jestem jednak duchem opiekuńczym, który pracuje po godzinach, żeby opłacić małą kawalerkę na przedmieściach Iternalsiti i użera się z poszukiwaczami skarbów. Więc oto, co wam powiem: wypnijcie się na Geshanę, póki czas.

– Niezupełnie o to pytałem...

Pell machnął ręką z irytacją.

– Powodzenia, podróżnicy. – Powoli rozpląnął się w powietrzu. Do uszu Haxerlina dochodził słabnący głos: – A matka mówiła: „Kakakaran. Będiesz po śmierci zajadać się bananami”. Ale nie, Pell wie lepiej...

– Nie potrafię podnieść tego żelastwa! – Bo’akh–Bonthuzel wciąż siłował się z mieczem.

– Obrzyn wystarczy. Fachowcy mówią, że jednym strzałem powali elefanta. Mam jednak nadzieję, że żaden nie siedzi w ostatnim pudle. To naprawdę olbrzymie bestie.

Gdzieś zabrzmiał gong. Zabrzęczały łańcuchy i krata zaczęła się podnosić. Haxerlin obliznął spierzchnięte wargi. Wycelował.

Rzeczywiście, elefant nie siedział w trzeciej klatce.

Siedział w pierwszej.

Zwierzę rodem z Krainy Zdradliwych Piasków było olbrzymie. Sama jego trąba mogła dwukrotnie opleść w pasie biednego kupca – a było co opłacać. Nogi przypominały masywne kolumny, a zakręcone, osadzone na łbie poczwórne kły potrafiły przebić każdy rodzaj pancerza. Ale elefanty nie przebijały ludzi.

One ich tratowały.

Bez namysłu nacisnął spust. Mechanizm wypluł z siebie serię pocisków. Siła wystrzału odrzuciła Haxerlina w tył. W locie zahaczył o chłopaka i obaj wylądowali w piachu.

Elefant wciąż żył. Wydawało się nawet, że był jakoś bardziej żywotny niż przedtem. Fachowcy nie zawsze mają rację.

Rozjuszony zwierzę zaryczało donośnie i stanęło na tylnych nogach. Straciło tylko płat skóry. Małe ślepie błyskawicznie wypatrzyły wrogów. Bestia rzuciła się do szarży.

– Strzelaj, strzelaj!

– Zgłupiałeś? Stratuje nas! Uciekamy do portalu!

– Ale...

– Do portalu, biegiem!

Popędzili, ile sił. Haxerlin niemal wypluwał płuca, lecz coś mu mówiło, że bez możliwości oddychania ma większe szanse na przeżycie niż rozdeptany na placek.

Elefant ryknął po raz kolejny. Czuli, jak ziemia drży. Zwierzę z każdą sekundą było coraz bliżej. Tumany piachu, wzbijane spod gigantycznych nóg, pokryły arenę chmurą pyłu.

– Jeszcze trochę! Jeszcze! Już!

Wbiegli w portal niemal jednocześnie.

Skromnie urządzona komnata była ciepła i przytulna. Padli wykończeni na marmurową posadzkę, łapczywie chwytając powietrze.

– Po... – Haxerlin z ledwością mógł się wysłowić. – Powariowaliście!? To było pierwsze wyzwanie! Co jeszcze tam trzymali? Licza Hatecrafta w drugiej klatce i Kaosa w trzeciej?!

– Myślisz, że siedział tam Hatecraft? – Demon uniósł brwi na wzmiankę o nekromancie, którego czarna magia pośrednio była przyczyną wszystkich jego kłopotów.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Thuz, gdzie ty mnie zaprowadziłeś? Już dawno bylibyśmy w Donnerwertz, spijali w karczmie zimne piwo, jedli dobry obiad...

– Co robicie w Komnacie Spokoju? – Obok zmaterializował się Pell, z eteryczną kanapką w ręce. – Przecież nie zdaliście jeszcze próby siły!

– Siły? Powinieneś nazwać ją próbą samobójczą!

– To niedopuszczalne naruszenie reguł... – Pell wyciągnął zza pazuchy małą książeczkę, szukając paragrafu, który pomógłby w rozwiązaniu patowej sytuacji.

– Czy jest możliwość – odezwał się nieśmiało Haxerlin – żeby poczytać ten sprawdzian za próbę rozumu? Ucieczka przed elefantem była w końcu najrozsądniejszym wyjściem.

Zjawa rzuciła mu znad kajecika przeciągłe spojrzenie, głowiąc się nad czymś.

– W sumie nie jest nigdzie powiedziane, że próby trzeba wykonywać w ustalonej kolejności... Poczekajcie chwilę, skontaktuję się z górą. – Zniknął z cichym „puff”.

– Sprytne – pogratulował mu demon. – Może jeszcze wyjdziemy stąd ze skarbem.

– Wolałbym wyjść z życiem.

– Nie narzekaj, wreszcie coś się dzieje. Kiedy ostatnio miałaś okazję zobaczyć jednego dnia zarówno ducha, jak i egzotycznego stwora? Jakoś żaden nie zaopatruje się w Cudach i Dziwach, prawda?

– Jeszcze tego by brakowało. – Haxerlin wyobraził sobie, jak do jego kramiku zbliża się duch dosiadający elefanta. – Między innymi dlatego zostałem kupcem, a nie poszukiwaczem przygód – żeby unikać niebezpieczeństwa.

– Już jestem. – W powietrzu uformowała się przezroczysta sylwetka. – Rozmawiałem z przełożonym. Nic nie stoi na przeszkodzie, by dowolnie manewrować próbami. Z zastrzeżeniem, że przejść trzeba wszystkie.

– Świetnie. – Bo’akh–Bonthuzel zatarł ręce. – Dawaj następną.

– Mhmm... – Pell nie wydawał się do końca przekonany. – Niech wam będzie.

Teraz próba męstwa. Gotowi?

Zapytał chyba tylko z uprzejmości, bo już rzucał zaklęcie teleportacyjne.

Wylądowali na skalistym podłożu jakiejś podziemnej groty. Przed nimi rozpościerało się jezioro lawy, która bulgotała złowrogo i, formując się w małe lejki, z cichym sykiem wypuszczała parę. Temperatura była nieznośna. Haxerlin otarł czoło.

– Jak już powiedziałem, przed wami próba męstwa. Oto, co musicie zrobić. Na

drugim brzegu znajduje się złoty kamień. Jeśli wysilicie wzrok, może nawet go zobaczycie. – Wskazał palcem przeciwległy cypel. – Albo i nie, bo ja na przykład nie widzę, ale uwierzcie na słowo, że gdzieś tam leży. Z lawy wystają małe kamienne podesty, porzrzucane w różnych odległościach od siebie. Waszym zadaniem jest przewyciężenie strachu i przeskakiwanie z podestu na podest, dopóki nie znajdziecie się po drugiej stronie. Podniesiecie kamień, otworzy się portal, wchodzicie, kończymy. Wszystko jasne?

Bohaterowie rzucili sobie porozumiewawcze spojrzenia.

– Dasz radę ustawić portal tutaj? – Bo'akh–Bonthuzel z trudem ukrywał szeroki uśmiech.

– Po co? To by oznaczało, że musicie pokonać tę trasę raz jeszcze, żeby do niego wrócić.

– Tak, tak, tacy już z nas śmiałkowie. – Zbył go machnięciem dłoni. – Potrafisz to załatwić czy nie?

– Ciesz się wasz zapał. To zaszczyt poznać ludzi podobnej odwagi. – Ukłonił się. – Stworzę portal wedle życzenia.

– Dzięki, a teraz zjeżdżaj. Co za przygłup – odezwał się do Haxerlina, kiedy widmowa postać zniknęła. – To łatwizna. Widocznie zapomniał, z kim ma do czynienia. Poczekaj, zaraz wrócę.

Jak gdyby nigdy nic wszedł do jeziora lawy. Po paru minutach wyłonił się na drugim brzegu. Jego ubranie nie było nawet osmalone. Podniósł złoty kamień, pomachał kupcowi i raz jeszcze zanurkował w płynnym ogniu.

Haxerlin odskoczył, kiedy obok zamigotała poświata portalu.

– Proszę bardzo – odezwała się jasnowłosa czupryna. Chłopak wgramolił się na skałę i wypuścił z rąk okazały samorodek. – Chyba tego szukaliśmy. Banał.

– Powiedział Krwiopij odporny na płomienie. – Haxerlin schylił się po kamień.

– Źle ci? Może jednak spróbujesz swoich sił w skokach nad lawą?

– Niekoniecznie. Chodź, wracamy, zaraz usmażą mi się wnętrzności.

Pojawili się w znajomej komnacie. Pell już tam czekał, przysypiając na drewnianym zydlu. Na ich widok wyprostował się jak rażony piorunem.

– A oto i dzielni wędrowcy. Widzę, że przynosicie złoty kamień... tak swoją drogą jest do zwrotu. – Wyrwał go Haxerlinowi. – Zaprawdę, nie można odmówić wam męstwa. Pobiliście także rekord, jeśli chodzi o szybkość pokonania ścieżki lawy. Czeka was mały upominek. – Pstryknął palcami i w eterycznej dłoni zmaterializował się plik kartoników. – Wejściówki na „Grę o prom”, poruszające przedstawienie o siedmiu braciach flisakach, którzy walczą o spadek po zmarłym ojcu. Do obejrzenia w każdą sobotę w annoverskim Amviteatrze.

– Amviteatr spłonął pięć lat temu – trzeźwo zauważył Haxerlin.

– Nie to nie – prychnął. – Nie ja dobieram bonusy, tylko Yvone z Działu Promocji.

– Możemy już kończyć ten cyrk? Spieszno mi rozprostować skrzydła i odwiedzić kilku... znajomych.

Cała trójka znowu rozplynęła się w powietrzu.

Przywitał ich śpiew ptaków. Leśna polanka, na którą przeniósł ich Pell, była żywcem wyjęta z ilustrowanych książeczek dla dzieci o mówiących zwierzątkach i przyjaznych drzewach. Powietrze wypełniał zapach wiosny. Na środku leżał spłaszczony głaz. Siedział na nim młodzieniec w okularach. Na skrzyżowanych kolanach trzymał opasłe tomiszczę i kartkował je z uwagą.

– Przed wami ostatni test. Zwyczajowo była to próba rozumu, ale namieszaliście, więc się martwicie. Ja przenoszę się z powrotem do Komnaty Spokoju. Jeśli wam się poszczęści, tam się spotkamy. Do zobaczenia, podróżnicy.

Bo'akh–Bonthuzel wzruszył ramionami.

– Zobaczmy, co ma do powiedzenia okularnik.

Podeszli bliżej. Nieznajomy oderwał się od lektury i obdarzył ich nieśmiałym uśmiechem. Błądą twarz, nawykłą bardziej do zakurzonych bibliotek niż do widoku słońca, znaczyły ślady po trądziku.

– W–witajcie w–wędro... wędrowcy. – Młodzian jękał się tak strasznie, że aż zgrzytało w zębach. – Nazy... nazywam się Chri–Christo... Christopher i p–przete... przetestuję waszą m–mądrość.

– Raczej cierpliwość – prychnął demon.

– Z–zadam wam za–zagadkę z wy–wybranej dzie... dzie... dzie... dzie...

– Na Kaosa... To może trochę potrwać.

Haxerlin wzruszył ramionami.

– ... dziedziny. – Otarł czoło, na które wystąpiły krople potu. – Oto ka... kategorie: wiedza ma... magiczna, p–pra... prawo imper–imperialne, mate... m–matematyka, h–historia a–albo – przymknął powieki – pęd i przyspieszenie w pojazdach konnych w oparciu o dzieła zebrane rektora Seminarium Duchownego Kościoła Lamborgi, Eryka Underhilla – wyrecytował jednym tchem. – O... o–osobiście p–pole... polecam o–ostatnią ka... kategorię – zachęcił. – O–odrabiam t... t–tutaj p–praktyki i dosta... dostanę z–za to d–dotatkowe pu... punkty od u–uczelni.

– Niestety, Christopherze, nie chcę cię zmartwić, ale próbę rozumu mamy już za sobą. – Haxerlin uśmiechnął się przeprasząco.

– J... jak t–to? – Młodzieniec poprawił okulary. – A–ale...

– Żadne ale. – Bo'akh–Bonthuzel zaczął podwijać rękawy. – Złaż na ziemię.

– To nic osobistego – zastrzegł kupiec, podnosząc sękaty kij. – Załatwmy to po dżentelmeńsku, panowie.

W Komnacie Spokoju powoli zaczął formować się portal. Z wnętrza dochodziła ożywiona dyskusja.

– Nie musiałeś tłuc mu okularów. A jeśli ma poważną wadę wzroku i teraz nie da rady wspiąć się z powrotem na swój kamień?

– Co to za problem trafić po omacku na wielki kamulec? Na jego miejscu bardziej

przejąłbym się złamaną nogą. Poza tym zostało mu jedno szkło.

– Tylko dlatego, że nie udało ci się w nie trafić.

– Myślałem, że trzeba bić mocno, bo portal coś długo się nie otwierał. Skąd miałem wiedzieć, że zasłania go drzewo? Zresztą nie jesteś lepszy! Uderzyłeś mnie kijem!

– Tak, przepraszam, ale zamachnąłem się w tym samym momencie, w którym Christopher stracił przytomność. A że akurat stałeś obok...

Z niebieskiej łuny wyłoniły się dwie postacie. Haxerlin dyszał jak po całym dniu pracy w kopalni. Bo'akh–Bonthuzel trzymał się za policzek, zasłaniając świeży siniec.

– Wróciliście. – Pell naciągnął na głowę kaptur i włożył ręce w obszerne rękawy szaty. – Próby trzy zdać się wam udało. Zadanie ciężkie, bohaterów godne, hmmmmm.

Popatrzyli na niego jak na wariata.

– Coś ci się stało?

Zjawa westchnęła cierpiętniczo i zdjęła kaptur.

– Taka stylizacja. Chciałem spróbować czegoś nowego. Jak się nie podoba, to nie.

– Dawaj skarb – subtelnie przypomniał demon.

– Oczywiście, oczywiście. Zacznijmy od ciebie. Podejdz. – Kiwnął palcem na Haxerlina, który niemrawo wystąpił do przodu. – Życzyłeś sobie wejściówkę na „Grę o prom”, tak?

– Nie, chciałem złota.

– Ach, faktycznie. – Pell z rozczarowaną miną schował bilety. – Zatem... – Położył dłoń na piersi grubaska. – Obdaruję cię skarbem, który pozwoli zdobyć nieprzeliczone bogactwo. Niech zstąpi na ciebie... – Teatralnie odchylił głowę. – ...spryt!

Kupiec milczał naprawdę długą chwilę, czując się jak ofiara niezrozumiałego żartu.

– Co to miało być?

– Twoja nagroda, podróżniku.

– Przecież ja od zawsze byłem sprytny. Prowadzę własny interes, udało mi się wyjść z niezliczonych tarapatów, nawet te głupie próby przeszliśmy poniekąd dzięki sprytowi!

– No tak, ale teraz jest go więcej.

– Czemu niby mam w to uwierzyć? Nie poczułem żadnej zmiany. Gdzie załamanie powietrza albo jakiś rozbłysk? Postarałbyś się przynajmniej o efekt dźwiękowy! To nazywasz magią?

– Dobra, przestań się użalać. – Thuz odepchnął handlarza na bok. – Teraz ja. Ale przysięgam, że jeśli dotkniesz mnie i powiesz, że *voilà*, jestem Krwiopijem, to wypruję ci flaki, nawet jeśli też są przezroczyście.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył Pell. – Twój skarb spoczywa w kufrze pod ścianą. Chłopiec uśmiechnął się paskudnie.

– Wreszcie... Artefakt, tak jak podejrzewałem.

Podbiegł do skrzyni i szarpnął za wieko.

– Tu nic nie ma!

Pell położył mu dłoń na ramieniu.

– Przyjrzyj się dobrze. Ja coś tam widzę.

Bo'akh–Bonthuzel przyklęknął i włożył ręce do środka, natarczywie macając spód.

– Czujesz? – zapytał z powagą. – To nadzieja. Najcenniejszy skarb na świecie dla tych, których dotknęło zwątpienie. Zabierz ją całą i napełnij serce, a zobaczysz, że łatwiej będzie ci odzyskać prawdziwą postać.

Demon powoli podniósł się z klęczek. Pochylił głowę i wziął głęboki oddech.

– Ty... – wysapał, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. – Ty...

– Nie musisz dziękować, podróżniku. Zapracowałeś na to.

– Mistrzu Haxerlinie... – wycedził Thuz przez zęby nienaturalnie uprzejmym tonem. – Może teraz my podarujemy coś naszemu przyjacielowi? Mam nawet pewien pomysł.

Podniósł zydela i z całej siły cisnął nim o ścianę. Mebel rozpadł się z głośnym hukem.

– Co to ma znaczyć? Nie hałasować! – oburzył się Pell. – To Komnata Spokoju!

Mistrz podniósł odłamaną nogę. Drugą rzucił towarzyszowi.

– Myślisz, że duchy są odporne na broń obuchową?

– Mam nadzieję, że nie. – Chłopiec zacisnął dłoń na kawałku drewna. – Och, jaką ja mam nadzieję!

Śpiew przez lzy

– Trzy złote imperiały, jednaście srebrnych i sześć... siedem... osiem miedziaków.

Bo'akh–Bonthuzel wyciągnął z sakiewki ostatnią monetę, umieścił w odpowiedniej przegródce kufra i zamknął wieko. Brzęknął potrójny zamek. Zarobek Cudów i Dziwów był bezpieczny.

– Wliczyłeś utarg z Donnerwertz?

– Tak, to właśnie te miedziaki.

Mistrz Haxerlin zmarkotniał.

– Kiepsko. Następnym razem, kiedy stwierdzę, że jedziemy na zachód, bo Szadoł to dochodowa prowincja, wybij mi to z głowy.

Chłopiec uśmiechnął się demonicznie. Nie dziwota, w końcu wciąż był mieszkańcem Otchłani, nawet jeśli obecnie uwięzionym w ciele dziecka.

– Zapamiętam, uwierz. Może najwyższy czas opuścić to smutne państwko i obrać za cel Białokres? W perspektywie masz dobry zarobek, a ja...

Haxerlin uciszył go ruchem ręki.

– Ktoś stoi na drodze. Chyba macha w naszą stronę. Zerknij, masz lepszy wzrok.

Bo'akh–Bonthuzel wspiął się na kozła i zmrużył oczy.

– Ludzki samiec. Wygląda jak pajac. Pewnie chce, żebyśmy go podwieźli.

– Ciekawe, jak trafił na to odludzie. Cóż, chcąc nie chcąc, za chwilę się dowiemy.

Wóz nieuchronnie zbliżał się do tajemniczej postaci. Haxerlin mógł już powoli wychwycić szczegóły. Nieznajomy stał na poboczu i bez przerwy wymachiwał dłonią, jakby bał się, że nie zostanie zauważony. Nosił obcisłe spodnie ze skóry i jasnozieloną kamizelkę, ozdobioną ciągnącym się od ramienia do boku szkarłatnym pasem. Na głowę włożył śmieszny, spiczasty kapelusik, uszyty z tego samego materiału co kaftan. Wpięto w niego długie gęsie pióro, które co chwila kołysało się chaotycznie z prawa na lewo. Zza pleców wędrowca wystawał trzonek jakiejś broni. I to właśnie sprawiło, że Mistrz Haxerlin gotów był w każdej chwili strzelić lejcami i popędzić konia, w razie gdyby mężczyzna wykonał podejrzaną ruch.

Nieznajomy w końcu przestał machać rękami i uniósł je w górę, na znak, że ma pokojowe zamiary. Ostrożnie wyszedł naprzeciw podróżnym. Kuśtykał. Zielony strój pokrywały plamy krwi; materiał w kilku miejscach był rozpruty, skrawki kamizelki zwisały jak obcięte płyty skóry. To, co Haxerlin wziął za oręż, okazało się przewieszoną przez plecy lutnią.

– Na Kaosa, bard – jęknął cicho Bo'akh–Bonthuzel. – Skróćmy jego cierpienia.

– Coś się stało? – spytał Mistrz, gdy obdartus zbliżył się na odległość kilku stóp. Kiedy chciał, potrafił świetnie ignorować rzeczy oczywiste, jakimi w tym przypadku były krew i rany – wyraźne wskazówki, że owszem, coś się stało.

– Natziści... – Mężczyźnie drżał głos. – Natziści zaatakowali nasz orszak, wszyscy zginęli! Lady de Torquemodo, kuchcik Frans, Perez i Donny z Pierwszej Przybocznej...

– Spokojnie, spokojnie. Już jesteś bezpieczny. – Haxerlin rozejrzał się dyskretnie na boki i mocniej ścisnął wodze. Grasujący w okolicy natziści nie wróżyli niczego

dobrego.

– Udało mi się uciec. – Bard dotknął okaleczonego ramienia i skrzywił się. – Tułałem się całą noc po lesie, aż w końcu trafiłem z powrotem na trakt, ale to miejsce to kompletne odludzie. Jesteście pierwszymi podróżnymi, jacy tędy przejeżdżają. Proszę, zabierzcie mnie ze sobą, byle do najbliższej karczmy, gdziekolwiek! Obiecuję, nie będę żadnym utrapieniem dla pana i pańskiego syna.

– Dla kogo? – oburzył się demon. – Moim ojcem jest wszechpotężny Gro...

Haxerlin szturchnął go łokciem, zanim dzieciak zdążył się rozpędzić.

– Zajmuję się handlem, nie mam zezwolenia na przewóz ludzi. Straż drogowa mogłaby obarczyć mnie grzywną, a interes ledwo przędzie... Rozumie pan, nie będę ryzykował.

– Jak to? Jestem ranny, bez pieniędzy... – Błądził spojrzeniem od kupca do chłopaka, szukając oznak choćby najmniejszego współczucia. – Chyba nie zostawicie mnie tu samego?

Miny Haxerlina i Bo'akh–Bonthuzela dobitnie świadczyły o tym, że istnieje naprawdę spora szansa, że tak właśnie zrobią.

– Mogę odwdziaczyć się opowieściami. To jedyna waluta, jaką teraz dysponuję. Na pewno ciekawi was, co się wydarzyło.

– Niekonie...

– Trochę ciekawi.

Mistrz zgromił chłopaka spojrzeniem.

– A jeśli nie, występowałem przecież na szlacheckich dworach największych miast Imperiału. Chętnie podzielę się informacjami, jakie to też sprawy absorbują obecnie możnowładców, albo o czym szepcze w kularach szlachta. Bardowie mają dobry słuch.

– Nie interesuję się polity...

– Ale ja tak. – Demon znowu wszedł mu w słowo. – Zabierzmy grajka. Posłuchamy, co się dzieje w wielkim świecie. Wciąż odwiedzamy same zapadłe dziury i mam serdecznie dość wysłuchiwania rewelacji wieśniaków o tym, komu ociełiła się krowa albo kto dostał po głowie, bo dobierał się do córki sąsiada.

– Najbliższa gospoda – zgodził się Haxerlin z ciężkim sercem. – I żadnego śpiewania.

– Nazywam się Sparrow – przedstawił się uradowany bard, gdy usadowił się już pomiędzy pakunkami. – Jeszcze raz dziękuję.

– Mistrz Haxerlin – powiedział kupiec bez entuzjazmu. – Nie ma za co.

Bardzo pragnął, żeby wzmiankowana „najbliższa gospoda” znajdowała się naprawdę blisko.

– A to Thuz, mój czeladnik.

Demon rzucił Sparrowowi wyzywające spojrzenie.

– Ciekawe imię. Jesteś spoza Imperiału, mały?

– Powiedzmy. Opowiadaj o tym ataku. I lepiej, żeby obyło się bez wzmianek o kurach, świniach albo o klęsce urodzaju, która spustoszyła pola pszenicy.

– Oho, mądrała – zaśmiał się dźwięcznie grajek. – Zupełnie jak ja za młodu. Posłuchajcie zatem.

Odkąd bard znalazł się na wozie, stopniowo nabierał humoru i większej śmiałości. Mistrz Haxerlin uznał, że Sparrow idealnie wpisuje się w schemat wędrownego trubadura. Najpierw umyka śmierci sprzed nosa, potem płaczem wprasza się tam, gdzie go nie chcą, a teraz zapewne już kombinuje, jak zmienić swoją klęskę w epicką pieśń o walce z naziistami. Za chwilę będzie dopraszał się dziewczki i piwa.

– Wyruszyliśmy z Siedmioipółgrodu przed tygodniem. Lady de Torquemodo chciała odwiedzić kuzynkę w Lurn i omówić z nią jakieś kobiece sprawy. Zabrała ze sobą małą świtę, w skład której wchodził też najlepszy bard po tej stronie Wstęgi.

– I co się z nim stało? – Thuz uśmiechnął się złośliwie.

Sparrow nie odpowiedział na zaczepkę.

– Towarzyszyło nam czterech zbrojnych. Chłopy na schwał, ale niestety nie okazali się wystarczającą siłą, by powstrzymać bojówkę naziistów. Zaatakowano nas tuż przed zmierzchem...

– Kim są ci naziści?

– Pomyleńcy – odezwał się nagle Haxerlin, nie odrywając oczu od szlaku. – Kryją się po lasach i bawią w partyzantów. Dowodzi nimi wyklęty arystokrata Atler Natzi. Natzi ubzdurał sobie, że Imperiał wymaga drastycznej zmiany ustroju. Obalić króla, pogonić szlachtę, władza w ręce ludu, tego typu dyrdymały. Zebrał wokół siebie spore grono popleczników, od sfrustrowanych chłopów po ideowców z krwi i kości, a także całą zgraję pospolitych bandziorów. Grasują po Imperiale już dobry rok. Głównie rabują, co się da i biorą odwet na „starym porządku”, czyli na tych, którzy akurat nawiną się pod rękę i chociaż trochę pasują do profilu szlachciury-wyzyskiwacza. Co jakiś czas królewscy czarnocienie rozbijają nowe bojówki, ale co z tego, skoro one są jak karaluchy? Ubijesz jednego, a za chwilę spod łóżka wychodzi drugi i popiskuje o równości.

Mistrz Haxerlin z całego serca pogardzał naziistami. Kto to widział, żeby majestatowi tronu przeciwstawić rozentuzjasmowany motłoch? W ogóle najpierw trzeba by zmodernizować zamek w Primus Imperpares, żeby pomieścić tę bandę. Dobudować komnaty, powiększyć salę biesiadną... Ha, a jeśli Natzi tak naprawdę opłacany jest przez cech kamieniarzy? Teoria spiskowa czy brutalna ekonomia?

Handlarz do kwestii władzy podchodził bardzo praktycznie. Gdy król wywinie jakiś poważny numer, istnieje szansa, że straci głowę. Wiadomo, kto spartaczył. Po zrealizowaniu marzenia Atlera ta sama sytuacja będzie skwitowana wzruszeniem ramion i krótkim „Hej, tyłu nas jest, to nie my popełniliśmy błąd, to ci obok”. I spróbuj pociągnąć tu kogoś do odpowiedzialności.

Owszem, monarcha może się mylić, ale dlaczego niby tysiące osób zajmujących jego miejsce nie miałyby się pomylić tysiąckroć bardziej?

– Widzę, że jednak coś tam wiesz o polityce. – Sparrow podsumował wywód.

– Wiem dużo i dlatego właśnie jej nie lubię.

– Wracając do opowieści... Wskoczyli spomiędzy drzew jak upiory, krzyząc coś w stylu „Za Atlerem ku wolności!”. Nie mieliśmy najmniejszych szans, na każdego z naszych przypadało dwóch, trzech naziistów, no i w dodatku w orszaku Lady de

Torquemodo było tylko kilka osób nawykłych do władania bronią. Strzały już w momencie ataku dosięgły osobistych ochroniarzy Lady i strąciły ich z koni. Wybuchła panika. Część naczestników rzuciła się do plądrowania karety, część zajęła się naszym wozem. Jednego udało mi się ogłuszyć lutnią, drugiemu...

– Twoja lutnia jest cała – zauważył sceptycznie chłopak.

– To mocny świerk! – bronił się Sparrow. – Wzmacniana szyjka, stalowe okucia...

– Zachowaj te sensacje dla spragnionej wrażeń gawiedzi. Gadaj jak było, albo zaraz się okaże, że najbliższa karczma znajduje się przy tamtym głazie. Nazwałem ją Pod Porzuconym Bardem.

– Mistrzu Haxerlinie, pozwalasz uczniowi tak się zwracać do starszych?

– Thuz, zgłodniałeś? – zapytał kupiec. – Chyba zbliżamy się do Porzuconego Barda.

– Już dobrze, już dobrze! Nie brałem udziału w walce, wyskoczyłem z wozu jak tylko usłyszałem wrzaski – odpowiedział trubadur ze skwaszoną miną. – Próbowali mnie dorwać, ale potrafię szybko biegać. Dostałem kilka razy cepem; wygląda na to, że po nich biegam jeszcze szybciej. Zadowoleni?

– Fascynująca historia – ziewnął Bo'akh-Bonthuzel. – Obudźcie mnie, jak dojedziemy do gospody. Co za nudziarz... – Nakrył się derką i zamknął oczy.

– Macie tu igłę i nici? Skoro nie chcecie żadnych opowieści, to przynajmniej doprowadzę się do porządku.

Mistrz westchnął z rezygnacją.

– Sprawdź w czerwonym puzderku. Leży gdzieś pod rogami ostatniego jednorożca. Tak, szukaj w tym stosie i o nic nie pytaj.

– Widziałeś te blizny? Musiał nieźle oberwać – szepnął demon, przemywając twarz w strumieniu.

– To nie są świeże rany. Chyba Lady batożyła go za każdą fałszywą nutę, którą zaśpiewał i za każdy kiepski rym, jaki ułożył.

– W takim razie nie należał do pojętych uczniów.

Zatrzymali się nieopodal strumienia, żeby się trochę odświeżyć. Sparrow, gdy tylko zacerował ubranie, zapragnął wziąć kąpiel i zmyć z siebie wydarzenia minionej nocy. Stał nieco dalej niż reszta, szorując się kostką śmierdzącego mydła. Jego szczupłe, blade ciało pokryte było siatką blizn. Ciągnęły się przez całe plecy, tworząc groteskową krzyżówkę. Na klatce piersiowej widniały ślady po ściągniętych szwach oraz szrama, które równie dobrze mógł zadać niedźwiedzi pazur, jak i ostrze miecza. Część zabliznionych ran sprawiała wrażenie śmiertelnie niebezpiecznych. Bard najwidoczniej nie pierwszy raz cudem wyswobodził się z objęć śmierci.

– Miej na niego oko, dobrze? Coś mi mówi, że przyciąga kłopoty.

Bo'akh-Bonthuzel dyskretnie podciągnął koszulę. Zza pasa wystawał mu sztylet.

– Nie jestem głupcem, człowieku. Nie mów mi rzeczy oczywistych.

– O czym tak szepczecie? – Rozległo się za ich plecami. Prawie podskoczyli w miejscu. Sparrow poruszał się cicho niczym kot. – Gotowi do drogi?

Kropelki wody skapywały z jego ciemnych włosów prosto na zablizniony tors.

– Nie patrzcie tak na mnie, bo czuję się jak zombie. To stare rany, już niegroźne.

– Brałeś udział w jakiejś wojnie? – zainteresował się Haxerlin. – Słyszałem o bardach, którzy śpiewem zagrzewali do boju całe armie.

– Ktoś powiedział, że życie to wojna – uśmiechnął się Sparrow. – W takim razie ja zawsze walczyłem w pierwszym szeregu.

Uśmiech był niepokojący. Niepokojący na bardzo smutny sposób.

Przed karczmą powieszono szyld przedstawiający kufel. Mistrz Haxerlin złożył duchowy pokłon przed inwencją twórczą geniusza, który wpadł na ten oryginalny pomysł.

– Pozwólcie, że odwdzięczę się za pomoc. – Sparrow wymierzył palec w stronę wejścia. – Zapraszam na kolację!

– Podobno nie masz pieniędzy.

– Mam za to lutnię. – Zawadiacko przekrzywił zielony kapelusz. – Wyśpiewam nam posiłek.

– Skoro musisz... – mruknął Haxerlin, na wszelki wypadek zabierając ze sobą sakiewkę.

W środku przebywało kilkunastu klientów. Nikt, wliczając karczmarza, nie zaszczycił ich nawet najmniejszym spojrzeniem.

– Usiądźcie gdzieś, a mnie zostawcie resztę. Zobaczycie w akcji prawdziwą sławę.

– Kordak przyjeżdża? – zapytał ironicznie Bo'akh-Bonthuzel.

– Daj spokój, niech się wykaże – mruknął kupiec.

Sparrow zasalutował i ruszył w stronę stolików.

– Nagle polubiłeś bardów?

– Nie wiem, czemu, ale darzę go dziwną sympatią. – Haxerlin obserwował, jak śpiewak bierze krzesło i stawia je na środku sali. – To bez sensu. Z reguły szerokim łukiem omijam ludzi, którzy przyjęli w siebie tyle żelaza co Imperialny Magazyn Stali, bo istnieje szansa, że przy następnej dostawie dostanę rykoszetem. A Sparrow... Życie wyraźnie dało mu w kość, ale on na przekór złym wiatrom dźwiga tę swoją lutnię i udaje, że wszystko jest w porządku.

– Masz rację. To bez sensu.

Bard chrząknął. Nie zwróciło to uwagi klientów, więc chrząknął raz jeszcze, a gdy i to nie pomogło, zdecydował się po prostu krzyknąć.

– Kochani!

Kilka par oczu skierowało się w jego stronę. Karczmarz nie podniósł wzroku nad szynkwasa, zajęty czyszczeniem kufła. Sprawiał wrażenie, że nie przestanie nawet wtedy, kiedy ktoś przystawi mu do gardła sztylet.

– Nazywam się Sparrow, może o mnie słyszeliście.

Odpowiedziała mu głucha cisza, przzerwana naprawdę długim siorbnięciem piwa.

– To nieważne, bo za chwilę usłyszycie. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Pragnę wam umilić wieczór krótkim występem artystycznym. Wykonam mój najnowszy utwór, napisany z myślą o przyjaciółach – Mistrzu Haxerlinie oraz uroczym łobuziaku Thuzie.

Pomachał w ich stronę. Bo'akh–Bonthuzel ukrył twarz w dłoniach.

– Pięknie, teraz wiedzą, komu przypisać tę tragedię.

Sparrow jedną nogę oparł na krześle i pochylił się w stronę kominka, przybierając teatralną pozę. Chwycił lutnię i na próbę wydobył z niej kilka dźwięków.

– Pieśń zatytułowałem *Cuda i Dziwy*.

– Wiedzą też, gdzie nas szukać... – Zrezygnowany demon położył głowę na stole.

Palce szarpnęły za struny. Popłynęła skoczna melodia.

Stałem se na trakcie, stałem se na drodze

Patrzę – handlarz jedzie, mocno trzyma wodze

Twarcz ma uśmiechniętą, na koźle się buja

Wtedy żem nie wiedział, że to kawał...

Chłopa!

Jeden z klientów, ten, który najszybciej kojarzył fakty, parsknął śmiechem.

– Na Kaosa... Zrobił z nas bohaterów karczemnej przyśpiewki!

– Na to wygląda – zgodził się Haxerlin.

Grzecznie się przedstawiam: „Witam, miły panie,

Prośbę mam serdeczną, pan na chwilę stanie”

„Co się tu wyprawia?”, słyszę Thuza plucie,

Brak mu wychowania i włosów na...

Twarcz!

Haxerlin ledwo zdusił chichot. Na policzkach demona wykwitł rumieniec.

– Uduśzę ścierwojada. Wsadzę mu ten instrument w...

Wieśniacy tubalnym chórem dopowiedzieli, gdzie. Tak się akurat złożyło, że następna zwrotka poruszała bardzo podobny wątek, a ktoś wpadł na pomysł, żeby pomóc bardowi w śpiewaniu, co reszta ochoczo podchwyciła.

„Spokojnie, mój uczniu”, handlarz wznosi palec:

„Czego chcesz, człowieku? Coś ty za padalec?”

„Błagam o podwózkę, nogi mi już puchną,

Odwdziłbym karczmę, jakąś dziewczkę...

Poznał!”

Gospoda ożywiła się. Mężczyźni kiwali się na boki i słuchali piosenki z szerokimi uśmiechami na twarzach, wyraźnie zadowoleni z przesłania. Kobiety spąsowiwały, kryjąc pod rękawami zaczerwienione lica, choć im też podobał się ten rodzaj zabawy. Nawet karczmarz zaczął przytupywać w takt muzyki, a i do czyszczenia kufla zabrał się z większą werwą.

„Kto ja niby jestem, przewoźnik z licencją

Żeby darzył bardów specjalną atencją?

Mój wóz to nie zamtuz, jak sznurek nie glizda,

Tu jest sklep magiczny, tylko Thuz to...

Uczeń!”

Jakimś cudem w końcu kupca przekonałem,

*Ukłonilem nisko, na wóz wladowałem,
Koła zaskrzypiały. „Wszyscy się trzymacie?
Konie popędzimy, zaraz się...
Zdziwicie!”*

– Oho, zaskakujące.

Występ Sparrowa na pewno urozmaicało to, że rozochociona publika wniebogłosy dośpiewywała słowo, które w ich mniemaniu powinno kończyć zwrotkę. Mimo że byli prostymi ludźmi (a może właśnie dlatego), sztuka wychodziła im nadzwyczaj dobrze.

– Muszę się napić. – Haxerlin powoli dźwignął się z miejsca.

– Weź też dla mnie.

Demon skulił się na krześle i siedział cicho jak trusia. Lubił znajdować się w centrum uwagi, ale zdecydowanie nie w przypadku, gdy wiązało się to z graniem roli pierwszoplanowego błazna.

– Pamiętaj, że masz dopiero jedenaście...

Kąpią się w strumieniu, strumieniu za lasem

Thuz mydli mu plecy, bawiąc się...

Patykiem!

– Może jednak wezmę dwa dzbanki...

Ruszył w kierunku lady, przepychając się przez rozbawioną gromadkę. Ktoś podszedł do barda z wypełnionym po brzegi kuflem i wlał mu zawartość w gardło, kiedy ten robił przerwę na złapanie oddechu między coraz bardziej rubasznymi strofami. Sparrow podziękował za podarek dworskim ukłonem, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Dwa dzbany piwa.

Karczmarz uniósł głowę, wciąż nucąc pod nosem znajomą melodię.

– Widzę, że występ się podoba.

– Dobry grajek – przyznał oberżysta. – Przyda się tutaj trochę humoru po ostatnich wydarzeniach.

– Doszły już do was wieści?

– A jakże. To niedaleko stąd. Duży Ubo jeszcze rano wymiotował, kiedy pomagał gwardzistom w przenoszeniu ciał, a teraz proszę, o, to tamten wielkolud z brodą, klaszcze w ręce i śpiewa, że matka Thuza...

Haxerlin chrząknął.

– Tak, mam dobry słuch.

– Ano. Śmiech jest najlepszym lekarstwem. Swoją drogą ciekawe, co ich tak urządziło.

– Słyszałem, że to robota nacistów.

– Nie mówię o szlachciance i orszaku, ale właśnie o nacistach.

Mistrz Haxerlin zmarszczył brwi.

– Jak to? Co z nimi?

– Nie wie pan? Ich trupy znaleziono zaraz przy obrabowanych wozach, wymieszane ze zwłokami tych biedaków z Siedmioipółgrodu. Proszę sobie wyobrazić, cała bojówka martwych nacistów! Obstawiam, że w organizacji wybuchł wewnętrzny

konflikt i bandytów wyrzynał jakiś inny oddział, ale w lasach kryje się tak wiele dziwnych rzeczy, że różnie mogło być. Proszę spytać, co jest najbardziej zagadkowe.

– Co jest najbardziej zagadkowe? – Haxerlin posłusznie powtórzył pytanie za karczmarzem.

– To, kto i po jaką cholere przeciągnął jedno z ciał i schował w płytkim grobie, daleko od pobojuwiska. Gdyby nie wilki, które wyczuły krew i dokopały się do truposza, strażę pewnie niczego by nie znalazły.

Handlarz zbladł.

– Mężczyzna był półnagi i ha, to dopiero dziwaczne, pogrzebany razem z ekwipunkiem naczysty! Duży Ubo na własne oczy widział, jak śledczy wyciągają z dołu ząbkowany miecz, kirys, opaskę z krakenkreuzem...

Przestał słuchać. Powoli, powoli się obrócił. Bard podskakiwał z nogi na nogę, a salą co chwila wstrząsał wybuch wesołości.

– ...to był ktoś ze świty Lady de Torquemodo, podobno muzykant, Igieł, Eagle, jakoś tak...

Wszystko to widziałem, zaświadczam swą głową

Jeśli się pomylił, szykujcie mi nową.

Morał będzie krótki, może nieco cikliwy

Od światowych cudów lepsze tanie dziwy!

– ...niby ich lokalna sława, ale idę o zakład, że ten tutaj jest dużo zabawniejszy.

Haxerlinowi jakoś przestało być do śmiechu.

Obaj milczeli, lecz nie dane im było spożywać kolacji w ciszy.

Karczma tętniła życiem. Sparrowa ciągnano od stolika do stolika – każdy chciał zamienić z nim choć kilka słów, stuknąć się kuflem czy pożartować. A on dla wszystkich znajdował trochę czasu, uwijając się między klientami niczym samotny ober w zapchanym po brzegi zajeździe. By nikomu nie zrobić przykrości, udawał, że powtarzany w kółko dowcip bawi go tak samo jak za pierwszym razem. Podchmielonym mężczyznom, chcącym popisać się elokwencją i dogryźć mu, odpowiadał celnymi ripostami. Czasem specjalnie się błaznił, by móc śmiać się razem z nimi. Nawet jeśli męczyła go ta krzątanina, maskował to szerokim uśmiechem i coraz to nowymi wygłupami.

Tak samo jak pstrokata kamizelka maskowała blizny i szramy.

Bo'akh–Bonthuzel postanowił przerwać milczenie.

– Skoro to naczysta, który w pojedynkę zdołał wyrznąć towarzyszy, to nie powinien, nie wiem, zaszyć się gdzieś daleko i nie rzucać w oczy, zamiast błaznować po karczmach ku uciesze gawiedzi? To nielogiczne.

– Nacyzm jest nielogiczny, może to kwestia przyzwyczajenia – zadrwił handlarz.

– Jest zagrożeniem. Tak czy inaczej trzeba go ubić.

Haxerlin nie wątpił, że demon chce pozbyć się Sparrowa, a raczej człowieka, który tak się przedstawiał, ale nie miało to wiele wspólnego z troską o mieszkańców Imperiału ani o ład polityczny w państwie. Przeważały tu względy osobiste – w tym przypadku

przybrały postać czternastozwrotkowej przyśpiewki.

– Jak ty sobie to wyobrażasz? Jesteś dzieckiem. Nie zaprzeczaj. – Zgasił w zarodku oburzenie Bo'akh–Bonthuzela, który już podnosił się z krzesła. – Nie zapowiada się, by w najbliższym czasie w tej materii coś się zmieniło. Z natury demona pozostała ci tylko odporność na ogień. Zaproponujesz mu wspólną kąpiel w rozgrzanym oleju? Na pewno się zgodzi. Albo lepiej: powiesz, że gruby kupiec zna jego sekret i wyzywa na pojedynek. Zaatakowałbym go Czwartkowym Rabatem Haxerlina, a on posiekałby mnie na plasterki. Pewnie wystarczyłaby mu sama lutnia.

– Sprawę da się załatwić na wiele sposobów. Sztylet w plecy, uduszenie... – zaczął wyliczać chłopiec.

– Na razie, z braku innych dowodów, trzeba zakładać, że działał sam. Poradził sobie z całą bojówką, co znaczy, że jest urodzonym zabójcą. Sądzisz, że nie jest wyczulony na takie podchody? Zaryzykowałbyś? Póki nie wie, że znamy jego sekret, jesteśmy bezpieczni. Chyba – dodał po chwili namysłu. – Bo w końcu nie mamy pojęcia, czemu właściwie ma służyć ta maskarada.

– Więc opowiedz o niej! Tutaj i teraz, wszystkim! Nie powstrzyma takiej kupy mięsa, kiedy razem się na niego rzucimy.

Haxerlin kątem oka dostrzegł, jak jedna z kobiet przymierza zielony kapelusik z piórkiem, a bard szepcze jej coś na ucho. Figlarny uśmiech wskazywał na to, że być może proponuje indywidualną lekcję nauki gry na instrumencie, niekoniecznie strunowym.

– Podejrzewam, że trudno byłoby ich przekonać.

– Chyba kpisz! Ludzie są pewni, że szmelc, który trzymamy na wozie, to potężne artefakty, nawet te śmierdzące pantofle, Sandały Trędowatego czy jak je tam nazwałeś, a mają zignorować prawdę?

– Im ładniej opakujesz kłamstwo, tym chętniej je kupią. Tak od wieków funkcjonuje świat. Wiemy, że Sparrow to przebieraniec, ale po tym, co dzisiaj pokazał, ludzie zobaczą tylko ozdobny papier, nienagannie przewiązany wstążeczką.

– Ale...

– Papier w słodkie, skaczące króliczki.

Bo'akh–Bonthuzel zmarkotniał.

– Kolacja smakuje? – Znowu niemal spadli z krzesła, kiedy obok rozległ się głos Sparrowa. – Przepraszam, jeśli trochę się zagalopowałem, ale ludziska lubią rubaszne przyśpiewki.

Haxerlin zgadzał się z tym stwierdzeniem, choć użyłby zdecydowanie innego przymiotnika.

– Nie miejcie mi tego za złe, to tylko zabawa.

– Spokojnie, nie gniewamy się.

– Nie gniewamy – wybełkotał Thuz, któremu piwo zdążyło już trochę uderzyć do głowy. – Wspaniała zabawa. Hurra, hurra.

– Uff, to dobrze – odetchnął bard z ulgą. – Bo dopraszają się bisu. Karczmarz zaraz napelni wam dzbanek. Trzymajcie się, napijemy się wspólnie po występie.

Demon wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Mam pewien pomysł – odezwał się kupiec, z głupią miną machając klientom, którzy wzniesli gromki toast za „interes Mistrza Haxerlina”. Jakaś mała iskierka w jego wnętrzu tliła się nadzieją, że najzwyczajniej w świecie życzą mu pomyślności w handlu.

– Udasz, że idziesz do wychodka. Zajrzyj do wozu. Wiesz, gdzie trzymam woreczek z proszkiem usypiającym, prawda? Zgarnij szczyptę i przynieś tutaj. Dosypię mu małej dawki do piwa, na tyle łagodnej, by go osłabić, nie uspić. Proszek rozcieńczony w piwie zadziała z opóźnieniem. Pewnie zatrzymamy się tutaj do jutra, więc złożymy Sparrowowi nocną wizytę i kulturalnie porozmawiamy – na wszelki wypadek mierząc do niego z kuszy. Dowiemy się, o co tutaj chodzi.

– A będę mógł trzymać kuszę?

– Nie. Idź po proszek.

Mistrz Haxerlin naprawdę chciał poznać prawdziwe oblicze człowieka, który krył się pod maską Sparrowa. Nie było to ani mądre, ani szczególnie bezpieczne, ale gdyby teraz odjechał i zostawił ten epizod za sobą, pewna myśl nie dawałaby mu spokoju. Myśl bardzo abstrakcyjna. Mógł zrozumieć, że przestępca zlikwidował towarzyszy z bojówki, by wymazać także swoją przeszłość, ale dlaczego zdecydował się przybrać tożsamość wesołego trubadura? Tożsamość kogoś, kto właśnie teraz daje się oblewać piwem pijanemu wieśniakowi, a odwdzięcza się tylko zabawnym rozłożeniem rąk? Kogoś, kto praktycznie składa się z blizn, a zmuszony jest odgrywać postać tryskającą nieustannym humorem. Czemu to służy?

I, na bogów, dlaczego nie może pozbyć się wrażenia, że jego dusza jest mocniej przeorana niż ciało?

Położył palec na ustach. Bo'akh–Bonthuzel przytaknął. Delikatnie pociągnął za kłamkę i na palcach weszli do pokoju. W środku panował półmrok; jedynie światło księżycy przedzierało się przez odsłonięte okno. Haxerlin cicho zamknął za sobą drzwi.

Nawet jeśli pochłonęłyby ich zupełne ciemności, z łatwością zlokalizowałiby barda. Sparrow donośnie chrapał, co trochę nie przystawało do wizerunku przyczajonego naczysty.

– Sparrow – szepnął Haxerlin, celując do niego z kuszy.

Mężczyzna mlasnął i przewrócił się na drugi bok.

– Sparrow – powtórzył głośniej.

Bo'akh–Bonthuzel klepnął go w ramię.

– Pobudka, grajku. Czas umierać.

Bard otworzył oczy i zdezorientowany potrząsnął głową.

– Co... Jak...

– Możesz czuć się nadmiernie osłabiony i mieć kłopoty z poruszaniem, ale to nic groźnego. Do rana ci przejdzie. Przyszliśmy porozmawiać.

Chłopiec skrzyżował ramiona na piersi i przybrał groźną minę, dając jasno do zrozumienia, że może i Haxerlin ma ochotę uciąć sobie pogawędkę, ale on, Bo'akh–Bonthuzel, przyszedł tu po samo ucinanie.

– Rety, naprawdę musiała wkurzyć was ta piosenka...

– Dość tych gier. Wiemy o martwej bojówce. I grobie prawdziwego barda Lady de Torquemodo.

Pojedynek spojrzeń trwał i trwał. Narastająca cisza stawała się nie do zniesienia. Haxerlin poddał się pierwszy.

– Więc?

– Więc? – odpowiedział Sparrow. – Czego oczekujesz? Mam kupić twoje milczenie? Nie okłamałem cię, nie posiadam pieniędzy.

– Kim jesteś?

– Jestem Sparrow.

Przysłuchujący się rozmowie demon prychnął.

– Kim naprawdę jesteś?

– Jestem Sparrow – powtórzył z naciskiem. – Wędrowny bard. Wyśpiewałem wam kolację.

– Sam wybiłeś tych nazistów? Współpracujesz z kimś? To kamuflaż dla organizacji, jakaś specjalna misja, czy twój własny sposób na ucieczkę od przeszłości?

Znowu odpowiedziało mu milczenie.

– Po prostu naciśnij spust, skoro ścierwo nie chce gadać – wtrącił się Bo'akh-Bonthuzel.

– Chłopak ma rację, zabij mnie. To też jakieś rozwiązanie.

Haxerlin nieznacznie opuścił kuszę.

– Jeśli tak do tego podchodzisz, dlaczego nie rzuciłeś się na ostrza kompanów z bojówki?

– Widocznie miałem powód.

Tylko tyle. Prawdziwe oblicze Sparrowa nie było zbyt wygadane.

– Nie masz zamiaru niczego powiedzieć? Ani słowa? Przemyśl to. Jesteś rzeźnikiem. Żebyś odpokutował winy, straż musiałaby cię wieszać dziesięć razy. Masz cokolwiek na swoją obronę? Jaka historia tłumaczy podobne zbro...

Kupiec dostrzegł, jak mężczyźnie zaczyna drżeć ręka, tak jakby podłączono ją do krasnoludzkiej turbiny. Po chwili dreszcze wstrząsnęły też drugą.

– Nie wiesz... – wycharczał. – Nie wiesz, co przeszedłem, co widziałem, nie wiesz o niej, nic nie wiesz... Jak o tym mówić? Jak o tym słuchać? – wyszczerzył zęby niczym człowiek niespełna rozumu. – Sparrow jest taki zabawny, wszyscy się śmieją, nikt nie krwawi, nie krzyczy, nic nie boli, Sparrow nie pamięta, nie krzyczy...

– Na Kaosa, toczy pianę z ust!

– ...wypruję jej flaki, uduszę, pożałuje, wszyscy pożałują, nie, nie, nie, nie pamiętać, nie boleć...

Wykręcał się na wszystkie strony. Grymas wykwitły na bladej twarzy był połączeniem przerażenia i szaleństwa w najczystszej postaci.

– Szybko! – Haxerlin rzucił kuszę i podbiegł do łóżka – Złap go za ramię. Ma jakiś atak!

– ...za dużo brudu w głowie, sumienie gryzie, uciec, ale jak uciec, dokąd, tam źle, wszędzie źle, gdzie ona jest, co ja zrobiłem, brakuje...

Przyciskali mężczyznę do łóżka, a on rzucał się w konwulsjach jak wyciągnięta na

brzeg ryba. Bo'akh–Bonthuzel zaciskał zęby i całym ciężarem napierał na podrygujące ramię, mierząc się w nierównej walce na zapasy.

– ...pomocy, pomocy, pomocy, Sparrow rusza na pomoc...

– Co mu się dzieje?!

– Skąd mam wiedzieć? Jestem kupcem, nie medykiem!

Mocne szarpnięcie zachwiało chłopakiem; z trudem udało mu się zachować równowagę.

– Chyba mu przechodzi. Wytrzymaj jeszcze trochę!

– Ja czy on?! – warknął demon.

– Obaj!

Bard w końcu opadł na posłanie. Jego czoło było mokre od potu, łapał głębokie hausty powietrza, wbijając mętne spojrzenie w sufit. Haxerlin przysiadł na skraju łóżka. Thuz przykucnął u jego stóp, udając, że wcale się nie zmęczył, choć z wysiłku drżały mu dłonie.

– Chcecie wiedzieć... – zaczął powoli Sparrow, czekając, aż kołatające serce przestanie próbować przebić się na zewnątrz. – Chcecie wiedzieć, po co nosi się ten cholerny uśmiech?

Bo'akh–Bonthuzel splunął, ale handlarz upomniał go lekkim kopniakiem.

– Powiedz nam.

Przez jakiś czas słyhać było jedynie ciężki oddech mężczyzny. Gdy przedłużająca się cisza zaczęła wskazywać na to, że Sparrow najwidoczniej się rozmyślił, popłynęły słowa. Słowa wyważone i stawiane bardzo ostrożnie, tak jakby jeden fałszywy ruch języka mógł zepchnąć świadomość z powrotem w rozpadlinę, z jakiej niedawno się wygrzebała.

– Uśmiecham się, żeby schować to, czego nie zakryje zielona szata i kapelusz z piórkiem. Pewne rany nigdy się nie goją, wiecie? Można jedynie nakładać na nie kolejne warstwy farby, licząc na to, że kiedyś się o nich zapomni, jak ozymanej w komodzie pamiętce po utraconej miłości, którą przysypaliśmy stertą kolorowych papierków. – Zrobił przerwę na złapanie oddechu. – Albo maskarada, albo szaleństwo. Jeśli mi się poszczęści, minie wystarczająco dużo czasu, kostium przyrośnie do skóry i ją zastąpi. Zrobię wszystko, by to osiągnąć. Wtedy... wtedy zacznę od nowa, a raczej nie będę zaczynał, tylko kontynuował, skoro wreszcie nie będzie potrzeby niczego zmieniać. A ja bardzo chcę się zmienić, uwierz. Bardzo chcę się...

Niespodziewanie rozległo się głośnie pukanie, a chwilę potem otworzyły się drzwi. W progu stanął karczmarz w nocnej koszuli i szlafmocy z dyndającym pomponem. Nocami najwidoczniej zamiast kufla trzymał świecę.

– Co to za hałasy?

Cała trójka spojrzała po sobie.

– My tylko... – zaczął Haxerlin, rzucając bardowi niepewne spojrzenie.

– ...rozmawialiśmy – dokończył Sparrow.

Karczmarz poświecił w róg pokoju.

– Z kuszą?

– Przepraszam, wypadła mi – powiedział Mistrz Haxerlin, tak jakby kuszę

zwyczajowo nosiło się w kieszeni. – Już będziemy cicho.

– Mhmm – mruknął oberżysta i wyszedł.

Zapadła niezręczna cisza.

– Chyba czas się zbierać. Prawda, Thuz?

Zasłonił chłopakowi usta, by stłumić jego protesty.

– Czyli temat możemy uznać za... – Sparrow nadal ostrożnie dobierał słowa – ...wyczerpany?

– Owszem. W zamian za to, że nie będę go poruszał z nikim innym, bardzo proszę, by dzisiejszy wieczór był pierwszym i ostatnim, w którym to została wykonana niewątpliwie, hmm, przebojowa pieśń pod tytułem „Cuda i Dziwy”.

– To będzie wielka strata dla świata, ale cóż zrobić – westchnął cierpiętniczo. – Insiria jakoś to przeżyje.

– Otóż to. Dobranoc, Sparrow. Proszek potrzyma cię jeszcze kilka godzin, ale rozumiesz, względy bezpieczeństwa. Wyruszamy przed świtem, więc jednocześnie mówię do zobaczenia. Uważaj na siebie. Straż znalazła... to, czego nie chciałeś, by znalazła, więc mogą coś podejrzewać.

– Będę uważał. Szerokiej drogi. I nie zapomnijcie o kuszy.

– Och, faktycznie.

Kiedy Haxerlin miał już zamknąć za sobą drzwi, bard, z wyraźnie wyczuwalnym wahaniem w głosie, odezwał się raz jeszcze.

– Jak myślisz, jaka jest szansa, że zły człowiek okaże się dobrym bardem?

– Taka sama, Sparrow, jak na to, że dobry człowiek zostanie złym bardem. Czyli całkiem spora. Zajrzyj do Annoverskiej Akademii Śpiewu. Sam się przekonasz.

Sparrow uśmiechnął się. W tym uśmiechu smutek mieszał się z nadzieją, a pod nim, dużo, dużo głębiej, kryło się coś jeszcze. Coś, czego nie warto rozkopywać, bo wspomnienia czasem pożerają zmysły.

– Pff, to tyle? – prychnął Bo'akh-Bonthuzel, kiedy znaleźli się w swoim pokoju. – Dalej nic nie wiemy. Po co w ogóle odstawialiśmy tę szopkę?

– Niektóre tajemnice powinny zostać tajemnicami.

Mistrz Haxerlin był mądrym człowiekiem.

– Skończony głupiec.

A Bo'akh-Bonthuzel demonem.

– Musisz tak trząść? Rozsadza mi głowę, chyba się pochorowałem – jęknął chłopiec, przykładając do skroni zwilżoną szmatkę. – Przeklęty, słabowity organizm, gdybym tylko odzyskał swoją prawdziwą formę...

– Ostrzegalem, żebyś nie pił.

– Nie przetrzymałbym tego cyrku na trzeźwo, dobrze wie... A! Robisz to na złość! Specjalnie najeżdżasz na największe dziury, przyznaj się!

Haxerlin mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

– Prześpij się. Do wieczora ci przejdzie.

– Nie zasnę przecież, kiedy tak telepie!

Handlarz zatrzymał konia. Obrócił się na koźle i niezgrabnie stoczył się między pakunki.

– Weź trochę proszku usypiającego. Wetrzyj go sobie w wargi albo wciągnij nosem, nic ci nie będzie przeszkadzało, choćby wóz stanął w płomieniach. – Nie było to najlepsze porównanie, skoro dzieciak był odporny na ogień, ale nic mądrzejszego nie przyszło mu akurat do głowy.

Zajrzał za beczki, podrapał się za uchem, potem przerzucił kilka worków z artefaktami, ciężko sapiąc.

– Gdzie odłożyłeś mieszankę?

Walczący z migreną Bo'akh–Bonthuzel wyciągnął rękę przed siebie.

– Przecież leży obok.

– Jesteś pewny? – Haxerlin rozsupłał woreczek i zajrzał do środka.

– Mhmm, dawaj to cholerstwo...

– To mąka.

– Co?

– Dosypałeś Sparrowowi mąki do piwa. Brawo, alchemiku od siedmiu boleści. Wczoraj stanowczo za dużo wypieś.

– Czekaj, czekaj... – Demon na moment oprzytomniał. – To znaczy, że...

– Gdyby chciał, w każdej chwili mógł nas załatwić. Wystarczyło, żeby wyrwał mi kuszę. Ba, najwyczejniej w świecie mógł ją podnieść, kiedy leżała na podłodze. Przez cały czas udawał bezbronny.

– Po co? – Chłopak przełknął ślinę. Powoli dochodziło do niego, na jakie ryzyko się wystawili. – Znamy prawdę, groziliśmy mu... Czemu nie zaatakował?

– Nie wiem. Może nie jest tak złym człowiekiem, za jakiego się uważa. Jeśli nasze drogi jeszcze kiedyś się skrzyżują, będziesz miał okazję spytać go osobiście.

– W życiu! – oburzył się. – Raczej wezmę odwet za jego przyśpiewki. Szykuję mu bolesną lekcję i nie powstrzyma... – gwałtownie urwał.

– O co chodzi?

– Przypomniało mi się. Powinieneś rozejrzeć się za nową porcją proszku usypiającego. Pamiętasz, jak rano rozłożyliśmy stragan przed karczmą? I, ekhm, tak się składa, że jeden z prostaczków zainteresował się mąką z poświęconego ziarna...

– Bogowie... – Kupiec złapał się za głowę. – Przy takiej dawce obudzi się dopiero w następnym tysiącleciu. Oczywiście jeśli będzie miał szczęście i nie zdecyduje się na domowe wypieki, bo wtedy wyleci w powietrze razem z chałupą. Lepiej tam nie wracajmy, póki... hmm, kurz nie opadnie.

Mistrz Haxerlin modlił się, by ów kurz okazał się tylko metaforą. Wybuchające domostwa nie są najlepszą reklamą dla interesu.

Właśnie to łączyło go ze Sparrowem i może dlatego mimo wszystko go polubił. Co jak co, ale obaj wiedzieli, że pozory są najważniejsze.

Grota Valdura

Ciekawych historii wcale nie zwiastuje wystrzał z garłacza ani sztylet odbierający komuś życie w ciemnej alejce. Nie powstają one także podczas bitewnego zgiełku czy gorącej sprzeczki kochanków. Znakiem tego, że zaczyna się ciekawa opowieść, są stanowczo zbyt szybko stawiane kroki, które zakłócają ciszę w pokoju przesiąkniętym zapachem manuskryptów.

Kroki takie jak te. W pokoju takim jak ten.

Na biurku wylądował plik dokumentów.

– Proszę na to spojrzeć.

Starszy mężczyzna podniósł głowę znad księgi. Zasepił się. Nie był przyzwyczajony do tak impertynenckich najść. Przed zbesztaniem podwładnego powstrzymał go tylko wyraz jego twarzy.

Zerknął na stronę tytułową.

– Przecież już się tym zajmujemy.

– Bane dołączył swój raport.

Przerzucił kilka kartek. Odczytał notatkę kronikarza, potem przyjrzał się widniejącemu niżej rysunkowi. Zacisnął wargi.

– On wie?

– Domyśla się, w końcu osobiście zlecił ekspertyzę, ale mimo to nie zmienił rozkazów. Bane uznał, że to powinno trafić najpierw tutaj.

– Dobrze zrobił. Niech przygotuje dla niego drugą, bardziej... wyważoną wersję. Jak sytuacja z... – odnalazł odpowiednią rubryczkę – ...ze Strzelcami z Brixten?

– Dziś wyruszyli.

– Musicie się spieszyć. Ile potrzebujecie czasu?

– Jeśli zbiorę grupę już teraz, będziemy tam za pięć dni.

Przytaknął, nie odrywając oczu od rysunku. Pięć dni. Za długo.

– Kto stacjonuje w mieście? Kometa?

– Tak.

– Przekażę im, żeby... podjęli stosowne kroki, w razie gdyby Strzelcy skończyli przed waszym przyjazdem. Posprzątajcie ten burdel.

Mężczyzna zasalutował i wyszedł.

W gabinecie znowu zapanował spokój, ale zaczęta opowieść nie tak łatwo zakończyć.

Przez bezkres nocy przebijał się migoczący punkcik. Gdyby w pobliżu szwendał się ciekawski podróżnik i obserwował wylaniające się z ciemności domostwa, zapewne podszedłby bliżej, dostrzegłszy w szybie tę bladą lunę, i zapragnął zajrzeć do środka. Nie ujrzałby jednak nic poza własnym odbiciem. Mała oliwna lampka rzucała stanowczo zbyt słabe światło, by rozjaśnić panujący w pomieszczeniu półmrok. Chwilę później

podglądacz mógłby za to poczuć solidny cios w czaszkę, bo właściciel bardzo cenił sobie prywatność – nie cenił jednak życia tych, którzy nachodzili go bez zapowiedzi, zwłaszcza w ciemne, deszczowe noce.

Chmura papierosowego dymu unosiła się nad stolikiem. Zza niej wyłaniała się sylwetka mężczyzny o zaciśniętych wargach i złych oczach, który mimo podeszłego wieku emanował ukrytą siłą. Postukiwał w blat, mierząc się spojrzeniem z człowiekiem siedzącym naprzeciwko, w którym, dla odmiany, nie było nic niepokojącego. Niepokój mógłby wzbudzić chyba tylko spadając na kogoś z dachu.

– Oduść, przyjacielu – odezwała się wreszcie postać po lewej. Głos był uprzejmy, ale drzemała w nim ukryta groźba. I być może zaraz miała się obudzić. – Jeszcze masz szansę się wycofać.

– Chciałbyś... – mruknął człowiek po prawej, a potem się rozkaszał. – Musisz palić to świństwo? Wiesz, że nie cierpię tytoniu.

– Wiem. – Zaciągnął się i wypuścił z ust kolejny cuchnący obłoczek. – To jak? Pas? Odpowiedziało mu milczenie.

– Proszę bardzo, sam się o to prosileś. – Palacz zmrużył oczy i powoli, powoli położył na stole kartę, zasłaniając dłonią wyrysowany nań symbol. Świdrował przeciwnika wzrokiem. Szukał jakichkolwiek oznak słabości, podpowiedzi wyrysowanych na twarzy, wypatrywał subtelnych drgań kąci...

Haxerlin ziewnął i wszystko zepsuł. Jacob Zaco przewrócił oczami.

– Troll i osiem żołądździ – rzekł z nutką zwycięstwa w głosie. – Zgarniam. Wyskakuj z... uch! – Rozmasował czoło. – Zdurniałeś do reszty?

– Przepraszam, przepraszam – Haxerlin schylił się, obmacując po omacku podłogę. – Chciałem efekciarsko rzucić na blat. Podpatrzyłem tę zagrywkę na jednym turnieju, ale tutaj jest za ciemno, żeby dobrze wycelować. – Dźwignął się i dołożył kartę do swojego rządka.

– Kraken na trzech koronach? – wysapał Jacob Zaco. – Znowu? To jakiś żart!

– Nie, przyjacielu, żaden żart. – Mistrz uśmiechnął się, zgarniając ze stołu stosik monet. – To genialna taktyka plus odrobina szczęścia.

Jakiś kształt poruszył się na łóżku.

– Pożrę wasze dusze... – wymamrotał Thuz przez sen, obracając się na drugi bok. – Rozszarpię... chrrrr...

Haxerlin spojrział na emerytowanego strażnika i wymownie położył palec na ustach. Zaco prychnął lekceważąco. Dolał sobie piwa, krzywiąc się pod nosem. Złamana ręka nie goiła się wcale tak dobrze, jak obiecywali medycy.

Od ostatniej wizyty Cudów i Dziwów w Bordo minęło kilka miesięcy. W tym czasie Jacob doprowadził dom do stanu używalności, czego nie sposób było powiedzieć o jego zdrowiu. Nieszczęsny Foxi, sprawca afery, która głośnym echem odbiła się po całej okolicy, oprócz zdewastowanego mieszkania zostawił gospodarzowi pamiątki w postaci blizn, szram i bolących kości. W dodatku pod wpływem stresu fałszerz wrócił do starego nałogu. Odpalał teraz jednego papierosa od drugiego, jak za czasów służby w Weimburgu.

Po barbarzyńcy słuch zaginał, co wielce zasmuciło Bo'akh-Bonthuzela. Całą drogę do Bordo opowiadał o wymyślnych torturach, jakim podda stwarogowca, kiedy ten

wpadnie w jego łapy. Liczył na to, że Zaco zdobył jakieś nowe informacje i wskaże im przynajmniej kierunek poszukiwań. Naprawdę cieszył się z wizyty na wsi. Biedny Thuz... Haxerlin udawał, że nie słyszy, jak wieczorem chłopak popłakiwał w poduszkę, gdy rozwiały się jego nadzieje o szybkiej, brutalnej zemście.

– Jeszcze jedna partyjka? – Kupiec zebrał karty i zręcznie przetasował. – Mam dobrą passę.

Jacob pokręcił głową, jednak wyjął z sakiewki garść monet.

– Oskubiesz mnie do zera.

– Witaj w Cudach i Dziwach.

Zaczęli kolejne rozdanie. Deszcz za oknem wystukiwał swój monotony rytm, zakłócany od czasu do czasu niewyraźnym przekleństwem dobiegającym od strony łóżka.

– Słyszałeś o rewelacjach z Valdursgate? – Zaco zagaił rozmowę, wpatrując się w swoje karty.

– Nie, ale pewnie zaraz usłyszę. Tryton na sześciu mieczach.

– Goblin na dwóch. Pewnie ci wiadomo, że od dobrych paru lat uczeni z Erenfurtu okupują tamtejsze wzgórza. Prowadzą wykopaliska.

– Taa, projekt „Imperiał pamięta”, kolejna głupota, nad którą patronat roztoczył król Heavel. – Haxerlin cmoknął z niesmakiem. – Za takie pieniądze też grzebałbym patykiem w ziemi. I pomyśleć, że na to idą nasze podatki: żeby banda przyszczatych dzieciaków mogła bawić się w poszukiwaczy skarbów. Elefant i wieniec z sześciu zołędzi. Nauka? Ha, od kiedy spanie pod namiotem to nauka? Za moich czasów mówiło się na to biwak. I nikt ci za to nie płacił.

– Hydra na pięciu monetach. Ale to grzebanie patykiem w ziemi przyniosło efekty.

– Tak? Wilkołak i trzy róże, zgarniam. – Mistrz zebrał karty ze środka stołu. – To co w końcu znalazły te dzieciaki? Cóż kryło się pod osławionymi wzgórzami Valdursgate?

– Kwaczor i...

Haxerlin uniósł głowę.

– Znaleźli kwaczora? Żywego?

Jacob Zaco chrząknął i przysunął kartę bliżej.

– Kwaczor i siedem księżyców. Właśnie nie wiadomo, co dokładnie znaleźli – kontynuował. – Na pewno wejście do podziemi. Powiadają, że odkryto wreszcie grobowiec samego Valdura.

– Proszę, proszę. Heavel to jednak ma łeb na karku. Znowu wilkołak, ale na czterech monetach. Zgarniam. Jesteś dwa punkty do tyłu, przyjacielu. Jeżeli to naprawdę jego krypta, to królewski skarbiec zapełni się złotymi imperiałami. Pielgrzymi i turyści nie oszczędzają na tego typu atrakcjach. A i ja na tym skorzystam, jeśli rozbiję kramik gdzieś w pobliżu... – Uśmiechnął się na myśl o przyszłych zarobkach. – Czarnocienie ruszyli już oczyścić teren?

– Jednorożec na tarczy. Nie, król polecił agentom trzymać się z daleka. Zabezpieczają tylko wejście. Załatwi to w tradycyjny sposób.

– Co? Wąż i dwa miecze. Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Tak, dokładnie. Zostawi grotę Valdura, jak ją nieoficjalnie nazwano,

poszukiwaczom przygód. I, uwaga, żeby było ciekawiej – ogłosił przetarg. Goblin i pięć róż.

Haxerlin parsknął śmiechem.

– Przetarg na drużynę awanturników?

– Mhmm, do Valdursgate zjeżdżają śmiałkowie z całego Imperiału. Będą też cudzoziemcy, chyba nawet drużyna z Tur-Saval. Pierwszeństwo penetrowania lochów zostanie przyznane tym, którzy zaoferują swoje usługi za najbardziej rozsądną cenę.

– Czyli innymi słowy... chochlik i osiem strzał... tym, którzy najtaniej wycenią swoje życie?

Zaco przytaknął.

– Prawda, ale nie brzmi już to tak atrakcyjnie. I zgadnij co?

– Co?

– Wygrałem przetarg. Gigantyczny krab na czterech monetach. Zgarniam. Takie życie.

– Jak to? – Haxerlin sprawdził pozostałe karty. Atuty zostawił na sam koniec. – Przecież nie masz nic wspólnego z... Ach.

Wąska linia warg Jacoba nieznacznie odchyliła się ku górze, więc można powiedzieć, że właśnie się uśmiechnął.

Mimo że odszedł ze służby lata temu, w dalszym ciągu posiadał wpływowych przyjaciół. Potrafił załatwiać różne sprawy. Choćby do Valdursgate zawitały prawdziwe legendy, z samym Kordakiem na czele, i w przypiływie niespotykanego szaleństwa postanowiły spenetrować zapomniany grobowiec za marnego miedziaka, Zaco i tak by tę ofertę przebił.

Niektóre drzwi otwierają tylko znajomości i korupcja. Takie życie, jak lubił powtarzać Jacob.

– Oczywiście nie będę zapuszczał się tam osobiście, za stary jestem na wałęsanie się po kryptach. Wynająłem ludzi. Będą działać w moim imieniu.

– Gratuluję. Owocnych poszukiwań. Harpia i liść dębu. Pewnie król zaproponował niezłe profity, skoro wzięłeś na celownik jakąś zapomnianą grotę.

– Och, znasz mnie. Nie interesuje mnie wolontariat; jeśli coś znajdziemy, na pewno na tym nie stracę. Jest tylko jeden mały problem... Zmora na pięciu różach.

– Zmora na trzech. Jaki problem?

– Heavel postawił warunek: katakumby mają penetrować zespoły sześćosobowe, jak za starych, dobrych czasów. Wiesz, on mimo postępowej retoryki i tej nowoczesnej otoczki w głębi serca jest konserwatystą. Poza tym pomyśl. To dobry polityczny zabieg: ukłon w stronę żyjących przeszłością marzycieli, którym tęskno do dni, kiedy grupa przyjaciół zbierała się przy piwie, wypytywała karczmarza o wieści i dziesięć minut później ruszała ubić smoka. Oczywiście przedtem obowiązkowo ćwicząc fechtunek na sznurkach w piwnicy. Można by pomyśleć, że nikomu nie brakuje czasów, kiedy chałupy co chwila stawały w ogniu, a samotne spacerki po lesie kończyły się w najlepszym wypadku uprowadzeniem dla okupu. A tu popatrz. Ludzie są sentymentalni. Zatem królewscy urzędnicy rozesłali wici, ogłaszając wszem i wobec bardzo ważną Misję. Gawiedź się cieszy, a w Imperiale znowu jest zapotrzebowanie na bohaterów. Konkretnie

to na wojownika, maga, łotrzyka, kapłana, łowcę i kobietę.

– Od kiedy „kobieta” to profesja?

Zaco wzruszył ramionami.

– Spytaj króla. W drużynie musi być kobieta. Nie sprecyzowano, czym konkretnie ma się zajmować. Pewnie tymi, no, kobiecymi sprawami. Pranie, gotowanie.

– I to jest ten problem? Brakuje ci kobiety?

– Nie, zwerbowałem już jedną. – Popatrzył uważnie na Haxerlina i splótł palce. – Brakuje mi przywódcy. Maga.

Za oknem zagrzmiało. Na zewnątrz szalała prawdziwa ulewa.

Mistrz nie był głupi. Przełknął ślinę i powoli odłożył karty.

– Nie, nie, nie... Nawet o tym nie myśl...

– Masz certyfikat, prawda? Zresztą po co pytam, sam ci go podrabiałem. To jest naprawdę proste zadanie, będziesz przecież otoczony zawodowcami. Niestety żaden znajomy czarodziej nie przystał na warunki, jakie zaproponowałem.

– Nie, nie, nie, nie... – Haxerlin powoli podnosił się z krzesła. – Zapomniane podziemia i ich sekrety, ciemność i potwory... Nie, ta sceneria zdecydowanie mi się nie podoba.

– Spokojnie, przyjacielu. – Zaco wstał i położył mu rękę na ramieniu z taką siłą, że Haxerlin zmuszony był z powrotem usiąść. – Do niczego cię nie zmuszam. Do niczego nawet nie zachęcam.

– Naprawdę? – Zaskoczony handlarz zamrugał z niedowierzaniem, pewny, że się przesłyszał.

– Owszem, nie to nie. Myślałem, że chcesz zarobić. Poradzę sobie w inny sposób. Grajmy dalej.

– Chcę zarobić. – Odetchnął z ulgą. – Ale zdecydowanie przedkładam hazard nad samobójcze misje.

– Co powiesz w takim razie na naprawdę wysokie stawki?

Mistrz namyślał się tylko chwilę. Czuł, że to jego dzień. Nic go nie powstrzyma. Jacob chce się odkuć? Ha ha, proszę bardzo!

– Jak wysokie?

Fałszerz skrywał się w cieniu, więc Haxerlin nie mógł widzieć, jak kąciki ust przyjaciela unoszą się coraz wyżej i wyżej.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę. – Thuz ściągnął z wozu kolejny stojak z amuletami. Rzucił go na ziemię obok całej reszty artefaktów. – Jeden jedyny raz kładę się wcześniej spać, a ty w tym czasie tracisz cały majątek. Masz jeszcze wątpliwości, kto tutaj robi za zdrowy rozsądek?

– Od samego początku oszukiwał – wymamrotał zawstydzony Haxerlin, siłując się z kufrem. – Specjalnie się podkładał, żeby drażnić moją żyłkę hazardzisty. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. A ja, głupi, złapałem haczyk.

– Pozostaje teraz tylko czekać i patrzeć, jak zdychasz z głodu. Nie powiem, kusząca perspektywa. – Chłopiec złapał za drugi uchwyt i pomógł Mistrzowi przenieść skrzynię.

– Patrząc na twój kałdun z satysfakcją stwierdzam, że będzie to powolny proces.

Wytoczyli z wozu ostatnią beczkę z płynem uzdrawiającym. Wyczerpany handlarz usiadł na niej i ukrył twarz w dłoniach.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

– Czego chcesz? – zapytał opryskliwie.

– Namysliłeś się, przyjacielu? – Jacob Zaco oparł się o opróżniony wóz i zapalił papierosa. – Oferta dalej aktualna. Możesz odzyskać Cuda i Dziwy. Do tego wpadnie ci jeszcze trochę złota.

– Jesteś bezczelny. Ukartowałeś to wszystko, przyznaj się!

Zaco patrzył na niego oczami bez wyrazu.

– Skąd to zdziwienie? Znasz mnie. Takie życie.

Haxerlin w milczeniu przyglądał się, jak Thuz rzuca kamieniami w dzieci, biegające wokół studni. Przeważnie trafiał, więc bawił się całkiem dobrze.

– Nie mam wyboru, prawda?

– Nie bardzo – potwierdził uprzejmie fałszerz. Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa zawiniątka. – Proszę, oto Regulamin Misji, zapoznaj się z nim, jeśli łaska. To natomiast lista z nazwiskami moich ludzi. Będą czekać w Valdursgate, wynająłem im pokoje Pod Cynową Tiarą. Tam ich szukaj. Już od kilku dni się integrują, to dobrze wpływa na morale drużyny.

Podał mu tubę na zwoje, opatrzoną królewską pieczęcią.

– Dokument uwierzytelniający. Pokażesz go czarnocieniom przy wejściu do grotty. Jest prawdziwy – dodał, widząc jego minę. – Nie obawiaj się, wszystko załatwione w świetle prawa. Pojedziesz konno, żeby znaleźć się w mieście jak najszybciej. „Artefakty” będą u mnie bezpieczne. Ach, po drodze pomyśl nad jakąś nazwą dla drużyny, wymóg formalny. Pytania?

– Nie. – Haxerlin wstał i otrzepał szatę. – Tylko przypomnij mi na przyszłość, żeby trzymać się od ciebie z daleka.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – zażartował Jacob bez cienia wesołości. – Oczywiście, jak już wykonasz swoje zadanie. Co to za naszyjnik? – Podniósł z ziemi wisior z tanią imitacją szafiru. – Ładny. – Obrócił go między palcami. – Spakuj kilka przydatnych rzeczy. Wybierz coś stąd. Pozwalam. Magowie noszą różne świece, prawda?

Haxerlin zacisnął zęby.

– Thuz! – Pomachał w stronę chłopaka. Blondynek wypuścił szamoczącą się dziewczynkę, którą właśnie próbował wrzucić do studni. – Koniec zabawy. Jedziemy na cholerną Misję.

Valdursgate zawsze tętniło życiem, ale teraz mury pękały w szwach.

Siedziba prefekta Północnego Zenitu, a co za tym idzie stolica prowincji, była dobrze prosperującym ośrodkiem przemysłowym. Gospodarka opierała się głównie na wydobywaniu i przetwarzaniu surowców – okoliczne tereny opływały w złoża żelaza i srebra. Wewnątrz murów kwitł handel, Imperialny Magazyn Stali zatrudniał dziesiątki

pracowników, jeszcze więcej znajdowało pracę w pomniejszych zakładach, które wyrastały jeden koło drugiego, napędzając koła zdrowej konkurencji. Wypełnione po brzegi wozy codziennie opuszczały bramy i rozlewały się po imperialnych szlakach, docierając do najdalszych zakątków kraju. Valdursgate było domem wszystkich ludzi poszukujących szczęścia i jeśli przez szczęście rozumieli oni ciężką, ale dobrze płatną pracę, z reguły je znajdowali.

Jednak od kilku tygodni to nie zwykli, poczciwi mieszkańcy zapelniali place i uliczki miasta. Kiedy w świat rozesłano wieść o odkryciu grobowca Valdura, stężenie bohaterów na jard kwadratowy przekroczyło wszelkie dopuszczalne normy.

– Skąd ich tylu przywiało? – zastanawiał się Thuz, rozpychając się przez tłum łokciami. – Mówiłeś, że idzie tylko sześciu.

Z ledwością posuwali się do przodu, otoczeni z każdej strony przez wypolerowane pancerze, dziesiątki rodzajów broni, kostury i barwne szaty – oraz oczywiście ich głośnych, podekscytowanych posiadaczy.

– Tak, ale przecież każdy... przepraszam, przepraszam... – Haxerlin wciągnął brzuch i przecisnął się obok człowieka w pełnej zbroi płytowej. – Każdy miał nadzieję, że wygra przetarg. Obecnie rzadko kiedy awanturnicy mają okazję się wykazać. A tak przynajmniej pobrylują w swoim towarzystwie.

Minęli grupkę poszukiwaczy przygód ubranych w zielone stroje. Ich rajtuzy i obcisłe koszulki wyglądały dosyć niepokojąco, ale być może miały jakieś magiczne właściwości. Tego Haxerlin nie wiedział. Nie znał się na tym, choć miał odgrywać rolę drużynowego czarodzieja.

Nie zapowiadało się na to, żeby gospoda Pod Cynową Tiarą była luksusowym przybytkiem, bo nie mieściła się ani w centrum, ani nawet nie przylegała do ważniejszych dzielnic. Po prawdzie leżała w podłej części miasta, ale zapytany o drogę strażnik powstrzymał się od udzielania dobrej rady, bo symbole na tunice Haxerlina uzmysłowiły mu, że ma do czynienia z jeszcze jednym magiem, a tym, jak wiadomo, niestraszne żadne przyziemne zagrożenia.

Bo'akh–Bonthuzel zderzył się z jakimś podpitym opryszkiem, głośno zaklął i poprawił opaskę na czole. Haxerlin zarzucił na głowę kaptur, bo coraz mniej podobały mu się spojrzenia, jakie kierowano w jego stronę z ciemnych zaułków.

Kaptur był szeroki i czarny jak noc, ozdobiony u góry sześcioramienną gwiazdą. Mistrz doszył go do swojej szaty z księżycem i klepsydrą, kiedy zrobili przerwę w podróży. Całość – połączenie purpury i czerni – prezentowała się dosyć ekstrawagancko, ale podobno mroczne kaptury były podstawą wyposażenia każdego dobrego poszukiwacza przygód.

Oparł się o odrapaną latarnię i raz jeszcze rozwinął listę z nazwiskami, którą dostał od Zaco.

– Co się tak gapisz na tę karteczkę, wielki magu? Masz ich odebrać z karczmy, a nie odprawić rytuał przywołania.

– Zamknij się. Cały czas mam wrażenie, że któregoś z nich już spotkałem. Szkoda, że przed wyjazdem nie wypytałem Jacoba o szczegóły.

– Dawaj. – Wyrwał mu liścik. – Aryan Falconer, Szepczący w Ciemności, brat

Gladus, Kit i Rozgwiazdka. Szepczący w Ciemności? – prychnął z lekceważeniem. – Nienawidzę tych waszych pretensjonalnych przydomków.

– Naprawdę, panie Krew na Języku?

– Jestem demonem, śmiertelniku. Demoniczne tytuły to co innego. Kogo z tej listy niby znasz?

– Brata Gladusa. Nie wiem, czemu, ale ilekroć przywołuję w pamięci to imię, przenika mnie jakiś taki... niepokojący dreszcz.

– Nie dziwię się. To pewnie ten cały kapłan. – Splunął na ziemię. – Świętoszkowate ścierwo.

W końcu dotarli pod Cynową Tiarę. Przed karczmą grupka ludzi oddawała się typowej rozrywce mieszkańców podejrzanych dzielnic – okładała się po pyskach, dopingowana okrzykami kompanów.

Haxerlin ominął towarzystwo i pchnął szerokie drzwi gospody. Najwidoczniej kogoś nimi trafił. W środku rozległ się łomot, a potem pojedynczy krzyk, który przeszedł w ciche charczenie.

– He?

Ostrożnie przestąpił próg. Na podłodze leżał zakrwawiony mężczyzna w czarnym kaftanie.

Zdezorientowany Mistrz rozejrzał się wokół. Odruchowo zasłonił głowę, kiedy kilkunastu zakapiorów nagle podniosło się z miejsc.

Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, że wypełniona po brzegi sala przywita go oklaskami.

– Dziwne tu mają zwyczaje. – Pomachał głupio do tłumu. – Thuz, czy ja właśnie zabiłem tego człowieka?

Chłopiec wzruszył ramionami i rozejrzał się po karczmie, oczarowany wystrojem przywodzącym na myśl przestronną więzienną celę, do której ktoś dostawił kilka dodatkowych mebli.

Kupiec powoli obszedł zwłoki i ruszył w stronę szynku. Owacje ucichły, a goście wrócili do rozmów i picia.

– Szukam pewnych ludzi. Od jakiegoś czasu wynajmują tutaj pokoje – zwrócił się do karczmarza. Wielkolud w poplamionym fartuchu może i nie dbał zbyt o czystość przybytku, ale już o swoje zęby tak, bo właśnie grzebał w nich wielkim nożem. – Aryan Falconer, brat Gladus...

Karczmarz bez słowa wskazał stolik zajęty przez trzy zakapturzone postaci.

– No tak, powinienem się domyślić... – Kupiec podziękował i ruszył w ich stronę. Thuz podreptał za nim.

Zakapturzeni na jego widok powoli odslonili oblicza. Nawet ladacznica, która usadowiła się jednemu na kolanach, kokieteryjnie zsunęła z twarzy cienką woalkę. Haxerlin potoczył wzrokiem po grupce najemników. Utkwił spojrzenie w długowłosym mężczyźnie w pancerzu. Wyglądał na szefa.

– Sir Falconer, jak mniemam? Przyszyła mnie Zaco. Mam przejąć dowództwo.

– Nie zostałem jeszcze pasowany, panie. – Uśmiechnął się przepaszająco kandydat na rycerza. – Póki co Aryan Falconer. Zanim zaczniemy rozmowę, pozwoli pan, że coś

sprawdę... – Spróbował dźwignąć się z krzesła, ale kupiec go powstrzymał.

– Cokolwiek to jest, może poczekać. – Przysiadł się do stolika. – Jestem Mistrz Haxerlin, a to Thuz, mój uczeń w Sztuce. Ekhm. – Spojrzał karcąco na awanturnika, wciąż mizdrzącego się do dziewczki. – Może byś ją odprawił, czas omówić interesy.

– Och, zaszła zabawna pomyłka. – Mężczyzna o kruczoczarnych, kręconych włosach miał bardzo sympatyczną twarz i ujmujący uśmiech. – Panienska Rozgwiadka jest z nami.

Dziewczyna zachichotała. Mistrz obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. Skąpy ubiór nie pozostawiał wątpliwości co do profesji, jaką się parała. Chyba że kucharki przestały nagle nosić fartuchy.

– Jest naprawdę przecudowna! – Emocjonował się poszukiwacz przygód. – Właśnie opowiadała, jak przez tydzień nie potrafiła wydostać się z garnizonu w Pękowisku, skazana na towarzystwo czterdziestu strażników. A czemu to nie mogła wyjść, jak się okazało? Ha, bo ciągnęła drzwi do siebie, a one otwierały się na zewnątrz. No i...

Haxerlin drgnął. Rozpoznał mężczyznę po histerycznie radosnym głosie. Posępny habit Braci Litościwych, w jakim widział go kilka miesięcy temu w Bordo, posiadał obszerny kaptur, który zakrywał niemal całą twarz. Dokładnie tak wyobrażał sobie wtedy oblicze zakonnika: rumiane pucułowate policzki i roziskrzzone oczy, z których przezierała bezmyślna pogoda ducha. Wszystko to pasowało do Braci Litościwych jak pięść do nosa.

– Aj, gdzie moje maniery. – Mężczyzna przerwał opowieść i wyciągnął rękę – Brat Gladius, bardzo mi miło.

Odwzajemnił uścisk, zadowolony, że zakonnik najwyraźniej go nie pamięta. W końcu Haxerlin był ostatnią osobą, która widziała się z jego przeorem, nim zanim głowa duchownego w niejasnych okolicznościach nie oddzieliła się od ciała.

– Kit – przedstawił się trzeci mężczyzna.

Jego ogorzałą twarz przykrywała gęsta, czarna szczecina, a głos miał tak głęboki, że można się w nim było utopić. Brakowało tylko koszuli w czarno-czerwonej kratę i gospoda Pod Cynową Tiarą gościłaby chodzący stereotyp drwala. Haxerlin odruchowo zerknął na dłonie Kita. Był pewien, że zobaczy przyrośniętą do nich siekiere.

– Łowca?

– Tak.

No, przynajmniej jeden konkretny.

– Kogoś brakuje. – zauważył Mistrz, który co jak co, ale potrafił liczyć do pięciu.

– Ta, właśnie – wtrącił się Thuz. – Gdzie ten... ouuuu... Szepczący w Ciemności? Zapadła krępująca cisza. Nawet uśmiech brata Gladiusa nieco przygasł.

– Więc?

Aryan Falconer zebrał się na odwagę.

– To właśnie ta sprawa, którą chciałem załatwić na początku, ale chyba jest już za późno. Nie wiem, jak to powiedzieć, Mistrzu Haxerlinie...

– Każdemu przecież może się zdarzyć – wszedł mu w słowo brat Gladius. – Sam się o to prosił, czyż nie? Zachciało mu się głupich sztuczek. Gdyby kózka nie skakała...

– Nie. Nie. To moja wina, byłem odpowiedzialny za drużynę, póki nie dołączył do

nas czarodziej. Mogłem go powstrzymać. – Falconer wstał i wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść. Złote włosy majestatycznie opadły mu na ramiona. – Przysięgam, że nigdy więcej nie pozwolę, aby niewinnemu człowiekowi stała się krzywda. Będę...

Brat Gladius zauważył, że Szepczący lubił kopać koty, więc nie był zupełnie bez winy.

– Ktoś mi może powiedzieć, co się stało? – Haxerlin tracił cierpliwość. – Gdzie jest Szepczący w Ciemności?

– Chyba nie żyje – odpowiedział milczący dotąd Kit. – Od dłuższego czasu się nie rusza. – Wskazał ciało przy drzwiach, nad którym Mistrz niedawno przechodził.

Bo'akh–Bonthuzel zagwizdał z podziwem. Handlarz zbladł i rozchylił usta w niemym zdziwieniu.

– Ten człowiek w ogóle był jakiś dziwny – zaczął brat Gladius. – Niby Szepczący w Ciemności, a jak wypił – a pił często – to darł się tak, że słyhać go było na drugim końcu miasta. Alkohol jest dla ludzi, ale trzeba znać umiar. Kopał koty, jak już mówiłem. No i miał tę swoją odzywkę, którą wszystkich denerwował... Zresztą cały ambaras właśnie przez nią, o!

– Jaką odzywkę?

– „Potrafię też zatańczyć na ostrzu noża!”. – Zakonnik sparodiował martwego towarzysza. – Ciągłe tak gadał, nawet jak poprosiłeś, żeby przyniósł ci coś do jedzenia albo pożyczył rzemyk. Powtarzałem mu: „Szept, daj spokój, wieczorem pójdziemy na tańce, zabawimy się, Rozgwiazdka przyprowadzi koleżanki”. Ale bo to mnie słuchał? Otóż, moi drodzy, nie słuchał.

– Ludzie zaczęli mieć tego dość – podjął wątek Aryan. – O tutejszych bywalcach można wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że cierpliwość jest ich mocną stroną. To gwałtownicy; nie osądzam ich, bo przecież w każdym z nas drzemie demon nieprawości.

– Żebyś wiedział – przyznał Thuz.

– Potrzeba silnej woli, by trzymać zło na uwięzi. – Wskazał na dwóch postawnych osiłków. – Ci jegomości grający w karty woleli przytrzymać Szepczącego w Ciemności niż prowadzić wewnętrzną walkę. Kazali mu siedzieć cicho, ale on nie odpuszczał. Dalej powtarzał...

– „Potrafię też zatańczyć na ostrzu noża!”

– Dziękuję, bracie Gladiusie. Właśnie. Wzięli więc od karczmarza jeden z tych ogromnych noży, co wiszą nad szynkiem, wepchnęli rękojeść w szparę między deskami i...

– Przez jakieś pięć sekund było to nawet widowiskowe – pochwalił zakonnik. – Ale się skończyło, bo kiedy wchodziłeś, to uderzyłeś go drzwiami w plecy.

– Śmierć też potrafi być widowiskowa – zauważył Kit, beznamiętnie popijając piwo.

Thuz klepnął łowcę w ramię.

– Chyba cię polubię.

Haxerlin położył głowę na stole. Zupełnie opadł z sił.

– Bogowie... Zabiłem naszego łotryka!

– Proszę się nie martwić, sporo się ich kręci po mieście, na pewno znajdziemy

kogoś na miejsce Szepta. – Zakonnik polaskotał Rozgwiadkę po nosie, a ta słodko zachichotała. – Może przynajmniej nowy nie będzie męczył zwierząt.

Handlarz się ożywił.

– Tak, tak, to jest pomysł.

Rozsupłał sakiewkę i wysypał resztkę pieniędzy, które udało mu się ukryć przed Jacobem. Obrzucił stosik krytycznym spojrzeniem.

– Drużyno, wydaję pierwszy rozkaz. Robimy zrzutkę na fundusz kryzysowy.

Zabręczały monety. Stosik odrobinę się powiększył, jednak z której strony by nie patrzeć, złoty imperiał, dwa srebrniki i siedem miedziaków nie prezentowało się imponująco.

– Uuuu, nie będzie z tego bohatera – stwierdził brat Gladius.

– Falconer, porozglądaj się po mieście, popytaj i przyrowadź mi kogoś tanie... dobrego. Thuz, pójdiesz z nim. Dopilnuj, żeby wybrał właściwego człowieka.

Młodzieniec przyłożył rękę do piersi.

– Na twój rozkaz.

– Dobra, i tak nie mam nic lepszego do roboty – odparł łaskawie demon.

– Kit, a z tobą chcę porozmawiać. Na osobności. – Wymownie spojrzał na obściskującą się parkę. – Nie przeszkadzajcie sobie.

Desperaci, którzy zatrzymywali się Pod Cynową Tiarą na dłużej niż jedno pobicie, mieli do dyspozycji kilka obskurnych pokoi na piętrze. Łowca wynajmował klitkę na samym końcu korytarza. W środku śmierdziało grzybem i pleśnią, ale przynajmniej było cicho.

– Będę z tobą szczery, bo sprawiasz wrażenie najrozsądniejszego z nich wszystkich. – Kupiec usiadł na zydłu pod ścianą. – Czarno to widzę. I nie chodzi tylko o to, że już na starcie straciliśmy łotrzyka. Jak dobrze znasz całą resztę?

Kit podszedł do łóżka i przesunął walający się na nim ekwipunek, by zrobić trochę miejsca. Mistrzowi rzucił się w oczy zwłaszcza imponujący zestaw narzędzi, trzymany w czarnym futerale ze skóry: dłuto, obcęgi, nabijana kolcami pałka i różnej długości zakrzywione ostrza. Obok leżało kilka lasek tyłtrołu.

– Siedzimy tu już czwarty dzień. – Brodacz usadowił się na pryczy. – Wcześniej nie widziałem ich na oczy. Z reguły pracuję sam.

– I co możesz mi o nich powiedzieć? Nie wygląda to za ciekawie. Myślałem, że przynajmniej Falconer będzie doświadczonym wojownikiem, a to nieopierzony młokos. Chyba ledwo co zaczął się golić.

– Falconer to idealista – zaczął łowca. – Nigdy nie brał udziału w prawdziwej walce. Wszystko, co wie, wyczytał w księgach albo podpatrzył na turniejach. Ma za to wysoko postawionego tatuśka. Były królewski czempion, teraz jakiś gryziپیórek od spraw armii. Młody zapewne chce iść w ślady ojca, więc musi się wykazać.

No tak, pomyślał Haxerlin. Coś mi się wydaje, że stary Falconer jest dobrym znajomym Jacoba Zaco. Ciekawe, jak fałszerz to rozegrał? „Pomożesz przy tej sprawie z grotą Valdura, a w zamian wkręcę do zwycięskiej drużyny twojego syna.” Przysługa za

przysługę. Tak wyglądają sojusze ludzi biznesu.

– A co z bratem Gladiusem? Nie wydaje się zbyt... uduchowiony. – Wolał nie zdradzać przed Kitem faktu, że już kiedyś poznał mnicha. – I przecież miał być kapłan, nie zwykły zakonnik.

– Odszedł z Zakonu, ale zachował stare imię. Opowiadał o tym chyba ze sto razy. Wydawało mu się, że to ciekawa historia. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie tych nudnych wieczorów. – Jest świeżo wyświęconym kapłanem Arachne Księżycowej. Tylko poradziłem mu póki co zdjąć ten srebrny medalion, bo już próbowali go pobić i okraść. Nazwał to „zabawnym nieporozumieniem”.

– Co? Teraz jest arachnitą? – zdziwił się Mistrz. – A oni nie ślubują abstynencji i celibatu? Przecież siedział przede mną z kuflem opróżnionym do połowy i dotykał Rozgwiadki w... no, dotykał Rozgwiadki.

– Twierdzi, że w nocy Arachne śpi i niczego nie widzi. A z dziewczyną to tylko „przyjacielskie przytulanki”.

Tak, to podobne do brata Gladiusa... Haxerlin był pewien, że jego proces wyświęcania odbył się w trybie przyspieszonym, konkretnie to w trybie ZZS. Zaco Załatwia Sprawy.

– Zostaje jeszcze właśnie Rozgwiadka... Ona w ogóle mówi, czy tylko chichocze?

– Czasem zdarzy się jej coś powiedzieć. Wierz mi, lepiej jak chichocze.

Haxerlin westchnął.

– No i działaj tu coś z takim składem. Dobrze, że mamy ciebie, Kit.

Brodacz skinął głową w podzięcie.

– I ciebie, czarodzieju.

Już chciał mówić „A propos czarodzieja... Powinieneś o czymś wiedzieć”, ale się rozmyślił.

Po co dołować łowcę?

– Dobrze znasz Jacoba?

Kit pogładził brodę.

– Blisko piętnaście lat? Tak, będzie już chyba tyle.

– O, to pamiętasz go jeszcze z czasów służby, tak samo jak ja. Pracowaliście razem?

– Znamy się z kilku akcji. Nie musisz się o mnie martwić, Zaco wytypował odpowiedniego człowieka.

– Dobrze, że chociaż jednego... – mruknął Haxerlin.

– Co?

– Nic, nic. – Dźwignął się z zydła. – Zejdźmy na dół, póki bratu Gladiusowi zostało cokolwiek ze ślubów czystości.

Zgarbiony mężczyzna nosił tunikę zdobioną orientalnymi motywami. Ciekawsko przekrzywił wygoloną po bokach głowę, z której czubka zwisał długi, misternie spleciony warkocz. Miał na ustach bezrozumny uśmiezek, jaki z reguły przybierają ludzie, kiedy przypadkiem wpadają na bankiet i okazuje się, że nikogo tam nie znają.

Mistrz czuł się zupełnie zbity z tropu, patrząc w skośne oczy nowoprzybyłego i wpadał w jeszcze większą dezorientację, gdy cienki, sumiasty wąs na jego twarzy czasem poruszał się samoistnie, jakby przymocowany do niewidzialnej żyłki. Kojarzyło mu się to z gryzoniem, który węszy w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

– Nic lepszego nie dostaniesz – szepnął Thuz. – Nie za taką cenę. A cudzoziemcy pracują za półdarmo. Jak zobaczył te psie pieniądze, które zebraliśmy, to aż mu się szparki w oczach rozszerzyły. Wróci do siebie... gdziekolwiek to jest... to pewnie sobie postawi pałac z bambusa. Cała wioska będzie mu zazdrościć.

– Moshito dobry, tak tak. – Ukłonił się nisko. – Moshito dużo pracować, mało jeść.

– Ciężko u niego z imperialnym – dołączył się do rozmowy Aryan – ale rozumie proste polecenia. Tylko czasem trzeba powtórzyć głośno i wyraźnie.

– Lubisz koty, Moshi? – zainteresował się brat Gladius. – Koty. Miau, miau.

Moshito wyszczerzył zęby i pogłaskał się po brzuchu.

– Chyba lubi. Jak myślisz, Rozgwiadko?

– Jest słodki. Jak mały psiak.

Moshito zaczął głaskać się intensywniej.

– Problem łotrzyka rozwiązany – uznał w końcu Haxerlin. – Proponuję, żeby każdy z nas udał się na spoczynek. Kit, pokaż nowemu towarzyszowi jego pokój. Jutro wyruszamy. Z samego rana załatwię jeszcze formalności, a potem... – Obrzucił spojrzeniem drużynę. – Potem miejmy to za sobą.

Na wzgórzach Valdursgate, w porównaniu do harmideru wewnątrz miasta, panował względny spokój. Owszem, już z samego rana kręciło się tu sporo ciekawskich, chcących zobaczyć grootę na własne oczy, ale szlak zabezpieczało kilka patroli straży miejskiej, rozlokowanych w strategicznych punktach. A nawet gdyby awanturnikom i spragnionym wrażeń obywatelom Imperiału udało się przekraść obok, to przed samym wejściem do podziemi stacjonowała grupa czarnocieni, elitarnych żołnierzy i agentów do zadań specjalnych. Ominięcie ich graniczyło z cudem.

Byli zmuszeni zostawić konia przy ostatnim z posterunków. Dalej szli pieszo. Centralny obszar wykopalisk odgradzono żółtą taśmą, obwiązaną wokół palików, które otaczały półkołem cały kompleks. Napisy na taśmie informowały o bezwzględnym zakazie jej przekraczania. Dla analfabetów przygotowano wersję z trupią czaszką.

Trzech czarnocieni trzymało Mistrza na muszce, odkąd pojawił się na horyzoncie. Już dawno wyciągnął dokument z królewską pieczęcią i niósł przed sobą jak tarczę, chociaż z pewnością nie osłoniłby się w ten sposób przed pociskiem z garłacza. Thuz trzymał ręce w górze. Jego mina wyrażała totalną pogardę wobec świata.

– My od króla, my od króla! – krzyczał kupiec, póki agenci nie przestali do niego mierzyć. W specjalnych, usztywnianych kombinezonach przypominali czarnoskóre demony. Maski ze szklanymi osłonami na oczy śmiało mogły imitować diabelskie pyski.

Jeden z agentów wystąpił naprzód i wyciągnął rękę po dokument.

– Gdzie reszta? – przewertował pismo. – I najpierw mieliście zgłosić się do burmistrza. Będzie specjalna ceremonia.

Maska sprawiała, że jego głos brzmiał nieco metalicznie.

– Przyszliśmy tylko na zwiad, upewnić się, czy emmm... wszystko w porządku. Zbierzemy się za kilka godzin. Macie jakieś przypuszczenia, co zastaniemy w środku?

Czarnocien spojrzał na niego z góry.

– Archeolodzy wspominali o co najmniej dwóch poziomach. Tak wynika z ich obliczeń. Nie zapuszczaliśmy się głębiej niż na sto jardów od wejścia. Nawet nie zeszliśmy do końca schodów. Polecenie króla. Na tym odcinku bez niespodzianek. A dalej? Pewnie to samo, co zawsze. Pułapki, ślepe korytarze, może jakieś potwory. Kto wie, co za diabelstwa uchowały się w środku.

– Założę się, że będą gremliny – powiedział Thuz. – Te to wszędzie wejda. I impy. Cholernych diablików nie chcą nawet w Otchłani. Chyba że na talerzu.

Zamaskowany agent nawet nie spojrzał w stronę chłopaka.

– Kto to?

– Mój czeladnik.

– Potrafię mówić za siebie – warknął. – Właśnie. Jestem uczniem czarodzieja.

– Dzieciom wstęp wzbroniony. Bez wyjątków, choćby był drużynowym kapłanem.

– Ale...

– Czytałeś w ogóle Regulamin Misji? Punkt czwarty, paragraf trzeci wyraźnie mówi o cenzusie wieku. Dzieciak zostaje w mieście.

– Co?! Ty impertynencki głu... – Thuz nie zdążył wyrazić swojego oburzenia, bo Haxerlin zatkał mu usta.

– Tak, tak, dziękujemy za informacje. Do zobaczenia! – Handlarz wycofał się, ciągnąc chłopaka za koszulę.

Wrócili z powrotem na ścieżkę. Obrażony Thuz trzymał ręce w kieszeniach i kopał walające się wszędzie kamyki.

– Jeśli myślisz, że będę czekał w tym skupisku pcheł i ludzkiego smrodu, kiedy pojawia się możliwość zdobycia jakiegoś artefaktu, a być może nawet odzyskania mojej prawdziwej formy, to zastanów się dwa razy...

Kupiec westchnął. Od niechcienia kartkował Regulamin Misji.

– Skąd wiesz, że w podziemiach będą artefakty?

– A skąd wiesz, że nie będzie?

Fakt, dobre pytanie...

Zaciekawił go pewien paragraf. Uśmiechnął się pod nosem.

– Mam pomysł, jak wprowadzić cię do środka, ale obiecaj, że nie będziesz się kłócić i grzecznie zrobisz to, co każę.

– Krwiopije nie słuchają rozkazów! – Tupnął nogą. – I, cholera, już na pewno nie są grzeczne! Najwyżej wejda po truchłach tych wszys...

– Obiecaj, albo zostajesz w karczmie. Bez dyskusji.

Chłopiec zacisnął pięści i wymamrotał coś pod nosem.

– Co mówiłeś?

– ...uję...

– Co? Nic nie słyszę.

Thuz ze złością kopnął kamyk.

– Na Kaosa, kiedy wygaśnie Pakt o Nieagresji i Przewoźnictwie, wyrwę i pożrę twoje serce! Obiecuję! Ale póki co będę grzeczny – dodał mniej hardo.

– Witajcie, mieszkańcy Valdursgate i wy, dzielni podróżnicy, którzy tak tłumnie zjechaliście w gości do perły Północnego Zenitu! Zebraliśmy się tutaj, by pożegnać śmiałków, gotowych ryzykować własnym życiem, byle tylko odkryć sekrety czające się w grocie Valdura. Ich niewzruszona odwaga inspirowała każdego z nas i jest przykładem...

Mistrz Haxerlin przestał słuchać. I tak nie zgadzał się z burmistrzem w kilku istotnych kwestiach. Na przykład nie interesowały go żadne tajemnice groty Valdura ani innych podziemnych, podniebnych czy podwodnych kompleksów, ponadto – gdyby dano mu wybór – spakowałby manatki i trzymał się z dala od wilgotnych lochów, nie chcąc ryzykować ani życiem, ani nawet małym przeziębieniem.

W centrum miasta wzniesiono drewniane podium. Ustawili ich tam jak rasowe konie na czas licytacji, by każdy z zainteresowanych nacieszył oczy widokiem bohaterów. Haxerlin czuł na sobie setki spojrzeń. Przewijało się tam całe spektrum emocji – podziw prostaczków, marzycielskie wejrzenia kobiet, uznanie „kolegów po fachu” oraz złość i rozczarowanie tych, którzy sami chętnie sami staliby na platformie. Przytłaczała go zaistniała sytuacja, ale nie na tyle, by zapomnieć o nałożeniu kaptura. W końcu był człowiekiem światowym; istniała szansa, że ktoś go rozpozna, a ostatnim, czego potrzebował, to rzucony z tłumu krzyk: „Oszuście, oddawaj moje pieniądze!”

Skupił się na towarzyszach. Musiał przyznać, że kompania prezentowała się całkiem nieźle. Przynajmniej wizualnie.

Aryan Falconer w zbroi płytowej śmiało mógł uchodzić za pełnoprawnego rycerza (pomagał fakt, że młodzieńczą twarz ukrywał pod hełmem). Zachowywał stoicki spokój, od czasu do czasu pozdrawiając zebranych wyciągniętą prawicą.

Postawa uśmiechniętego brata Gladiusa, przystrojonego w srebrny medalion Arachne Księżycowej, niezbicie dowodziła, jakież to szczęście spływa na bogobojnych ludzi. Dzielił się nim z tłumem, radośnie wymachując niemal wszystkimi kończynami.

Obok kapłana stał Kit w ćwiekowanym kaftanie. Nic sobie nie robił z gapiów, zajęty ostatnimi przygotowaniem do wyprawy. Sprawdzał mechanizm kuszy, przeliczał belty w kołczanie i poprawiał mocowania rzemyków.

Rozgwiazdka rozdawała kokieteryjne spojrzenia, skupiając na sobie uwagę męskiej części publiczności. Jej prawy płatek ucha okalał srebrny kolczyk w kształcie muszli, a między imponującymi piersiami kołysał się naszyjnik z syreną. Widocznie lubiła morskie klimaty. Ubrana w dwie przepaski, które odsłaniały dziewięćdziesiąt procent ciała, spełniała wszystkie wymogi stawiane legendarnym bohaterkom.

Moshito... Moshito po prostu był. Chyba nie do końca rozumiał, co właściwie się dzieje, ale wnosił do drużyny postępowy akcent odmiennej kultury.

Ach, i jeszcze gdzieś tam za ich plecami kręcił się zły Thuz. Nie chciał wystawiać się na widok publiczny, ale Mistrz wcale mu się nie dziwił. Cóż, zawsze mógł zostać w karczmie...

– ...dlatego odprowadźmy ich na miejsce, pokażmy, że za ekspedycją sercem

i duszą stoi cały kraj! Cały Imperiał wspiera... – Burmistrz nachylił się i szepnął Haxerlinowi do ucha: – Jak się nazywacie?

– Co?

– Mam tu puste miejsce. Jak nazywa się twoja drużyna?

– A to jakoś trzeba? – zdziwił się. – Zupełnie o tym zapomniałem...

– Dobrze, pojedziemy tradycyjnie, po numeracji. – Burmistrz odwrócił się do zgromadzonych na placu. – Cały Imperiał wspiera Trzecią Kompanię! Wiwat Trzecia Kompania!

– Wiwat, wiwat!

Rozległy się gorące owacje. W stronę podium poleciały kwiaty, kolorowe wstążki, a nawet niektóre części garderoby. Moshito powybierał co ciekawsze okazy.

– Dobre dla żona, tak tak – wyjaśnił osłupiałemu Mistrzowi, którego zaprzętała jednak zupełnie inna kwestia.

– Jak to: „pojedziemy po numeracji”? Co to miało znaczyć? – Odciągnął burmistrza na bok.

Tłum wciąż skandował.

– To wy nic nie wiecie? Wystarczyło spytać kogokolwiek... Jesteście kolejną ekspedycją, dwie poprzednie nie wróciły. W kolejce za wami czekają jeszcze... momencik... – Poszperał w szerokiej tubie, którą nosił przewieszoną przez ramię. – Gwiazdne Bękarty i Chłopaki Etacchiego. Pewnie jutro urządzimy otwarty przetarg na szóstą grupę, na razie wszystko odbywało się za zamkniętymi drzwiami, listy przychodziły z góry. I proszę nie robić takiej miny. Tu nie chodzi o to, że w was nie wierzę. Po prostu formalności trzeba załatwiać z wyprzedzeniem. Tak na wszelki wypadek.

Bogowie, jesteśmy trzeci z kolei... Zaco zapomniał wspomnieć o tym małym szczególe?

– Gwiazdne Bękarty i te Chłopaki... Można wiedzieć, kto załatwił im pełnomocnictwo? – zapytał głucho, popychany dziwnym przeczuciem.

– Hmm... To chyba nie jest tajemnica urzędowa. – Burmistrz znowu pogrzebał w tubie. – Przetarg wygrał pan Jon Zona, właściciel firmy przewozowej z Hrywen. Chłopakom Etacchiego patronuje zaś pan James Zanders z Podprogowa.

Mistrz poczuł dziwne ukłucie wewnątrz czaszki. Złapał trop.

– Przepraszam, że głupio spytam, ale wypadło mi z głowy, te emocje i w ogóle... – Wziął głęboki oddech. – Trzecia Kompania reprezentuje zaś...?

Aryan Falconer podniósł spod stóp kwiat lilii i wsunął do skórzanej pochwy. Kobiety zaczęły piszczeć.

– Reprezentujecie hrabiego Jonasza Zuckenberg z Dunkelkeep.

– Ach, faktycznie. – Z ledwością maskował gniew. – Niech zgadnę: a listę otwiera pewien emerytowany kapitan straży?

Burmistrz przerzucił papierki.

– Dokładnie! To jakaś czarodziejska sztuczka? Czyta pan w myślach?

– Chyba zaczynam... Ale nie w pańskich.

Jacob Zaco, mimo imponującego wachlarzu talentów, nigdy nie grzeszył

wyobraźnią.

Na wzgórze odprowadzał ich rozentuzjasmowany orszak. Miecze uderzały o tarcze, setki gardeł wznosiły głośne okrzyki, zaintonowano kilka popularnych pieśni. Nastrój jakoś nie udzielał się Mistrzowi Haxerlinowi. Trzymał się blisko Kita, nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół.

– Jak przyjechałem do miasta, akurat wyruszali ci drudzy. Wyglądało to identycznie jak teraz. Przemówienia, prezentacja i cała reszta. Ludzie lubią, jak jest kolorowo i głośno.

– Co się z nimi stało? Z poprzednimi grupami?

Łowca wzruszył ramionami.

– Skoro do tej pory nie wyszli, to pewnie już po nich. Będziemy mieli okazję to sprawdzić.

– Kit, zniknęło dwunastu ludzi! – syknął kupiec. – A my pchamy się w to samo miejsce. To głupota!

– Mam układ z Jacobem – odparł beznamiętnie. – Nie analizuję. Robię swoje i tyle. Haxerlin po raz kolejny przeklął swoją słabość do hazardu.

Powoli zbliżali się do odgradzonego obszaru. Ludzie jeszcze kilka chwil odprowadzali ich wzrokiem, a potem schowali kolorowe proporczyki i wrócili do domów. Za kilka dni zabawa miała się powtórzyć.

– Drużyno, formować szyk – kupiec bez przekonania wydał rozkaz. Wystąpił do przodu. – Thuz, nie chowaj się za Moshito, stań obok mnie. Pamiętaj, kim jesteś – dodał ciszej.

Czarnocień wyszedł im na spotkanie, lustrując uważnie całą gromadkę. Mistrz nieudolnie zasalutował.

– Melduje się Trzecia Kompania.

Po brzdęku żelastwa za plecami i głośnych „uchach” i „achach” wnioskował, że kwestia szyku nie została jeszcze rozstrzygnięta.

– Co to jest? – rozległo się z głębi hełmu. Dłoń w czarnej rękawicy wymierzyła palec w chłopaka.

Gdyby nie to, że Bo’akh–Bonthuzela od stóp do głów pokrywała gruba warstwa sadzy, zapewne zaczerwieniłby się ze wstydu.

– Bobo, Bobo, jestem pomocny Bobo!

– To chochlik. Mój chowaniec.

Pólnagi Thuz zaczął machać łokciami, wprawiając w ruch sztuczne skrzydła na plecach. Podskakiwał i kręcił się dookoła jak niespełna rozumu, a jego myśli wchodziły właśnie w nowe stadium nienawiści.

Z tyłu rozległy się stłumione chichoty. Falconer udawał, że złapał go atak kaszlu.

– „Czarodziej może korzystać ze wszystkich legalnych środków przewidzianych przez status Collegium Magicum, wliczając w to zaklęcia, rytuały i magiczne rekwizyty”. Regulamin Misji, punkt czwarty, paragraf dwanaście be. Posiadanie chowańca to przywilej adeptów Sztuki specjalizujących się w przywołaniach. Teoretycznie rzecz

biorąc, Bobo nie jest nawet członkiem drużyny – wlicza się go do ekwipunku. Aha, i jak na standardy chochlików jest pełnoletni.

– Bobo pełnoletni, pełnoletni! – Thuz biegiem okrążył czarnocienia, z premedytacją dźgając go w plecy małymi różkami.

Agent dumał nad odpowiedzią. Maską ukrywała wymalowaną na twarzy konsternację, nieprzystającą do wizerunku przedstawiciela służb specjalnych. W końcu bez słowa podniósł żółtą taśmę, robiąc przejście dla całej siódemki.

Spiralną kładką zeszli do wydrążonego w ziemi leja. Przy każdym gwałtowniejszym ruchu drewniana konstrukcja złowrogo trzeszczała, ale linki i haczyki, które utrzymywały platformy w powietrzu, wyglądały na stabilne. Haxerlin, otoczony z każdej strony przez zwały ziemi i wzmocnione stałą podpórki, zrewidował pogląd na pracę młodych archeologów. Musieli dysponować porządnym sprzętem. Nie zdołaliby dokopać się do tego miejsca, używając samych patyków.

Dno leja stanowiła jednolita płyta. Gdzieniedzie dało się jeszcze dostrzec na niej malunki z zamierzchłych czasów. Mistrzowi rzucił się w oczy fragment fresku przedstawiającego bitwę: jeden kanciasty człowieczek okładał drugiego kanciastego człowieczka wielkim kanciastym mieczem. Cóż, w sztuce zmieniają się style, lecz nie tematyka.

Mniej więcej pośrodku płyty znajdowało się zejście na niższy poziom. Stojąc u podnóża schodów, nie sposób było stwierdzić, gdzie kończą się wykute w kamieniu stopnie. Pochłaniał je mrok podziemi. Równie dobrze mogły prowadzić do samej Otchłani.

Kit rozdał towarzyszom pochodnie. Wszyscy wpatrywali się w kupca, czekając na sygnał do wymarszu.

– Co jest? – burknął. – Nie będzie patetycznego orędzia. Burmistrz wyczerpał limit. Idziemy.

Brat Gladius niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Czego chcesz?

– Wymyśliłem drużynowe hasło! Będziemy je co jakiś czas wykrzykiwać, żeby podnieść morale.

Mistrz miał ochotę się rozplakać.

– Mogę powiedzieć?

– Nie, nie możesz. Chcecie hasła? – Otaksował towarzyszy gniewnym spojrzeniem. – Jedyne, które akceptuję, to „POMOCY”. Najlepiej, jeśli jest połączone z energicznym przebieraniem nogami. Zapamiętajcie to sobie.

Wziął głęboki oddech.

– Moshito, idź przodem. Wykrawaj pułapki, skradaj się, postaraj się nie umrzeć zbyt szybko.

– Nie umrzeć. – Pochylił się nisko, niemal zamiatając warkoczem po ziemi. – Tak tak.

Ruszyli gęsiego jeden za drugim. Pochód otwierał łotrzyk, nucący pod nosem jakąś

egzotyczną melodyjkę, tyły zabezpieczał czujny Kit. Haxerlin obejrzał się przez ramię, chcąc po raz ostatni zasmakować widoku dziennego światła, na czas szalonej tułaczki zachować w sercu wspomnienie o ciepłych promieniach i rześkim powietrzu. Odmówiono mu nawet tej przyjemności, bo jak na złość zerwała się ulewa, a niebo przesłoniły burzowe chmury. Kurczowo zacisnął palce na pochodni, przeklinając w duchu siebie, Jacoba Zaco, wszystkich bogów po kolei i, tak dla zasady, brata Gladiusa.

Stracił rachubę czasu. Schody ciągnęły się bez końca. Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa... Kiedy był już niemal pewien, że zejście do groty Valdura to tak naprawdę zapętłony wyłom w czasoprzestrzeni i przyjdzie im umrzeć w nim ze starości, stopnie nagle urwały się, a oczom drużyny ukazał się wąski korytarz. Wędrówka w dół zamieniła się w wędrówkę przed siebie, ale nie wpłynęło to jakoś drastycznie na haxerlinową wizję śmierci.

Marsz w ciemnościach przyprawiał kupca o zawrót głowy. Do tej pory wystrzegał się podobnych miejsc, zatem czająca się w zakamarkach umysłu Klaustrofobia, o której istnieniu nie miał pojęcia, zaskoczona podniosła łeb i nie do końca wiedziała, jak powinna się zachować. Szturchnąć Panikę, by pobudzić ją do działania? Uruchomić receptory odpowiedzialne za drgawki i intensywne wydzielanie potu? Cała ta eskapada była dla Klaustrofobii zupełną nowością, dlatego dyplomatycznie postanowiła czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Pocziwy Moshito, specjalista od pułapek i bezszelestnego chodu, stosował innowacyjną technikę wykrywania potencjalnych zagrożeń: jeśli tylko dostrzegł zwisające z sufitu pnącze, ciągnął za nie z całej siły; kiedy zaciekawiło go jakieś wyłobienie w ścianie, przykłękał i wsadzał tam palec. Drużyna zamierała w bezruchu i wstrzymywała oddech, obserwując, jak łotrzyk z dziecięcą ufnością podważa płyty albo podskakuje w miejscu, przekonany, że ma do czynienia z mechanizmem uruchamiającym zapadnię. W tym szaleństwie musiała być jednak metoda, bo do tej pory nie spotkały ich żadne nieprzyjemne niespodzianki.

Łotrzyk znowu majstrował sztyletem przy ścianie, więc urządzili kolejny postój. Haxerlin oparł się o plecak i rozprostował nogi, z lekkim zażenowaniem przyglądając się poczynaniom Rozgwiadki. Zamiast normalnie napić się wody z manierki, dziewczyna najpierw odchyliła głowę i oblała dekolt, a potem prowokująco oblizała ustnik. O ile nie gasiła pragnienia przez skórę, Mistrz był gotowy się założyć, że robiła to pod publiczność.

– Mogę to już zdjąć? – wymamrotał Thuz, markotnie opuszczając skrzydełka. – Przecież nikt nie widzi...

– Nie. Mówiłem: nosisz strój chowańca, dopóki nie wyjdziemy z podziemi. Zgodziłeś się, więc bez dyskusji.

– Jesteś potworem! – Mały usiadł na ziemi i podkulił kolana, patrząc tępo przed siebie.

Aryan Falconer kręcił się bez celu od ściany do ściany. Przez cały czas trzymał dłoń na rękojeści miecza, jakby lada moment miał stanąć do walki. Zniecierpliwiony podszedł do Moshito i zajrzał mu przez ramię.

– Co ty właściwie robisz?

Łotrzyk bez słowa podważył ostrzem owalny, zielonkawy kamień.

– Unieszkodliwiasz pułapkę?

– Nie pułapka. – Znowu pokręcił sztyletem. – Mały Masaki chce prezent. Dostać ładny kamyk, tak tak.

– Chcesz mi powiedzieć, że marnujemy tyle czasu, by...

Coś przeleciało mu obok ucha.

Wyszarpnął broń z pochwy i błyskawicznie się obrócił, spoglądając wprost na kuszę Kita.

– Co to ma...

– Padnij.

Łowca kręcił korbą, naciągając cięciwę.

– Co?

– Padnij, do cholery!

Aryan zadziałał instynktownie. Rzucił się na ziemię akurat w momencie, kiedy Kit wystrzelił po raz drugi. Za jego plecami coś zapiszczało. Przewrócił się na plecy i ostrożnie uniósł głowę.

Olbrzymi pająk wytrzeszczał na niego trzy pary oczu. W jednym z nich tkwił belt, zabarwiony zieloną posoką. Bestia powoli otrząsała się z szoku, ocierając o siebie przednie odnóża. Falconer nie chciał jej dać ani sekundy dłużej. Zerwał się na równe nogi i zaszarżował.

Haxerlin nie zdążył nawet podnieść się z miejsca, kiedy z góry zaatakowała kolejna bestia. Pająk wylądował pomiędzy kupcem a Rozgwiazdką. Na szczęście skoncentrował się na dziewczynie, zatem Mistrz mógł spokojnie podziwiać wielki korpus potwora i owłosione, haczykowate odnóża.

Pająk otworzył paszczę i plunął zielonkawą cieczą, ale – ku zaskoczeniu Mistrza – Rozgwiazdka uniknęła jej niczym rasowa akrobatka. Ze ściany, przy której jeszcze chwilę temu stała, uniósł się kłęb dymu.

– Czarodzieju, ogień! – krzyknęła. – Potraktuj go ogniem!

Haxerlin spojrzał błagalnie na Thuza.

– Jak ja jej wyczaruję kulę płomieni, nie jestem przecież...

– Durniu, pochodnia. Trzymasz ją w ręce!

– Uch. – Zerknął na bok. – Faktycznie. Mógłbyś?

Chłopak prychnął i odebrał żagiew.

Handlarz nie czekał na popis demonicznego bohaterstwa. Dyskretnie przesuwiał się w prawo, kroczył po kroczyku, nie spuszczając z oka pająka. Kiedy zorientował się, że Falconer i Kit wciąż walczą z drugim potworem, westchnął z rezygnacją i zmienił kierunek ucieczki. W tym czasie Rozgwiazdka kilkakrotnie uniknęła żrącej substancji, wykręcając zgrabne piruety, i przynajmniej raz uratowała życie bratu Gladiusowi, który biegał spanikowany dookoła, potykając się o różne przedmioty. Pająk prawie nie ruszał się z miejsca, jedynie wodził ślepiami za rozbieganą dziewczyną. Widocznie preferował atak z dystansu.

– Walcz! – syknął Haxerlin, przekradając się obok dzieciaka. – Na co czekasz?

– Aż trafi kapłana. Patrz! Mierzy, mierzy i... ach, znowu pudło. Było blisko. Głupia kobieta, po co go odepchnęła?

– Thuz! Zrób coś, zanim nas pozabija!

– Dobra, człowieku. Ucz się.

Podszedł do pająka i jakby nigdy nic kopnął go w odwłok.

– Posłuchaj, plugawa, śmierdząca, głupia bestio. – Bez cienia strachu spojrział w czarne ślepie. – Darowałbym ci, gdybyś do tego czasu ustrzelił kapłana. Może nawet zrobiłbym z ciebie mojego mrocznego wierzchowca. Jednak jesteś tak żalonym nieudacznikiem, że nie masz prawa żyć.

Pająk na zmianę zamrugał wszystkimi sześcioma oczami. Wyglądał na skonsternowanego. Dopiero po chwili zamachnął się odnóżem. Thuz zdążył się uchylić. Coś upadło na ziemię z cichym „pac”. Przyłożył rękę do głowy i wyczuł puste miejsce na opasce, tam, gdzie przymocowany był jeden z jego sztucznych rogów.

– Ironia... – mruknął i cisnął pochodnią.

Owłosione cielsko zajęło się ogniem. Pająk ni to zapiszczał, ni zagulgotał, i rozpoczął chaotyczny taniec, przepędzając bohaterów z miejsca na miejsce. Korytarz rozświetlił się jak za sprawą dziesiątek lampionów. W końcu pod płonącym korpusem załamały się wszystkie cztery pary odnóży. Stwór upadł na ziemię. Chłopak, uśmiechając się złośliwie, splunął na podrygujące truchło.

– Żyjecie? – Z drugiej strony korytarza rozległ się głos Kita. – Jeśli tak, to pomóżcie. Cholerstwo dużo waży.

Drugi przeciwnik również był martwy. Przygniótł Falconera, kiedy ten wślizgnął się między odnóży i zadał mu śmiertelny cios w podbrzusze. Wspólnymi siłami wyciągnęli młodego rycerza spod bestii.

– Wszyscy cali? – Haxerlin otaksował towarzyszy.

Poturbowany Aryan wytarł ostrze w pajęczą szczecinę. Wgnieciony pancerz pokrywała zielona breja.

– Pierwszy raz mierzyłem się z czymś takim...

– Pierwszy raz mierzyłeś się z czymkolwiek. – Łowca klepnął go w ramię. – Ale poszło ci nie najgorzej.

Moshito odnalazł swój sztylet i jak gdyby nigdy nic wrócił do wydłubywania kamyka.

– Skończ z tym! – Kupiec pociągnął go za rękaw. – Jesteś w pracy, nie w sklepie z pamiątkami. Miejmy się na baczności. Niedaleko musi znajdować się ich leże.

Rozgwiadka pisnęła i przytuliła się do brata Gladiusa. Arachnita czule objął ją ramieniem.

– Nie bój się, panienko. Jestem przy tobie.

Thuz wznosił oczy w górę.

– Żalony pajac.

Zapuszczali się w głąb podziemi, wypatrując zagrożenia w każdym zakamarku, w każdym podejrzanym kształcie wyłaniającym się z ciemności. Mury tutaj porastał

dziwny rodzaj grzyba, który emanował bladą poświatą, tak że po pewnym czasie mogli zgasić pochodnie, zdając się na bezpieczniejszy, naturalny półmrok korytarza. Coraz częściej sufit i ściany pokrywały sploty pajęczyn, lepkie i nieprzyjemne w dotyku. Wdali się jeszcze w jedną potyczkę, ale celne oko Kita rozwiązało sprawę, zanim olbrzymi stwór zdołał przyczłapać bliżej. Haxerlin nie musiał instruować drużyny, by zachowywała szczególną ostrożność. Doświadczali na własnej skórze, co zaległo się w grocie Valdura.

Czasem napotykali ciągnące się na całą szerokość korytarza gigantyczne białe sieci. Używali wtedy ostrzy i ognia, którymi torowali sobie przejście. Po pewnym czasie dosłownie brodzili w pajęczych niciach, oplątani wydzieliną od stóp do głów, niczym żywe mumie.

Bo'akh–Bonthuzel zachowywał pełną powagę. Ignorował zwisające zewsząd pasma bieli. Starał się kroczyć dumnie i nonszalancko, co jest nie lada wyczynem, gdy ma się na sobie samą bieliznę i nietoperze skrzydła. Haxerlin rzucił mu pytające spojrzenie.

– Czemu masz taką minę? Boli cię coś?

– Nie, udziela mi się klimat. Nie jest to może Otchłań, ale jak się nie ma, co się lubi...

Daleko z tyłu, na granicy słyszalności, rozległ się cichy stukot. Wyczulone zmysły Mistrza, napędzane motorem tchórzostwa, zareagowały błyskawicznie. Obejrzał się przez ramię.

– Słyszałeś to?

– Co?

– Ten dźwięk. – Wpatrywał się w mrok, ale nie dostrzegł żadnych podejrzanych kształtów. – Jakby ktoś kopnął kamyk albo...

– Jesteś przewrażliwiony, grubasie. Wydawało ci się. Pamiętasz, jak zatrzymaliśmy się w tej gospodzie w Kattzer? Zerwałeś się w środku nocy i zacząłeś biegać po pokoju. „Słyszałem demona, Thuz! Poczulem jego oddech! Ratuj!” – sparodiował kupca. – Długo nie dałeś sobie wytłumaczyć, że każdy, kto zeżarłby na obiad tyle fasoli co ty, mia...

Usłyszał cichy chrobot. Kamień pod jego stopą nieznacznie się zapadł. Chłopak zamarł w pół kroku.

– Nie ruszaj się! – Kupiec wytrzeszczył oczy. – Wdepnąłeś w coś. Nie podnoś nogi, bo uruchomisz mechanizm!

– Wiem, głupcze – syknął i chciał dodać coś jeszcze, ale Haxerlin uciekł.

Z naprzeciwka nadciągał Moshito, któremu udało się nieświadomie ominąć pułapkę. Przyglądał się ciekawsko chłopakowi, na wszelki wypadek zachowując bezpieczną odległość.

– Będiesz tak stał i się gapił czy mnie stąd wyciągniesz?

Gdzieś z dala dobiegały dopingujące głosy.

– Trzymaj się mały, jesteśmy z tobą! Wszystko będzie dobrze!

– Idioci... – Thuz z trudem utrzymywał równowagę, kołysząc się na boki jak czapla – Szybciej!

– Tak tak... – Cudzoziemiec wyjął z plecaka gruby sznur. Na jednym z końców zawiązał pętlę. – Moshito ratować.

Wystawił koniuszek języka i zakręcił liną w powietrzu, póki nie przybrała kształtu okręgu.

– Brudny chłopiec teraz uważać!

– Nawet tu nie podejdziesz? Mam to po prostu złapa... argh!

Coś zacisnęło mu się na gardle. Thuz pisnął i próbował poluzować pętlę. Zachybotął się, ale ustał w miejscu. W kącikach oczu wezbrały mu łzy. Poczł mocne szarpnięcie i poleciał do przodu niczym pocisk z katapulty. Pod nogami usłyszał głośne „łup”. Otworzyła się zapadnia. Przez chwilę zawisł na krawędzi, wbijając palce w kamieniste podłoże. Rozpaczliwie chciał się podciągnąć. Nie miał pojęcia, jak długa jest lina, dlatego nie był pewny, czy w upadając zawisnie na szubienicy, czy rozpaćka się na krwawą miazgę. Moshito znowu pociągnął za sznur. Chłopakowi oczy niemal wyszły z orbit. Obdarł kolana na chropowatej płycie, odepchnął się łokciami i wylądował po drugiej stronie.

Uderzał pięściami o ziemię, rozpaczliwie walcząc o haust powietrza. Był coraz słabszy. Przed oczami majaczyły mu czarne punkciki, powiększające się każdą chwilą, przesłaniające cały świat... Umierał.

Wydawało mu się, że pochyla się nad nim Xanxanmor. Chce go zabrać do domu, do Otchłani... Wreszcie odzyska należne miejsce pośród piekielnych władców. Poczł na gardle chłód szponów. Przeklęty ucisk zelzał.

Otchłań, pomyślał rozmarzony...

Powrót świadomości przypominał uderzenie młotem między oczy. Gwałtownie podniósł głowę. Zacerpnął powietrza, krztusząc się i charcząc. Moshito chował właśnie nóż i głupio poruszał swoim szczurzym wąsikiem.

– Uratować, tak tak.

Rozmasował obolałą szyję.

– To... to nazywasz ratowaniem?! – Oddychał ciężko. – Mogłem po prostu skoczyć do przodu! Po co pętla na szyi?! Czemu nie dałeś mi chwili, żebym przewiązał się w pasie?! Na Kaosa, to najbardziej...

– Wszystko w porządku?

Mistrz Haxerlin z resztą Trzeciej Kompanii stał po przeciwnej stronie zapadni. Kit nachylał się nad krawędzią. Daleko, daleko w dole widać było rządęk przeżartych rdzą kalców.

– Nie przeskoczmy tego. Jakies pomysly?

Thuz odszedł od łotrzyka i usiadł pod świecącym grzybem, wciąż rozmasowując kark.

– Zróbcie most z kapłana.

– Co? – zaniepokoił się brat Gladius. – Przecież nie sięgnę, to za daleko... Spadnę!

– I o to chodzi.

Demon przeciągnął się, czując, jak powoli wraca mu życie. Zahaczył o coś. Rozległ się znajomy dźwięk. Przestraszony cofnął dłoń, zbyt późno orientując się, że popełnił bład.

Włożył głowę między kolana.

– Nie, nie, nie!

Zapadnia z trzaskiem wróciła na miejsce.

Ostrożnie się wychylił.

– He?

– Znalazłeś dźwignię. Nie dotykaj jej!

Mistrz Haxerlin, opierając się plecami o ścianę, bardzo, bardzo powoli ruszył w kierunku chłopaka.

– Widziałeś, co ten idiota zrobił? Chciał mnie udusić!

– Moshito ratować, tak tak.

– Spokojnie, koniec końców jesteś cały. Ruszajmy dalej. A ty – Spojrzał na uśmiechniętego cudzoziemca – bądź ostrożniejszy.

Wznowili marsz, ale nie na długo. Moshito odwrócił się i pomachał w kierunku Haxerlina. Chcąc nie chcąc, blady kupiec podreptał w jego stronę.

W tym miejscu korytarz się rozszerzał, stając się przedsionkiem dużej, okrągłej sali.

– Co tym razem? – szepnął. Zerwał z twarzy lepką pajęczynę.

– Tam. – Łotrzyk wymierzył palcem przed siebie. – Pająk. Dużo pająk.

Mistrz wysilił wzrok. W oddali majaczyły niewyraźne kształty. Przesuwały się po suficie wśród fosforyzujących grzybów, pokrywały ściany albo zwisały na cienkich niciach, tkwiąc w pozornym uśpieniu. Salę zapępniały dziesiątki pajęczaków. Kupiec był pewien, że kiedy tylko zdadzą sobie sprawę z ich obecności, karierę Trzeciej Kompanii zakończy krótki, gastronomiczny epizod.

Aryan Falconer, wciąż pobudzony niedawną potyczką, bez słowa dobył miecza. Mistrz uniósł dłoń.

– Spokojnie. Schowaj to. Jest ich za dużo.

– Będiesz czarował? – W oczach brata Gladiusa pojawiły się iskierki. – Prawdę mówiąc wciąż czekam na jakąś kulę ognia. Lubię magię, to całe hokus pokus i abrakadabra jest naprawdę...

– Cicho. Dajcie mi chwilę. Muszę pomyśleć.

Rozgwiadka wysłuchiwała planu, zalotnie bawiąc się naszyjnikami. Kupiec był pewien, że ona nadaje się do tego zadania najlepiej z całej szóstki, jednak na widok jej cielecego spojrzenia pojawiały się drobne wątpliwości natury, hmm, intelektualnej. Na wszelki wypadek każde zdanie powtarzał trzykrotnie, żeby na pewno zapamiętała instrukcje. Pocieszał się tym, że ogólny zamysł nie opierał się na główkowaniu, ale na bieganiu.

– Dlaczego to panienska Rozgwiadka ma ryzykować? – zasmucił się arachnita. – Jesteśmy dżentelmenami, prawda? – Szukał u towarzyszy wyrazów poparcia. – Prawda?

Mężczyźni jeden przez drugiego zaczęli mówić, że oczywiście, jak najbardziej są, zasadniczo to tak, ale sytuacja jest wyjątkowa, więc tylko w pewnym sensie, w konkretnych przypadkach, prawda, i ogólnie to raczej nie.

– Widziałeś ją w akcji. Rozgwiadka jest gibka i zwinna jak łasica.

Bo'akh-Bonthuzel zagwizdał. Policzki arachnity spłonęły rumieńcem.

– Ekhm. Mam na myśli sytuację z pajakiem, żeby było jasne.

– Nie martw się, dam radę, dziubku. – Pocałowała brata Gladiusa w czoło. – Jesteś taki dzielny.

Trzecia Kompania rzuciła sobie porozumiewawcze spojrzenia.

– Kit, Thuz, zajmijcie pozycje.

– Robię to tylko dlatego, że wierzę, że gdzieś tu spoczywa artefakt. – Chłopak obracał się w kółko, obwiązując pajęczą nicią. – A kiedy go znajdziemy, trafia do mnie. Zrozumiano? Brodaty, podrzuć mnie.

Kit złapał Thuza w pasie i zawiesił pod sufitem. Lepka wydzielina z łatwością utrzymywała ciało w powietrzu – wyglądał jak złapana w sieć wyjątkowo brzydka mucha. Łowca przykucnął za zamkniętą zapadnię i położył kuszę na kolanach.

– Rozgwiadko, przejmujesz dowodzenie. Reszta za mną.

Trzecia Kompania, z Haxerlinem na czele, wycofała się w głąb korytarza, zajmując pozycje daleko od głównej sceny wydarzeń. Rozgwiadka przesłała im całusa.

– Gotowi, chłopcy?

Kit przytaknął, Thuz burknął coś zza zasłony pajęczyn.

– Zatem do dzieła – Uśmiechnęła się i odpaliła pochodnię. – Zaraz wracam.

Skierowała się w stronę gniazda pajaków. Nawet w takiej chwili nie zapomniała o efektywnym poruszaniu biodrami. Mistrz musiał przyznać, że albo była bardzo odważna, albo bardzo głupia. Czasem trudno odróżnić jedno od drugiego.

Nienawykłe do widoku ognia stwory już z daleka dostrzegły humanoidalną sylwetkę. Spłoszone, spuszczały się z góry, lądowały na świecących grzybach i niespokojnie przebierały odnóżami. W gnieździe zapanowało poruszenie. Skłębiona masa owłosionych odwłoków utworzyła coś na kształt prymitywnej formacji. Rozgwiadka słyszała dobywające się z ich paszcz bulgotanie, a odgłos szurających po płytach nówek mroził do szpiku kości.

Była coraz bliżej. Zamachała pochodnią. Bulgotanie przybrało na sile.

– Kici kici! Na co czekacie? Chodźcie do mnie!

Nigdy nie bała się pajaków, ale musiała przyznać, że te poruszały się naprawdę szybko.

– Dobrze słyszałem? Krzyknęła do nich „kici kici”?

– A jak twoim zdaniem przywołuje się pajaki? – Kit nawet nie spojrzał na chłopaka. Nie odrywał oczu od jasnego punkciku na horyzoncie.

– Nie wiem, ale „kici kici” pewnie jest daleko na li...

– Ciiii. Zaczyna się.

Światelko z powrotem kierowało się w ich stronę. Tym razem poruszało się dużo szybciej, podskakując chaotycznie z prawa na lewo. Rozgwiadka biegła ile sił w nogach. Dziesiątki paskudnych korpusów, osadzone na setkach odnóży, z łatwością dotrzymywały jej kroku. Upuściła pochodnię; chwilę później ogień został pochłonięty przez pełzającą czerń.

Któryś z potworów plunął kwasem. Odskoczyła w bok w samą porę, nie

przerywając morderczego biegu. Cuchnący strumień minął jej ramię o kilka cali. Skrzywiła się z bólu, gdy parę kropel wylądowało na skórze.

Zaświszczał przelatujący belt. Pisk, jaki rozległ się za jej plecami, świadczył o tym, że pocisk sięgnął celu. Do gry dołączył Kit.

Uczepiony pajęczyn Thuz miał dobry widok. Z ciekawością śledził wyczyny Rozgwiadki i to, jak próbuje ją sięgnąć fala włochatych odnóży. Imponowała mu kondycja dziewczyny, ale i tak w głębi ducha kibicował pająkom. Natury nie da się oszukać.

Przebiegła pod nim, dysząc i postępując. Chyba któryś z pajaków zdołał ją capnąć w udo. Przez ułamek sekundy dostrzegł na nodze dziewczyny krwawą szramę. Zacisnął palce na rękojeści noża. Kit wypuszczał kolejne pociski, ani razu nie chybiając. Zresztą trudno było nie trafić, bo pająki rozlały się na całą szerokość korytarza.

Usłyszał pod sobą donośne chrobotanie. Z tej perspektywy stwory przypominały ogromny, żyjący dywan. Dywan nafaszerowany kwasem i uzbrojony w setki żuwaczek. Jak było do przewidzenia, nawet jeśli zdawały sobie sprawę z jego obecności, zignorowały go, zaabsorbowane półnągą kobietą i człowiekiem, który częstował je beltami. Demon odczekał, póki ostatni z pajaków nie poczłapał dalej. Zacisnął zęby i przeciął nić.

Obtłukł sobie kości, ale otrząsnął się i od razu skierował spojrzenie na Kita. Łowca na widok upadającego chłopca odłożył kuszę. Trzymał rękę uniesioną w górze i głośnymi okrzykami zagrzewał kobietę do większego wysiłku. Rozgwiadka pędziła na złamanie karku, ale w przeciwieństwie do ścigających opadała już z sił.

Nie da rady, pomyślał demon. Cóż, najwyżej będą ofiary. Każdy dobry plan wymaga ofiar. Jeden poświęca się, wisząc głupio na pajęczynie, drugi poświęca życie, rozszarpany przez pająki. Zawsze może być gorzej. Można na przykład...

Twarz cherubinka wykrzywił nienawistny uśmiech.

...nadsiać się na kolce.

Szarpnął za dźwignię bez czekania na umówiony sygnał. W tym samym momencie Rozgwiadka ostatkiem sił wybiła się w powietrze. Kiedy tylko oderwała stopy od ziemi, ręka łowcy gwałtownie ruszyła w dół, jakby dzierżyła niewidzialną siekierę.

Wycieńczona Rozgwiadka zdążyła przeturlać się po zapadni dosłownie sekundę przed tym, zanim ta otworzyła się z głośnym hukiem.

Ech, zawsze tak jest, narzekał Thuz, obserwując, jak rozpędzona rzesza pajaków znika w otworze, którego nagłego pojawienia nie zarejestrowało żadne z ich sześciorga oczu. Niby ma się złe zamiary, a wychodzi idealnie...

Kit błyskawicznie wylał zawartość butelki z oliwą na miotające się w panice stwory. Pająki przygniatały się i blokowały nawzajem, kotłując w bratobójczej walce. Jednemu udało się wystawić na zewnątrz kaprawy łeb. But łowcy posłał bestię z powrotem w czeluść.

Korytarzem nadbiegała reszta drużyny. Aryan ominął skuloną na ziemi Rozgwiadkę i z głośnym okrzykiem wrzucił do środka pochodnię. Po sekundzie buchnął

ogień niczym z największego paleniska na świecie. Ciała pajaków zaskwiercały. W nozdrza uderzył odór palonego włosia i pieczonego mięsa.

– Zamykaj! – ryknął Kit.

Chłopak przybrał minę „może zamknę, może nie”, ale zorientował się, że towarzysze są za daleko, by ją zobaczyć, więc po prostu pociągnął za dźwignię.

Zapadnia wróciła na miejsce, a korytarz znowu pograżył się w półmroku. Tylko ciche syczenie ognia i zwierzęce popiskiwanie gdzieś w dole wskazywały na to, że niedawno odbyła się tu epicka potyczka.

Brat Gladius trzymał głowę Rozgwiadki na kolanach i poił ją wodą, odgarniając lepiące się do czoła pasemka ciemnych włosów. Haxerlin z pewnym rozrzewnieniem zauważył, że oblewa jej piersi w identyczny sposób, w jaki sama to robiła.

– Dobra robota, Rozgwiadko. Spisałaś się na medal.

Dziewczyna oblizła spierzchnięte wargi i uśmiechnęła się. Mimo że była ranna i zmęczona, i tak wyczuwało się w tym erotyczny podtekst.

Arachnita wziął się do opatrywania jej nogi. Rana była na szczęście tylko powierzchowna. Trzecia Kompania zaczęła składać gratulacje.

– Jesteś najdzielniejszą damą, jaką spotkałem.

– Żaden pajak nigdy panienki nie dogoni!

– Tak tak. Tak tak.

Bo'akh–Bonthuzel chrząknął.

– „Hej Thuz, dzięki, że otworzyłeś zapadnię!” „Nie ma o czym gadać, przyjaciele, naprawdę”. Przekłęci niewdzięcznicy...

– Brawo, mały. – Poczul na ramieniu mocny ucisk. – Byłeś naprawdę szybki. Idealne wycucie czasu. Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że aby osiągnąć ten efekt musiałeś otworzyć zapadnię, zanim Rozgwiadka znalazła się po drugiej stronie.

Zmrużył oczy.

– Bardzo ciekawa koncepcja.

Bez słów mierzyli się wzrokiem.

– Już, już, dość tych przekomarzań. – Haxerlin pociągnął Thuza za ucho. – Jestem z was dumny. Wykonaliście plan co do joty. Widzicie, to się nazywa praca zespołowa.

Pomieszczenie tonęło w pajęczynach, lecz na szczęście nie ostał się żaden z lokatorów. Wysokie sklepienie obrastały fosforyzujące grzyby, których blask obejmował łagodnym światłem całą salę. Z mroku wylaniały się podniszczone kolumny i odrapane filary, jednak wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że lata temu uderzały przepychem i zachwycały starannością wykończeń oraz bogactwem detali.

Perły ówczesnej architektury służyły pająkom za wylęgarnie. U ich szerokich podstaw zalegały setki małych, szarawych jaj.

– Zniszczcie je wszystkie. – Haxerlin wydał polecenie, a Trzecia Kompania ochoczo wzięła się do pracy.

– Kit, pozwól na słówko. – Odciągnął łowcę na bok. – Na początku miałem wątpliwości co do tego, że penetrujemy grobowiec Valdura. Długie schody i korytarze

każdy głupi szlachciura potrafi sobie wybudować, ale to... To w zamierzonych czasach mogło być królewską salą. Może rzeczywiście przemierzamy włości Ojca Założyciela, a gdzieś tutaj spoczywają skarby Valdura i znajduje się miejsce jego spoczynku? Co o tym myślisz?

Mężczyzna pogładził się po brodzie.

– Czy ja wiem? Może. Nie znam się na pałacach. Ani na tych na powierzchni, ani pod ziemią.

– No tak, byłbym zapomniał. Człowiek lasu, prawda?

– Słucham?

– Człowiek lasu. Lubisz przyrodę i otwarte przestrzenie. Gwiazdy nad głową, podmuch wiatru na twarzy, zapach powietrza po deszczu... Bycie łowcą to przyjemna sprawa. Też kiedyś polowałem na zwierzęta. Co prawda musiałem, bo inaczej umarłbym z głodu... rozumiesz, kiepski okres w branży... ale co nieco wiem o dzicy.

Kit patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Nie jestem żadnym człowiekiem lasu. Mam alergię na pyłki. I nigdy nie polowałem na zwierzęta.

Handlarz czuł się odrobinę zbity z tropu.

– Jak to? To co z ciebie za łowca?

Kit zamruczał niewyraźnie.

– Co?

– Łowca głów.

– Ach... To się nazywa podręcznikowe obejście Regulaminu Misji. – Mrugnął porozumiewawczo. – Ściganie przestępców to nie kaszka z mleczkiem. Da się na tym zarobić?

Kit zacisnął wargi i wziął głęboki oddech, jakby walczył z atakiem złości. Po chwili się rozluźnił.

– Posłuchaj. Powiedziałem już. Jestem, a raczej byłem łowcą głów. Dosłownie. Polowałem na ludzi i obcinałem im głowy. – Wyraził to tak emocjonującym tonem, jakby dzielił się informacją, że kiedyś wyplatał koszyki z wikliny. – Krwawy Kit. Może obilo ci się o uszy.

Mistrz Haxerlin przełknął ślinę i zaśmiał się nerwowo.

– Nie żartuj sobie... Krwawy Kit został schwytyany i skazany na dożywocie ponad dziesięć lat temu. Gnije teraz w lochach w Weimburgu... W Weimburgu... – powtórzył, a potem bezgłośnie wyartykułował przekleństwo.

Powoli, powoli zrobił krok do tyłu.

– Nie rób takiej miny. Wyglądasz gorzej niż wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłeś pająka. Mówiłem ci, że mam układ z Jacobem. Nikomu nie zrobię krzywdy. Stało się wam coś do tej pory? No właśnie. Zaco załatwił mi na czas Misji dwutygodniową przepustkę. Odwałam tu swój przydział, a on pomoże mi wyjść na warunkowe. Jestem za stary, żeby teraz kombinować na boku i myśleć o ucieczce. Nie chcę ukrywać się jak szczur po kanałach. Dostałem uczciwą propozycję. Wyjdę za dobre sprawowanie. Z czystym kontem.

– Dobre sprawowanie? Bogowie... Dokonałeś stu morderstw, nim cię złapali!

– Właśnie tego nie lubię w ludziach – przesady. Dziewięćdziesięciu czterech – sprostował. – Dziewięćdziesięciu pięciu, jeśli wliczać akcję podczas pościgu. Zeznawałem pod przysięgą, że ten strażnik spadł z dachu i złamał kark, a głowę obciąłem mu już po śmierci, ale spróbuj wygrać z sądem. Zawsze mają jakieś uprzedzenia do oskarżonego.

Haxerlin nie mógł w to uwierzyć. Człowiek, w którym pokładał największe nadzieje, okazał się być słynnym psychopatą, sadystycznym mordercą, czarną legendą przestępczego świata.

– Aaa, jajo mi wpadło do buta. Fuj, jest takie mokre i śliskie!

– Brat Gladius chyba ma kłopoty. Pójdę to sprawdzić. Zachowaj tę rozmowę dla siebie, nie ma potrzeby martwić innych. Między nami w porządku, nie? – Klepnął Mistrza w ramię i odszedł, postukując ciężkimi buciorami.

Haxerlin usiadł na bloku kamienia, który kiedyś mógł być kunsztowną ławą. Próbował zebrać myśli. Przeklęte karty! Od nich się wszystko zaczęło. Głupi Haxerlin na sześciu pustych głowach. Zgarniam.

Ktoś natarczywie ciągnął go za skraj szaty.

– Czego chcesz, Moshito? Nie widzisz, że jestem zajęty?

– Moshito coś znaleźć. Iść zobaczyć.

Ruszył za łotrzykiem. Z każdej strony rozlegały się dźwięki miażdżonych skorup, wodniste chrupnięcia, które przyprawiały wrażliwy żołądek Mistrza o skurcze. Trzecia Kompania miała w nosie równowagę ekosystemu groty Valdura i dbanie o pajęczą ciągłość gatunkową. Nikomu nie zależało na tym, by gdzieś ostało się chociaż jedno jajo.

Z leża stworów odchodziły trzy korytarze, nie licząc tego, który prowadził do zapadni. Środkowy przysypany był grubą, sięgającą aż po sufit warstwą gładów, tak jakby celowo go zablokowano. Nie daliby rady oczyścić drogi bez zespołu górników i maszyn. Cóż, to już zmartwienie króla.

Cudzoziemiec wybrał lewą odnogę. Oczywiście wcześniej musiał zignorować polecenie, by nie zapuszczać się samotnie poza gniazdo, ale Haxerlin powstrzymał się od udzielenia reprimendy. Jeśli chce zginąć, proszę bardzo.

Wąski korytarz prowadził do niewielkiego pomieszczenia, czegoś na kształt wewnętrznej kapliczki. W środku znajdował się rozłupany na pół ołtarz, a za nim pomnik rycerza. Długowłosey młodzian o delikatnych, szlacheckich rysach opierał dłonie na rękojeści miecza.

– Podobny trochę do Aryana, nie sądzisz?

– Tutaj, tutaj – Cudzoziemiec wskazał palcem swoje znalezisko.

Tym razem nie był to kolorowy kamyk. Oblepione pajęczyną ściany utrzymywały w górze sześć kokonów. Każdy odpowiadał wielkością dorosłemu człowiekowi.

– Bogowie, zawołaj wszystkich – wyszeptał Mistrz. – Mamy Pierwszą albo Drugą Kompanię.

Odcięli kokony i ostrożnie ułożyli na ziemi. Kit wybrał z pokrowca na broń długi nóż o zakrzywionym ostrzu. Przebił włóknistą powłokę. Handlarz zbladł; wyobraźnia

podsuwała mu różne nieciekawe obrazy, w których to podobne sprzęty używane były do zgoła innych celów.

Stał raz po raz z chirurgiczną precyzją zagłębiała się w lepkich pancerzykach, uwalniając ich zawartość. Sześć trupiobladych, nieruchomych postaci wlepiało w sufit puste spojrzenia.

– Mogliśmy być na ich miejscu... – Haxerlin głośno powiedział to, o czym każdy pomyślał.

– Urządziły tutaj spiżarnię. – Aryan splótł palce na nadgarstku nieboszczyka, szukając oznak życia. – Ci nieszczęśnicy nie skończą jako pokarm dla pajaków. Zachowają godność. Przynajmniej tyle mogliśmy dla nich zrobić.

– Nie ma to jak zdechnąć w podziemiach i wylądować w gigantycznym kokonie. Dziwne to twoje poczucie godności, rycerzyku. – Thuz nachylił się nad groteskowo wykrzywioną twarzą kapłana. Pomachał mu przed oczami. – Jak tam w zaświatach?

– Zauważyłem, że chłopak jest bardzo nieuprzejmy, chyba ma jakieś problemy – szepnął brat Gladius do Haxerlina. – W tym wieku bardzo ważne jest okazywanie dzieciom ciepła i miłości. Przytulić go?

Rozległ się dziewczęcy pisk.

– On jeszcze żyje!

Faktycznie, jedno z ciał drgnęło, a po sinych ustach spłynęła strużka śliny. Naznaczona bliznami twarz i poszarpana skórzniak kazały sądzić, że mają do czynienia z drużynowym wojownikiem. Haxerlin delikatnie podtrzymał jego głowę i podstawił bukłak.

– Jesteś już bezpieczny.

Odpowiedziało mu niewyraźne charczenie.

– On i tak umrze – zauważył Kit. – Spójrzcie na przebarwienia na skórze. We krwi krąży trucizna. Nie odratowaliby go nawet w szpitalu.

– ...obo–ec... – Zniekształcone słowo z trudem wydostało się na zewnątrz. – ...idzieli...śmy... obo–ec... kiedy a–caliś...my.. o–adły a–as... ajaki...

– Pajaki dorwały was w drodze powrotnej, tak? Ale widzieliście grobowiec? – domyślił się Mistrz. – A więc to prawda, zwiedzamy włości Valdura?

Wojownik z trudem przytaknął.

– ...a–dur... ył... etą...

– Przykro mi, nie rozumiem.

Poczuł, jak zimna dłoń kurczowo zaciska się na jego szacie.

– ...etą! ...ył... etą...!

– Spokojnie! Macie jakieś pomysły, a co może mu chodzić?

Towarzysze zaprzeczyli.

– ...go–iny... – kontynuował. – ...na ... ni–szym... po–om...ie. – Oddychał z coraz większym trudem. – ...etki... go–linów...

– Goblino, tak? Setki goblinów? Bogowie... Jak udało się wam je minąć?

– ...yć... ci–cho... kradać...

– Przekradli się. – Kit zmarszczył brwi. – Bardzo rozsądnie. Zielonoskórzy to tchórzliwe i głupie istoty, ale kiedy mają co najmniej kilkukrotną przewagę liczebną,

atakują niczym wściekłe szczury.

Ciałem wojownika wstrząsnął dreszcz. Haxerlin puścił jego głowę i odsunął się. Miłosierdzie miłosierdziem, ale kto da mu pewność, że nie zarazi się jakimś świństwem...

Falconer przyklęknął przed chorym.

– Kapłanie, śmierć już się o niego upomina. Pojednaj go z bogami.

– O, dobry pomysł. To będzie mój pierwszy raz, wiecie? – Wyjął z sakwy książeczkę opatrzoną symbolem księżycy. – Jesteś arachnitą, przyjacielu?

– N–e...

Złapał go atak kaszlu.

– Oj, nic nie szkodzi. – Przekartkował modlitewnik. – „Arachne Księżycowa, ty, która boskim blaskiem rozświetlasz ciemności, wejrzyj na pokornego sługę i wskaż mu drogę przez mroki śmierci, by...”

– N–e... n–e! – Z gardła umierającego dobył się słaby okrzyk. – ...estem... ojna–owcem...

– Wierzysz w Wojnara? Ha, ciekawe. – Powiedział to takim tonem, jakby oznajmiał, że nie ma mu tego za złe. – ...wskaż mu drogę przez mroki śmierci, by odnalazł ukojenie w twoich czułych objęciach...

– Ekhm – chrząknął Kit. – Nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że Arachne i Wojnar nie pałają do siebie sympatią. Ich wyznawców obowiązuje kategoryczny zakaz uczestnictwa w rytu... A zresztą. – Machnął ręką. – Nie moja działka.

– N–e... N–E!

Wojownik rzucał się na ziemi jak wyciągnięta na brzeg ryba.

– ...po kres czasów i czas kresów. Koniec. – Zamknął książeczkę. – Nie bolało, prawda? Ach, i jeszcze jedno. – Pogrzebał w tobołku i wyjął mały posążek. – Proszę, figurka Arachne. Ale ładna! Popatrzmy: ma zwiewną suknię, aureolę z gwiazdek... Nie to, co te wojnarowskie miecze i łuki. – Postawił posążek na brzuchu mężczyzny. – No, i tak można umierać. – Uśmiechnął się sympatycznie.

Gdyby tutejsze grzyby promieniowały światłem tak mocno jak on dobrymi intencjami, to musieliby zwiedzać podziemia z zamkniętymi oczami.

Wojownik chciał resztką sił strącić z siebie figurkę, ale nie zdążył. Wybałuszył oczy, plunął krwią i znieruchomiał; utkwiał w kapłanie pośmiertne spojrzenie, przepelnione nieopisanym żalem.

Aryan podniósł się z klęczek.

– Spoczywaj w pokoju, nieznajomy.

– Spójrzcie na ten łagodny wyraz twarzy... – Rozczulił się brat Gladius. – Religia naprawdę pomaga pogodzić się ze śmiercią.

– Przynajmniej dowiedzieliśmy się, co jeszcze na nas czeka. – Haxerlin wyjął z plecaka koc i rozłożył na ziemi. – Najwyższy czas na odpoczynek. Prześpimy się kilka godzin, a potem ruszamy dalej.

– Będziemy spać z trupami? – zapytał Thuz. – Nie żeby mi to przeszkadzało, ale...

– Tu wydaje się być najbezpieczniej. Jak wam przeszkadzają, możecie ich przenieść do gniazda.

Nikommu się nie spieszyło.

Brat Gladius rozejrzał się dookoła, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

– Gdzie jest Rozgwiadka?

Dziewczyny od pewnego czasu nie było w kapliczce. Nikt nie zauważył jej nieobecności.

– Panienko Rozgwiadko, hop hop!

– Tu jestem. – Z korytarza rozległ się cichy głosik. – Już idę.

Weszła do kapliczki, poprawiając kolczyk.

– Nie powinna panienka chodzić sama. To niebezpieczne.

– Ja... przestraszyłam się. – Skromnie opuściła głowę. – Oni wszyscy nie żyją i...

i...

Kapłan wziął ją w objęcia.

– Ciii, już dobrze, już dobrze.

– Rozbijcie obóz – zarządził Mistrz Haxerlin. – Aryan, weźmiesz pierwszą wartę.

Reszta niech się podzieli wedle uznania. Mnie nie wliczajcie. Przez sen będę obmyślał następny plan.

...stuk...

Kamyk uderzył w ścianę i potoczył się po ziemi.

...stuk...

Drugi odbił się od krawędzi ołtarza.

...stuk...

– Prawie trafić, tak tak – szepnął do siebie Moshito, sięgając po kolejną odrapaną bryłkę.

Zebrał cały stosik kamyków i ułożył je w równą kupkę. Urozmaicał swoją wartę polowaniem na pająka. Och, nie na jednego z tych okropnych stworów, które zagnali do zapadni i podpalili – ślinka mu ciekła na samo wspomnienie zapachu pieczonych odwłoków – ale na zwykłego, malutkiego pajęczka. Robaczek zwisał z krawędzi ołtarza, nic sobie nie robiąc z kanonady pocisków.

Był szczęśliwy, bo udało mu się znaleźć pracę. Niebezpieczna wyprawa za morze naprawdę się opłacała. W Imperiale zarobił majątek! Kiedy wróci do żony i synów, postawi sobie pałac z bambusa. Cała wioska będzie mu zazdrościć.

Zerknął ukradkiem na śpiącą Rozgwiadkę, uśmiechając się szeroko. Ilekroć przed oczami migąła mu zawieszona na łańcuszku syrenka, wracał pamięcią do rodzinnego domu. Też leżał między dwoma wzgórzami.

...stuk...

Blisko, blisko...

...stuk...

Trochę bardziej w lewo...

Nagle ziemia zadrżała, jakby w Otchłani odpalono fajerwerki. Kamyk wypadł mu z ręki. Gdzieś pod podłogą rozległ się stłumiony wybuch.

Trzecia Kompania dalej spała niewzruszona, tylko Mistrz Haxerlin zachrapał i zakopał się głębiej pod kocem.

Moshito podrapał się po czubku głowy. Wypadało sprawdzić źródło hałasu. W końcu nie po to zapłacono mu fortunę, by siedział beczynn timer, kiedy ktoś na dole bawi się prochem. Reszta niech śpi. Wróci i zbudzi czarodzieja, gdy będzie miał już jakieś informacje. Z kokonami wyszło dobrze. Pochwalił go. No, może nie pochwalił, ale nie krzyczał, a to prawie to samo.

Na paluszkach opuścił sanktuarium. Minał gniazdo pajaków i skręcił w drugi korytarz. Przejście kończyło się schodami, prowadzącymi na niższy poziom. Schował dłonie w obszernych rękawach i ostrożnie ruszył w dół.

Pierwszy przebudził się Kit. Przetarł twarz i przeciągnął się, aż trzasnęło w kościach. Niemal od razu doliczył się braków w stanie Trzeciej Kompanii.

Szturchnął Haxerlina. Kupiec otworzył oczy i kwiknął przeraźliwie na widok pochylającego się nad nim brodacza.

– Nie obcinaj mi głowy!

Łowca przewrócił oczami.

– Wstawaj. Nie ma Moshito i Rozgwiadki.

– Pewnie kręcą się gdzieś w pobliżu. – Doszedł do siebie i dźwignął się z posłania.

– Pobudka, pobudka!

Drużyna zerwała się na równe nogi.

– Ktoś wie, co dzieje się z łotrzykiem i Rozgwiadką?

Brat Gladius podniósł rękę.

– Panienska poszła... poszła za potrzebą. Mówiła, że krępują ją te wszystkie trupy.

– Wskazał palcem zalegające pod ścianą ciała, ułożone jak worki z mięsem, jedne na drugich. Więcej godności mieli jednak w kokonach.

– Faktycznie, niezbyt estetyczny widok. A Moshito?

Tego nie wiedział już nikt.

Dziewczynę znaleźli w centralnej sali z kolumnami. Siedziała na wielkim grzybie i malowała twarz. Prawdziwa dama nawet na spotkanie z goblinami wychodzi w pełnym makijażu.

– Cześć. – Schowała lusterko. – Zbieramy się?

– Nie widziałaś Moshito? Nie kręcił się tutaj?

Zgrabnie zeskoczyła z kapelusza.

– Nie, myślałam, że śpi.

– Mogę się założyć, że uciekł. Albo poszedł zjeść pająki z zapadni. Widzieliście, jak on na nie patrzył? To chory człowiek.

– Przestań, Thuz. Kto chciałby jeść te owłosione... – Drgnął, przypominając sobie wyraz rozmarzenia na twarzy cudzoziemca, ilekroć temat schodził na kuchnię. – Aryan, Kit, sprawdźcie to na wszelki wypadek.

Dwaj najbardziej wojowniczy członkowie Trzeciej Kompanii szybko przeszukali teren wokół zapadni.

– Ani śladu – oznajmili po powrocie.

– W takim razie miejmy nadzieję, że przynajmniej poszedł dalej, a nie w stronę

wyjścia. Za te pieniądze mógłby odbezpieczyć chociaż jedną pułapkę.

– Za niecałe dwa imperiały? – Chłopiec prychnął. – Jaką pułapkę masz na myśli?

Działo strzelające lukrem?

Brat Gladius wybuchnął histerycznym śmiechem.

– To zabawne, bo działa nie strzelają lukrem! Potrafisz rozbawić, Thuz. Jesteś dobrym, wartościowym dzieckiem i wszyscy bardzo cię lubimy. – Puścił oczko Haxerlinowi, sygnalizując, że wprowadza w życie plan zarażania miłością.

Chłopak zignorował komentarz. Wyszedł z założenia, że kapłanowi doszczętnie odebrało rozum.

– Zatem w dół – wydał rozkaz Mistrz. Chrząknął, bo nikt nie ruszył się z miejsca.

– Niech ktoś idzie przodem.

Moshito szedł przed siebie, uważnie rozglądając się na boki. Pod nogami płątały mu się szczury, ale nie zwracał na nie uwagi. Szczury nie podkładają materiałów wybuchowych. Może te tresowane potrafią przenosić je na grzbietach, owszem, ale już na pewno nie odpalać.

Co pewien czas mijał drzwi, ale żadnych nie otwierał. Co to to nie. Nie chciał stanąć oko w oko z gobelinem. Mężczyzna z kokonu opowiadał, że są tu ich setki. Imperialni dekoratorzy wewnątrz musieli mieć naprawdę ciężkie życie.

Usłyszał kroki. Z naprzeciwka ktoś nadchodził. Sądząc po odgłosach – większa grupa.

Zaryzykował spotkanie z krwiożerczym gobelinem. Otworzył najbliższe drzwi i wsunął się do środka. Zostawił je niedomknięte, by przez wąską szparę móc obserwować korytarz.

Serce podeszło mu do gardła. Piwnice zamieszkiwały czarnoskóre diabły.

Doliczył się dziesięciu. Przysłuchiwał się ich niskim, gardłowym pomrukowi, które przypominały warczenie psów. Smoliste, pozbawione włosów ciała poruszały się w zwartym szyku. Przewodził im Arcybies. Rozpoznał herszta po złotej obręczy na ramieniu. Diabły słynęły z zamiłowania do porządku. Zorganizowane zło przeciwstawiały demonicznemu chaosowi. Dwie ścierające się ścieżki nikczemności. Uczyli o tym nawet w wiosce Moshito.

To wyjaśniało, skąd ten wybuch. Diabelskie siły próbują wysadzić wrota piekieł i wypuścić na świat mrocznych pobratymców, zalać Insirię falą ciemności. Tak. Na pewno o to chodzi. Czarodziej musi się o tym dowiedzieć!

Postanowił, że zanim wróci do drużyny, odczeka chwilę, aż diabły znikną w swojej pieczarze. Tak będzie najrozsądniej. Zamknął drzwi.

Rozległ się głośny pisk. Przypadkowo przytrzasnął szczura.

– O nie nie, głupi Moshito, głupi...

Diabły już biegły w jego stronę.

Jeśli leże pajaków w istocie było zniszczoną salą balową, a zasypany korytarz

prowadził na piętro, gdzie niegdyś znajdowały się pokoje mieszkalne, to znaczyło, że drużyna zwiedzała właśnie piwnice – kompleks pomieszczeń gospodarczych, w których przechowywano trunki, żywność i różnego rodzaju sprzęty. „Różnego rodzaju sprzęty” były szerokim pojęciem; Haxerlin wybrał użył go, bo chciał, żeby mieściło możliwie wszystko, co naprawdę bogaci ludzie trzymali pod ziemią – służbę, prywatne więzienie, pokój do uprawiania czarnej magii... Nigdy nie rezydował w żadnym pałacu, więc musiał zgadywać.

Zeszli na dół. Teraz mogli ruszyć przed siebie lub w lewo.

– Ależ śmierdzi... – Skrzywił się Aryan.

Mistrz zaczerwienił się.

– Przepraszam.

– Nie, nie o to chodzi. To gobliny.

– A skąd ty, rycerzyku, możesz wiedzieć, jak pachną gobliny? – Thuz obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – Chyba że jakiś cię spółdził.

Brat Gladius znowu się roześmiał. Błysnął zębami i pokazał Haxerlinowi uniesiony w górę kciuk.

– To zabawne, bo...

Kit zatkał mu usta.

– Ciszej. Skręcamy czy idziemy prosto?

– Jakkolwiek byśmy nie poszli, i tak wrócimy pod schody – rzekł Aryan. – To jeden i ten sam korytarz, tyle że połączony. Wiem, bo piwnice w moim domu wyglądają podobnie.

– I też śmierdzi goblinami?

– Mhm mhmhmm...

– Cicho, kapłanie. I ty, mały, też daj spokój. Jak tu niby znaleźli się zielonoskórzy?

– Jest kilka możliwości – włączył się w dyskusję Haxerlin. – Najbardziej prawdopodobna to taka, że się dokopali. Powiększali swoje podziemne tunele, aż któregoś dnia natrafili na mur, zaczęli kuć i w ten sposób odnaleźli grotę Valdura przed naszymi archeologami. Nie zapuszczali się wyżej z powodu pajaków. Jeśli mamy szczęście, rozkradli co się dało i wrócili do siebie. Sprawdźmy to.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się drzwi, niektóre przegniłe albo rozsypujące się ze starości, inne niemal nietknięte zębem czasu. Kupiec opracował widowiskową, ale przede wszystkim bezpieczną metodę zgłębiania tajemnic, jakie skrywała piwnica. Recepta była prosta: Thuz ciągnął za klamkę i odsłaniał, Kit wpuszczał do środka kilka beltów, Aryan wbiegał z uniesionym wysoko mieczem i wymachiwał na oślep. Tym sposobem zabili dwa mało żwawe szczury i zgłębili tajemnicę opustoszałej spiżarki, schowka na narzędzia, pomieszczenia dla służby i kuchni. Haxerlin cieszył się, bo zawsze lepiej zgłębiać nic niż coś. Pokój pełen złota i pokój pełen goblinów różniło zaledwie parę literek. Ogołocone do zera pomieszczenia witał więc szerokim uśmiechem i westchnieniem ulgi.

Chłopak splunął w dłoń i ustawił się pod kolejnymi drzwiami.

– Gotowy?

Stojący za nim Kit przytaknął, trzymając palec na spuście.

Thuz szarpnął za klamkę i szybko się wycofał.
Zamiast świstu zwalnianej cięciwy rozległ się łomot. Kusza upadła na ziemię.
– Musicie to zobaczyć – wychrypiał łowca.

Arcybies wyważył drzwi jednym kopnięciem. Otworzyły się z hukiem, niemal wylatując z zawiasów. Diabły wtargnęły do środka i otoczyły Moshito półkolem. Wytrzeszczały na niego obrzydliwe ślepie; zniekształcone pyski dyszały jak piece. W rękach bestie dzierżyły artefakty, przy pomocy których potrafiły obdrzeć człowieka ze skóry albo wypalić w umyśle czarcie piętno szybciej niż zajmowało mrugnięcie okiem. Broń zasilana energią Otchłani, a materialną formę przybierała ona tylko dzięki skondensowanej nienawiści, jaką pałały diabły do wszystkiego, co żywe. Czy jakoś tak. Moshito był przerażony i mieszały mu się szczegóły.

Arcybies warknął coś w swoim mrocznym języku. Łotrzyk w porę zatkał uszy. Nie chciał skończyć jako bezwolne narzędzie w rękach ciemności. Każdy wiedział, że plugawa mowa odbiera ludziom zmysły i zmusza do ślepego posłuszeństwa.

Biesy spojrzały po sobie. Część pokręciła zdeformowanymi łbami, część wykonała gest, który mógł być diabelskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami. Zapewne rozmyślały, jak podzielić się jego duszą. Nie słyszał ich, z całej siły napierając dłońmi na uszy.

Arcybies uniósł pysk w górę. Wygrażał niebiosom, co stanowiło nieodłączny element piekielnych rytuałów. Zaraz zatopi zęby w jego ciele, a krwią narysuje pentagram. Moshito zacisnął powieki. Nie chciał tego oglądać.

I stał tak, nic nie widząc ani nic nie słysząc, dobre dziesięć minut. Z tego też powodu przegapił moment, w którym Arcybies wydał podwładnym rozkaz odwrotu. Kiedy w końcu nieśmiało otworzył jedno oko, zniecierpliwiony tym, że początek egzekucji się przeciąga, był sam. Odetchnął z ulgą i zmówił szybką modlitwę do Smoka o Tysiącu Ogonach, jednocześnie dziękując za opiekę oraz przepraszając za to, że zupełnie zapomniał o jego istnieniu.

Położył dłoń na ścianie i otarł pot z czoła.

– To być ciężki...

tyk

Włócznia przebiła go na wylot.

Aryan wyjął drzewce z piersi martwego towarzysza. Po twarzy Rozgwiadki spłynęło kilka łez.

– Kto, pytam się, kto do cholery montuje pułapkę w spiżarni?! – Haxerlin nie mógł opanować wzburzenia.

– Chyba też był zaskoczony, sądząc po jego minie...

– Przed kim to miało chronić, przed złodziejami przetworów?

Thuz obracał między palcami słoik z jakąś przegniłą zawartością.

– Na to wygląda. Skośnooki zgłodniał i poszedł szukać jedzenia.

– To nie ma sensu. Przecież mamy racje żywnościowe.
– Próbuj szukać logiki w postępowaniu człowieka, którego wynajęliśmy do brudnej roboty za równowartość obiadu w podrzędnym zajeździe. – Odłożył słoik na miejsce. – I tak go nie lubiłem.

Brat Gladius położył u stóp nieboszczyka figurkę.

– Arachne Księżycowa, ty, która boskim blaskiem rozświetlasz ciemności...

– Daj spokój. – Kit wyrwał mu modlitewnik.

Wyszli z pomieszczenia. Haxerlin zamknął za sobą drzwi.

– Pułapka w spiżarni... pułapka w spiżarni... – powtarzał z niedowierzaniem pod nosem. Westchnął i potoczył wzrokiem po kompanach. – Będzie nam brakować Moshito, ale nie zapominajmy, po co tu przyszliśmy. Kontynuujcie.

Wrócili do przeszukiwania piwnic, jednak z dużo mniejszą werwą. Nawet Thuz przestał rzucać uszczypliwe komentarze i ciągnął za klamki jakby od niechcenia. Dotąd nie znaleźli nic, ale to absolutnie nic cennego, dlatego tracił nadzieję, że gdzieś w grocie Valdura spoczywa artefakt, który pomógłby mu odzyskać formę Krwiopija.

Kit na widok kolejnych otwartych drzwi opuścił kuszę.

– Miałeś rację, czarodzieju.

W środku unosił się przeraźliwy smród, jakby coś tu przetrawiono, zjedzono i jeszcze raz przetrawiono. W ścianie naprzeciwko wejścia widniał wyłom. To stamtąd dobywał się fetor. Otwór sięgał łowcy do pasa, a osobie wzrostu Mistrza Haxerlina – do piersi. Roztrzaskane w drobny mak meble wokół przejścia wskazywały na to, że często przechodziła tędy zgraja istot, które nie potrafiły docenić dóbr cywilizacji.

– I stąd pewnie wzięły się gobliny. Masz jeszcze te laski tyltrolu?

Łowca przytaknął.

– Może zanim wysadzimy to przejście, wypadałoby sprawdzić, dokąd prowadzi?

Mistrz nie był do końca przekonany.

– Tak, tak... Oczywiście... Więc... Jacyś ochotnicy?

Kit westchnął. Odepchnął Haxerlina, złapał w zęby sztylet i zniknął w otworze. Musiał posuwać się na czworakach. Słyszeli ciche przekleństwa, gdy uderzał głową w skalne odłamki albo obcierał kolana na nierównym podłożu.

Po jakimś czasie doszedł ich donośny głos.

– Chodźcie! Szybko!

Mistrz przykucnął i włożył głowę do dziury.

– Jeśli to gobliny, zabij ich jak najwięcej! – krzyknął. Odwrócił się w stronę drużyny. – Zbierzcie deski, trzeba to jakoś zasłonić, zanim...

– Chodźcie! Jest bezpiecznie!

– To zmienia postać rzeczy...

Wszyscy po kolei zniknęli w wąskim wyłomie. Najgorzej radził sobie baryłkowaty handlarz, ale w końcu i on przewyciężył mdłości i zdołał przecisnąć się na drugą stronę.

Wylądowali w prymitywnym kopalnianym szybie. Śmierdziało tu jak w trupiarni. Wnętrze porastał ten sam rodzaj grzyba, co grotę Valdura. Strop wyrobiska podtrzymywało rusztowanie złożone z krzywych, próchniejących desek. Nieociosane belki, na których opierała się konstrukcja, sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili

miały się zawalić i pogrzebać ich żywcem.

To jednak nie odór czy goblinowe budownictwo sprawiło, że Haxerlinowi ciarki przeszły po plecach.

Pięć przerażonych twarzy przyglądało mu się z niemym wyrzutem. Nabite na piki głowy miały stanowić komitet powitalny dla każdego, kto zapuszczał się na terytorium zielonoskórych.

Kit stał przed makabrycznym znaleziskiem i krzyżował ręce na piersi. Przypominał rzemieślnika, który ocenia pracę konkurencji.

– To nie wszystko – odezwał się, kiedy wokół zgromadziła się Trzecia Kompania.
– Chodźcie.

Niedaleko za makabryczną wartą honorową szyb rozszerzał się, tworząc pomieszczenie, które gobliny zaadaptowały na roboczy magazyn. Haxerlin wnioskował to po zalegających wszędzie kilofach, łopatach, wózkach służących do transportu surowców oraz topornych skrzyniach i beczkach. Musiał nieźle wyteżać wzrok, by dojrzeć to wszystko pod stertą zielonych kończyn i korpusów. Pod nogami wały się fragmenty rozczłonkowanych ciał, a ściany ociekały rdzawą czerwienią, jakby zdetonowano tu balię po brzegi wypełnioną krwią.

I chyba rzeczywiście ktoś bawił się ładunkami wybuchowymi, bo obie odnogi magazynu były zasypane. Strop się zawalił, a korytarze zapadły, odcinając dalszą drogę.

– Bogowie... Co tu się wydarzyło?

– Zielonoskórym wysadzono kopalnię. – Kit podniósł z ziemi oderwaną rękę. – Razem z częścią ich ziomków. I to wcale nie tak dawno, bo ciała nie zaczęły jeszcze gnić.

Haxerlin ogarnął pobojowisko ponurym spojrzeniem.

– Kto...?

– Obstawiam, że właściciel głowy, która nie wylądowała na pice. Członek Pierwszej albo Drugiej Kompanii. Bardziej zastanawiające jest, skąd wytrzasnął tyle prochu, żeby...

Za ich plecami coś się poruszyło. Nie musieli czekać na rozkaz. Kto nie był kapłanem ani Haxerlinem, ten chwycił za broń.

Z szybu wyłonił się mężczyzna w podartych szatach. Szedł jak zwierzę, na czworaka, z wywalonym na wierzch językiem.

– Stój! Ani kroku dalej. – Kit wymierzył z kuszy. – Kim jesteś?

– Nie psotniki – odpowiedział. Mówił szybko i niewyraźnie, tak że musieli wyteżać słuch, by zrozumieć poszczególne słowa. – Nie czarne diabły. Nie, nie. Przyjaciele? – Przekrzywił na bok przyprószoną siwizną głowę i podrapał się w ucho. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że zrobił to stopą.

Haxerlin od razu rozpoznał objawy szaleństwa. W sumie nie trzeba było do tego eksperta – człowiek udający psa zazwyczaj budzi pewne podejrzenia.

Położył dłoń na ramieniu Kita i wyszedł przed szereg.

– Tak, jesteśmy przyjaciółmi. A ty...?

– Też przyjaciel! – Wyszczrzył zęby i dziwnie uniósł dłonie, jak zwierzę próbujące ustać na dwóch łapach. Na jego szacie widniał zatarty symbol wagi szalkowej.
– Przyjacielski Richie!

Thuz parsknął śmiechem.

– Co za żalosna pokraka. Stracił rozum.

Łowca przekazał mu spojrzeniem, że jeśli się nie uciszy, też szybko coś straci. Na przykład język.

– Richie... – Haxerlin uważnie dobierał słowa. – Byłeś członkiem królewskiej ekspedycji?

Energicznie pokiwał głową.

Kupiec przyjrzał się emblematowi wyszytemu na brązowej szacie.

– Drużynowym magiem?

Człowiek-pies znowu przytaknął. Po brodzie spłynęła mu strużka śliny.

– Powiesz nam, Richie, co właściwie się stało?

– Zielone psotniki. – Udawał, że goni własny ogon. – Innym obcięli głowy, a Richiego przygarnęli, bo był najbardziej przyjacielski ze wszystkich! Richie to wielki pieszczoł!

Mistrz przełknął ślinę. Znane było zamięłowanie goblinów do wszelkiego rodzaju perwersji. Nie chciał sobie nawet wyobrażać, co spotkało tego nieszczęśnika. Jeśli w ludowych opowieściach kryła się choć odrobina prawdy, człowieczeństwo i godność mężczyzny bezpowrotnie rozpadły się na tysiące drobnych kawałków. Ucieczka w psią osobowość mogła się okazać jedyną alternatywą dla samobójczej śmierci.

– Był tu ktoś poza tobą i... i psotnikami? Ktoś, kto wysadził kopalnię?

Szaleniec zaskowyczał i nakrył dłońmi uszy.

– Diabły, przyszły diabły. – Podniósł głowę. – Niosły na plecach worki z siarką. Siarka prosto z piekła! Rach ciach, rach ciach! Rozszarpały ślamazarne psotniki, szybkie psotniki uciekły tunelami. Potem stąd pluło językami ognia. Tunel BUM! Ściany BUM! Richie schował się w piwnicy. Czekał, aż spotka nowych przyjaciół. Bał się czarnych diabłów.

Skonsternowana Trzecia Kompania spojrzała po sobie.

– Rozumiecie coś z tego? – Aryan pomasaował skronie.

– Przecież wszystko jasne. Diabły – stwierdził Thuz. – Też miały takie skrzydła i rogi jak ja? Słuchaj, przyzywałeś innych chowańców? – zwrócił się do Mistrza. – Może nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki magiczny potencjał w tobie drzemie.

– Bredzi. Postradał zmysły. – Haxerlin usłyszał za sobą szept Kita. – Nic od niego nie wyciągniemy.

Zaszeleściły kartki. Brat Gladius szukał czegoś w modlitewniku.

– Księżycowa Litania przeciw Opętaniu... Która to była strona...

Tylko Rozgwiadka milczała. Bawiła się naszyjnikiem, przyglądając się krwawej łaźni, w jaką zamienił się magazyn. Kupcowi zrobiło się jej żal. Żadna kobieta nie powinna oglądać takich okropności.

Postanowił porzucić wątek rzekomych diabłów i wyciągnąć z mężczyzny strzępki jakichkolwiek przydatnych informacji – wyłowić ziarnka prawdy z umysłu pełnego urojeń.

– Pamiętasz, co robiliście pod ziemią? Czego tu szukaliście?

Mag poczłapał w jego stronę i zaczął ocierać się o purpurową szatę Mistrza.

Domagał się pieszczot. Haxerlin wzdrygnął się, ale potarł brudną czuprynę.

– Mrrrr... – Człowiek-pies przymknął powieki. – Grobowiec. Richie i przyjaciele szli do grobowca.

– Znaleźliście go?

Poczuł na dłoni nieprzyjemne mlaśnięcie języka. Nie cofnął ręki.

– Kirchoff mówił, że znalazł. Że przejście w ścianie prowadzi do grobowca, tak. Ale potem wyskoczyły psotniki i Richie musiał iść się bawić.

Thuz wykonał obsceniczny gest. Kit uderzył go w głowę.

– Pamiętasz, gdzie jest to przejście?

Człowiek-pies przytaknął.

– Zaprowadzisz tam swoich nowych przyjaciół?

Głośne sapanie Haxerlin uznał za zgodę.

– Chłopcy... – odezwała się nieśmiało Rozgwiazdka. – Powinniśmy się pośpieszyć...

Wskazała palcem zasypany korytarz. Zza sterty głazów dobywało się głuche dudnienie; mniejsze odłamki potoczyły się na ziemię. Ktoś po drugiej stronie próbował naruszyć barykadę.

– Zbierajmy się stąd.

Ruszyli za Richiem, kierując się w stronę wyłomu. Bieg na czterech kończynach przychodził mu z zadziwiającą łatwością. Co jakiś czas odwracał się przez ramię, sprawdzając, czy przyjaciele dotrzymują mu kroku.

Kopalnią wstrząsnął wybuch. Haxerlin stracił równowagę i upadł. Z góry posypały się fragmenty rusztowania, a konstrukcja zaczęła niepokojąco piszczeć.

– Bogowie, wysadzili rumowisko. – Złapał rękę Aryana i wstał. – Od kiedy gobliny używają prochu?

– Zawsze możesz ich spytać, chociaż wątpię, żeby odpowiedziały. – Rycerz położył dłoń na rękojeści miecza. – Co robimy?

– Jak to co? Uciekamy!

Z tyłu dochodził ich narastający hałas – odgłosy mlaskania połączone z osobliwym skrzekiem. Stworów z pewnością były dziesiątki; nie wróciłyby na miejsce pogromu bez sprowadzenia posiłków. A teraz złapały świeży ludzki trop.

Kiedy Haxerlin dobiegł na miejsce, Richard i Thuz znikali już w wyłomie.

– Szybko, szybko! Następny!

Po kolei przeciskali się przez wąskie przejście, ale daleko było im do zwinności człowieka-psy.

– Pospiesz się, magu. – Kit, który miał wejść jako ostatni, naciągał mechanizm kuszy. – Nadchodzą.

Mistrz nie chciał się odwracać, ale ciekawość była silniejsza. Szybem nadbiegała rozwrzeszczana horda „psotników”. Uzbroili się w to, co akurat mieli pod ręką: wyszczerbione kilofy, łopaty, wyrwane z rusztowania deski. Część potworów wymachiwała oderwanymi kończynami współbraci. Byli dużo niżsi od ludzi. Ich pokraczne, zapadnięte czaszki budziły grozę; przypominały zdeformowane dzieci, które ogarnął szal zabijania.

Mistrz pęłzał tunelem. Podwijał kolana, pomagał sobie łokciami, na oślep odpychał się od ścianek. Strach pchał go do przodu, ale hamowała prozaiczna tusza.

Zginę tu, zginę jak gryzoń uwięziony w klatce...

Słyszał, jak łowca wypuszcza bełt za bełtem. Wyobrażał sobie, że drobne luki pojawiające się w morzu zielonych ciał od razu zastępowane są nowymi – horda parła przed siebie, nie zauważając ubytków.

Kit przyznałby mu rację, bo właśnie tak wyglądało to z jego perspektywy. Rzucił kuszę i wyjął z za pasa obwiązany szmatami przedmiot. Tylko kilkanaście sekund dzieliło go od bezpośredniej walki.

– Przebiję się z drugiej strony! Szyb musi prowadzić na powierzchnię!

Kupiec spróbował odwrócić głowę, ale nie mógł. Ugrzął w połowie tunelu.

– Co?! Wchodź tutaj i...

– Powiedz Zaco, żeby szykował papiery! Umowa to umowa. – Położył zawiniątko u wlotu wylomu. Mistrza dobiegł odgłos uderzanego o krzemień krzesiwa. – Pozwolisz, że teraz poobcinam kilka głów.

Wybuch niemal rozsadzał bębenki. Haxerlin odpłynął w ciemność.

Życie przypomina wędrówkę długim korytarzem i nieustanne sprawdzanie, co kryje się za zamkniętymi drzwiami. Mijasz je na każdym kroku. Drzwi małe, drzwi duże, drzwi dębowe i okute stalą, drzwi solidne i rozsypujące się ze starości... Zawsze znajduje się ktoś, kto zmusza cię, byś jakieś otworzył. Z reguły czają się tam rzeczy groźne i niebezpieczne, takie, które najchętniej trzymałoby się zamknięte na cztery spusty, więc obiecujesz sobie, że to już ostatni raz, że po prostu będziesz iść przed siebie, nigdzie nie zaglądnąc... Ale przecież musisz je otwierać.

A śmierć... Śmierć to wkroczenie do pustego pokoju.

plask *plask* *plask*

Tak, upragniony spokój i bezpieczeństwo. Pustka nie jest zła. Pomieszczenie pełne goblinów i pomieszczenie pełne złota to różnica zaledwie...

plask *plask* *plask*

Ktoś bił go po twarzy.

Zostawcie mnie w spokoju, chcę tu zostać...

plask *plask* *plask*

Nadpłynęły dźwięki.

Oddechy. Szepty. Szelest przewracanych stron.

– Arachne Księżycowa, ty, która boskim blaskiem...

Ciche westchnienia i jęki.

– Wiem, że to twoja praca, ale powstrzymałbyś się jeszcze trochę...

plask *plask* *plask*

Już dobrze, już dobrze...

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą Thuza. Obraz trochę mu się rozmywał. Uśmiechnął się słabo.

plask

– Czemu to zrobiłeś? Przecież już odzyskał przytomność.

Chłopiec złapał Mistrza za podbródek i spojrzał na niego złym wzrokiem.

– Nigdy więcej nie waż się umierać – wysyczał cicho. – Nie zostawisz mnie samego. Pakt o Nieagresji i Przewoźnictwie wygaśnie w inny sposób.

Aryan pomógł mu wstać z ziemi. Haxerlin czuł lekkie zawroty głowy. Coś ocierało się o jego nogę. Zerknął w dół. Richie.

– Musieliśmy cię wyciągać. – Rycerz podał mu bukłak. – Wybuch cię ogłuszył.

Ściana nad otworem popękała. Haxerlin zajął do środka. Tunel zapadł się mniej więcej w połowie długości.

– Poświęcił się – rzekł cicho. – Dla nas.

– Był dobrym towarzyszem i wyjątkowym łowcą.

Tak, wyjątkowym łowcą... Nawet nie wiecie, jak bardzo.

– Zieloni tak łatwo się nie przekopią. Chyba jesteśmy bezpieczni.

Mistrz przyznał Falconerowi rację.

– Przyjaciele chcą iść do specjalnego miejsca Kirchoffa? Tak? – Richie wykonał ruch, który przypominał machanie ogonem.

– Tak, Richie. – Mistrz wziął się w garść. – Zaprowadź nas tam.

Kirchoff musiał być w poprzedniej drużynie odpowiednikiem Moshito, ale dużo lepszym. Mistrz powątpiewał, że ich łotrzyk rozpoznałby obrotową ścianę w jednym z piwnicznych pomieszczeń. Zakładając, że przypadkiem by na nią nie wpadł.

Wspólnymi siłami naparli na mur. Mechanizm zaskrzypiał, a ściana ustąpiła, ukazując sekretne przejście.

– Zbliżamy się do końca Misji. – Haxerlin czuł się zobowiązany wygłosić coś na kształt mowy podsumowującej. – Rzucimy okiem na grobowiec, a potem czym prędzej wracamy na powierzchnię zdać relację z naszych odkryć. Niczego nie dotykać. – Spojrzał krytycznie na brata Gładiusa, który bawił się obrotową ścianą. – Pewnie w ślad za nami posłano już Gwiazdne Bękarty. Pokażmy, że liczy się tylko Trzecia Kompania. – Wykrzesał z siebie resztki optymizmu. – Za Moshito, za Kita.

Wkroczyli do katakumb.

Grobowiec był w dużo lepszym stanie niż miejsca, które przyszło im zwiedzać do tej pory. Grzybom jakimś cudem nie udało się tu zakorzenić, więc zmuszeni byli zapalić pochodnie.

Z mroków wyłaniały się malowidła obrazujące żywot Valdura. Zachowały się w zaskakująco dobrym stanie, tak że z łatwością przychodziło identyfikowanie poszczególnych scenek, dotąd znanych tylko z ustnych przekazów i nielicznych naukowych rozpraw, opierających się głównie na poszlakach i domysłach.

Z ciekawością oglądali każdą planszę, wpasowaną w specjalne ściennie wgłębienia. Nawet brat Gładius zachowywał niespotykaną powagę, a Richie starał się nie sapać.

Tablica pierwsza. Płomienne przemówienia, dzięki którym Valdur zjednał sobie armię. Tak, ten długowłosy młodzieniec pośrodku to pewnie on.

Tablica czwarta. Heroiczne starcie z legionami ciemności, okupującymi tereny

obecnej prowincji, znanej jako Północny Zenit. Valdur prowadzi ludzi do boju, walczy w pierwszym szeregu, wlewa nadzieję w serca. Prawdziwy przywódca.

Tablica dziewiąta. Budowa jednego z pierwszych większych skupisk cywilizacji, nazwana potem od imienia Ojca Założyciela – Valdursgate. Wyraz ludzkiej potęgi, podwaliny pod przyszłe królestwo.

Wszystkie dwanaście tablic. Nieoceniona wartość dla historyków, niepoliczalne zyski z turystyki.

Sarkofag spoczywał na niewielkim podwyższeniu. Odsunięte wieko stanowiło ślad obecności poprzedniej drużyny, tej, która ostatecznie skończyła w pajęczych kokonach.

Thuz wszedł po schodkach i zajął do trumny.

– Phi, nic rewelacyjnego. – Przerwał podniosłą ciszę. – Zwykły kościotrup.

Kupiec nachylił się nad sarkofagiem. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– ...pieprzona strata czasu, tyle chodzenia i żadnego artefaktu. Mogłem siedzieć w durnej gospo...

Nogi mu zadrżały. Aryan musiał go podtrzymać, żeby znów nie stracił przytomności.

– Co się stało?

Kręciło mu się w głowie, ale próbował zebrać myśli.

Nie był ani czarodziejem, ani uczonym. To pewne. Szybko wyrzucili go z Collegium i w jego życiu skończył się etap edukacji. Został przedsiębiorcą, drobnym kupcem, który starał się jakoś wiązać końcem z końcem. No, może nie aż tak drobnym. Niektórzy nazwaliby go oszustem. Inni złodziejem. Wszyscy mieliby rację. Ale potrafił jeszcze kilka rzeczy poza fabrykowaniem artefaktów. Dobrze gotował. Interesował się alchemią. Dużo czytał.

Znał podstawy anatomii.

Przypomniał mu się moment, kiedy trupioblady nieszczęśnik z kokonu zaciskał dłoń na jego szacie i szeroko rozszerzał oczy, chcąc powierzyć sekret, który ostatecznie zabrał do grobu. Sekret, który Haxerlin zrozumiał dopiero dzięki prostej obserwacji.

Wąskie kości barkowe, szeroka miednica.

Przełknął ślinę.

– Valdur był kobietą.

Trzecią Kompanię zamurowało.

Poza jedną osobą.

Rozgwiazdka złapała się za kolczyk w kształcie muszelki. Przyłożyła do ust zwisającą z łańcuszka syrenkę.

– Cel zdobyty. Powtarzam, cel zdobyty. Wykonali Misję. Wchodźcie.

Wszystko rozegrało się naprawdę błyskawicznie.

Do grobowca wtargnęło kilkunastu czarnocieni w pełnym rynsztunku bojowym. Ten ze złotą opaską na ramieniu rozkazał oddziałowi okrążyć sarkofag.

– Czarne diabły, czarne diabły wróciły! – Richie zaskomlał i ukrył się za trumną.

Mistrz odruchowo uniósł dłonie w górę. Już kiedyś agenci specjalni trzymali go na

muszce, więc wiedział, co robić. Pewnych instrukcji się nie zapomina. Zdezorientowana Trzecia Kompania poszła w jego ślady.

– Odsunąć się od trumny, już! Ty ze skrzydłami – widzę, co chcesz zrobić. Trzymaj ręce w górze albo każę ci je odstrzelić!

Kobieta, która przedstawiała się jako Rozgwiadka, podeszła do dowódcy i zamieniła z nim kilka zdań. Mistrz zdołał wychwycić jakieś imię – Dane? Bane? – i krótkie „miał rację”.

– Panienko Rozgwiadko... – Kapłan wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać. – Co to ma znaczyć?

Zignorowała go, nie przerywając przyciszonej dyskusji.

– Spokojnie, bracie Gładusie. – Mistrz szybko połączył fakty. – To tylko Polityka. Najgroźniejszy sekret groty Valdura... czy może raczej Valdury.

Ujawnienie faktu, że legendarny bohater Imperiału, jeden z symboli jednoczącego się królestwa, jest kobietą, skończyłoby się dla patriarchalnego społeczeństwa tym, czym walenie młotem w zmurszały mur – szczerbą na powierzchni. Ile czasu musiałyby upłynąć, zanim szczelina rozszerzyłaby się i ostatecznie pogrzyła całą konstrukcję?

Ile czasu musiałyby upłynąć, żeby tysiące kobiet, przeświadczonych o tym, że ich jedyną powinnością jest rodzenie dzieci i służenie mężczyznom, zaczęło zadawać pytania?

Dlaczego nie mogę wstąpić do armii, skoro Valdura...

Dlaczego zamyka mi się drogę do Collegium Magicum, skoro Valdura...

Dlaczego nie mogę kandydować do rady miejskiej, skoro Valdura...

Dlaczego decydują za mnie, skoro Valdura...

I najgorsze.

Dlaczego nie mogę dziedziczyć tronu?

Grota Valdury to szczerba, ale takie szczerby zmieniają świat. Są załącznikiem rewolucji.

Dostały gwiazdki Arachne Księżycowej, którymi mogą cieszyć oczy. Dostały ogniska Kalambury, przy których tańczą w Noce Płomienia. Mało im? Mało?

Po co kobietom władza? Nie poradzą sobie z nią, nie potrzebują jej. Niech rozkładają nogi, a my w zamian obsypimy je klejnotami. Albo uderzymy, gdy na klejnoty nas nie stać.

To nie dla nich. To za trudne. To brutalne. To męskie.

Ale grota Valdury... Ale bohaterka...

Co najlepiej uchroni przed powstawaniem szczerb w murze? To proste. Trzeba zabrać wszystkie młoty.

Haxerlin doskonale rozumiał te zależności oraz wiele, wiele innych, dlatego trzymał się z dala od Polityki. Małe przekręty w Cudach i Dziwach były niczym w porównaniu do brudnych rozgrywek prowadzonych na szczycie. Potwierdzały to lufy kierowane w stronę ludzi, których jedynym przewinieniem było to, że ktoś rozdał im karty, kazał siąść do gry i nie powiedział, że partia jest z góry ustawiona.

Głupi Haxerlin na dwóch martwych głowach. A dopóki ktoś nie zgarnie ich ze stołu, stawka może wzrosnąć.

Miał dość tego, że ciągle ląduje w pokojach, do których nigdy nie zgodziłby się wejść z własnej woli.

– Zabiliście Moshito? – zapytał ze złością.

Czarnocien dowodzący akcją spojrział w jego stronę. Faktycznie, w pewnym świetle można ich wziąć za biesy... Polityczne diabły.

– Jeśli już musisz wiedzieć – rozległ się metaliczny głos – to nie. Dziwnie się zachowywał. Myśleliśmy, że to ten głupi. Nieszkodliwy.

– A kto jest tym głu... Eeej! – Brat Gladius się zorientował. – To bardzo nieuprzejme.

Agentka czarnocieni stanęła przed Trzecią Kompanią. Zza sarkofagu wybiegł Richie. Prerażony rzucił się do wyjścia.

– Stój! Powtarzam, stój!

Nie zatrzymał się. Jego głowa eksplodowała, zanim zdążył zbliżyć się do oddziału.

– Potwory! Jesteście potworami! – Aryanowi zaszklily się oczy. – On postradał zmysły, nikomu nie zrobiłby krzywdy! To przez was oszalał, wy go tu wysłaliście! Bogowie, i pomyśleć, że mają was za kręgosłup moralny królestwa!

– Nikogo nigdzie nie wysyłaliśmy – sprostował dowódca. – Ale tym właśnie jesteśmy. Kręgosłupem. Utrzymujemy to wszystko w kupie. Spróbuj nie ubrudzić sobie rąk, brodząc po pas w gównie.

– Rozumiem, że nie doczekamy się żadnych odpowiedzi? – Haxerlin popatrzył Rozgwiadce prosto w oczy.

Porzuciła pozę głupiutkiej, mizdrzącej się dziewczki, na którą wszystkich nabrała. Musiał przyznać, że bez żadnych oporów połknął haczyk. W końcu to właśnie... kobieta, a każdy wie, jakie one są. Ładne buźki, puste główki.

– Jesteście zamieszani w aferę korupcyjną – wyjaśniła formalnym tonem. – Wykryliśmy nieprawidłowości przy przeprowadzaniu przetargów. Kilka osób straci stołki. Będą musieli nieźle się nakombinować, by przekonać sąd, że nie powinni stracić też głowy. To tyle.

– Jest jeszcze druga sprawa, prawda? – Wymownie spojrział na grobowiec. – Dwie pieczenie przy jednym ogniu?

Nie odpowiedziała, zaskoczona, że wyprowadził właściwe wnioski.

– Przecież sama jesteś kobietą, dlaczego...

– Jestem czarnocieniem – ucięła temat.

– Elitarna królewska straż... – Aryan pokręcił głową z niesmakiem. – Dlaczego Heavel urządził tę szopkę z awanturnikami? Do czego byliśmy wam potrzebni?

– Nie mamy obowiązku odpowiadać na żadne...

– Proszę o chwilę, dowódco. – Rozgwiadka przerwała mu uniesioną ręką. Skinął na znak zgody. – Mają prawo wiedzieć, zanim to dobiegnie końca.

Haxerlin zamarł. To sformułowanie nie podnosiło na duchu.

– Dla waszej wiadomości – służymy królowi. Nie jesteśmy marionetkami na usługach konkretnego człowieka, bo przysięgliśmy wierność monarchii jako instytucji. Oddaliśmy się bezosobowej idei, która spaja Imperiał. Z tego też powodu czasem występuje pewne... napięcie, gdy rozkazy od przełożonego godzą w samą esencję naszej

organizacji. Kiedy tak się dzieje, działamy po swojemu, starając się w jak najmniejszym stopniu nagiąć polecenia służbowe. Balansujemy na krawędzi, ale nigdy jej nie przekraczamy. Tak było w tym przypadku. Innymi słowy: król Heavel nie wie o naszej obecności. Misja się skończyła, więc teoretycznie każdy ma prawo tu przebywać. Pytania?

Zgłosił się brat Gladius.

– Naprawdę nazywasz się Rozgwiadka?

Westchnęła bezsilnie.

– Dziękuję, że poruszyłeś tak istotną kwestię, ściśle powiązaną z tym, o czym opowiadałam. Nie, nie nazywam się Rozgwiadka. Prawdziwa Rozgwiadka ma zapewne teraz, hmm, pełne ręce roboty, że tak to ujmę.

– Twoi ludzie szli za nami cały czas? – zapytał Haxerlin, wskazując oddział czarnocieni, którzy wciąż do nich celowali. Nie czuł się z tym komfortowo.

– Tak. Byłam w stałym kontakcie z bazą, na bieżąco informowałam o postępach. Dzięki nim pozbyliśmy się goblinów.

– Pająków to już nie łaska było rozwalić? – Thuz chciał skrzyżować ręce na piersi, ale szczęk broni odwiódł go od tego zamiaru.

– To powinno być jasne. Gniazdo znajdowało się wewnątrz groty, co kolidowało z królewskim zakazem interwencji. Kopalnia goblinów leżała poza kompleksem.

Mistrz przyznał, że czarnocienie kierowali się bardzo osobliwą logiką.

– Wy ominęliście Regulamin Misji na swój sposób... – Obrzuciła spojrzeniem chłopaka, z którego już dawno zeszała warstwa sadzy. – ...my na swój.

Wbrew pozorom to brat Gladius zadał pytanie, które wszystkim leżało na sercu.

– Co z nami zrobicie?

– Macie szczęście w nieszczęściu. Idą ciekawe czasy, dlatego potrzebujemy *carneh futte*. Mówi ci to coś?

– Nie.

– *Carneh futte* to ochotnicze jednostki, które dobrowolnie powierzają życie królestwu. Ich poświęcenie i oddanie dla sprawy, gwarantuje ludności bezpieczeństwo, a krajowi pokój, zarówno wewnątrz granic, jak i poza nimi. To wyraz najpiękniejszej formy umiłowania włas...

– Mięso armatnie – przerwał jej Mistrz tonem wypranym z emocji. – *Carneh futte* oznacza dosłownie mięso armatnie.

Agentka ledwo zauważalnie przytaknęła.

– Kiedy podpiszemy zobowiązanie – zaczął wytłuszczać swój punkt widzenia – w każdej chwili będą mogli posłać nas z misją samobójczą choćby na drugi koniec świata. Dajmy na to: dadzą ci elegancki frak, melonik i worek z tyltrolem. Powiedzą: „Widzisz ten pałacyk? Dzisiaj idziesz na przyjęcie” i każą ci zdetonować ładunek obok człowieka, którego zobaczysz pierwszy raz w życiu i którego nawet nie zrozumiesz, bo będzie mówił swoim dziwacznym *yung yang ying*. Oczywiście tyltrol przez cały czas musisz mieć na plecach. Gdyby było inaczej, posłaliby kogoś ze swoich. Ale nie, czarnocienie są zbyt cenni dla Imperiału. Co komu po grubym kupcu?

– Lepiej bym tego nie ujęła. Chociaż historia o przyjęciu wydaje się trochę

chaotyczna.

– Tym w istocie jest *carneh futte*. Odroczonej egzekucją. A jeśli się rozmyślisz i nie zrobisz tego, co każą... będziesz bardzo długo żałował, że jednak nie zrobiłeś.

Thuz splunął na posadzkę.

– A co, jeśli teraz nie wyrazimy zgody, ślicznotko?

Nie musiała nic mówić. Po prostu spojrziała na leżące w kałuży krwi Richiego.

– Usiądźcie pod ścianą. Przyniosę kontrakty. – Skinęła palcem na Aryana. – Pozwól za mną. Dla ciebie mamy już zadanie specjalne. Wprowadzę cię w szczegóły.

– Zobaczymy, ile ich świstki będą warte, kiedy wrócę do prawdziwej formy – mamrotał Thuz, składając podpis. – To już drugi papierek podpisywany w tej robaczywej ludzkiej powłoce, który ogranicza moją wolność.

Kupiec odebrał od niego pióro.

– Co ci nie pasuje w Pakcie o Nieagresji i Przewoźnictwie?

– Nieagresja, głupcze.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Myślisz, że Kit przeżył? – zagaił chłopak. – Podśluchałem, jak czarne łby mówiły coś o wysłaniu małej grupy do kopalni. Chcą zobaczyć ciało.

– Szansa jedna na milion – stwierdził Mistrz. – No, dwie na milion. On był... wyjątkowy.

Usłyszeli kroki. Zbliżał się czarnocień w złotej opasce.

– Gotowe?

Bez słowa wręczyli mu dokumenty.

– Może się zdarzyć, że nigdy was nie wezwiemy. – Chyba chciał im dodać otuchy. – Zdarzały się takie przypadki.

Haxerlin nie wierzył, że z nim będzie podobnie. Za miesiąc, za rok, za pięć lat... Pewnego dnia stanie przed właściwymi drzwiami, a ktoś przystawi mu sztylet do gardła i każe nacisnąć klamkę.

– Co mam powiedzieć Zaco? Chyba że aresztujecie go zanim zdążymy dojechać do Bordo.

– Zaco to płotka. Nie interesują nas jego małe intrygi; niech dalej żyje w przeświadczeniu, że sznureczki, za które pociąga, cokolwiek znaczą. My polujemy na grube ryby.

Skoro według informacji królewskich agentów Jacob Zaco to zwykła płotka, Haxerlin aż bał się pomyśleć, kim są grube ryby.

– Kiedy na górze skończy się feta, wróćcie i przekazecie burmistrzowi, że wykonaliście zadanie. Do tego czasu wszystkim się tu zajmujemy. Zaco dostanie papiery na wyłączność i obiecany procent. Nie może niczego podejrzewać, rozumiecie? Wiążemy z nim duże plany na przyszłość.

– A więc i on ostatecznie grał znaczonymi kartami...

– Co ze mną? – zapytał brat Gladius. – Po wszystkim miałem trafić do świątyni Arachne w jakimś ładnym mieście i pomyślałem, że...

– Twoje święcenia są nieważne – przerwał mu czarnocien. – Sprawdziliśmy to. Wracasz do Braci Litościwych.

Zakonnikowi trochę zrzęda mina, ale szybko się rozpogodził.

– Ciekawe, czy brat Harold wciąż podaje na obiad kaszę z mlekiem. Założę się, że tak.

Mistrz podążył wzrokiem w stronę Aryana i Rozgwiazdki – a raczej agentki, która się za nią podawała. Ci dwoje dłuższą chwilę dyskutowali na osobności.

Ech, kobieta-czarnocien... Chciałby kiedyś usłyszeć jej historię.

Domyślał się, co było tematem rozmowy i jakie niuanse sprawy agentka wyjaśniała młodemu rycerzowi. Nawet miło z jej strony, że postanowiła wytłumaczyć, zamiast poprzestać na wydaniu suchego rozkazu. Tym sposobem postawa Aryana przeobraziła się z początkowego wzburzenia na pokorną akceptację. Imperiał i wartości, jakie reprezentuje sobą królestwo, spoczywają na barkach ludzi czynu. Aryan był typem patrioty, więc rozumiałego typu argumenty.

Młodzieniec podszedł w ich stronę.

– O takim awansie nawet nie mogłem marzyć... – Próbował grać bohatera, ale niezbyt mu to wychodziło. – Mam do was prośbę, jeśli będziecie przejazdem w Dorian'Kel.

– Zamieniam się w słuch.

– Mój ojciec... wybaczenie, coś kłuje mnie w gardle... ojciec jest zarządcą tamtejszego fortu. Proszę, przekażcie mu, że... że zabiłem tego wielkiego pająka. Chcę, żeby był ze mnie dumny.

– Przyjacielu. – Uśmiechnął się Mistrz. – Powiem, że zabiłeś cztery.

Podali sobie ręce. Nawet Thuz wymienił z nim uścisk.

Czarnocienie odpinały sprzączki przy zbroi rycerza. Rozgwiazdka w tym czasie rozmawiała z agentem, który pochylał się nad miksturami rozłożonymi na przenośnym stoliku. Słuchał jej, wodząc palcem od butelki do butelki.

Dwóch innych czarnocieni ostrożnie opróżniało sarkofag. Szczątki przenosili do dużej skrzyni z mosiężnymi uchwyty, kość po kości, tak, by niczego nie przeoczyć.

– Chodź Thuz, nic tu po nas. – Mistrz wziął chłopca pod ramię. – Podobno w mieście urządzają przyjęcie na naszą cześć. Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny jak wilk.

Chłopak obrócił się przez ramię. Zobaczył, jak jeden z agentów przesuwając dłońmi po nagim torsie Aryana. Drugi za pomocą węgielka cienką linią zaznaczał wskazane miejsca na skórze. Czarnocien od mikstur przekrzywił głowę, zamyślił się i polecił kompanowi przesunąć rękę trochę niżej.

Rycerz zdawał się tego nie zauważać; obrócił lekko głowę i obdarzył Thuza zmęczonym uśmiechem. A chwilę potem...

– Co on robi?

Mistrz oglądał swoje stopy.

– Politykę, Thuz. Nie patrz. To bardzo nieprzyjemny widok.

Potem niedoszły rycerz wszedł do sarkofagu.

Totalna ewangelizacja

– Stoi przed tobą Drakhan, syn Drakhona, tego, który spustoszył Świątynię Słowika, król Iotrzyków i postrach Traktu Wędrowca. Oblekam się w mrok i żyję pośród cieni. Gdy stawiam kroki, ciągną się za mną ślady krwi głupców, nierozważnie rzucających wyzwanie samej śmierci. Poddaj się i oddaj majątek po dobroci, a pozwolę ci ująć z życiem, byś zaniósł w świat historię Drakhana, przestrzegł innych przed jego niepoję... Człowieku! Słuchaj mnie, ukrywanie się nic nie da, jeśli zechcę odebrać twój marny żywot. Tak lepiej. Myślałeś, że schowasz się jak robak między pakunkami i cię nie zauważę? Musisz coś wiedzieć o bystrym wzroku Drakhana. Kiedy grabiłem miasta razem z Kompanią Chaosu, pewnej nocy, ciemnej jak spojrzenie demona, dostrzegłem... uch!

Mistrz Haxerlin nacisnął spust kuszy, posyłając bełt prosto w pierś mężczyzny. Koniec końców nie dowiedział się, co też takiego dostrzegł Drakhan, syn Drakhona, bo biedak zachwiał się i spadł z mostu. Odpływał właśnie z nurtem rzeki, wymachując przy tym śmiesznie ramionami.

– Ech, to już drugi w tym tygodniu, a mamy dopiero czwartek – mruknął pod nosem handlarz. Zaczął kręcić korbką, by ponownie naładować broń. – Gdzie te czasy, kiedy zbójcy najzwyczajniej w świecie grozili pałką, walili w łeb i odjeżdżali z łupem? Teraz każdy chce być arcymistrzem zbrodni. Zapomnieli o dobrodziejstwach anonimowości. Dawniej to się trzeba było nagłówkować, dziś wystarczy nie przespać bandyckiej gadki. – Rzucił kuszę za siebie i chwycił lejce. – Ale może to i lepiej.

Dalsza część drogi upłynęła spokojnie. Jechali Traktem Wędrowca, głównym szlakiem handlowym, który ciągnął się przez centralne prowincje Imperiału, więc z reguły było tutaj bezpiecznie. Tylko ostatnimi czasy jakimś dziwnym trafem gościniec przyciągał domorosłych rozbójników. Poprzedniego, który przedstawił się bodajże jako Gorni (ojciec nieznany), Mistrz Haxerlin zostawił przywiązanego do drzewa. Do pnia przypiął karteczkę informująca patrol straży drogowej o przebiegu całego zajścia. Gorni mógł uznać się za szczęściarza – zamiast bełtem dostał w oczy proszkiem usypiającym. Nabrał się na jeden z ulubionych numerów handlarza. „Proszę, zabierz wszystko, tylko nie otwieraj tej skrzyni, trzymam tam najcenniejsze srebra, pamiątki po matce szlachciance!”. Mechanizm rozpylający, który Mistrz nabył na Targach Innowacyjnego Rzemieśnictwa, spisywał się doskonale. Zapasu proszku starczyłoby jeszcze na tysiąc Gornich.

Ostatnie lata były niekończącym się pasmem przygód. Podliczył dni, kiedy prowadził spokojny, przyjemny, choć nie zawsze uczciwy handel i potem zestawiał je z momentami, kiedy grożono mu śmiercią, lała się krew, dookoła wybuchały różne rzeczy, a za każdym rogiem czaiły się mroczne tajemnice. Rezultat wskazywał na to, że Cuda i Dziwy bardziej niż sklepikiem z artefaktami były garnizonem na kółkach – przynosiły ratunek wielu poczciwym duszom i sprowadzały zgubę na jeszcze więcej żywotów. A wszystko to pod jego komendą.

Powiedział więc „dość”. Nie po to został kupcem, żeby walczyć z potworami, zwiedzać dziwaczne miejsca i ryzykować życiem dla ludzi, których nie dość, że nie znał,

to czasem nawet nie lubił. Pozamykał stare sprawy, z ciężkim sercem rozstał się z Bo'akh–Bonthuzelem (brakowało mu go tylko przez tydzień), uzupełnił zapasy i zaczął znów wędrować po Imperiale po swojemu: leniwie i ostrożnie. Na jego drodze nie stawał nikt poza nieudolnymi rozbójnikami, a tych nie uważał za szczególne zagrożenie. Nie po tym, co przeżył i co widział na szlaku.

Kołczan, kolejny przystanek na jego trasie, leżał na południowy zachód od Traktu. Był jedną z tych boleśnie nieciekawych miejscowości, w których ludzie nie znają nawet najmniejszej anegdotki na temat genezy powstania nazwy ich osady, a zapytani o pogodę, wzruszają ramionami i odpowiadają, że pewnie będzie padać.

No i przeważnie padało.

Wizyta w Kołczanie była równie zajmująca co obserwacja kielkującego ziemniaka. Mistrz Haxerlin wybrał to miejsce, bo wszechogarniająca nuda napędzała interes. Nawet gdyby wyłożył na ladę Cudów i Dziwów worki z piaskiem (a raz wyłożył), mieszkańcy Kołczanu i tak by je kupili, przypuszczalnie bez specjalnej zachęty. Mieli dość niewygórowane wymagania w kwestii rozrywki.

Dlatego kiedy dotarł na miejsce i zatrzymał wóz na obrzeżach osady, aż przetarł oczy ze zdumienia.

Ten, kto znał powiedzenie „trzy domy na krzyż”, znał Kołczan. Tak przynajmniej było do ostatniej wizyty handlarza. Teraz osada przypominała rozrastający się ul, w którym pszczoły w roboczych uniformach stawiały kolejne warstwy miodowych plastrów.

I żadne z tych krzątających się stworzonek nie zaszczyciło Cudów i Dziwów najmniejszym spojrzeniem.

Ludzie, w zależności od wykonywanego zadania ubrudzeni pyłem, trocinami lub smołą, kręcili się wzdłuż i wszerz osady, zbici w kilkusobowe grupki. Jeśli Haxerlin miałby jednym słowem opisać ich ruchy, użyłby zapewne czegoś w stylu „dyscyplina” albo „dobra organizacja” (wypowiedziałyby to bardzo szybko, żeby brzmiało jak pojedynczy wyraz). Jedni stąpali kaczym chodem, uginając się pod ciężarem glinianych cegieł przywiązanych do koromyseł, inni wyciągali przed siebie poziomice niczym turniejowe lance i badali stabilność fundamentów.

Wszędzie porozstawiano też namioty. Dziesiątki namiotów, jakby w Kołczanie obozowała niewielka armia.

Haxerlin w niemym zdziwieniu obserwował oddział wydelegowany do noszenia worków z piaskiem, żywo dyskutującą grupkę uzbrojoną w młotki i gwoździe, pomocników cieśli i murarzy, nieruchome podnośniki widoczne gdzieś w tle oraz całą masę osób, która bez celu snuła się z miejsca na miejsce i podręcznikowo symulowała pracę. Lecz nawet to udawanie, charakterystyczne przecież dla każdego placu budowy, było na swój pokrętny sposób zdyscyplinowane.

– Co tu się dzieje? – Haxerlin zaczął robotnika wyłonionego z takiego właśnie grona obiboków. Chłopak usilnie starał się sprawiać wrażenie, że zajmuje odpowiedzialne stanowisko Selekcjonera Desek Różnej Wielkości. Zadanie opatrzone widocznie

certyfikatem podwyższonego standardu, skoro jedną i tę samą belkę oceniał już prawie godzinę, ćwicząc przy okazji sztukę spania z otwartymi oczami.

Młodzieniec spojrział najpierw na twarz kupca. Zasepił się. Później skierował wzrok niżej, na klepsydrę i półksiężyc wyszyte na purpurowej tunice. Spodobały mu się jeszcze mniej.

– Budujemy – burknął w odpowiedzi, przejeżdżając palcem po frakturze drewna, jakby za pomocą dotyku mógł sprawdzić, czy postawiony z niej dom przetrwa wszelkie możliwe klęski żywiołowe, łącznie z najazdem Kompanii Chaosu, gdyby przypadkiem postanowiła się reaktywować.

– Naprawdę? – uprzejmie zdziwił się Mistrz Haxerlin. – Nigdy bym nie przypuszczał. Pewnie zmylili mnie ci wszyscy robotnicy i narzędzia. Więc, dobry człowieku, z jakiego też powodu rozbudowujecie Kołczan? Prefekt Sterrwind wydał specjalne rozporządzenie?

Specjalista od desek westchnął. Zbyt przeciągle jak na gust Haxerlina. Powietrze wydechane w ten sposób było idealnym zamiennikiem dla zdania: „Bogowie, z kim ja się muszę zadawać?”.

– Teraz to nie Kołczan, a Kołczan Wiary – sprecyzował. – Polecam zapamiętać. Pan Evan jest bardzo wrażliwy na punkcie nowej nazwy, a także skory do udzielania lekcji. Potrafi dać nauczkę, którą pamięta się przez całe życie. W sumie to nie da się niczego zapomnieć przez te kilka godzin.

Handlarz doszedł do wniosku, że brakuje mu starego Kołczanu, brakuje emocji związanych z obserwowaniem kiełkującego ziemniaka. Ziemniak nie rzuca gróźb. Po ziemniaku wiadomo, czego się spodziewać.

Chociaż z drugiej strony... Interes to interes, a gdzie więcej ludzi, tam więcej interesów...

– Ten Evan musi być bardzo sympatyczny. Czy pan Hieronim dalej jest sołtysem? Mógłbyś mi wskazać drogę do jego chaty? Trochę się w Kołczanie... w Kołczanie Wiary pozmieniało, a muszę poruszyć z miejscowym przedstawicielem władz kwestię rozbicia kramiku. Jestem handlarzem.

Słyszając zapewnienie, że ma do czynienia z kupcem, młodzieniec trochę się rozluźnił.

– Mógłbym wskazać, gdzie obecnie znajduje się Hieronim, ale on nie ma tu już nic do gadania. Właściwie to jest tam. – Wymierzył palec w stronę żurawi, ulokowanych na skraju wioski. Jeśli prace w dalszym ciągu będą postępować, już niedługo będzie to skraj miasteczka.

– Obsługuje to ustrojstwo? – Handlarz wyteżył wzrok. – Niewiarygodne...

Trudno mu było wyobrazić sobie Hieronima, człowieka, którego wizerunek śmiało mógł widnieć w encyklopedii pod hasłem „prowincjonalny księgowy”, jak napina mięśnie anemika i manewruje wysokim na piętnaście stóp dźwigiem. Chyba sam kiedyś powiedział Haxerlinowi, że prędzej zostanie żebrakiem niż podejmie się jakiegokolwiek fizycznej pracy – co jeszcze bardziej wtłaczało go w ramy stereotypu urzędnika z powołania. No, może troszkę przesadzającego ze szczerością.

– Obsługuje? – Młody człowiek podniósł deskę na wysokość oczu i puknął w nią

kolejny raz, jakby wciąż się spodziewał, że ma do czynienia ze sprytnie zakamuflowanym metalowym drążkiem. – Może i tak. Choć jak dla mnie to po prostu wisi.

Haxerlin zadrżał. Leciutko przechylił głowę. Sugestia to ciekawa sprawa. Mające na horyzoncie konstrukcje, które dotąd brał za żurawie, oglądane pod trochę innym kątem i w świetle właśnie wypowiedzianych słów, nagle przybrały inne kształty. Uformowały się w coś, czym w istocie były od samego początku.

Równiutki rząd szubienic.

Nie, nie, nie, miało być spokojnie i nudno, żadnych niespodzianek...

Mistrz Haxerlin, jak każdy szanujący się przedsiębiorca, przestrzegał pewnych zasad, swoistego kodeksu, który pozwalał mu unikać przeróżnych nieprzyjemnych sytuacji. Z uwagi na to, że świat ciągle szedł do przodu i zmieniał się, pojęcie „nieprzyjemne sytuacje” również nabierało coraz to nowych znaczeń. Dlatego też Haxerlin na bieżąco aktualizował wpisy dotyczące bezpieczeństwa. Najnowszy brzmiał: „Jeśli spokojna dotąd społeczność stawia szubienice i wiesza na nich lokalnych przywódców, istnieje spora szansa, że powiesi też obwoźnego sprzedawcę artefaktów”.

Postanowił odpuścić sobie procedurę grzecznego zakończenia rozmowy i w tej samej chwili, kiedy zrozumiał naturę drewnianych podnośników, znalazł się z powrotem na wozie – bijąc przy okazji, zupełnie przypadkowo, miejscowy rekord w biegu na sto metrów.

Pech chciał, że przed nim znalazł się już tam ktoś inny.

– Nie sprzedajesz warzyw.

Mistrz Haxerlin powoli opuścił lejce i powstrzymał chęć ukradkowego zerknięcia w tył. Głos, dobiegający gdzieś z za sterty pakunków, z pewnością nie należał do człowieka, którego można bezkarnie poklepywać po plecach i prowadzić z nim wesołą pogawędkę podczas przyjęcia – o ile w ogóle znalazłby się śmiałek gotów go gdziekolwiek zaprosić. Zdanie „Nie sprzedajesz warzyw”, choć pozornie neutralne w swej wymowie, w jego wykonaniu niosło skondensowany ładunek agresji, jak pięść wymierzona w twarz, poprawiona mocnym kopniakiem i splunięciem na do widzenia.

– Jestem kolekcjonerem niezwykłości, szanowny panie. – Handlarz spróbował przybrać swobodny ton. Nie wyszło mu. – Nie chcę przeszkadzać w pracach, właśnie ruszałem w dalszą drogę, kiedy...

– Nie.

Po prostu. Takie „nie” śmiało mogłoby zatrzymać szarżę kawalerii, a przynajmniej skłonić zbrojnych, którzy mają przecież żony i dzieci, prawda, i w ogóle są całkiem porządnymi facetami, do refleksji na temat kruchości życia i nieuchronnej śmierci. Zwłaszcza tej drugiej.

Ciężka dłoń opadła na ramię struchlałego ze strachu grubaska.

– Pójdiesz do Evana, tak jak ten poprzedni. Masz szczęście.

Gdybym miał szczęście, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, pomyślał.

– On wiózł warzywa. Nie dowiózł. A mówią, że warzywa są zdrowe, ha ha.

Handlarz wybałuszył oczy.

To nie brzmiało jak śmiech. To była sucha recytacja, czytanie z kartki. Tak nieznajomy mężczyzna mógł sobie wyobrazić humor – jako istniejące gdzieś w innym wymiarze dziwaczne zjawisko. Kiedy ludzie kończą zdanie „ha ha”, przywołują je z niebytu i materializuje się żart. Większy potencjał wesołości drzemał w trumnie spuszczonej do grobu.

Mistrz Haxerlin stał kiedyś oko w oko z demonem – później nawet z nim podróżował – i trzeba uczciwie powiedzieć, że w tej chwili zatęsknił do starego, znanego uczucia grozy.

– Powoli zejdz z wozu. Jeśli teraz chcesz się schylić, to mam nadzieję, że tylko po to, żeby zawiązać rzemyk przy sandale. O, proszę, miałem rację. Jak widzisz... a raczej jak zaraz zobaczysz, zaopiekowałem się twoją kuszą.

Haxerlin posłusznie zeskoczył z kozła. Nawet nie próbował ustać na drżących nogach. Wylądował zadkiem w błocie i głośno stęknął. A że grubi, stękający w błocie ludzie są z reguły śmieszni, z wozu dobiegło go krótkie i sztuczne:

– Ha ha.

Mało się tym przejął. Zależało mu na zachowaniu życia, nie godności.

Mimo że wszędzie kręcili się ludzie, którzy sapali, wbijali gwoździe, dłubali, cięli, stukali, a czasem chrapali, udało mu się usłyszeć za sobą kroki. Dźwignął się niezdarnie z kałuży, przełknął ślinę i powoli, powoli się odwrócił.

Właściciela posępnego głosu wyobrażał sobie jako człowieka o sylwetce dębu i twarzy składającej się prawie wyłącznie z blizn, które kolekcjonował z pasją, jak inni korzenie rzadkich roślin czy okolicznościowe pocztówki. Obowiązkowo powinien przybierać nie tyle groźny, co wiecznie niezadowolony grymas – usta ściśnięte w wąską szparkę i przymrużone oczy, jakby wkurzał go cały świat i chciał, żeby ludzkość o tym przypadku nie zapomniała. W czasie krótkiej pogawędki na wozie wyobraźnia podsunęła handlarzowi nawet takie szczegóły jak kolor włosów (czarne, bo musi być mrocznie, i długie, bo cyrulicy na widok mężczyzny barykadowali się w domach) czy kilkudniowy zarost. Słowem – spodziewał się spotkać kogoś, kogo nigdy spotkać nie chciał.

Haxerlin obiecał sobie, że jeśli wyjdzie cało z tarapatów, odwiedzi Annover i tamtejszy Klub Dżentelmena i Hazardzisty. Wstępne typowania prawie całkowicie pokrywały się z rzeczywistością, co w tym przypadku zupełnie go nie cieszyło. Pomylił się wyłącznie w kwestii fryzury. Olbrzym miał siwe włosy. Jak na złość zupełnie nie przeszkadzało mu to w byciu mrocznym.

W aurę złowroziej tajemniczości doskonale wpisywał się również symbol widniejący na napierśniku mężczyzny – przymrużone oko otoczone pierścieniem ognistych języków. Kupiec nigdy wcześniej nie widział takiego emblematu.

– A tu jest twoja kusza.

Gdyby Haxerlin mógł cokolwiek odpowiedzieć, zdecydowałby się na opcję „Owszem, co nie znaczy, że musi być we mnie wycelowana”, lecz wysuszony język pozwolił mu tylko głupio mlasnąć.

– Budynek na północy, widzisz? Ten z czerwonej cegły. Ruszaj przodem.

Mieszkańcy Kołczanu Wiary nie zwracali uwagi na postawnego mężczyznę

w czerni i jego więźnia, który torował drogę i nerwowo rozglądał się na boki. Kiedy tylko wydawało mu się, że ktoś na niego patrzy, przybierał błagalny wyraz twarzy i samymi ruchami warg wykrzykiwał nieme „RATUNKU!”. Nadaremno. Pszczoły nie przerywają pracy, kiedy jakaś zbłąkana mucha wpada do ula. W zhierarchizowanej społeczności każdy zna swoje miejsce. Ochroną zajmują się trutnie, nie zwykłe robotnice.

A królowa jest zawsze jedna.

Wcześniej Haxerlin był przekonany, że osada zwiększyła swoją powierzchnię kilkakrotnie. Wytyczono szerokie drogi, postawiono rządki drewnianych chat, ważniejsze domostwa wzniesiono z kamienia, na pola uprawne zwieziono popiół i zmieniono je na place budowy. Do tego wszędzie, gdzie tylko się dało, upchnięto namioty. Dopiero dłuższy, wymuszony spacer wyprowadził handlarza z błędu.

Kołczan nie powiększał się tak po prostu. On rósł w oczach – jak tucznik szykujący się na konkurs „Największa Świnka we Wsi”, który oprócz faszzerowania zakłęciami na przyrost masy znajduje w korytku podejrzanie świecąca paszę. Brakowało tylko muru otaczającego ogromny twór i stary dobry Annover, gdyby tylko mógł, zarumieniłby się ze wstydu.

Kołczan Wiary żył. W jego żyłach krążył piach i cement. Oddychał pyłem z wysuszonych cegieł i gasił pragnienie potem robotników.

Wola istnienia płynęła natomiast z serca – serca z czerwonej cegły.

Dom okazał się przerobioną siedzibą dawnego włodarza, Hieronima. Prócz koloru od reszty chałup odróżniały go dębowe, okute drzwi i jaśniejsza plama na murze, w miejscu, gdzie kiedyś wisiała tabliczka z napisem „SOŁTYS”. Odczytać potrafił ją jedynie sam zainteresowany, więc brak oznaczenia jakoś specjalnie nie wstrząsnął posadami świata, choć Haxerlin poczuł bolesne ukłucie w sercu. Przyzwyczał się do niej. Ilekroć pojawiał się w Kołczanie, ona tam wisiała – zbutwiała, trochę przekrzywiona, ale zawsze na swoim miejscu, cierpliwie czekająca chwili, aż jakiś śmiałek wyłamie się ze społeczności analfabetów i odszyfruje wygrawerowane na niej tajemnicze symbole.

Niby zwykły kawałek drewna, jednak niósł ze sobą coś... stałego.

Kolejnym niemiłym odkryciem był fakt, że przy wejściu stało teraz dwóch zbrojnych, również odzianych w uniformy z symbolem oka i płomieni. Kiedy Haxerlin podszedł bliżej, wyprężyli się jak struny – podejrzewał, że raczej na widok siwowłosego niż jego samego.

– Do środka – usłyszał warknięcie zza pleców.

Jeden ze strażników zapukał trzykrotnie i bez słowa pociągnął za klamkę. Handlarz ostrożnie przekroczył próg, zmawiając w myślach modlitwę do wszystkich bogów, którzy akurat mogli kręcić się w pobliżu.

Wnętrze budynku było jednym wielkim pomieszczeniem. Urządzono je na żołnierską modłę, jakby gospodarz wystrzeżał się najmniejszego oskarżenia o przepych. Haxerlin dostrzegł zwykłą pryczę w kącie, tuż obok lampkę oliwną stojącą na starym kredensie, i wypłówiały dywan z frędzlami, który leżał pod drzwiami chyba tylko po to, by czymś zapełnić pustą przestrzeń. Pośrodku tej świątyni minimalizmu stał ogromny stół

zagracony stosem ksiąg i dokumentów. Handlarz odniósł dziwne wrażenie, że jedynym przeznaczeniem budynku z czerwonej cegły wydaje się odcinanie owego mebla od świata zewnętrznego.

Nad stołem pochylał się wychudzony człowiek odziany w białą szatę. Na jej przedzie wyszyto symbol bliźniaczo podobny do tego z pancerza wesołego zabijaki – oko wpisane w płonący okrąg. W drżących rękach mężczyzna trzymał skrawek pergaminu. Mamrotał coś niewyraźnie pod nosem, to się uśmiechał, to przygryzał wargi, oblizywał wąskie usta albo mruczał, jakby przez jego gardło próbował przedostać się mały kociak. Haxerlin zastał go w momencie, kiedy w bardzo charakterystyczny sposób zaczesywał pasemko cienkich włosów, co przywołało z odmętów pamięci pewne wspomnienie, przypominało mu...

– Evanejko? – zdziwił się na głos i od razu ugryzł w język, ale było już za późno.

Człowiek drgnął niespokojnie i uniósł głowę jak wąż szykujący się do ataku. Mistrz walczył sam ze sobą, by nie dygotać pod świdrującym spojrzeniem, które zdawało się przenikać przez warstwę skóry i niewidzialnym sztyletem drażnić wnętrze. Nagle twarz mężczyzny rozpogodziła się; najwyraźniej rozpoznał gościa. Zmiana przyszła tak nagle, że wydawało się to wręcz nieprawdopodobne – jakby ktoś zrobił „pstryk!” i płynnie przesunął Suwak Empatii z pozycji „UWAGA! ZAGROŻENIE” na „Uprzejme zainteresowanie. Szykuj ciasteczka”.

– Etting, kopę lat, przyjacielu. Nic się nie zmieniłeś. – Podszedł do Haxerlina i klepnął go w ramię, nienaturalnie szczerząc przy tym zęby. – Co za miła niespodzianka.

Mistrz Haxerlin uśmiechnął się, ale więcej było w tym dezorientacji niż serdeczności. Czuł się jak nieszczęśnik, którego zaatakowano w ciemnym zaułku, założono na głowę worek i wywieziono skrupowanego za miasto tylko po to, żeby przy wtórze śmiechu i oklasków znajomych zaprezentować zawieszoną pomiędzy drzewami szarfę z kolorowym napisem „Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Imienia!”.

Evan Evanejko niewiele zmienił się od czasów studiów w Collegium Magicum. Niepozorna sylwetka skrywała w sobie takie pokłady energii, że nie sposób było wyobrazić sobie tego człowieka w bezruchu. Ciągłe gestykulował, wyczytniał różne dziwaczne rzeczy z twarzą, przestępował z nogi na nogę, jakby zaraz miał eksplodować i w chmurze dymu wzbić się w powietrze. Spojrzeniem błękitnych oczu rozkładał otoczenie na czynniki pierwsze i uśmiechał się przy tym niepokojąco, dlatego odnosiło się wrażenie, że wewnątrz głowy buduje z nich całkowicie nową rzeczywistość.

Z pewnością można by go uznać za najgorszego studenta na roku, gdyby nie fakt, że w Collegium uczył się jeszcze Haxerlin. Źródła ich szkolnych niepowodzeń były jednak zgoła odmiennej natury.

Przyszły właściciel Cudów i Dziwów miał naturalnie zaszczerpioną antydyspozycję do magii, połączoną z wielkim do niej zamiłowaniem. Był niczym kaleka ze szpotawą stopą marzący o karierze linoskoczka. Dzięki swojemu sprytowi i smykałce do krasomównstwa utrzymał się na uczelni przez trzy semestry, po czym wyleciał z hukiem, kiedy wykładowca z Wydziału Inkantacji zorientował się, że magiczne formułki Haxerlina to tak naprawdę losowo dobierane słowa z efektownie dopasowanymi końcówkami. Urocze w swej prostocie *Głodnus szafae kandelabrux!* na zawsze

przekreśliło szansę przyszłego kupca na zostanie szanowanym czarodziejem.

Evan Evanejko był natomiast świetnym materiałem na maga. Już sam fakt, że pochodził ze szlacheckiej rodziny i stać go było na naprawdę drogie szaty, wisior ze złotym pentagramem i kostur wyciosany z T'Alu, drzewa widniejącego na Królewskiej Liście Flory Zagrożonej, załatwiało mu zwolnienie z połowy egzaminów. Szkopuł tkwił w jego poglądach. Interpretował teomagię, jedno z praw rządzących światem, zupełnie inaczej niż członkowie Gildii. W krótkim czasie skupił wokół siebie małe grono osób o podobnych poglądach, które nie wychylały się ze społeczności i siedziały cicho, dopóki nie znalazł się ktoś na tyle odważny (według Evana) bądź na tyle szalony (według całej reszty), by wypowiadać na głos to, co wszyscy myśleli. Radykalne podejście do teomagii tak rażąco naruszało kodeks Collegium, że wielu studentów milkło, przywierało do ściany i w głębokim skupieniu podziwiała architekturę wnętrza, kiedy Evan bądź któryś z jego zwolenników mijał ich na korytarzu. Nikt nie chciał przypadkiem zostać uznanym za sympatyka wywrotowców. Swoim buńczuczным zachowaniem i negowaniem starego porządku Evan budził uzasadnioną niechęć grona pedagogicznego. Co więcej – budził strach. A wiekowi magowie i szanowani wykładowcy nie lubią się bać.

Zrezygnował ze studiów po drugim semestrze, zanim uczelnia zdążyła zrezygnować z niego. Wrócił do ojca, do rodzinnej Vortecy, zabierając ze sobą pół tuzina „wyznawców”, jak szeptem mówiono o grupie Evana. Haxerlin więcej o nim nie słyszał.

A teraz, po prawie trzydziestu latach, stał przed nim Evan we własnej osobie, otoczony strażą i ludźmi budującymi dla niego... coś, i patrzył na kupca tak, jak ktoś bardzo potężny patrzy na kogoś bardzo słabego.

Drgała mu prawa powieka, drgały kąciuki ust. Przez palce co pewien czas przechodził niekontrolowany, lekki skurcz. W niebieskich oczach odbijał się lodowiec, który mroził do szpiku kości i demaskował fałszywy uśmiech. Handlarz musiał przyznać, że w Evanie zaszła pewna istotna zmiana.

Jeśli kiedyś zaledwie muskał stopą taflę szaleństwa, teraz kąpał się w nim i upajał jak najlepszym winem.

– Mark, Mark... I co mi powiesz ciekawego? Hmm? Jak ci poszły finalne egzaminy w Collegium?

Mistrz Haxerlin dziwnie się czuł, słysząc swoje prawdziwe imię. Tak przyzwyczaił się do pseudonimu, jaki przybrał przed laty, że czasem miał wrażenie, jakby Mark Etting to była zupełnie obca osoba. Milczał. Nie miał zbyt wielkiej ochoty dzielić się wspominkami ze starym znajomym, tym bardziej, że ten stary znajomy kazał przywiązać go do krzesła.

Starął się dyskretnie poruszyć rękoma i poluzować rzemienie. Nic z tego. Siwowłosy znał się na rzeczy.

Evanejko przełożył jeden stosik papierów na drugi, odsłaniając pusty obszar na stole. Haxerlin kątem oka dostrzegł, że do blatu przymocowana jest mapa. Rozpoznał kontury Sterrwind, prowincji, w jakiej aktualnie się znajdowali. Nim zdołał przyjrzeć się szczegółom, papiery wróciły na swoje miejsce.

Evan Evanejko przez cały czas musiał mieć czymś zajęte ręce. Póki bawił się karteluszkami, szyja Haxerlina była w miarę bezpieczna.

– Hmm? Mógłbym przysiąc, przyjacielu, że spytałem cię o egzaminy i nie dostałem odpowiedzi. Czyżbyś nie miał ochoty na rozmowę?

– Nie dokończyłem studiów – odpowiedział zrezygnowany. – Zająłem się handlem. Ja i Gildia... inaczej zapatrywaliśmy się na magię.

Oni się na niej znali, ja nie.

– Proszę, proszę! Poszedłeś swoją drogą. Bardzo dobrze, zawsze powtarzałem, że te bezsensowne ograniczenia Gildii hamują potencjał adeptów. Kto by pomyślał, że aż tyle nas łączy. Wybacz tę małą niedogodność – wymownie spojrzął na unieruchomionego Haxerlina – ale bezpieczeństwo przede wszystkim. Dobrze wiem, co zdolny mag jest w stanie zrobić jednym ruchem ręki.

W takim razie związałeś nie tego maga, co trzeba, pomyślał.

– Z reguły nie rozmawiam z gośćmi w moim gabinecie, ale mając na uwadze stare dzieje zrobiłem wyjątek dla kolegi ze studiów. Selladyn nie skrepował cię zbyt mocno? Czasami wykazuje gorliwość godną lepszej sprawy.

Selladyn. Z siwowłosego opadła zasłona anonimowości i Haxerlin mógł wreszcie nazwać personifikację grozy inaczej niż kolorem. Jakoś nie poczuł się od tego lepiej.

– Co ze mną będzie? Jeśli mam zawisnąć, jak Hieronim i inni, lepiej, żeby któryś z twoich strażników rozejrzał się za naprawdę mocnym sznurem.

Evan zaśmiał się na całe gardło.

– Widzę, że humor ci dopisuje. Cenię dowcipnych ludzi. Świetnie dogadałbyś się z Selladynem. – Spoważniał mgnieniu oka. – Każda rewolucja niesie ze sobą ofiary. Musiałem wyeliminować zagrożenie. Hieronim, ten krótkowzroczny głupiec, i jeszcze kilku piewców starego porządku opierało się przed zmianami. Byli niereformowalni. Próbowałem tygodniami, uwierz – nie zostawili mi żadnego wyboru. Rozumiesz to, prawda? – Spojrzął na Haxerlina tak, jakby szukał aprobaty.

– Sprzedawca warzyw – odpowiedział głucho. – Selladyn mówił, że wcześniej przybył tu sprzedawca warzyw. On też był zagrożeniem? Czym zawinił? Chciał obalić twoje rządy Dyniami Dywersji?

– Och, to zupełnie inna sprawa. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Dokładnie jak ty, przyjacielu. Nie mogę pozwolić, by kręcili się tu przyjezdni, załatwiali swoje sprawunki i swobodnie odjeżdżali, opowiadając później niepokojące historie o małej wiosce, która przeistacza się w obóz wojskowy. Nie po to ojciec wpłynął na prefekta Sterrwind i opóźnił wizytę poborców podatkowych, żeby jakiś zbłąkany kmiot wszystko zepsuł. Bez urazy. Kołczan Wiary musi pozostać w ukryciu do momentu, aż prace nie zostaną ukończone. Insiria zobaczy nas w pełnej krasie.

Bogowie, cokolwiek on planuje, nie chodzi tylko o pojedynczą prowincję. To działanie na skalę kraju.

– Co ty właściwie...

Przerwał, bo Evan w fanatycznym uniesieniu strącił ze stołu stosy papierów i arkuszy. Gdy morze dokumentów opadło u jego stóp, oczom kupca ukazała się przymocowana do blatu mapa Imperiału.

Był człowiekiem wielu talentów. Może nie był najlepszym magikiem, ale znał się na kaligrafii. Docenił staranność, z jaką oddano detale. Mapa była na tyle duża, żeby pomieścić najmniejsze nawet wioski, zagajniki i rzeki. Na terytorium Sterrwind, tam, gdzie według wiedzy Haxerlina leżał Kołczan, umieszczono czerwony żeton.

Takich żetonów było na mapie siedem. Przygranicze, Szadoł, Zwiększone Ryzyko, Północny i Południowy Zenit, Sterrwind i królewskie włości, Primus Imperpares – po jednym w każdej prowincji.

– To dopiero pierwsza faza. Za kilka tygodni powinniśmy być gotowi do działania. Kołczan Wiary, Oko Dunmara, Straż Przednia... – Evan kościstym palcem delikatnie muskał czerwone krążki. – Po Trzykroć Wola, Płonący Jemen i, ekhm, Śliweczki. – Rzucił przepaszające spojrzenie. – Trudno to jakoś uduchować, a lokacja doskonale wpisuje się w nasz schemat. Morheimer zaręcza, że była to jedyna opcja. Trzeba jakoś te Śliweczki, hmm, przełknąć.

Morheimer, student, który opuścił Collegium razem z Evanem. Byli jeszcze inni... Czyżby każdy siedział teraz przy podobnej mapie, dowodząc swoim skrawkiem Imperiału?

Haxerlin znał połowę wymienionych miejscowości. Przejazdem zawitał w Dunmarze i Jemenie. Wszystkie były podobne: niewielkie osady położone z dala od ośrodków handlowych, polityki i rozgardiaszu cywilizowanego świata. Świetne miejsca, by zaszyć się, zbierać siły i...

Właśnie, i co?

– Chodzi o teomagię, tak? – Bezwiednie skierował spojrzenie na symbol płonącego oka.

Evan odpowiedział uśmiechem drapieżcy.

– Zawsze chodziło.

Maksymilian Slyth w pierwszym tomie dzieła *Magya a Absoluty, czyli rzecz o boskości* pisze: „Tak jak ziarenka piasku budują pustynię, jak kropelki wody tworzą ocean, a pojedyncze bloki kamienia składają się na mur warownej twierdzy, tak samo pierwiastki magiczne są elementarnym budulcem Istot Wyższych, czczonych w Imperiale, Kevlarze i najdalszych zakątkach Insirii.

Zasadę tę rozumie się pod pojęciem teomagii.

My, adepci najpiękniejszej ze Sztuk, za każdym razem, kiedy splatamy magiczne wrzeciona, by manifestować wybuch Mocy w naszym wymiarze, wymiarze śmiertelników, sięgamy do źródła boskości.

Nieważne, jakiemu bóstwu się kłaniamy i czy kłaniamy się w ogóle, wszyscy winniśmy pamiętać, komu zawdzięczamy dar Magii. Pamiętać, że Drzewo Mistyki, którego gałęziami oddziałujemy na rzeczywistość, zakorzenione jest w nieskończenie potężnym Panteonie.”

Maksymilian Slyth, jeden z założycieli Gildii i patron Collegium Magicum, słynął z zamiłowania do metafor i poetyckich opisów. Jego teoria sprowadzała się do tego, że magia pochodzi od bogów. Nie od żadnego konkretnego Absolutu, lecz od szeroko

pojętego „boskiego jestestwa”. Gdyby jasno wyraził ten pogląd, koncepcja teomagii na pewno byłaby łatwiejsza do zrozumienia, ale z drugiej strony kilkustronicowa *Rzecz o boskości* nie prezentowałaby się tak okazale na półkach bibliotek jak jej obecne, czterotomowe wydanie.

Evan Evanejko zgadzał się z głównym założeniem Slytha: magia pochodzi od bogów. Kontrowersję budził fakt, że próbował udowodniać odwrotność tej zasady.

Boskość jest pochodną magii.

– Tchórze i głupcy z Gildii, którzy krzywili się na mój widok, teraz będą kłaniać mi się w pas. O ile zdążą. Trzydzieści lat przygotowań... Nie wiem, czy to rozumiesz. – Rzucił Haxerlinowi spojrzenie przepełnione niezdrowym podnieceniem. – Istota poświęcenia. Całe życie dla jednego celu. Przesiedziałem lata w archiwach i zatęchłych bibliotekach, studiowałem zakazane traktaty autorów wyklętych zarówno przez kapłanów, jak i magów. Na własną rękę doskonaliłem się w Sztuce, a pewnie zdajesz sobie sprawę, że bez nadzoru nauczycieli jest to zajęcie albo niezwykle trudne, a nawet bolesne. Najczęściej było i takie, i takie. Zostałem nawet akolitą w Kościele Wojnara! Wiesz, żeby poznać wszystko od podszewki. Wiara jest potężną siłą. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. Dzięki odpowiedniemu jej ukierunkowaniu i małej magicznej pomocy osiągnę to, z czego wszyscy drwiliście w Collegium.

– Zostaniesz bogiem.

Oczy Evana rozbłysły. Upajał się tą wizją. Haxerlin zrozumiał, dlaczego dawny kolega mu o tym wszystkim mówi. W każdym człowieku żyje stworzonko, które karmi się podziwem i poklaskiem innych. Macha wesoło ogonkiem, kiedy słyszy „To świetny pomysł! Jak na to wpadłeś?” albo „Chciałbym władać bronią tak dobrze jak ty”.

Stworzonko Evana miało gabaryty elefanta i apetyt więźnia, którego trzydzieści lat trzymano w celi o chlebie i wodzie.

– Czy wiesz, jak powstali bogowie?

Haxerlin dużo czytał, więc wiedział.

– Bóstwa uformowały się przed setkami tysięcy lat z kosmicznej materii, która krążyła bezładnie po Pustce. Później Wielki Tu z kawałka gliny stworzył Insirię. – Dość zagadkowe było, skąd w Pustce wzięła się glina, ale może akurat przypadkiem jakaś przelatująca obok. – Matka Ia poruszyła ręką albo Don–Dan ziewnął i na ziemi pojawiło się życie. – Teologowie do tej pory nie mogli dojść do porozumienia. – Następnie...

– Nie pytam o Akt Kreacji – przerwał Evanejko. – Panteon to blisko czterdzieści bóstw. Przy stworzeniu świata mowa jest o trzech. Jak powstała cała reszta? Lamborgi, patronka woźniców? Czteropalczasty O? Jąkający się Kakakaran?

– Najwidoczniej w ten sam sposób. – Haxerlin chciał wzruszyć ramionami, ale przypomniał sobie, że jest związany. – Tylko usłyszeliśmy o nich później. To bogowie. Całe te metafizyczne sprawy są pewnie bardzo absorbujące.

– Słyszałeś kiedyś o Adelajdzie Kirchoff?

– Nie.

Nagła zmiana tematu nie wywarła na handlarzu wrażenia. Nauczył się, by

w rozmowie z niezrównoważonym człowiekiem pokornie podążać za jego tokiem rozumowania. Przynajmniej dopóki istnieje duża szansa, że ten człowiek w każdej chwili może kazać cię powiesić.

– Adelajda urodziła się około 900 roku Po Upadku w Trot, grodzie, na gruzach którego wzniesiono później wolne miasto Talingrad. Była służącą tamtejszego kupca. Pan Tier, kiedy nie zajmował się sprowadzaniem jedwabów z zachodu, oddawał się pewnemu pasjonującemu, acz niezupełnie legalnemu hobby. Fascynowała go nekromancja. Ot, taka nowobogacka fanaberia. Nie był nawet członkiem Gildii. Założył się, że piwniczkę, w której eksperymentował, wypełnił po brzegi czaszkami, na ścianach zawiesił skrzyżowane piszczelę, a obrazu całości dopełniały pajęczyny i księgi oprawione w czarną skórę. Te z wizerunkiem kozła czy innej rogacizny na okładce. Słowem – mimo że z prawdziwą magią nie miał nic wspólnego, jakimś cudem udało mu się spowodować magiczną implozję. Co to ma wspólnego z Adelajdą? Śmiem przypuszczać, że to na niej skupiło się wyładowanie. Nie odbiło się w żaden destrukcyjny sposób na jej fizyczności czy umyśle, ale tak jakby „wypełniło” ją mocą. Pewnie nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, zajęta sprzątaniami bałaganu po Tierze, który o mało co nie wysadził domu w powietrze. – Evan odchylił się na krześle i splótł palce. – Przejdźmy do dalszej części historii. Minęło kilka lat. W 916 Trot, jak wiadomo, zostało najechane przez armię Kevlaru. Na czas oblężenia wprowadzono powszechną mobilizację. Niezwykłą odwagą wykazała się pewna łuczniczka, która stanęła na czele małego oddziału uzbrojonych mieszczan, kiedy straż miejska rzuciła się do ucieczki na widok najeźdźców szturmujących główną bramę. Według relacji anonimowego Kevlarczyka, w czasie starć kobieta była uosobieniem niszczycielskiego żywiołu, personifikacją gniewu. Sama jej obecność wlewała w serca garstki obrońców takie pokłady siły, że Kevlarczykom zdawało się, jakby mieli przeciwko sobie nie pięćdziesiąt, ale pięć tysięcy ludzi. Ona ich inspirowała. Była symbolem. Trot w końcu padło, ale prowodyrkę oporu oszczędzono. Uhonorowano jej odwagę. Kiedyś wojny prowadzono w dużo bardziej dżentelmeński sposób. – Pozwolił sobie na małą dygresję. – Kim była ta dzielna niewiasta?

– Zgaduję, że to ta cała Adelajda Kirchoff, tak? Muszę pamiętać, żeby więcej nie denerwować żadnej służącej.

– Mhm. Wiesz, jak nazywali ją Kevlarczycy? „Getradung Shande Natch”. Jasnowłosa furia. Dalsze losy Adelajdy są nieznane, ale... – Uniósł palec wskazujący niczym nauczyciel, kiedy ma przejść do puenty wykładu. – Język przez wieki ewoluuje, ludzie mają tendencję do minimalizowania wysiłku, także tego werbalnego, więc ułatwiają wszystko, co tylko się da. Mijał wiek za wiekiem i tym sposobem tytuł bohaterki Trot skrócił się do „Geshana”.

– Co? – Haxerlin zrobił głupią minę. – Myślimy o tej samej Geshanie? Tej, której świątynia stoi w Rycie? Bogini łowców, drwali, długich łuków...

– Krótkich łuków. Od długich jest Wojnar. W seminarium tyle napatrzyłem się na te cholerstwa, że znam na pamięć każdą rzeźbę i rycinę. – Wzdrygnął się. – Na jednym fresku tak oddano proporcje, że to łuk powinien strzelać z Wojnara.

– Słyszałem, że Geshana objawiła się jakieś dwa miesiące temu przed Łowczym Zborem i poinstruowała kapłanów, by odnowili jej sanktuarium w Volendurskiej

Puszczy. Jest wiele świadectw innych objawień. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby ktoś z jej wyznawców poruszał wątek Trot.

– Dziwisz się? Wątpię, by nawet Wielki Łowczy Zboru zdawał sobie sprawę, że jego Pani pięćset lat temu prała bieliznę jakiegoś kupca. Sprzątanie nie pasuje do wizerunku bogini. Geshana nie ma żadnego interesu w obnoszeniu się żywotem śmiertelniczki. Co więcej – pewnie strzeże tajemnicy tego „epizodu” jak oka w głowie.

– Więc co sugerujesz? Wystarczy jakaś manipulacja magią, odpowiednio ukierunkowana wiara i człowiek zmienia się w bóstwo? Znam siłę reputacji i to, jak wpływa na ludzi. – Przypomniał sobie pewnego kołodzieja z Blumbergu, który z małą pomocą świetnie odgrywał rolę legendarnego bohatera. – Ale żeby miało to także nadprzyrodzony wymiar?

– Przypadek Adelajdy jest najlepiej udokumentowany i miał miejsce nie tak dawno w porównaniu do innych, które badałem. Wiesz, że Chezus, ten od krzyżujących się belek, przypuszczalnie był synem cieśli? A Arachne Księżycowa została boginią przez zupełny zbieg okoliczności? Grupka wędrowców wzięła ją omyłkowo za nimfę, kiedy kąpała się w strumieniu i...

– Przestań. To... to herezje. Gdyby usłyszeli cię arachnici, trafiłbyś na stos. Podważasz dogmaty.

– Dogmaty? – parsknął. – Mam lepsze. Moja przyboczna straż to dogmaci. Spróbuj podważyć takiego Selladyna. A ci ludzie na zewnątrz... Dla nich wszystkich już jestem kimś na kształt boga, choć nigdy by tak tego nie nazwali. Proces przemiany zostanie skrócony do minimum. Kiedy nad Plattendorfem zawisną sztandary z płonącym okiem... swoją drogą to bardzo miłe, kiedy obierasz boski symbol jeszcze za życia... to owszem, wtedy zapłoną stosy, ale nie dla mnie, przyjacielu, tylko w moim imieniu.

– Plattendorf? – Haxerlin zamarł. – Chcesz atakować Collegium Magicum?

Przez dłuższą chwilę Evan nie odpowiadał. Nie musiał.

– Późno już. Masz szczęście, że dzisiaj czeka mnie jeszcze dużo pracy. Dokończymy naszą rozmowę później. Selladynie!

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł żołnierskim krokiem siwowłosa dogmata.

– Zabierz mojego przyjaciela i przygotuj mu pokój. Mam nadzieję, że posprzątałeś po poprzednim gościu.

– Ha ha – zaśmiał się, jak zwykle, zupełnie poważnie. – Jeszcze nie, panie.

– Cóż... – Evan uśmiechnął się paskudnie. – Chyba nie mamy już na to czasu.

Haxerlin nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek spędził noc w gorszych warunkach. Epizod, gdy razem z Thuzem ukrywał się przed rozsierdzoną tłuszcą w wilczym dole, jawił mu się teraz jako pobyt w luksusowym zajeździe.

„Pokój” okazał się chlewikiem przerobionym na prowizoryczne więzienie. W powietrzu wciąż unosił się charakterystyczny odór świńskich nieczystości. Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby nie mieszał się z zapachem krwi.

W celi przetrzymywano i torturowano ludzi. Wielu z nich zapewne zmarło w trakcie „gościny”.

Evan Evanejko, jeśli zrealizuje swój chory plan, na pewno nie będzie miłosiernym bogiem.

Handlarz wiercił się na brudnym sienniku, przez całą noc walcząc z mdłościami. Starał się nie patrzeć na zaschnięte plamy krwi, więc jedyną możliwą opcją zostawało oglądanie sufitu. Nie chciał zamykać oczu – raz jeszcze bogata wyobraźnia stała się jego przekleństwem.

Selladyn przyszedł o świcie.

– Evanejko chce, żebyś to zobaczył. – Otworzył zakratowane drzwi. – Pospiesz się, zaraz się zaczniesz.

Wygramolił się z barłogu i z ulgą wyszedł na świeże powietrze, wyprowadzony przez siwowłosego.

Przed domkiem z czerwonej cegły zebrał się tłum. Morze ludzkich głów ciągnęło się jak okiem sięgnąć. Patrzył na surowe twarze wojowników i rozpoznawał cyniczne spojrzenia oprychów do wynajęcia, ale to nie oni przeważali. Trzon armii Evana stanowili chłopcy, prości robotnicy, ich żony i dzieci. Zwyczajni ludzie. Setki zwyczajnych ludzi.

Wszyscy spoglądali na dom z czerwonej cegły jak na gmach najokazalszej świątyni.

Haxerlinowi udało się wypatrzyć mężczyznę od sortowania desek, z którym wczoraj uciał sobie krótką pogawędkę. Ich spojrzenia się spotkały. Człowiek wyglądał na lekko zdziwionego obecnością handlarza, ale uśmiechnął się i pomachał na przywitanie. Mistrz odruchowo oddał pozdrowienie.

W końcu w drzwiach stanął Evanejko. Szmery i ciche rozmowy momentalnie ucichły. Po obu stronach ustawili się dogmaci, nieruchomi i dostojni jak dwie statuy. Uzurpator boskości wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka, jednak mimo to wciąż emanował aurą energii.

Nagle, bez żadnego sygnału i wyraźnego polecenia, setki ludzi padły przed nim na kolana.

Haxerlin poczuł pchnięcie w plecy i, chcąc nie chcąc, poszedł w ich ślady.

– Witajcie, bracia i siostry. – W totalnej ciszy rozbrzmiał głos Evana. – Dobrze widzieć wśród was nowe twarze. Z każdym dniem rośniemy w siłę! Już niedługo nieprzyjaciele ludu poczują sprawiedliwy odwet. Nigdy więcej żaden czarodziej nie zatruje waszych studni, nie rzuci klątwy na bezbronne dzieci i nie przeklnie mrocznym słowem. Żaden kuglarz w pstrokatych szatach nie zaśmieje wam się w twarz i nie wykpi biedy poczciwego człowieka! – Fanatyczny ton nabrał siły. – Jeśli znowu będą grozić palcami, to utniemy im ręce! Złoto, w które się przystrajają, pozwoli nakarmić nasze rodziny!

W tłumie rozległy się pomruki aprobaty.

– Niedługo nadejdzie czas zemsty, czas, by raz na zawsze wykorzenić ze świata plugawą Sztukę i posłać tam, skąd przybyła. Prosto do Otchłani!

Upajał się spojrzeniami wpatrzonych w niego oczu. Karcił się ich oddaniem.

– Tak będzie, najmilsy. Pobożne oko wypali parszywców do gołych kości. Lecz przedtem mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Ruszajcie, bracia i siostry, i bądźcie wytrwali. Błogosławię wam wszystkim. – Zatoczył ręką łuk, a ludzie pokornie pochyłili

głowy.

Haxerlin uważał się za dobrego kombinatora – w końcu pseudomagiczny asortyment Cudów i Dziwów ciągle znajdował nabywców – ale teraz poczuł się jak dzieciak z drewnianym mieczem, stający do walki z królewskim czempionem.

Evan Evanejko, szaleniec i rewolucjonista, był mistrzem manipulacji.

– I co o tym myślisz?

Rozmowa przebiegała w bardzo podobnych okolicznościach jak ta wczorajsza. Domek z czerwonej cegły, ogromny stół, wygodnie rozłożony przed nim Evan i przywiązany do krzesła Haxerlin.

– To było... imponujące.

Przerażające, złe, ale w dalszym ciągu imponujące.

– Podburzasz ludzi przeciw magii i tą samą magię planujesz wykorzystać w drodze do boskości. Jest takie dziesięcioliterowe słowo na „h” i kończące się na „a”... Możesz mi je przypomnieć?

– Nic tak nie jednoczy jak wspólny wróg. – Evan zignorował zaczepkę. – Połowa tych prostaków nasłuchiwała się opowieści o tajnych magicznych stowarzyszeniach, których członkowie spotykają się w opuszczonych zameczyskach, piją krew niemowląt i pociągają za sznurki całego Imperiału, a król i prefekci tańczą dla nich jak marionetki. Druga połowa widziała czarodzieja tylko z daleka, ale bardzo chętnie obiłaby mu twarz, gdyby podszedł bliżej. Kwestia autonomii Gildii i Collegium Magicum też nie wszystkim jest na rękę. Mowa o wysoko postawionych Imperialczykach – uśmiechnął się tajemniczo.

– Jak myślisz, skąd biore żywność dla tych ludzi? A to tylko jedna siódma moich sił. Podżegacze rozsiani po całej krainie, kwestia logistyki, zaopatrzenia, pieniędzy... Realizując swój prywatny plan, pomagam także wpływowym osobistościom w rozwiązaniu ich bardzo przyziemnych problemów. Dla mnie boskość, dla nich polityka.

– A śmierć dla całej reszty.

Evan beznamiętnie skinął głową. Kupiec poczuł dreszcze.

– Dostaną to, po co tu przyszli. Zginą dla większej sprawy, zamiast usychać przy pługu albo wić się w kolejnych porodowych bólach. Zwykli ludzie zawsze chcą wieść niezwykły żywot.

Mistrz Haxerlin rozumiał ten punkt widzenia, ale w przeciwieństwie do Evanowej armii miał świadomość, że niezwykły żywot często równa się szybkiej śmierci.

– Co masz zamiar ze mną zrobić? Polubiłem te nasze wspólne pogawędki, ale wątpię, że tylko dlatego jeszcze mnie nie straciłeś, żeby móc codziennie zwierzać się staremu znajomemu.

– Cieszę się, że pytasz. – Evan spoważniał. Wygiął palce, aż nieprzyjemnie zachrząściły. Jeśli naprawdę się cieszył, to dziwnie okazywał radość. – Nie jestem samobójcą, nie będę cię przekonywał do sprawy. Ufam tylko dwóm typom ludzi: najbliższemu i najgłupszemu. Nie zaliczasz się do żadnej z tych grup. W końcu znalazłbyś sposób, żeby uciec albo wbić mi nóż w plecy. Oszczędziłem cię, bo przygotowałem coś specjalnego. – Przerwał i uważnie mu się przyjrzał. Haxerlin był pewien, że zrobił to tylko

dla taniego efekciarstwa. – Jesteś magiem, prawda?

– Technicznie rzecz biorąc – nie. Nie ukończyłem studiów, nie mam certyfikatu. Jeśli znajdziecie jakiś na wozie, uprzedzam, że to fałszywka. W Bordo jest pewien człowiek, który za odpowiednią opłatą...

Evan lekceważąco machnął dłonią.

– Nosisz te swoje purpurowe szaty z piękną klepsydrą i księżycem, przewozisz magiczne towary i fizjonomię też masz jakąś taką czarodziejską... – Lekko odchylił się na krześle, oceniając wydatne brzuszysko Haxerlina. – Jak dla nich w zupełności wystarczy.

Kupiec przełknął ślinę. Zapytał, mimo że nie chciał poznać odpowiedzi:

– Dla kogo?

Evanejko rzucił wymowne spojrzenie na drzwi.

– Powiedzmy, że to będzie ich inicjacja. Chcą palić magów. Dlatego dam im maga.

Datę egzekucji ogłoszono publicznie, dochowując pełnego ceremoniału. Związany i zakneblowany Haxerlin dowiedział się, że pozostał mu tydzień życia. Kiedy patrzył na wykrzywione nienawiścią twarze, cieszył się, że Evanejko umieścił go na podwyższeniu, w żelaznej klatce, poza zasięgiem rąk podjudzonej tłuszczu.

Nie dziwił się ludziom, że chcieli rozerwać go na strzępy. Nie po kłamstwach, którymi nakarmił ich przywódca sekty Płonącego Oka.

Według relacji Evana handlarz winien był chyba wszystkich możliwych przestępstw na szkodę ludu, poczynając od kradzieży, rzucania uroków na chłopów i ich trzodę oraz psucia plonów, a kończąc na bałamuceniu wieśniaczek magicznymi błyskotkami.

Haxerlin chętnie by wykrzyczał, że „magiczne błyskotki” nazywają się diamenty i biżuteria, i każdy zamożny człowiek może pozwolić sobie na podobne „czarowanie”, ale szmata wciśnięta w usta sprowadzała każdy argument do „mhmmrrmmhrrr!”.

Potem Evanejko wytoczył ciężką artylerię. Oskarżył więźnia o składanie ofiar z dziewczyc, by „zasilać źródło swej przeklętej mocy”, używanie wyłupionego oka noworodka do „komunikowania się z biesami” i regularnego spożywania „serc żywcem wydartych z piersi ucziwych ludzi”.

Thum nie mógł się doczekać momentu, w którym ogień strawi ciało niepozornego grubaska i obróci w pył kryjącą się wewnątrz bestię.

Dni pozostałe do egzekucji Haxerlin spędzał w znajomym chlewiku. Evanejko już więcej nie zaprosił go na rozmowę.

Upływ czasu odliczał posiłkami. Czerstwy chleb i kubełek wody na śniadanie, na obiad papka z ziemniaków i smażonej cebuli, a przed snem jeszcze bardziej czerstwy chleb i brudniejsza woda. Dwadzieścia marnych posiłków dzieliło go od śmierci w płomieniach. Nemezis przybrała postać siódmej porcji ziemniaczanej brei.

Miał dużo czasu na wspomnianie. Często wracał myślami do dni, które razem z Thuzem spędził na szlaku. Ciekawe, czy demonowi udało się w końcu odzyskać prawdziwą postać... Raczej nie, skoro Mistrza dotąd nie doszły wieści o obróconym

w perzynę Kampfsalat. Nie widział Krwiopija już dwa lata, ale podejrzewał, że w dalszym ciągu był tym samym poczciwym chłopaczkiem, skorym do agresji i aktów przemocy. Takim go zapamiętał. Takiego polubił. Mistrz z pewnym niepokojem stwierdził, że myśli o dawnym kompanie jak o synu, który dorósł i ruszył w świat, żeby usamodzielnic się i zmężnieć. Nigdy więcej nie zobaczy jego łobuzerskiego uśmiechu, nie ofuknie go, kiedy ten będzie groził nożem służebnym dziewczkom, nigdy nie usłyszy, jak przeklina kapłanów, sikając na mury świątyni... Ech, Thuz, spójrz, gdzie trafił stary grubas! Trzeba było jechać z tobą do Białokresu...

Ostatnią noc w celi Haxerlin spędzał na modłach. Klęczał w rogu chlewika i hipnotycznie kiwał się w przód i w tył, recytując szeptem wszystkie znane sobie hymny, psalmy i litanie. Skoro przez cały ten czas nie wpadł na żaden genialny pomysł, uczeplił się myśli, że w końcu obok zmaterializuje się któryś z bogów Panteonu, wyważy kraty więzienia i klepnie go w ramię, życząc szczęścia.

Nic takiego oczywiście się nie wydarzyło. Mistrz nabawił się tylko bólu kolan. Zasnął z głową w korycie. Ostatnim przebłyskiem świadomości wykoncypował, że może senne obrazy przyniosą jakąś podpowiedź. Wszak bogowie często doradzają śmiertelnikom w ten sposób – trzeba tylko odpowiednio zinterpretować przekaz.

Śniło mu się, że goni go brodaty rzeźnik z tasakiem w ręce, a on ma racice zamiast nóg.

To tyle jeśli chodzi o prorocze sny.

– Pobudka, magu. – Poczł mocne kopnięcie w żebra. – Wszystko już gotowe. Brakuje tylko ciebie.

Haxerlin przetarł oczy. Przed kratą dostrzegł chleb i miskę pełną ziemniaczanej papki.

– Spałem do południa?

– Do wieczora. – Ktoś brutalnie dźwignął go z ziemi. – Zbieraj się. Nie chcesz chyba spóźnić się na własną egzekucję.

– Zapłacę! – wrzasnął, kiedy Selladyn krępował mu nadgarstki. – Pomóż mi uciec! Mam depozyty w krasnoludzkich bankach, wystawię niezbędne upoważnhrhmrr...

Selladyn wepchnął mu w usta szmatę i dla pewności zacisnął wokół knebla sznur. Kupiec poczuł mocny ucisk na potylicę.

– Zawrzyj mordę. Lubię pieniądze, ale trzymam ze zwycięzcami.

Kierowali się na obrzeża Kołczanu Wiary, na małe wzniesienie otoczone drzewami, gdzie już zebrał się tłum. Haxerlin z daleka dostrzegł migoczące, czerwone punkciki – niektórzy spośród zgromadzonych wzięli ze sobą pochodnie. Wielu ludzi zostało w osadzie, by na własne oczy widzieć, jak dogmata prowadzi potężnego maga na stos. Tacy ruszali na górę dopiero wtedy, kiedy minął ich obdartus w purpurowej szacie i jego strażnik. Wielu, zanim dołączyło do posępnego korowodu, spluwało na ziemię albo rzucało wyzwiska pod adresem skazańca. Jakiś młokos zamierzył się na niego zgniłym jabłkiem, ale trafił Selladyna; widząc to, szybko skrył się w tłumie.

Im bliżej znajdowali się wzniesienia, tym więcej pojawiało się gapiów. Selladyn

musiał krzyżeć, by rozpedzać tłum na boki. Pod sam koniec morze ludzkich ciał po prostu rozstępowało się na widok kupca, przepuszczało go środkiem i od razu zamykało za jego plecami.

Wreszcie zobaczył stos. Milczące zgromadzenie otaczało go półkołem – ta cisza była bardziej przerażająca niż dziesiątki gróźb czy przekleństw, które usłyszał po drodze. Syk płomieni na podpalonych łuczywach trzymany przez motłoch rozbrzmiewał w głowie kupca niczym pogrzebowe requiem. Niedaleko stał wóz z artefaktami. Czterej dogmaci wynosili zawartość Cudów i Dziwów i rozrzucali na polanach, u podnóża wysokiego pala.

Amulety własnoręcznej roboty, imitacje zaklętej broni, sztuczna biżuteria, afrodyzjaki, eliksiry życia i napary wzmacniające, słoje z wnętrznościami zwierząt, „zaręczam, że to relikwie”, jedwabne chusty, kamyki mieniające się wszystkimi kolorami tęczy... Czarodziej miał spłonąć razem ze swoją magią.

Evan, odkąd tylko zamajaczyła mu na horyzoncie baryłkowata sylwetka, patrzył wprost na Haxerlina. Kościstymi palcami obejmował pochodnię. Za każdym razem, kiedy poruszał ręką i wzburzał ogień, oko na śnieżnobiałej szacie wydawało się mrugać.

Mistrz poczerwieniał, serce waliło mu jak oszalałe. Knebel w ustach nie pozwalał oddychać. W obliczu ogromnego stosu śmierć z uduszenia wydawała się błogosławieństwem, jednak organizm Haxerlina nie chciał się poddać – zmuszał nozdrza do wytężonej pracy.

Wdech, wydech, wdech, wydech...

Nagle Selladyn podciął mu nogi. Z głośnym „ŁUPS!” kupiec wylądował twarzą tuż przy butach Evanejki. Uderzył policzkiem o kamień, który chwilę później pokrył się czerwienią.

– Oto i nasz potężny mag – zaśmiał się Evan. – Niech spłonie!

Dogmaci dźwignęli go z ziemi i poprowadzili na stos. Suche polana łamały się pod ciężarem podkutych żelazem butów. Obok ułożono dwie dodatkowe sterty drewna – zadbano, by ceremonia nie skończyła się zbyt szybko.

Selladyn na chwilę poluzował skazańcowi więzy, ale tylko po to, żeby wykręcić ręce i przywiązać je do wbitego w podłoże słupa. Haxerlin próbował się szarpać i wrywać, ale siłowanie się z dogmatą przypominało walkę z huraganem.

– Mrhmm khmrmhm hrmhmm! Mrhmm khmrmhm hrmhmm!

Nie jestem magiem! Nie jestem magiem! – powtarzał w myślach to, co nie mogło przedostać się przez usta. Evan zbliżał się do stosu z teatralnym wyczuciem chwili.

Och, ależ oczywiście, że jesteś – zdawał się odpowiadać jego obłąkany uśmiech. Obecność tych ludzi jest wystarczającym dowodem, prawda?

– Mrhmm khmrmhm hrmhmm...

Nie jestem magiem, nie jestem magiem...

Jeden z dogmatów cisnął pod nogi Haxerlina butelkę z oliwą. Evanejko stał już obok niego na wyciągnięcie ręki.

– Dziś ofiaruję wam przedsmak tego, czego wszyscy pragniemy! – zwrócił się do tłumu. – Pokoju i bezpieczeństwa! Pobożne oko wypali zło z tego nikczemnego czarnoksiężnika, a niedługo oczyści cały Imperiał!

– Mrhmm khmrmhm hrmhmm, mrhmm khmrmhm hrmhmm!

NIE JESTEM MAGIEM, NIE JESTEM MAGIEM, NIE JESTEM MAGIEM!

Evan już miał rzucić pochodnię, ale powstrzymał się w ostatnim momencie.

W przedstawieniu nie mogło zabraknąć bardzo ważnego elementu.

– Chcę, żebyś krzyczał – wyszeptał...

– Mrhmm...

...i zerwał knebel.

– ...JESTEM MAGIEM!

Do setek par uszu doszedł przeraźliwy krzyk, przepełnione grozą obwieszczenie, które tłum zinterpretował po swojemu. „Tak, jestem magiem. Jestem tym, o kim mówił wam Evanejko. Związany, ale dalej niebezpieczny!”. Z setek gardeł dobył się urwany jęk. Setki tysięcy włosków na karku stanęło dęba. Setki stóp jak na komendę zrobiło krok w tył – wszystko jest pod kontrolą, wiemy, nie ma mowy o żadnym ryzyku, przecież pan Evan o to zadbał, ale na wszelki wypadek staniemy troszkę dalej...

Haxerlin to widział. I szybko się uczył.

Nie był magiem, a jednocześnie był. Wiara to potężna siła.

I może być też ostatnią deską ratunku.

Ich nienawiść brała się ze strachu. Mistrz Haxerlin, trafny obserwator rzeczywistości, z własnej woli nałożył maskę, którą zmanipulowana tłuszczą od początku chciała wcisnąć mu siłą.

Wszedł w swoją rolę.

– *DYNIOS*...

Jakaś kobieta przytuliła do piersi małą dziewczynkę i zasłoniła jej oczy.

– Zara wyrwie nam serca!

– Łoo my biedni!

Co dalej, co dalej, myśl...

Najszybciej, jak tylko mógł, pocierał przywiązanymi do pala dłońmi.

Szur szur szur szur...

Błagam, niech ten sznur puści, niech puści...

– ...*KLEPSYDREX*...

– Robi czary! – Młodzieniec w zdartym kubraku krzyknął wprost do ucha sąsiada.

Szur szur szur szur...

– Kryć się, wzywa demona! – wrzasnął ktoś inny.

– Zostaw nas!

– ...*WAZON*!

Część zgromadzonych padła na ziemię, kryjąc głowy między ramionami. Pozostali postanowili po prostu uciec. Strony nie dogadały się w sprawie kolejności, dlatego zaczęło robić się głośno i nieprzyjemnie.

Poza tym nie wydarzyło się absolutnie nic magicznego.

– Głupcy, uspokójcie się! – Strużka śliny pociekła Evanowi po brodzie. – Nie skrzywdzi was!

Szur szur szur szur...

Czas, czas, potrzebuję jeszcze trochę czasu...

– *DRAKHAN DRAKHON BELTUS!*

Trzej dogmaci, którzy nie byli zajęci uspokajaniem ludzi, dobyli mieczy, ale spojrzeli po sobie pełni wåtpliwoœci. Nie ruszyli siê z miejsca.

Szur szur szur szur...

Nieustannie pocierał nadgarstkami o chropowate drewno. Szybciej i szybciej.

Szur szur szur szur...

Evan uniósł rëce. Starał siê zapanowaç nad tłumem.

– Bracia i siostry! Spójrzcie, mag nie jest w stanie nic...

Wiêzy puœciły. Kupiec zadziałał odruchowo. Zrobił dokłaadnie to samo, co podczas pewnego wieczoru w pijalni Collegium Magicum, kiedy to prowadził zaartã dyskusjê z kolegã studentem, a po siódmym piwie okazało siê, że przegrywa dysputê, bo coraz trudniej mu siê wyslowiç.

Uderzył fałszywego proroka prawym sierpowym.

Evan zachwiał siê i upuœcił pochodniê. Nasãczone oliwã polana momentalnie stanęły w płomieniach. Języki ognia wzbiły siê aż po skraj białej szaty. Szalenciec zapiszczał jak mała dziewczynka. Para jego przybocznych od razu rzuciła siê na pomoc.

Haxerlin wlaœnie na to czekał.

Wykorzystał zamieszanie. Wśród walających siê wszêdzie „cudów i dziwów” wypatrzył potrzebny przedmiot. Sprawdził, skąd wieje wiatr. Zachód. Dzięki bogom! Ciężko dysząc, pokuœtykał na bok i posłał skrzynekê, tã od sreber i matki szlachcianki, prosto w ogieñ. W tym samym momencie odskoczył tak daleko, jak tylko pozwalała mu na to nadwaga.

I rozpętało siê piekło.

Skrzynia wybuchła z ogromnym hukiem. Haxerlinowi zadzwoniło w uszach. Oberwał w plecy kawałkiem deski, a mosięzne zdobienie wieka trafiło go w ramie. Wywrócił siê. W centrum rażenia znajdował siê jednak kto inny. Siła eksplozji odrzuciła Evana kilkanaœcie metrów w tył. Płonãce oko na jego szacie przestało byç tylko metaforã. Dogmata wylãdował zaraz obok. Bez rëki. Drugi nie miał tyle szczêœcia – odleciał w trzech róŹnych kierunkach. Ludzie zaczęli drzeç siê w niebogłosy; tym razem nie wystãpiły problemy z ustaleniem taktyki – jednomyœlnie rzucili siê do ucieczki. A w ślad za nimi wiatr poniósł usypiajãce opary.

Przestraszona tłuœcza pędziła w stronê zabudowañ, przepychajãc siê łokciami i błagajãc bogów o litość. Pozostali przy Źyciu dogmaci zostali stratowani. Napierajãca masa dosłownie ich wchłoneła.

Haxerlin, zasłaniajãc twarz rëkawem, mozolnie pełził w przeciwnym kierunku, ku drzewom.

Alchemiczne opary roznosiły siê w powietrzu naprawdê szybko. Kilkudziesiãciu uciekających padło na ziemie jeszcze zanim zdãżyło zbiec z góry. Inni opierali siê trochê dłuŹej, ale Haxerlin zainwestował w towar najwyŹszej jakoœci, jak zawsze gdy chodziło o bezpieczeñstwo. Pozbawieni przytomnoœci ludzie padali siê warstwami jedni na drugich. Opary dopadły przynajmniej połowê mieszkañców Kołczanu Wiary. Trudno było odgadnaç, ilu z nich spało, a ilu zostało zdeptanych.

Wszystko to trwało nie wiêcej niŹ trzy minuty. Wystarczajãco, by dowlec siê na

skraj lasu. Później czas przestał mieć znaczenie. Liczył się tylko bieg,

– Proszę, dzbanek piwa i zajac w śmietanie. To wszystko, panie?

Klient machnął ręką, jakby odpędzał się od natrętnej muchy. Łapczywie przechylił kufel, tracąc zainteresowanie obsługą.

Gruby służący uklonił się i wrócił za ladę. Złapał za szmatkę. Kufle nie wyczyszczą się same, a pan Fritz zwracał uwagę na szczegóły.

Przystań Wędrowca była małą gospodą, leżącą przy trakcie łączącym Vortecę z Hrywen. Właściciel nie narzekał na brak klientów. Za parę srebrniaków można tu było oporządzić konia, zjeść ciepły posiłek i spędzić noc w dość przyzwoitych warunkach. „Dość przyzwoite” należy rozumieć w ten sposób, że na każdy pokój przypadała regulaminowa ilość karaluchów. Pan Fritz przestrzegał zasady „Dwa to norma, ale trzy to już tłok”. Był też człowiekiem słownym, dlatego Haxerlin miał pełne ręce roboty, bo goście potrafili liczyć.

Przegnali go w progu karczmy Pod Rozbrykaną Mantykorą, a z Gwiazdy Imperiału wyprosili, kiedy przyznał się, że nie ma żadnych pieniędzy. Wykidajło tak bardzo wziął sobie do serca polecenie karczmarza, że Haxerlin przez dłuższą chwilę widział nie jedną, ale całą konstelację gwiazd (nie był pewien, czy to akurat gwiazdy Imperiału, ale całkiem możliwe). Dopiero pan Fritz zgodził się przyjąć półżywego obdartusa pod swój dach.

Wcześniej przez cztery dni były kupiec błakał się po obrzeżach Traktu Wędrowca, żywiąc korzonkami, jagodami i tym, co na oko wydawało się jadalne. Praca w charakterze służącego, w porównaniu z życiem uciekiniera, wydawała się szczytem marzeń.

W Przystani spędzał już blisko drugi tydzień. Pan Fritz dał mu czyste ubranie, zapewniał nocleg i trzy posiłki dziennie, a po zamknięciu gospody wypłacał kilka miedziaków. Był wymagający, ale nie zadawał też pytań. To dobrze, bo Haxerlin i tak nie zamierzał udzielać szczerych odpowiedzi.

Musiał zarobić na podróż do miasta. Co prawda stracił majątek, ale w krasnoludzkim banku w Blumbergu zdeponował niezłą sumkę. Ważne, żeby dostać się do Hrywen, tam ma starych znajomych, pożyczycy pieniądze, opłaci przewoźnika... A potem pomyśli.

„Kwestia autonomii Gildii i Collegium Magicum też nie wszystkim jest na rękę. Mowa o wysoko postawionych Imperialczykach.” Słowa Evana wciąż nie dawały mu spokoju. Nie wiedział, komu opowiedzieć o wydarzeniach w Kołczanie Wiary i czy w ogóle komukolwiek powiedzieć., Do kogo się zgłosić, komu zaufać. Straż miejska? Z jakiego okręgu? Burmistrz? Jeśli tak, to który? Aleksander Werner z Hrywen? A jeśli znowu zechce go powiesić? Może w takim razie sam prefekt Sterrwind? Ale Karkland to przyjaciel ojca Evana... Nie chciał trafić pod zły adres. Tym razem spiskowcy nie bawiliby się w spalenie na stosie, ale starym dobrym sposobem poderznęli gardło. I pewnie nawet nie zdążyłby się przedstawić. Wieści szybko się rozchodzą, a ważne wieści rozchodzą jeszcze szybciej.

Na razie były kufle. Za czyste kufle mógł zarobić dodatkowego miedziaka. Dodatkowy miedziak zbliżał do Hrywen, Hrywen do Blumberga, a Blumberg...

– Te, Pieter, przestańże cackać się z tą szmatą, wywijasz nią jakbyś babie dogadzał.
– Żarty pana Fritza zawsze posiadały seksualny podtekst. Zawsze. – Klienta mamy.

Haxerlin oderwał się od szorowania.

– Już idę, proszę pana.

Tego wieczoru w karczmie przebywało ledwie paru gości. Podeszedł do stolika, który jeszcze chwilę temu był pusty. Teraz zajmował go barczysty mężczyzna w kapturze. Siedział plecami do szynku, nonszalancko trzymając nogę na nodze.

– Ten dowcip o szmacie był dobry – odezwał się nagle nieznajomy, wciąż patrząc w ścianę. – Uśmiełem się, ha ha, po pachy.

Haxerlin zamarł w pół kroku.

– Myślisz, że więzy rozerwały się same? – dodał ciszej. – Nie odwałam fuszerki, kiedy tego nie chcę. I trzymam ze zwycięzcami. Podejdz – ponaglił go. – Bo Fritz nabierze podejrzeń.

Błady kupiec powlókł się do stolika niczym zombie. Bogowie znowu zadrwili z jego planów.

Selladyn nie nosił już napierśnika z płonącym okiem, ale elegancką brązową koszulę, skórzany kubrak i spodnie z grubej wełny. Żadnych podejrzanym symboli, żadnej broni na wierzchu. Wyglądał jak zwykły podróżnik, który pragnie odpocząć po ciężkim dniu tułaczki, zanim ruszy w dalszą drogę. Chociaż patrząc na jego pooraną bliznami twarz odnosiło się raczej wrażenie, że to inni powinni odpocząć od niego – jeśli w ogóle ostali się jacyś „inni”.

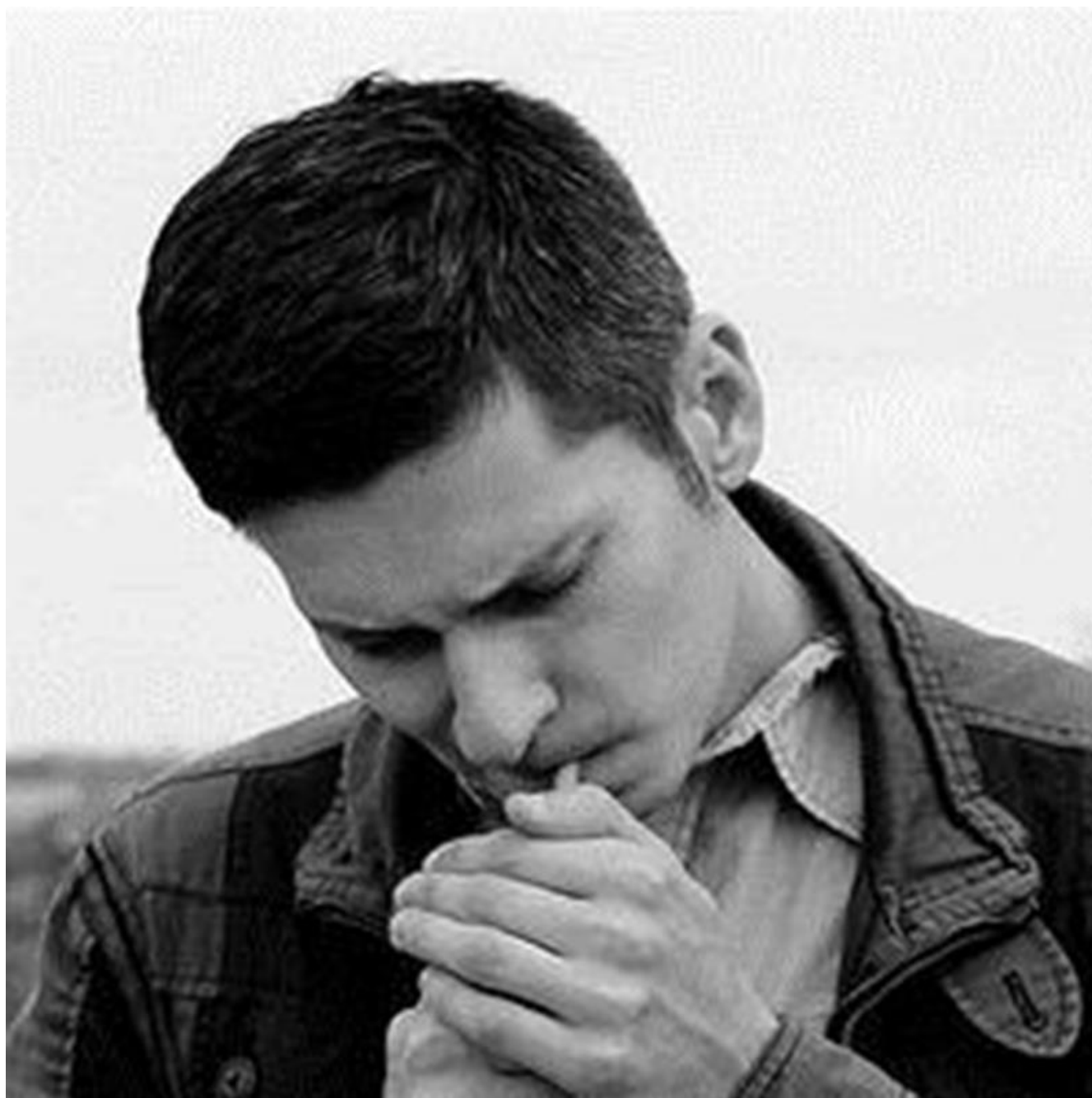
– Przynieś mi piwo. I sobie też. Karczmarzu! – ryknął w stronę Fritza. – Nie będziesz miał za złe, jeśli podkradnę ci na chwilę Pietera? Brakuje mi kompaniona do rozmowy, a muszę się komuś wygadać. Zapłacę za jego czas.

– A bierz se go pan. I tak jest tera potrzebny jak kuśka Braciom Litościwym.

– Ha ha. To też dobre. – Oblicze byłego dogmaty pozostało bez wyrazu. – Słyszałeś, Pieter. Dwa piwa. Albo najlepiej cały dzbanek. Idą ciekawe czasy, wiesz? Mamy dużo do obgadania.

Rzeczywiście mieli. Ale to już zupełnie inna historia.

O Autorze



Jacek Wróbel

Rocznik '88. Przygodę z pisaniem rozpoczął przed kilkoma laty i dobrze zrobił, bo z pewnością uratowało go to przed zupełnym pograżeniem się w marazmie codzienności. Został nagrodzony w paru ogólnopolskich konkursach literackich – cieszy zwłaszcza wyróżnienie na IX Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania oraz statuetka Kryształowego Smoka, jaką wręczono mu na wrocławskich Dniach Fantastyki 2014. Publikował w Nowej Fantastyce, Qfancie i Esensji. Jego opowiadanie znalazło się również w zbiorze „Ostatni dzień pary”.

W sieci publikuje pod nickiem uthModar.

Mieszka i pracuje w Lublinie. Lubi nieobjęte akcyzą papierosy. Ukochana kobieta oraz Mistrz Haxerlin powstrzymują go przed zostaniem politycznym terrorystą.